

# *Mazury zapamiętane*

---

RELACJE I WSPOMNIENIA  
MIESZKAŃCÓW ZIEMI PISKIEJ



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich:  
Europa inwestująca w obszary wiejskie  
Operacja współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4 LEADER  
Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013

Orzysz – 2014

# *Mazury zapamiętane*

---

RELACJE I WSPOMNIENIA  
MIESZKAŃCÓW ZIEMI PISKIEJ

pod redakcją  
Waldemara Brendy i Bogusława J. Trupacza



W 2013 roku z inicjatywy Lokalnej Grupy Działania „Mazurskie Morze” zrealizowany został projekt pt. „Mazury zapamiętane. Mazury w XX wieku w relacjach i wspomnieniach mieszkańców jako inwentaryzacja dziedzictwa kulturowego”, którego podsumowaniem jest niniejsza książka. Podstawę projektu stanowiło zebranie wspomnień i relacji mieszkańców ziemi piskiej, które mogłyby stać się ważnym świadectwem dotyczącym przemian zachodzących w tej części regionu w XX stuleciu.

Ponieważ jednak skompletowany materiał wykracza poza geograficzne pojęcie Mazur, sięgając do tych regionów kraju, z których wywodzą się autorzy relacji i wspomnień, po wojnie osiedleni w okolicach Pisma, stąd konieczność zaznaczenia tej szerszej perspektywy w tytule wydawnictwa – *Mazury zapamiętane. Wspomnienia i relacje mieszkańców ziemi piskiej*.

Dodatkowym celem projektu było zaangażowanie do tego przedsięwzięcia młodzieży, która w ten sposób łączyłaby aktywne poznawanie historii z jej dokumentowaniem. W projekcie uczestniczyło dziewięć osób, w tym siedmioro uczniów piskich szkół średnich: Norbert Wojciechowski, Jakub Siwik, Mateusz Kołakowski, Paulina Serowik, Marek Kurzątkowski, Karolina Kuliś, Emilia Szatkowska, oraz opiekunowie merytoryczni Bogusław Janusz Trupacz i Waldemar Brenda. Wszystkie wymienione osoby uczestniczyły w zbieraniu relacji i wspomnień. Część „mówiona” zebranych materiałów musiała zostać dostosowana do wymogów słowa pisanego. Uczyniono to, dokładając wszelkich starań, aby sens opowiadanych historii nie uległ zniekształceniu oraz aby zachować indywidualny charakter poszczególnych relacji. Za techniczną pomoc w realizacji tego etapu przedsięwzięcia należą się podziękowania Roksanie Czerwińskiej.

W trakcie prac zebrano dwadzieścia jeden relacji i wspomnień, nigdy wcześniej niepublikowanych w takiej postaci. Część z nich posiadała już formę tradycyjnego zapisu, jednak większość została nagrana i przepisana. Opuuszczono jednak fragmenty niezrozumiałe bądź takie, które nie były spójne z całością relacji. Poszczególne opowieści opatrzone odredakcyjnymi przypisami objaśniającymi lub takimi, które pozwalają na umieszczenie opisywanych zdarzeń w szerszym kontekście faktograficznym. Całość została poprzedzona obszernym szkicem Waldemara Brendy, będącym próbą wstępnej analizy zebranego materiału i niejako wprowadzeniem do tematu.

LGD „Mazurskie Morze”

# *H*ISTORIA ZAPAMIĘTANA. WSPOMNIENIA I RELACJE

## MIESZKAŃCÓW ZIEMI PISKIEJ

### Wprowadzenie

Dla historyka zajmującego się historią najnowszą wciąż aktualny pozostaje problem źródeł, na podstawie których może prowadzić badania. Tym rodzajem źródła, często wykorzystywanego przez przedstawicieli wymienionej dyscypliny, przy którym jednocześnie zaleca się daleko idący sceptycyzm, są wszelkiego rodzaju wspomnienia, pamiętniki, relacje. Należą do nich również relacje nagrywane, przez specjalistów zaliczane do kategorii historii mówionej (*oral history*).

Z punktu widzenia badań historycznych ta kategoria materiałów źródłowych może być rozpatrywana na dwóch poziomach. Pierwszy, bardziej tradycyjny, polega na czerpaniu z nich wiedzy faktograficznej. Jak łatwo się domyśleć, postrzeganie źródła wspomnieniowego jako rezerwuaru faktografii sprawia, że im bliżej omawianych zdarzeń ono powstało, tym wydaje się cenniejsze, gdyż tym więcej autor mógł zapamiętać. Byłoby to jednak nadmierne uproszczenie. Przecież każde źródło, nie tylko wspomnieniowe, może wykazywać tendencję do eksponowania jednych zdarzeń i pomijania innych. Znane z badań nad ofiarami różnego rodzaju traumatycznych przeżyć zjawisko „wypierania” z pamięci niektórych doświadczonych faktów także nie przemawia za dosłownym traktowaniem materiału o charakterze wspomnieniowym. Inna rzecz, że historyk nie zawsze posiada alternatywę w postaci szerszej bazy źródłowej, która pozwoliłaby mu wspomnienie czy relację zweryfikować, i bywa zmuszony do opierania się na tak ograniczonym materiale.

Inny sposób odczytywania materiałów wspomnieniowych wynika z przyjęcia perspektywy socjologicznej<sup>1</sup>, mimo nazwy bardzo przecież atrakcyjnej także dla historyka. Przyjęcie socjologicznego spojrzenia na źródła o charakterze wspomnieniowym nie przyniesie odpowiedzi na pytanie „jak było naprawdę”, ale raczej w jaki sposób badana przeszłość została przez autorów zapamiętana, na co zwrócili uwagę, jakie wątki z przeszłości uwzględnili, jakie natomiast – niekoniecznie świadomie – pominęli.

Jednak i w takim ujęciu interpretacyjnym na badacza czyhają niebezpieczeństwa. W przypadku relacji czy wspomnień ważne jest uwzględnienie ich „ułomności” wynikających nie tylko z czasu, kiedy została przeprowadzona rozmowa (inne mogą być polityczne treści oraz interpretacje, na które zwracano uwagę np. w latach tzw. Polski Ludowej, inne po upadku komunizmu w Polsce), ale także z tego, na czyje „zamówienie” materiał powstał lub kto przeprowadzał rozmowę, jakie pytania stawiał, jakie tematy go interesowały. Ważne jest uwzględnienie, z jakiej perspektywy społecznej, a także np. wiekowej opowiadane są zdarzenia z przeszłości. Czy są wynikiem osobistego doświadczenia, czy raczej wiedzy zasłyszanej, a czasem wręcz przeczytanej. Dlatego wspomnienia czy relacje – jak każde źródło historyczne – zawsze pozostaną niedoskonałym, lecz mimo to wciąż bardzo cennym narzędziem, za którego pomocą historyk będzie usiłował przeniknąć tajemnice przeszłości.

Te wszystkie zasygnalizowane wyżej uwarunkowania powinny być uwzględnione także przy analizie i lekturze wspomnień i relacji mieszkańców ziemi piskiej zamieszczonych w niniejszym zbiorze. Większość z nich powstała w ramach realizacji projektu pt. „Mazury zapamiętane. Mazury w XX wieku w relacjach i wspomnieniach mieszkańców jako inwentaryzacja dziedzictwa kulturowego”, a polegającego na zbieraniu wspomnień. Uzyskane materiały wykraczają poza geograficznie i kulturowo rozumiane pojęcie Mazur. Znaczna część współczesnych mieszkańców ziemi piskiej pochodzi z okolic Łomży, Kolna czy np. Grajewa, z Podlasia lub północnego Mazowsza, wreszcie z dawnych kresów II Rzeczypospolitej. Zanim trafili w okolice Pisza, ich biografie zostały w jakiś sposób zdeteminowane przez miejsce pochodzenia. Przenosząc swoje doświadczenia, tradycje, wartości z rodzinnych stron na Mazury, sprawili, że stały się one częścią historii tego regionu.

Przeprowadzona w ramach niniejszego szkicu interpretacja zebranego materiału jest próbą pokazania „historii zapamiętanej” przez mieszkańców zie-

---

<sup>1</sup> P. Filipkowski, *Historia mówiona i wojna. Doświadczenie obozu koncentracyjnego w perspektywie narracji biograficznych*, Wrocław 2010, s. 23.



mi piskiej. Ponieważ jednak wiele historycznych wątków zostało pominiętych w materiale uzyskanym podczas realizacji projektu, stąd konieczność ich uzupełnienia. W takich przypadkach posiłkowano się materiałem wspomnieniowym opublikowanym w Polsce w ostatnich latach lub zebrany przez autora artykułu, ale opracowanym w formie notatek z rozmów i z tego powodu nie spełniającym wymogów samodzielnej edycji.

Spośród dotychczasowych edycji wspomnień warto wymienić kilka tytułów. Jedną z najcenniejszych publikacji na temat różnych aspektów funkcjonowania powiatu piskiego przed 1945 rokiem są wspomnienia starosty Herberta Ziamera, przetłumaczone z języka niemieckiego i udostępniane czytelnikom na łamach czasopisma „Znad Pisy” w latach 2004–2006<sup>2</sup>. Warto też przywołać wybór wspomnień dotyczących Orzysza, którego dokonali Jacek Foszczyński i Mariusz Piotr Bartnicki na podstawie zawartości dwudziestu jeden roczników „Johannisburger Heimatbrief” z lat 1975–1996<sup>3</sup>. Zebrany przez nich materiał dotyczy przede wszystkim wspomnień na temat życia codziennego już u progu XX stulecia. Z kolei ewakuacji mieszkańców powiatu piskiego poświęcone są wspomnienia Güntera Schiwego<sup>4</sup> oraz materiał opublikowany przez Gerharda Wydrę<sup>5</sup>. Opublikowane zostały również niezwykle ciekawe wspomnienia Niemca, J.K., który przez kilka lat powojennych, zanim wyjechał z Polski, pracował w powiecie piskim pod fałszywym nazwiskiem<sup>6</sup>. Kilka wspomnień dotyczących wojny i okresu powojennego zostało dołączonych do pierwszej polskiej monografii powiatu piskiego<sup>7</sup>. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku zorganizowano w Piszku konkurs pt. „Ziemia piska w moich wspomnieniach”. Do konkursu zgłoszono dziesięć prac, które ukazywały się drukiem w ciągu kilku kolejnych lat, najpierw w poszczególnych numerach czasopisma „Znad Pisy”, a następnie w odrębnej, zwartej publikacji książkowej<sup>8</sup>. Dzięki konkursowi i edycjom zgłoszonych tekstów nasza wiedza na temat dziejów regionu w latach II wojny światowej oraz po 1945 roku została znacznie wzbogacona. Również wspomnienia Danuty Śleszyńskiej pt. *Z Kresów na*

<sup>2</sup> H. Ziemer, *Życie i działalność pruskiego starosty w stanie spoczynku...*, cz. 1, „Znad Pisy” 2004/2005, nr 13/14; cz. 2, „Znad Pisy” 2006, nr 15.

<sup>3</sup> J. Foszczyński, M. P. Bartnicki, *Przedwojenny Orzysz we wspomnieniach byłych mieszkańców (na podstawie publikacji wybranych z „Johannisburger Heimatbrief” z lat 1975–1996*, „Znad Pisy” 2006, nr 15.

<sup>4</sup> G. Schiwy, *Sto dni ucieczki z Mazur*, „Znad Pisy” 2001, nr 10.

<sup>5</sup> G. Wydra, *Wielka ucieczka*, „Znad Pisy” 1998, nr 7.

<sup>6</sup> J. K., *Nazywałem się Marcin Dąbrowski*, cz. 1, „Znad Pisy” 2002, nr 11; cz. 2, „Znad Pisy” 2003, nr 12.

<sup>7</sup> *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*, red. W. Korycka, Olsztyn 1970.

<sup>8</sup> *Jest takie miejsce. Ziemia piska we wspomnieniach i poezji*, [red. J. Kopciał], Suwałki 1998.

*Warmię. Danuśka wronami karmiona*<sup>9</sup>, których cały rozdział został poświęcony kilkuletniemu pobytowi autorki w Piszcu, pomimo widocznych uproszczeń zawierają mnóstwo ciekawych anegdot z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

### Prusy Wschodnie przed 1945 rokiem

Niewiele w zebranych materiale wspomnieniowym pojawia się informacji o czasie przedwojennym w Prusach Wschodnich. Wynika to głównie z dwóch czynników. Pierwszy to dobór autorów, gdyż siłą rzeczy Prusy Wschodnie w relacjach i wspomnieniach Polaków mogą pojawiać się jedynie epizodycznie, o ile ktoś nie mieszkał w bezpośrednim sąsiedztwie granicy lub nie miał przed wojną bliskich kontaktów ze Wschodnioprusakami. Znacznie obszerniejszym materiałem będziemy dysponować w przypadku wspomnień zebranych wśród tych ostatnich. Najbogatszy obraz uzyskujemy dzięki wspomnieniom Herberta Ziemera, starosty powiatu piskiego w latach 1930–1945. Dowiadujemy się z nich m.in. o mechanizmach funkcjonowania głównych instytucji administracji i lokalnego samorządu, poznajemy obraz społeczeństwa, specyfikę gospodarczą regionu. Do wspomnień tych przyjdzie nam jeszcze powrócić.

Spośród relacji zebranych w ostatnim czasie tylko czwórka autorów mieści się w „kategorii” mieszkańców ziemi piskiej związanych z regionem przed 1945 rokiem. A wśród nich tylko w przypadku relacji Irmę Bartlick mamy do czynienia z osobą, która urodziła się na tyle wcześnie, by mogła dobrze pamiętać czasy przedwojenne. Niestety, ten fragment opowieści nie został przez autorkę rozbudowany. Dowiadujemy się z niego, że jej ojciec, Franz Klimek, był w Turośli właścicielem restauracji z pokojami do wynajęcia i w podobnym kierunku zarabkowania, po zawarciu związku małżeńskiego, posłała także autorka wspomnień. Dochody z takiej wiejskiej restauracji musiały być wystarczające, skoro pozwalały na rozwój interesu i zakup gospodarstwa i ziemi uprawnej w Pogubiu.

Rządy NSDAP<sup>10</sup> w przytaczanych wyżej wspomnieniach nie pojawiają się zbyt często. W niewielkim zakresie o tym przymusie akceptacji nazizmu świadczą wspomnienia starosty piskiego Herberta Ziemera, który odnośnie czasów nazizmu pisał dosyć oględnie: „po 1933 roku całe życie polityczne zdominowa-

---

<sup>9</sup> D. Śleszyńska, *Z Kresów na Warmię. Danuśka wronami karmiona*, Olsztyn 2006.

<sup>10</sup> NSDAP (niem. Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei, pol. Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników) – niemiecka partia faszystowska, sprawująca w latach 1933–1945 niepodzielną władzę w Niemczech.

ne zostało przez NSDAP. W przypadku Rady [Powiatu – przyp. WB], przestała ona odgrywać od tego czasu większą rolę, chociaż w przypadku Pisz z przywódcą powiatowym partii współpraca układała się dobrze. W innych powiatach ta współpraca nie układała się tak harmonijnie. Ewentualne rozdrzewki między mną a NSDAP bywały ugodowo załatwiane przez prezydenta rejencji dr. Schmidta, któremu mam wiele do zawdzięczenia. Potrafił on wszelkie spory załatwić szybko i polubownie. Nota bene przysporzyło mu to później trudności ze strony gauleitera Prus Wschodnich Ericha Kocho<sup>11</sup>. Irma Bartlick wspomina, że wszyscy musieli należeć do NSDAP, inaczej grożono im i przymuszano. Ten wątek zasygnalizował też Ziemer: „Nadszedł jednak rok 1937, kiedy NSDAP dała urzędnikom państwowym ostatnią szansę. Wstąpić do partii i zachować zajmowane stanowisko, albo w przypadku odmowy, je stracić. Nie mając innego wyjścia wstąpiłem do partii. Było to zresztą zaakceptowane przez większość społeczną z powodu obawy przed mianowaniem nowego starosty i konsekwencji mogących z tego faktu wyniknąć”<sup>12</sup>. Inni urzędnicy nie mieli tyle szczęścia. Po objęciu władzy przez NSDAP do opuszczenia Pisz zmuszono szefa administracji powiatowej, nadinspektora Müllera, za przynależność do loży masonskiej. Według Ziamera to był i tak dość nieszkodliwy przypadek potraktowania przeciwnika, gdyż „reżim nazistowski niszczył ludzi, bez względu na występujące później trudności w funkcjonowaniu urzędów”<sup>13</sup>. Przykład represjonowania osób niechętnych reżimowi hitlerowskiemu odnaleźć możemy w materiale wspomnieniowym Dietmara Serafina, który znał tę historię z opowieści innych osób. Przytoczył on przypadek mieszkanki Szerokiego Boru, niejakiej Zaleskiej (Salewska), która podczas wyborów przestrzegała przed głosowaniem na Hitlera, w wyniku czego miała nawet trafić do więzienia<sup>14</sup>. Aresztowany – już jednak podczas wojny – został także proboszcz parafii w Turośli<sup>15</sup>.

W tych przekazach pojawia się jednak jeszcze inny obraz. „Właściwie to nie żyło nam się wtedy źle – wspominała mieszkanka Turośli. – W restauracji partyjni i członkowie SA organizowali zebrania, potańcówki. Młodzież też miała zajęcie, bo mogła uczestniczyć w różnych akcjach – ogniskach czy zawodach spor-

---

<sup>11</sup> H. Ziemer, *Życie i działalność...*, op. cit., cz. 1, „Znad Pisy” 2004/2005, nr 13/14, s. 214.

<sup>12</sup> Ibidem.

<sup>13</sup> Ibidem.

<sup>14</sup> Jeśli nie oznaczono inaczej, przytoczone fragmenty wspomnień i relacji pochodzą z niniejszego zbioru. Dla uproszczenia zapisu wskazano wówczas jedynie autora przytaczanej relacji. Relacja Dietmara Serafina.

<sup>15</sup> Zob. relacja Irmy Bartlick.

towych. Był porządek”<sup>16</sup>. Ten motyw „porządku” i zajęcia, pracy dla młodych ludzi pojawił się także w relacji nieżyjącej już mieszkanki Pisza, z którą przed laty przeprowadziłem rozmowę<sup>17</sup>. Dalej w interpretacjach okresu nazistowskiego w historii Prus Wschodnich idą autorzy albumu fotograficznego wydanego w 2001 roku pt. *Im Lichte der Erinnerung*. Nie jest to może klasyczna praca wspomnieniowa, ale jej autorzy, niegdysiejsi mieszkańcy ziemi piskiej, prezentują swój osobisty stosunek do historii znanego sobie regionu. W książce nie sposób znaleźć bardziej szczegółowych informacji na temat sprawowania władzy przez NSDAP. Za to autorzy rozwodzą się nad okresem prosperity, jaki w dziejach Orzysza zaczął się w latach trzydziestych, gdy Wehrmacht potrzebował rozbudowy koszar i poligonu.

Wątek przedwojennych Prus Wschodnich pojawia się także w polskich relacjach. Romualda Jańczyk w kontekście robót sezonowych wykonywanych za pobliską granicą stwierdza: „Od nas z wioski co roku kilku mężczyzn chodziło do Prus na roboty sezonowe”<sup>18</sup>. Autorka ma jednak świadomość, że w większym zakresie to zjawisko musiało dotyczyć mieszkańców żyjących w bezpośrednim sąsiedztwie ówczesnej granicy, przy czym wiedza ta bierze się raczej z doświadczeń jej późniejszego męża (a więc i jego opowieści), niż z własnej pamięci: „Więcej ludzi korzystało z tej możliwości na terenach leżących bliżej granicy. Polacy tam bez problemu dogadywali się z Prusakami [...]. Te saksy były jak najbardziej legalne, choć nie wiem, czy gdy Hitler objął w Niemczech władzę, nie wprowadził jakichś ograniczeń”<sup>19</sup>. To ostatnie zdanie najpewniej bierze się z przeświadczenia, że Hitler, odpowiedzialny za rozpetanie wojny z Polską, musiał już przed wojną wykazywać się jakimiś aktami wrogości, np. wobec polskich robotników sezonowych. W tej samej relacji, w związku z przedwojennymi relacjami transgranicznymi, odnajdujemy refleksję na temat mieszkańców Prus Wschodnich: „Polacy tam bez problemu dogadywali się z Prusakami. Dziś mówimy o nich Mazurzy”<sup>20</sup>. To drugie zdanie pozwala sądzić, że autorce nie chodziło o Prusaków w kontekście „wszyscy mieszkańcy Prus Wschodnich”, ale raczej o znających język polski Mazurów.

Bliskie relacje między mieszkańcami obydwu stron granicy pojawiają się także w opowieściach innych osób. Zbyt młody, by o tym pamiętać (rocznik 1940), ale znający te realia z rodzinnych opowieści, Wiesław Kałęka, przytacza taki oto epizod. Pola mieszkańców polskiej wsi Brzozowo przylegały do grani-

---

<sup>16</sup> Ibidem.

<sup>17</sup> Notatki z rozmowy z Krystyną Bachem (w zbiorach Waldemara Brendy).

<sup>18</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>19</sup> Ibidem.

<sup>20</sup> Ibidem.

cy. Po drugiej stronie znajomy Mazur przed wojną rozsiewał sztuczny nawóz, dzięki czemu zyskiwał wyraźnie lepszy plon. Co ciekawe, tam, gdzie na polskie pole wiatr zawał nawóz, tam też zboża były dużo dorodniejsze<sup>21</sup>.

Kontakty między mieszkańcami obydwu stron dawnej granicy miały także inny charakter. Jak wspominała Irma Bartlick: „Przed wojną utrzymywaliśmy częste kontakty z Polakami. Nasza wieś leżała bardzo blisko granicy, przez którą Polacy chodzili z przemytem. Do nas przynoszono jaja, gęsi, mięso. Na polską stronę zabierali najczęściej naftę i sól. Również nasi ludzie wyruszali na drugą stronę. Sama też tam byłam, z ciekowości – żeby zobaczyć, jak żyją w Polsce”. Autorka podała nawet nazwisko jednego z mieszkańców Turośli (Kozłowski), który w przemyśle miał uczestniczyć m.in. z racji wysunięcia jego gospodarstwa w stronę linii granicznej.

Niedaleko Turośli leży wieś Zdunowo. Erich Kowalczyk – który odnosi się wprawdzie do czasów wojny, był bowiem zbyt mały (rocznik 1934), żeby pamiętać zdarzenia sprzed napaści Niemiec na Polskę – wspominał w swej relacji, że również w czasie trwania wojny między mieszkańcami Zdunowa a okupowanym polskim pograniczem prowadzona była nielegalna wymiana handlowa: „Pole mieliśmy przy samej granicy, dlatego moi rodzice, przeważnie ojciec, trzymał się z Polakami. Podczas wojny handlowali ze sobą przez granicę. W Polsce była bieda z butami, więc ojciec – tak mi się wydaje – z Polakami handlował butami, a oni przez granicę przynosili do nas świniaka. Strażnicy pilnowali, ale ci, którzy mieszkali przy granicy, znali przecież swoje ścieżki wśród lasów. Nikt ich nigdy nie złapał, zawsze dobrze wyszło”<sup>22</sup>. Oczywiście granica była pilnowana, ale w puszczańskim gęstwie łatwo się było przedrzeć ludziom obeznanym z terenem. Wyjaśnienia wymaga asortyment towarów, które były przemycane. Już przed wojną do Prus przerzucano głównie produkty żywnościowe, w tym mięso, które w Niemczech było droższe. Z kolei w odwrotną stronę płynął strumień wyrobów przemysłowych. Z relacji Kowalczyka wynika, że ta tendencja utrzymała się w okresie okupacji, choć być może zmieniły się nieco jej przyczyny, gdyż swobodny ubój inwentarza w czasie wojny był zabroniony. Wobec tego na stronę niemiecką przerzucano z Polski mięso, gdyż polska wieś w czasie okupacji prowadziła prawdziwie „kreatywną” księgowość w zakresie hodowli inwentarza. „Praworządna” wieś mazurska chyba raczej takiego procederu nie podtrzymywała, a przynajmniej w dostępnym materiale źródłowym nic na to nie wskazuje. Pewną poszlaką może być natomiast właśnie relacja Kowalczyka: „U nas we wsi każdy sobie

---

<sup>21</sup> Notatki z rozmowy z Wiesławem Kałęką (w zbiorach Waldemara Brendy).

<sup>22</sup> Relacja Ericha Kowalczyka.

świnie chował, ale na zabicie trzeba było mieć pozwolenie. Jedna kobieta [...] postanowiła dokonać nielegalnego uboju. Sąsiedzi pomogli jej zabić świniaka, ale ktoś ją oskarżył. Przyjechali, na samochód ją wsadzili i posadzili do więzienia na półtora miesiąca”<sup>23</sup>.

### **Robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni w Prusach Wschodnich**

W czasie wojny w Prusach Wschodnich znalazło się kilkaset tysięcy robotników przymusowych i jeńców wojennych. Wśród osób kierowanych do pracy znaczną część stanowili Polacy, ale sporo było także Ukraińców, Białorusinów, Rosjan i Francuzów. Motyw naboru do robót przymusowych pojawia się w relacjach zazwyczaj w kontekście unikania tej wymuszanej przez niemieckiego okupanta konieczności.

Regina Alicka jako kilkunastoletnia, drobna dziewczynka wysyłana była do niemieckiego urzędu w Kolnie w zastępstwie starszej siostry. Wydaje się, że nie było to tak rzadkie zjawisko na polskiej wsi. Młodsze dziecko udawało starsze, aby w ten sposób oszukać administrację okupacyjną i wykazać nieprzydatność do wyjazdu na roboty. Często takie wezwania miały miejsce po uprzednim donosie, gdy ktoś „uprzejmie podał”, że w gospodarstwie jest kilka młodych osób. W tym przypadku Niemcy odesłali Reginę z powrotem, jako zbyt młodą i zbyt słabą<sup>24</sup>. Nie zawsze się to jednak udawało. Janina Podeszwik miała osiemnaście lat, gdy w 1942 roku trafiła do bauera, jak nazywano niemieckich gospodarzy. Odległość od domu sprawiła, że pomimo dobrych warunków i dobrego traktowania, postanowiła uciekać. Jak wspomina: „Nie było u niego źle, jak tylko ktoś chciał dobrze pracować”<sup>25</sup>. Francuscy robotnicy dostawali z domu paczki i nawet dzielili się czekoladą! Sama autorka wspomnień zakupiła skarpety czy podkolanówki dla siostry w piskim sklepie i wysłała je w prezencie, co znaczy, że posiadała jakieś własne pieniądze. Polscy chłopcy spotykali się z niemieckimi dziewczynami, ona też miała sympatyzującego chłopaka – Niemca. Wszystko to jednak musiało się odbywać w tajemnicy, bo władze zabraniały takich kontaktów ze względu na dbałość o czystość rasy.

Na roboty trafił też szesnastoletni brat Romualdy Jańczyk, wyznaczony przez sołtysa wsi Włodki, powiat Kolno. „Nie za długo był gdzieś [...] blisko granicy i uciekł. Potem wspominał, że byli i dobrzy ci gospodarze dla Pola-

---

<sup>23</sup> Ibidem.

<sup>24</sup> Relacja Reginy Alickiej.

<sup>25</sup> Relacja Janiny Podeszwik.



ków, ale zdarzali się także strasznie wredni”<sup>26</sup>. Czy taki przypadek miał na myśli Stanisław Młynarczyk, przytaczając historię brata, który trafił do baura w Zimnej koło Pisz? „Niby nie było mu źle, ale jak w czymś podpadł, to zabrali go na trzy miesiące do lagru w Rynie. Tam było takie więzienie duże i ciężkie”<sup>27</sup>. Codzienna praca i niewielkie, niskokaloryczne racje żywnościowe. Po odbyciu kary, gdy wrócił do swego gospodarza, mógł odwiedzić rodzinę na pobliskich Kurpiach. Ważył wtedy 40 kg, więc zapewne nie nadawał się do pracy. Gdy w końcu uciekł, został złapany i umieszczony w działdowskim obozie<sup>28</sup>. Nieco bardziej szczegółowy obraz zyskujemy dzięki wspomnieniom jednego z robotników, pochodzących z bardziej odległych stron, który trafił do wioski odległej o 9 km od granicy: „Przed wojną napływały stamtąd [z Kurpii – przyp. WB] znaczne ilości robotników sezonowych. W tym czasie [w latach wojny – przyp. WB] byli tu chłopcy i dziewczęta z nadgranicznych wiosek. Oni to za cichą zgodą gospodarzy przekraczali granicę w niedziele i święta, odwiedzając swoich bliskich. W poniedziałek stawiali się znów do pracy”<sup>29</sup>. Sprawa musiała się odbywać rzeczywiście w wielkiej tajemnicy, skoro autor tych słów stwierdził, że on sam dowiedział się o tym procederze znacznie później.

Inny robotnik, Kazimierz Śmigielski, zapamiętał, jak „nocą 12 kwietnia 1940 r[oku] długi skład wagonów towarowych ciągnięty przez sapiącą lokomotywę pędził w nieznaną mi dal. W wagonach tych Niemcy transportowali młodzież polską z kilku powiatów ziemi mazowieckiej na roboty przymusowe do Prus Wschodnich [...]. Wyjrzałem przez maleńkie okienko – pociąg stał na bocznicy słabo oświetlonej stacji. W pobliżu wiać było duży napis »Nidersee«, a pod nim drobniejszymi literami »Rudczany«. Po dłuższym postoju lokomotywa ciężko sapiąc pociągnęła nas dalej [...]. Wreszcie przeciągły gwizd lokomotywy i zgrzyt hamulców – stanęliśmy na stacji Johannisburg”<sup>30</sup>. Był wczesny ranek, więc gdy kolumna przymusowych robotników wysiadła z wagonów i dotarła na piski rynek, miała chwilę na odpoczynek, podczas której wybierano z tłumu najgorzej wyglądające osoby, by zrobić propagandowe zdjęcia do miejscowej prasy. W pobliskim hotelu Graf Yorck przydzielono robotników poszczególnym gospodarzom.

Na roboty przymusowe trafiła także rodzina Kazimiery Lipińskiej z Koźła. Jechali w bydlęcych wagonach, nieprzystosowanych do przewozu ludzi.

<sup>26</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>27</sup> Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>28</sup> Ibidem.

<sup>29</sup> J. Całka, *Strzępy wspomnień*, „Znad Pisy” 2000, nr 9, s. 106.

<sup>30</sup> K. Śmigielski, *Tę ziemię sobie obiecałem* [w:] *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*, op. cit., s. 333.

Po dotarciu na miejsce, tak przynajmniej zapamiętała: „Niemcy przyjeżdżali bryczkami i wybierali sobie rodziny do pracy”<sup>31</sup>. Ale, co ciekawe, w przypadku tego transportu musiała istnieć jakaś selekcja medyczna, skoro jej rodzinę wysłano z powrotem w rodzinne strony, po wcześniejszej rozmowie z lekarzem. Podobnie inna robotnica przymusowa, która trafiła w okolice Nidy, gdy na nodze zrobił jej się wrzód, otrzymała skierowanie do lekarza w Piszcu. Było to już na jesieni 1944 roku, więc data zdarzenia mogła mieć wpływ na przyzwoite potraktowanie Polki. Szpital wojskowy mieścił się wówczas w budynku Szkoły Podstawowej nr 1. Lekarz przeciął wrzód i wydał dokument, upoważniający do kilkutygodniowego urlopu zdrowotnego<sup>32</sup>.

Dlaczego w Prusach potrzebni byli robotnicy przymusowi? Z punktu widzenia niemieckich mieszkańców powiatu piskiego, gdy w czasie wojny „mężczyźni poszli do wojska, nie było komu pracować na ziemi. Sprowadzano więc przymusowych robotników – Polaków, Francuzów, Rosjan. Mieszkali u gospodarzy i pracowali”<sup>33</sup>. Jak wynika z przeprowadzonej wyżej analizy, w pamięci utrwaliły się przykłady zróżnicowanej postawy gospodarzy wobec polskich robotników. „Ja dostałem się do niezbyt przyjemnego chlebodawcy, który nazywał się Paul Schweiger. Tego samego dnia zawiózł mnie on do swojego »królestwa« we wsi Pietrzyki. Tam pracowałem do jesieni tegoż roku, potem jako nieposłuszny przekazany zostałem na posterunek żandarmerii w Piszcu, który mieścił się w ratuszu. Spędziłem tam trzy doby, pracując w ciągu dnia przy wyładunku węgla. Praca była niezwykle ciężka, bito mnie przy tym kilka razy dziennie, czasem do utraty przytomności. Przypominam sobie ostatni dzień przebyty w tej katowni. Zaniósłem wiadro węgla na salę [...]. Po wyjściu na korytarz zapaliłem sobie znalezionej peta i na chwilę zasnąłem. Zobaczył to żandarm. Pobił mnie straszliwie. Gdy odzyskałem przytomność, na kamiennej posadzce widniała duża plama krwi. Musiałem ją zmyć tak, żeby żaden ślad nie pozostał”<sup>34</sup>.

Złe traktowanie robotników przez wysokiego funkcjonariusza partyjnego nadleśniczego Herberta Opitza stało się przyczyną jego śmierci. W sierpniu 1943 roku do Turośli wkroczył polski oddział partyzancki w ramach akcji odwetowej za pacyfikację podlaskiej wsi dokonaną przez Niemców. Opitz zo-

---

<sup>31</sup> Relacja Kazimiery Lipińskiej.

<sup>32</sup> Notatki z rozmowy z Julią Strześniewską (w zbiorach Waldemara Brendy).

<sup>33</sup> Relacja Irmy Bartlick.

<sup>34</sup> K. Śmigieński, op. cit., s. 334.



stał wywołany z domu i zabity. Zginęło również kilku członków jego rodziny i mieszkańców wsi. Według relacji Army Bartlick istniał ścisły związek między jego śmiercią a sposobem, w jaki traktował robotników<sup>35</sup>.

Po tym zdarzeniu robotnicy przymusowi z Turośli zostali zebrani przez Niemców i musieli wiele godzin klęczeć w centralnym punkcie wsi z podniesionymi do góry rękami. Po kilku godzinach wszyscy Polacy zostali zabrani do obozów, zaś w pasie nadgranicznym pozostawiono robotników pochodzących z innych stron Europy, np. Francuzów.

W Prusach Wschodnich znaleźli się również jeńcy wojenni. Polscy żołnierze, którzy trafili do niemieckiej niewoli w wyniku kampanii wrześniowej 1939 roku, pędzeni byli pieszo w kierunku granicy. Ludzie po drodze dawali im, co tylko posiadali z żywności. Polscy żołnierze trafili do obozów jenieckich rozlokowanych w Prusach Wschodnich, ale wcześniej mogli przejść przez obozy przejściowe organizowane m.in. w Snopkach oraz Dłutowie-Jeżach w powiecie piskim. W późniejszym czasie obozy te zyskały inne przeznaczenie. Obóz w Snopkach przekształcił się w tzw. Wychowawczy Obóz Pracy i funkcjonował do jesieni 1944 roku. Trafił tam Jan Całka, po podjęciu próby ucieczki z gospodarstwa należącego do rodziny Trojanów<sup>36</sup>, oraz cytowany wcześniej Kazimierz Śmigieński.

Drugi z wymienionych obozów był wykorzystywany przez Niemców po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku. Na polach koło wsi Dłutowo zebrano kilkanaście tysięcy jeńców skazanych na zagładę w straszliwych warunkach zdrowotnych, higienicznych i żywnościowych. Jak zapamiętał Stanisław Młynarczyk, zgromadzonym tam ludziom Niemcy „nie dawali jeść, panował tyfus. A zmarłych wywozili za Wincentę, tam w lesie ich zakopywali. Ludzie, jak tamtędy jeździli z kontyngentem dla Niemców, to czasem co rzucili... Chleb, kilka kartofli... Niemcy zabraniali, ale kto by wytrzymał widok tych biednych ludzi?”<sup>37</sup>. Ten wątek podrzucania żywności przez ogrodzenie z drutu kolczastego przez Polaków wiozących kontyngent do punktu zbiorczego przy stacji kolejowej pojawia się także w relacji Wiesława Kałęki<sup>38</sup>.

Poza Polakami i żołnierzami sowieckimi we wspomnieniach pojawiają się informacje o obecności jeńców francuskich i włoskich. Ci ostatni obecni są

---

<sup>35</sup> Relacja Army Bartlick.

<sup>36</sup> J. Całka, op. cit., s. 107.

<sup>37</sup> Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>38</sup> Notatki z rozmowy z Wiesławem Kałką, op. cit.

w opowieści Ericha Kowalczyka, który jako dziecko zapamiętał tych ostatnich dzięki wysokim czapkom i zabawkom z drewna, które podobno rozdawali wiejskim dzieciom<sup>39</sup>.

### **Ewakuacja mieszkańców Prus Wschodnich na przełomie lat 1944 i 1945**

W 1944 roku front sowiecko-niemiecki stanął u wrót Prus Wschodnich. Już na jesieni część ludności Prus Wschodnich zyskała możliwość ewakuacji, ale chyba nie wszyscy wierzyli w rzeczywiste niebezpieczeństwo związane z zajęciem regionu przez Armię Czerwoną. Nie skorzystała z tej szansy Irma Bartlick, w przeciwieństwie np. do matki Dietmara Serafina, która wyjechała wraz z kilkumiesięcznym dzieckiem. Być może wtedy właśnie na zachód wyjechały także siostry Ericha Kowalczyka. Zapewne nie przypadkiem temat ewakuacji w 1944 roku pojawia się we wspomnieniach głównie w związku z matkami i małymi dziećmi. Właśnie te grupy zostały objęte tymi wyjazdami, prowadzonymi jednak w taki sposób, aby równocześnie nie wytwarzać atmosfery paniki. Było to zgodne z polityką władz pruskich, zwłaszcza gauleitera okręgu Ericha Kocha. W hitlerowskich Niemczech propaganda była jednym z głównych narzędzi uprawiania polityki wobec własnego społeczeństwa. Uważano, że przedwczesne decyzje ewakuacyjne mogłyby siać „defetyzm”. Podobnie było z innymi informacjami niekorzystnymi dla partyjnej władzy. Z tego powodu wprowadzono kategoryczny zakaz rozmawiania na temat akcji polskiego oddziału partyzanckiego w 1943 roku na Turośl.

Z zarządzeniem ewakuacji do ostatniej chwili władze zwlekały nawet wtedy, gdy Armia Czerwona w styczniu 1945 roku rozpoczęła już ofensywę. Dopiero 19 stycznia tegoż roku starosta piski Herbert Ziemer otrzymał od Ericha Kocha rozkaz ewakuacyjny. Jak pisał starosta: „Zgodnie z harmonogramem pierwsze kolumny ruszyły wczesnym rankiem [...]. – Zaraz za Mrągowem kolumna uciekinierów natknęła się na wojska rosyjskie, które weszły do Prus Wschodnich od strony południowej. Część kolumny padła ofiarą barbarzyństwa Rosjan, którzy przy użyciu czołgów rozjechali wszystko na miazgę. Druga część zawróciła z powrotem, zaś nieduża część ruszyła na północ, gdzie (nie wszystkim) udało się ująć przed Rosjanami po kruchym lodzie Zalewu Wiślanego”<sup>40</sup>.

Oczywiście nie wszędzie ewakuacja przebiegała sprawnie. Obraz zamieszania wyłania się np. ze wspomnień Güntera Schiwego z Krzyży, któremu jednak udało się uniknąć sowieckiego zagrożenia, pomimo późniejszego rozpoczęcia

---

<sup>39</sup> Relacja Ericha Kowalczyka.

<sup>40</sup> H Ziemer, op. cit., cz. II, „Znad Pisy” 2006, nr 15, s. 143.

ewakuacji w jego rodzinnej wsi i ucieczki funkcjonariusza partyjnego odpowiedzialnego za sprawny przebieg przedsięwzięcia<sup>41</sup>.

W jednej z tych kolumn zatrzymanych w rejonie Reszla znalazła się rodzina Ericha Kowalczyka, która przez pewien czas musiała pracować na rzecz sowieckiej komendantury wojennej w nieznanym z nazwy majątku, zanim z przygodami powróciła w rodzinne strony<sup>42</sup>. O tym, jaki los groził mieszkańcom Prus Wschodnich z ręki nadciągających Sowietów, wiedzieli zarówno oni sami, jak i Polacy. Kowalczyk wspominał, że to właśnie od polskich sąsiadów z drugiej strony granicy jego rodzice usłyszeli, co mają robić, gdy nadciągnie Armia Czerwona: „jak ruscy wejdą, to żeby snopek słomy wrzucić do pokoju, niech się tam dzieci bawią, to nam włos z głowy nie spadnie. Bo inaczej wszystkich nas pozabijają. I rodzice tak zrobili”. Z opowieści nie bardzo możemy wywnioskować, dlaczego ten właśnie sposób miał uratować życie uciekającej rodzinie. Czy chodziło o podkreślenie ubóstwa i wielodzietności uciekinierów, co uczynić ich miało mało atrakcyjnym obiektem dla potencjalnych rabusiów?

Oczywiście nie wszystkim się udawało. Opisy gwałtów, rabunków i innych przykładów bestialstwa odnajdujemy we wspomnieniach mieszkańców powiatu piskiego zebranych i opracowanych przez Gerharda Wydrę<sup>43</sup>.

Ten dramat cywilnych mieszkańców Prus Wschodnich jest obecny także wśród polskich autorów, choć o ile ktoś bezpośrednio nie był w tym czasie w Prusach obecny, raczej pozbawiony jest on szczegółowych opisów. Władysław Kaczyńska stwierdziła, że jak Niemcy „uciekali przed Rosjanami, to zostawiali wszystko”<sup>44</sup>. Z kolei Celina Kołakowska zapamiętała inny aspekt wkroczenia Armii Czerwonej: „Oni się bali, bo po wojnie, to ruskie te dziewczyny niemieckie tak gwałcili i robili z nimi, co chcieli”<sup>45</sup>.

### **Okupacja ziem polskich**

W tej części skupimy się na relacjach i wspomnieniach Polaków, podczas wojny zamieszkujących tereny okupowane przez ZSRR i Niemcy. Większość z nich to osoby pochodzące z powiatu łomżyńskiego lub kolneńskiego, a więc z terenów, które w rzeczywistości przeżyły podwójną okupację: sowiecką w latach 1939–1941 oraz niemiecką w latach 1941–1945.

---

<sup>41</sup> G. Schiwy, op. cit., s. 190–200.

<sup>42</sup> Relacja Ericha Kowalczyka.

<sup>43</sup> G. Wydra, op. cit., s. 84–106.

<sup>44</sup> Relacja Władysławy Kaczyńskiej.

<sup>45</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

**Sowieci.** W licznych relacjach występuje motyw wywózek i aresztowań dokonywanych przez sowieckich okupantów. Janusz Chmielewski przytacza opowieści o własnej rodzinie, doświadczającej aresztowań i wysiedleń. Czas powrotów nadszedł dopiero w latach 1946–1949. Szczególnie wstrząsająca wydaje się historia dziadka, który aresztowany już we wrześniu 1939 roku trafił do Archangielska, w 1943 roku wstąpił do budowanej u boku ZSRR Armii Polskiej, a po zakończeniu wojny został ponownie aresztowany i „zabrany” na wschód w celu odbycia reszty wyroku! Przy okazji Chmielewski cytuje wspomnienia innego wywiezionego do ZSRR – Kazimierza Marusy, który po wojnie trafił do powiatu piskiego. Inne były losy opowiedziane przez Sybiraczkę, która drogą przez Afrykę wróciła do Polski i na początku lat pięćdziesiątych trafiła do Drygał w powiecie piskim<sup>46</sup>. Ten motyw aresztowań i sowieckich rządów na terenach polskich w latach 1939–1941 pojawia się wielokrotnie we wspomnieniach osób z terenów północno-wschodniej Polski, można nawet powiedzieć, że jest w nich stale obecny.

Obok niego dostrzec można – prowadzony nieomal równolegle – wątek wysiedleń związanych z bliskością nowej granicy sowiecko-niemieckiej lub linii frontu ukształtowanej na okres kilku miesięcy 1944 roku. Z tych wspomnień wyłania się obraz rządów sowieckich: „Rosjanie zorganizowali u nas szkołę rosyjską i mieszkali w lesie [...], oni tam mieli swoje mieszkania, domy pobudowali, nauczycielka była rosyjska. Niby po polsku uczyła, ale więcej po rusku niż po polsku. Dzieci tam chodziły do szkoły. Jak była niedziela, nauczycielka stawiała przy [...] krzyżach przed wsią i od kościoła zawracała dzieci. A medaliki [z szyi – przyp. WB] to zrywała, wyrzucała. Obrazy w szkole wsiady to zdjęła je i utopiła w ubikacji”<sup>47</sup>. Romualda Jańczyk wspominała też, że: „za ruskich to nawet szkoła była. Organizowali różne zebrania, na które trzeba było chodzić i słuchać tych kłamstw”<sup>48</sup>.

Rosjanie w latach 1939–1941 wysiedlali ludność nie tylko w głąb ZSRR w ramach antypolskich represji, ale także ze strefy nadgranicznej. Taki los spotkał m.in. mieszkańców wsi Brzozowo<sup>49</sup> i Kozioł. Najpierw zburzyli most spinający dwa brzegi rzeki Pisy, która wyznaczała część granicznego odcinka. Gdy po „niemieckiej” stronie został gospodarz, który miał tam swoje pola uprawne, to wprawdzie pozwolili mu wrócić, ale natychmiast został aresztowany. Potem Sowieci wysiedlili mieszkańców Kozła do innej miejscowości, gdzie pozwolono im zbudować sobie domy.

---

<sup>46</sup> Relacja Jadwigi Sulewskiej.

<sup>47</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>48</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>49</sup> Notatki z rozmowy z Wiesławem Kałęką, op. cit.

Polska społeczność postrzegała okupanta nie tylko przez pryzmat stosowanych represji, ale również w kontekście określonych zachowań indywidualnych. W jednej z relacji czytamy: „A te ruskie to też niedobre łobuzy byli, złodzieje. Nic nie warte te ruskie”<sup>50</sup>. I dalej: „Z nimi jeszcze gorzej było. Bo jeszcze Niemcy to byli przynajmniej czyści”<sup>51</sup>. Autorka innej relacji wspomina z kolei: „Ludzie się bali tych ruskich, jak nie wiem co”<sup>52</sup>. Gdy w 1941 roku Rosjanie uciekali w popłochu przed Niemcami, mimo to strzelali do Polaków, którzy wdarli się do ich osiedla<sup>53</sup>.

Podczas ponownego nadejścia Armii Czerwonej w 1944 roku w pobliżu wsi, gdzie mieszkała Władysława Kaczyńska, stacjonowali sowieccy czołgiści. Jeden z nich próbował uprowadzić autorkę relacji lub jej matkę, by dokonać gwałtu. Jednak na skutek interwencji oficera puścił kobietę i zabrał inną, którą zastrzelił, gdy stawiała opór<sup>54</sup>. W tym czasie front zatrzymał się aż do stycznia 1945 roku. Ludność polska została wysiedlona ze strefy przyfrontowej. Rosjanie stacjonujący w opuszczonych gospodarstwach wszystko bezmyślnie niszczyli i palili, ale wcześniej nic z domów nie pozwolili zabrać mieszkańcom<sup>55</sup>.

Ten obraz byłby jednak niepełny, gdyby nie uwzględnić tych fragmentów wspomnień, które pokazują Sowietów w nieco innym świetle. Oficerowie stacjonujący w polskich domach w okresie tzw. pierwszego Sowietu zachowywali się przyzwoicie. Podczas wkroczenia Armii Czerwonej w 1944 roku za otrzymane od mieszkańców wsi świeże jaja potrafili odwdziżyć się wędzonymi rybami, prawdopodobnie z przydziału. Lubili tańce i muzykę<sup>56</sup>.

**Niemcy.** Gdy we wrześniu 1939 roku III Rzesza napadła na Polskę, w polskich wspomnieniach i relacjach opowiadających o tym okresie daje się zaobserwować dwie postawy – ucieczkę lub bierne oczekiwanie na rozwój wydarzeń. Często mieszkańcy pogranicza oczekujący na wkroczenie Niemców szukali analogii do ich zachowania w czasie I wojny światowej, gdy wprawdzie dokonywali oni rekwizycji, ale zachowywali się dosyć przyzwoicie. Takiemu postrzeganiu Niemców towarzyszyła jednak jakaś forma strachu, może typowego dla czasu każdej wojny,

---

<sup>50</sup> Relacja Marianny Kowalewskiej.

<sup>51</sup> Ibidem.

<sup>52</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>53</sup> Ibidem.

<sup>54</sup> Relacja Władysławy Kaczyńskiej.

<sup>55</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>56</sup> Relacja Władysławy Kaczyńskiej.

skoro w chwili rozpoczęcia działań zbrojnych w relacjach pojawiają się informacje o ucieczkach przed nadchodzącym wrogiem. Uciekali ludzie z miejscowości położonych wzdłuż granicy, ale także mieszkańcy okolic Łomży. Uciekali przedstawiciele różnych grup społecznych, wierząc, że „za Narew” Niemcy nie dojdą: „To szli ludzie pieszo i furmankami jechali... Byle tylko za Narew... A Niemcy poszli dalej. My zostaliśmy na miejscu. Bo jaki był sens uciekać?”<sup>57</sup>.

Pierwszy kontakt z armią niemiecką został zapisany w pamięci autorów relacji jako wydarzenie raczej pozbawione negatywnych skutków. Czasem był to konny patrol szukający drogi<sup>58</sup>, ale najczęściej podkreślano wysoki stopień mechanizacji armii: „Wojsko niemieckie było zmotoryzowane. To oni po tych małych wioskach, po zapadłych kątach nie szli, oni jechali prosto głównymi traktami”<sup>59</sup>. Jak zapamiętała Marianna Kowalewska, Niemcy najpierw wjechali „motorami od strony Kolna, przez Borkowo i dalej do Łomży [...]”. Jej rodzina schroniła się w piwnicy, a gdy opuściła miejsce schronienia: „patrzmy... jadą czołgi i samochody. Najpierw samochody jechały, pełno Niemców na tych samochodach. A później za tymi samochodami jechały czołgi, takie ciężary [...]. No i co, przejechali i na razie [...] w Borkowie nic ludziom nie przeszkadzali”<sup>60</sup>.

W miejscowościach położonych na wschód od linii wyznaczonej przez sowiecko-niemiecki układ z 1939 roku, jako granica między tymi dwoma państwami, Niemcy pojawili się dwukrotnie. Po raz pierwszy we wrześniu 1939 roku i ponownie po ataku III Rzeszy na ZSRR w czerwcu 1941 roku. Jak czytamy w jednej z relacji: „Kiedy Hitler napadł na tego Stalina, to Niemcy przegonili Rosjan, a ci Rosjanie szybko uciekli przed nimi, jak kto mógł [...]. Tak, że jak Niemcy przyszli, to wielka radość była, kobiety się cieszyły [...]. Później się okazało, jacy z Niemców wybawiciele byli”<sup>61</sup>. Zaczęły się wywózki na roboty przymusowe, o czym pisano wcześniej, a także aresztowania inteligencji i osób podejrzanych o współpracę z konspiracją: „Pewnego dnia Niemcy nabrali urzędników, co to w szkole pracowali, to w gminie”<sup>62</sup>. Brali też zakładników w ramach odwetu za akcje podziemia, np. brat Teresy Skrodzkiej został wywieziony do KL Stutthof, skąd już nie wrócił.

Według Reginy Alickiej Niemcy nie szanowali symboli religijnych, choć takie sformułowanie nie pada wprost, a jedynie wynika z opowieści o krzyżach

<sup>57</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>58</sup> Relacja Władysławy Kaczyńskiej.

<sup>59</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>60</sup> Relacja Marianny Kowalewskiej.

<sup>61</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>62</sup> Relacja Stanisława Młynarczyka.

w kolneńskiej szkole, które stacjonujący tam Niemcy zebrali ze ścian i wrzucili do toalety<sup>63</sup>. Niebezpieczeństwo ze strony żandarmów było tak duże, że w Rostkach koło Stawisk dzieciom, pod pozorem zabawy, nakazano obserwację drogi prowadzącej z miasteczka<sup>64</sup>.

Polakom nie pozwalano na prowadzenie samodzielnej hodowli ani uboju zwierząt gospodarskich, „tylko trzeba było wszystko zdawać”<sup>65</sup>. Bardziej szczegółowo opowiedział o tym Stanisław Młynarczyk: „Niemcy nałożyli kontyngenty na ludność. Trzeba było oddawać zboże, to ziemniaki, to jak świnia uchował gospodarz, to trzeba było go oddać, a sobie nie wolno było [...] zabić. Bo jak żandarmi jeździli i znaleźli u gospodarza jakieś mięso, to zaraz brali i do lagrów zawozili. My też ukrywaliśmy jedną krowę przed Niemcami”<sup>66</sup>. Trudno powiedzieć, czy właśnie tę krowę okupant zarekwirował w ostatnich dniach przed wkroczeniem Armii Czerwonej: „Jak się wojna zbliżała do końca, to nam Niemcy kazali ostatnią krowę do Jeży zaprowadzić”<sup>67</sup>.

Niemcy organizowali po wsiach oblawy w poszukiwaniu ukrywających się Żydów. „Co oni z nimi robili...” – zdumiewa się Celina Kołakowska<sup>68</sup>. Władysława Kaczyńska zapamiętała moment bezpośrednio poprzedzający zagładę Żydów: „Kiedyś z tatusiem pojechaliśmy do skrzyżowania drogi na Nowogród, a tu słyhać jakieś takie straszne krzyki. [...] to Niemcy Żydów z Kolna pędzili. Nikt nie domyślał się dokąd, a to na Mściwuje pędzili, żeby ich wymordować. Najpierw kobiety i dzieci, a potem pozostałych”<sup>69</sup>. Informacja o prowadzeniu kolneńskich Żydów na śmierć do rowów przeciwczołgowych wykopanych w miejscowości Mściwuje pojawiła się także w relacji Marianny Kowalewskiej, wraz z dodatkowymi szczegółami tego makabrycznego przemarszu: „A mój Boże, tak czwórkami ci Żydzi przez Borkowo szli, a Niemcy to po bokach ich pilnowali, żeby kto nie uciekł [...]. Jak ich przygnali tam do Mściwuj, do tej wsi i w te rowy... jakiś gaz puścili, bo tamci ludzie, co byli ze Mściwuj, to widzieli niektórzy. Taki gaz puścili, że oni tak się przewracali. Momentalnie. [...] I potem do tego rowu wszystkich tych Żydów powrzucali. Ale sami nie zakopywali Niemcy, tylko ze wsi zegnali wszystkich ludzi, żeby te rowy zakopać [...], jak tych Żydów zakopywali, to jeszcze aż ta ziemia tak się ruszała...

---

<sup>63</sup> Relacja Reginy Alickiej.

<sup>64</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>65</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>66</sup> Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>67</sup> Ibidem.

<sup>68</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>69</sup> Relacja Władysławy Kaczyńskiej.



Bo niektórzy jeszcze żywi byli”<sup>70</sup>. Z zagładą społeczności żydowskiej wiąże się także wspomnienie o aresztowaniu księdza z Borkowa i jego gospodyni, gdy podczas przemarszu skazanych na masowy mord Żydów w kościele zaczęły bić dzwony. W świetle relacji nie do końca można zrozumieć, czy bicie dzwonów było związane z tragedią Żydów, czy zbiegło się z nią w czasie przypadkiem<sup>71</sup>.

Zbrodni dokonywali także żołnierze formacji innych niż niemieckie, kolaborujących z III Rzeszą. Stefan Bikowski opowiada o zamordowaniu kilkudziesięciu Polaków w Gromadzinie przez współpracujące z Niemcami formacje ukraińskie<sup>72</sup>.

Najgorsi byli niemieccy żandarmi i formacje określane w niektórych relacjach jako SS. Opisywani byli w różnych relacjach. I tak, żandarmi z Łomży spotkali kobietę, którą podczas rewizji strasznie pobili<sup>73</sup>. Inni Niemcy, najpewniej żołnierze, wracając z frontu, próbowali dokonać gwałtu<sup>74</sup>. Ale „najgorsi – zdaniem wspominających – to ci od łapanek. Na roboty ludzi łapali. Jak kogoś młodego znaleźli, kto się ukrywał, to bili kijami. A my obok staliśmy i płakaliśmy”<sup>75</sup>. W innym miejscu czytamy: „Taki czarny samochód przyjeżdżał i zabierał mężczyzn”<sup>76</sup>.

Jednak w świetle relacji: „Niemcy byli niejednakowi. Jak wojsko we wsi stało, to ci żołnierze nie byli tacy źli. Miałam chorą siostrę, to lekarz wojskowy przychodził pomagać. Mówił, że takie samo dziecko w domu zostawił. Obok za płotem stała kuchnia polowa, to kazali nam po zupę przychodzić”<sup>77</sup>. Niemcy kupowali też bimber i uczciwie płacili. Wojskowi wydawali się lepsi od żandarmów<sup>78</sup>. Kiedy wojsko mieszkalo na kwaterach, „tacy raczej grzeczni byli i nie interesowali się nami specjalnie”<sup>79</sup>. We wspomnieniach podkreśla się ich dbałość o higienę osobistą, zwłaszcza w porównaniu z żołnierzami sowieckimi: „Niemcy to byli przynajmniej czyści. Jak u nas zamieszkali [...], to byli tacy eleganccy. Oni przyszli do studni [...] to i perfumy mieli i mydła różne... Ale ruskie to brudasy”<sup>80</sup>.

---

<sup>70</sup> Relacja Marianny Kowalewskiej.

<sup>71</sup> Ibidem.

<sup>72</sup> Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>73</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>74</sup> Relacja Marianny Kowalewskiej.

<sup>75</sup> Relacja Kazimierzy Lipińskiej.

<sup>76</sup> Ibidem.

<sup>77</sup> Ibidem.

<sup>78</sup> Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>79</sup> Relacja Marianny Kowalewskiej.

<sup>80</sup> Ibidem.



Jednak gdy istniała obawa, że Wehrmacht nie utrzyma frontu, i wojskowi zorganizowali zebranie, na którym zachęcano mężczyzn, aby wstąpili do armii niemieckiej, na zebranie nie poszli mężczyźni, tylko kobiety. Polacy obawiali się bowiem, co okupant zrobiłby z mężczyznami, gdyby ci się jednak nie zgłosili.

**Polska partyzantka.** W opowieściach o czasach wojennych napotykamy również wzmianki o polskiej konspiracji. Nie znajdziemy w nich jednoznacznego obrazu podziemia, co zapewne wynika z osobistych doświadczeń i stereotypów, utrwalonych przez dziesięciolecia wypaczania obrazu partyzantki w okresie tzw. Polski Ludowej. W opisach działalności konspiracji najczęściej wspominane są akcje uwalniania więźniów. Partyzanci w Budach Czarnockich zrobili zasadzkę na złego komisarza administrującego gminą Mały Płock. Uwolnili też zakładników wiezionych przez Niemców. Gdy w czerwcu 1944 roku Niemcy aresztowali Polaków na Kurpiach, oddział partyzancki uwolnił zatrzymanych podczas transportu kolejką wąskotorową z Turośli do Myszyńca<sup>81</sup>.

Jednak według niektórych relacji partyzanci również stanowili zagrożenie. Celina Kołakowska wspominała, że partyzantka powstała już podczas okupacji sowieckiej i trwała „za Niemca”. „Ale oni [partyzanci – przyp. WB] nie bardzo sprawiedliwi byli. Jak ktoś miał do kogoś złość, to wtedy mieli okazję wyżyć się. Nie wiem, chwałą tych partyzantów, ale ja pamiętam, że ludzie bali się tych partyzantów”<sup>82</sup>. Być może to stwierdzenie stanowi pokłosie działalności zwykłych grup bandyckich, które rabowały ludność pod pretekstem działalności partyzanckiej. Możliwe były także przypadki samowoli czy niesubordynacji poszczególnych „leśnych” lub nawet partyzanckich dowódców. Owo zagrożenie mogło także wynikać ze zwykłego ludzkiego strachu mieszkańców wsi przed represjami. Marianna Kowalewska wspomina przybycie partyzantów do domu szwagra, który z konspiracją współpracował. „Dał im to, co miał. Miał słoninę i jeszcze jakieś tam mięso. No i chleba im dał, ale potem powiedział, żeby sobie poszli, bo się boi”, że zginie<sup>83</sup>. Z kolei mieszkanka Kozła przytoczyła opowieść o ukrywającym się partyzancie. Gdy Niemcy pewnego dnia otoczyli wieś, mężczyzna zaczął uciekać. Zginął podczas próby przeprawy przez Piśę. W ramach represji Niemcy „chłopów ze wsi zebrali i bili ich [...] kijami. A z tej rodziny, co tam ukrywał się ten partyzant, to chyba czterech czy trzech zabrali i już żaden

---

<sup>81</sup> Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>82</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>83</sup> Relacja Marianny Kowalewskiej.

nie wrócił”<sup>84</sup>. Z kolei po wspomnianym już odbiciu więźniów transportowanych kolejką w czerwcu 1944 roku, gdy zginęli niemieccy konwojenci, „wojsko niemieckie przyjechało i wzięło ludzi chyba ze trzech czy czterech wiosek! Z naszej wioski to wzięli czterdziestu, a drugiej tam trzydziestu. Wszyscy ci ludzie nie byli nic winni, ale Niemcy uznali ich za bandziorów”<sup>85</sup>.

Temat „dobrej i złej partyzantki” pojawia się także w relacji Kazimierzy Lipińskiej. „Byli i złodzieje, przyjeżdżali do gospodarza i zabierali świniaka, czy tam co im się podobało. Ale byli i partyzanci, którzy walczyli o dobro. Mój teść był partyzantem też, miał stopień plutonowego”<sup>86</sup>.

Więcej na temat konspiracji dowiadujemy się z relacji Teresy Skrodzkiej. Znaczna część jej rodziny była zaangażowana w działalność konspiracyjną zarówno na omawianym terenie pogranicza, jak i w Warszawie. Wspomina więc akcję schwytania niemieckich oficerów, których następnie wymieniono na polskich więźniów, przebywających w więzieniu. W jej wspomnieniu obecny jest także mało znany temat przygotowań do wymarszu na pomoc powstańczej Warszawie w lecie 1944 roku<sup>87</sup>. O podziemiu wspomina także Antoni Korziński, mieszkający jednak na Kresach, gdzie powstała jedna z najgłośniejszych formacji partyzanckich w okupowanej Polsce – Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie Armii Krajowej, zapewniające ochronę ludności cywilnej, zagrożonej m.in. ze strony działalności partyzantów sowieckich. W obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej zgrupowanie ewakuowało się na zachód. Żołnierzom Armii Krajowej w tej ewakuacji towarzyszyły znaczna liczba cywilów, obawiających się gwałtów i represji po włączeniu tych ziem do ZSRR<sup>88</sup>.

W tym obrazie konspiracji, jawiącym się na tle zebranego materiału, warto zwrócić uwagę na czas powojenny. Dalekim echem sporów występujących pod koniec wojny między AK i NSZ jest bardzo uproszczone stwierdzenie jednej z autorek, że „oni między sobą walczyli”<sup>89</sup>. Z kolei Kazimiera Lipińska, której stwierdzenie o „dobrych i złych partyzantach” było przytoczone wyżej, odnośnie konspiracji powojennej zawarła nieco obszerniejszy passus, związany z powojennym udziałem teścia w organizacji podziemnej. „Ale on był bardzo dobry człowiek. Zginął później, już po wojnie. Zamęczyli go, te ubowcy. Na to wojsko, co zwalczało partyzantkę, to ludzie mówili »dekarze«. To jak dekarze wpadli, to wszystko

---

<sup>84</sup> Relacja Kazimierzy Lipińskiej.

<sup>85</sup> Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>86</sup> Relacja Kazimierzy Lipińskiej.

<sup>87</sup> Relacja Teresy Skrodzkiej.

<sup>88</sup> Relacja Antoniego Korzińskiego.

<sup>89</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

niszczyli, zabierali, szukali nie wiadomo czego. Później tylko słyszałam z opowieści od [...] męża, że miał czternaście lat, jak te dekarze, to wojsko, przyszło szukać jego ojca. To podobnież tak zleli tego mojego męża, że jak uciekł gdzieś na łąki, w siano, to chyba ze trzy dni siedział w tym sanie i nie chciał wyjść”<sup>90</sup>.

Ten okres konspiracji powojennej, wraz z komunistycznymi represjami, został wyeksponowany we wspomnieniu Teresy Skrodzkiej. Poznajemy tam dowódców partyzanckich działających na pograniczu, akcje, ale także metody infiltracji stosowane przez aparat bezpieczeństwa w Pieszku wobec rodzin osób związanych z oporem antykomunistycznym. Nakłada się na to ciekawy opis procesu sądowego i okoliczności, które towarzyszyły wykonaniu egzekucji na bracie autorki, Kazimierzu Lenkiewicz. Widzimy w tej relacji autentycznych ludzi, pełnokrwistych, piszących wiersze, czasem zagubionych, ale jednocześnie podejmujących świadome decyzje.

### Po roku 1945

Przez wspomnienie konspiracji doszliśmy do obrazu czasów powojennych, który można zrekonstruować na podstawie zebranych relacji. W wyniku zmian politycznych wywołanych przez II wojnę światową, Prusy Wschodnie zostały podzielone między ZSRR i Polskę. Na częściowo opustoszałe tereny, zdewastowane działaniami wojennymi bądź kilkumiesięczną gospodarką rabunkową prowadzoną przez komendantury wojenne Armii Czerwonej zaczęli napływać polscy urzędnicy, których zadaniem było budowanie nowej administracji. Przybywali też osadnicy szukający na tzw. Ziemiach Odzyskanych swego nowego miejsca. Pojawiali się uciekinierzy usiłujący zgubić własną przeszłość związaną z działalnością w konspiracji, za którą byli represjonowani przez komunistyczny aparat władzy. To wszystko musiało zrodzić nową sytuację dla dotychczasowych mieszkańców ziemi piskiej.

**Ludność autochtoniczna.** Z osób zamieszkujących Mazury przed 1945 rokiem tylko część zdołała ująć przed nadciągającą Armią Czerwoną. Ich los znajduje odzwierciedlenie we wspomnieniach Dietmara Serafina i Irmy Bartlick. Rodzina Serafina, zdekompletowana w wyniku bezpośrednich działań wojennych (ojciec, służący w niemieckiej marynarce wojennej, trafił do angielskiej niewoli), nigdy już się nie zjednoczyła. Matka w latach 1944–1947

---

<sup>90</sup> Relacja Kazimiery Lipińskiej.

przebywała w Berlinie, ale wraz z synem postanowiła wrócić do swych rodziców w powiecie nidzickim. Tam poznała pracownika Lasów Państwowych, z którym związała swoje życie i wraz z nim zamieszkała w okolicach Pizsa. Autor relacji, wywodzący się z mazurskiej rodziny, rozmiłowany w lesie i przyrodzie, pozostał na Mazurach. Jego opowieść to historia wręcz typowego człowieka pogranicza, o polsko-niemieckich korzeniach. Do Niemiec zaczął wyjeżdżać w poszukiwaniu krótkotrwałej pracy dopiero w latach siedemdziesiątych. Wtedy też po raz pierwszy spotkał się z ojcem<sup>91</sup>.

Irma Bartlick, wraz z odnalezionym po wojnie mężem, wróciła na Mazury pod koniec lat czterdziestych. Jej rodzina wrosła w lokalną społeczność wsi Wejsuny, ale gdy nieco ponad trzydzieści lat później pojawiła się możliwość wyjazdu na stałe do RFN, skorzystała z niej, nie zrywając jednak więzów z ziemią piską<sup>92</sup>.

Odmienny los spotkał Ericha Kowalczyka. Był dzieckiem, gdy kończyła się wojna. Rodzice, powróciwszy wiosną 1945 roku z kilkumiesięcznej tułaczki na trasie Zdunowo–Reszel–Hejdyk, nie odzyskali już własnego domu. Zamieszkali więc w pobliskiej wsi. Erich uczył się pisać po polsku, odsłużył wojsko, znalazł pracę. Ożenił się z Polką, ale żył w otoczeniu mazurskiej rodziny, która z upływem lat zaczęła się wykruszać. Dwie siostry trafiły do Niemiec jeszcze w 1944 roku, brat i matka w latach późniejszych. Ojciec i pozostali bracia zmarli w Hejdyku, Olsztynie lub Turośli. On sam jeździł do pracy w RFN<sup>93</sup>. Wydaje się charakterystyczne, że pewien model mazurskiego/niemieckiego losu, który da się odczytać w tych trzech życiorysach, jest obecny również w opowieściach polskich osadników, którzy zaczęli tu przybywać począwszy od 1945 roku, na temat ich mazurskich (niemieckich?) znajomych czy sąsiadów.

Kazimiera Lipińska w latach pięćdziesiątych podjęła pracę w fabryce sklejek w Pizsu. „Razem ze mną pracowali Mazurzy [...]. Początkowo oni zostali, ale później wyjeżdżali do Niemiec. [...] Mieli taki łamany język, ale mówili po polsku. Zdarzali się wśród nich tacy, co skarżyli się, że to ich ziemię się zabrało, że się przyszło na ich ziemię. Niektórzy mieli pretensję, że zajmuje się ponemieckie domy. Ale ci, których znałam, to może i tak źle myśleli, ale tak naprawdę nie było tak źle. Sporo przecież mieszanych małżeństw było po wojnie. Czasami to się słyszało język niemiecki na ulicy”<sup>94</sup>. Na odmienną językową zwrócił także uwagę Stefan Bikowski. „Jak szli ulicą i rozmawiali po

---

<sup>91</sup> Relacja Dietmara Serafina.

<sup>92</sup> Relacja Irmy Bartlick.

<sup>93</sup> Relacja Ericha Kowalczyka.

<sup>94</sup> Relacja Kazimiery Lipińskiej.

niemiecku – człowiek wtedy nie był tego zwyczajny – to często się oglądałem, gdy słyszałem obcy język”<sup>95</sup>. Jednak w zapisach rozmów odnaleźć można także inne spostrzeżenia z pięćdziesiątych: „Jak po wojnie przyjechałam do Pizy, to niewielu mówiło po niemiecku. Oni starali się nie mówić w ogóle po niemiecku. Oni się tak wystrzegali, bali się po prostu”<sup>96</sup>.

Obecność ludności autochtonicznej była w powojennym Pizzu czymś naturalnym. „Ze mną pracowało dużo Mazurów, których uważano za bardzo dobrych fachowców [...]. Jak się z nimi pracowało, to nie pamiętam, żeby były jakieś podziały, że »my Polacy a wy Niemcy«. Może inaczej zaraz po wojnie było, bo to różne rzeczy się wtedy działy? [...] W latach siedemdziesiątych zaczęło się to masowe wyjeżdżanie do Niemiec. Mówili, że do siebie jadą, dlatego zostawiali za bezcen wszystko”<sup>97</sup>.

Przyczyny wyjazdów interpretowano też w podobny sposób: „Mazurzy wyjeżdżali stąd z własnej woli, bo im lepiej było w Niemczech niż tu w Polsce”<sup>98</sup>, „Mazurzy... oni kto mógł, to uciekał... A niektórzy Mazurzy to na przykład się przyznawali, że są Polakami”. Ale musiały to być różne sytuacje. „Bo wszyscy jak dobrze – to dobrze, ale w złości każdy potrafi coś takiego powiedzieć »Ty Niemro!«”<sup>99</sup>.

W relacjach polskich mieszkańców Pizy dość często pojawia się wątek trudności aklimatyzacyjnych, na jakie mieli się podobno natykać wyjeżdżający do Niemiec. Czy powodem był specyficzny język niemiecki, którym się posługiwali starsi (podobno młodszym było łatwiej<sup>100</sup>), czy odmienne obyczaje? A może pomimo dobrobytu panującego na zachodzie nie odpowiadało wyjeżdżającym nowe otoczenie?<sup>101</sup> Warto by skonfrontować owo przekonanie o trudnościach wyjeżdżających, panujące wśród polskich mieszkańców Pizy, z bezpośrednimi świadectwami wyjeżdżających.

**Przyjazdy.** Różne były przyczyny przyjazdów na Mazury. O niektórych wspomniano wyżej. Wśród powodów przybywania na Ziemie Odzyskane, ale bez początkowego zamiaru stałego osiedlenia, było poszukiwanie mienia poniemieckiego. Stanisław Młynarczyk zapamiętał, że jak Prusy Wschodnie zajęła

---

<sup>95</sup> Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>96</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>97</sup> Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>98</sup> Relacja Kazimiery Lipińskiej.

<sup>99</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>100</sup> Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>101</sup> Relacja Celiny Kołakowskiej.

w 1945 roku Armia Czerwona, to „Polacy mieszkający blisko granicy do Prus jeździli szabrować wszystko. Bo jak po drugiej stronie granicy Niemcy uciekli, to nie było nikogo w ich domach [...]. To ludzie zabrali i wozili do domu to, co zostało. Brat krowę przyprowadził z Niemiec [wcześniej Niemcy zarekwirowali rodzinie Młynarczyka krowy – przyp. WB]. Jeździliśmy też po maszyny rolnicze – kopaczkę, młockarnię, młynek do mielenia ziarna. A później niektórzy nawet domy drewniane, opuszczone przez mieszkańców [...] rozbierali i przywozili do Polski. Bo w Polsce ludzie po wojnie biedowali”<sup>102</sup>. Relacja Młynarczyka odsłania pośrednio przyczyny szabru – nieobecność gospodarzy, bieda panująca na Kurpiach spowodowana wojną, wcześniejsze niemieckie rekwizycje. On sam przyjechał do Pisza w 1947 roku uczyć się na krawca. Uczył się u Witolda Rydzewskiego, pochodzącego z okolic Szczuczyna, co miał swój warsztat we własnym mieszkaniu przy ulicy Wojska Polskiego, przy samym wjeździe na most. Aby się uczyć, przyjechała też Celina Kołakowska<sup>103</sup>, która podjęła naukę w piskim liceum, podobnie jak Antoni Korziński<sup>104</sup>. W ich opowieściach, podobnie jak u Janusza Chmielewskiego<sup>105</sup> czy Teresy Skrodzkiej<sup>106</sup>, często pojawiają się nazwiska nauczycieli, z których wielu to autentyczni pionierzy piskiej oświaty.

Na Mazury przybywali osadnicy w poszukiwaniu wolnych gospodarstw. Ale przyciągała ich także rozwijająca się piska fabryka sklejki, tartaki i inne zakłady. Jak zapamiętała Kazimiera Lipińska, początkowo do pracy w piskiej Sklejce ona i wiele innych osób było dowożonych z Kurpi samochodem fabrycznym. Potem pracownicy dostawali mieszkania w hotelu robotniczym lub szukali stałego lokum na własną rękę. Przez wiele lat wynajmowała pokoje w domach ponemieckich<sup>107</sup>. O codziennym zbieraniu samochodem robotników z terenów Kurpi opowiadał w swej relacji także K.G., pracownik fabryki od 1948 roku. Zakład przez wiele lat borykał się z trudnościami kadrowymi, które wieloletni dyrektor Mieczysław Szlachetko próbował przełamać, zachęcając stałych pracowników do pozostania prowadzoną polityką mieszkaniową<sup>108</sup>.

To dowożenie do pracy w mieście ciągnęło się jeszcze w latach siedemdziesiątych, o czym opowiadał Wiesław Pietraszewski, pracujący w piskim budownictwie<sup>109</sup>.

---

<sup>102</sup>Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>103</sup>Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>104</sup>Relacja Antoniego Korzińskiego.

<sup>105</sup>Relacja Janusza Chmielewskiego.

<sup>106</sup>Relacja Teresy Skrodzkiej.

<sup>107</sup>Relacja Kazimiery Lipińskiej.

<sup>108</sup>Relacja K.G.

<sup>109</sup>Relacja Wiesława Pietraszewskiego.

Skąd przybywali nowi mieszkańcy? Według Romualdy Jańczyk „miejscowi wyjeżdżali, a przyjeżdżali Polacy. W większości z Kolna i z Kurpi. Całymi wioskami się tu osiedlali po wojnie”. W początku lat sześćdziesiątych do Pisu sprowadził się też Wiesław Pietraszewski. Opowiada on o prowadzonych przez firmę licznych inwestycjach w Piszcu i dalekim nawet regionie. Ale najbardziej symptomatyczne dla zmian, które w tym czasie zachodziły w Piszcu, oraz dla identyfikacji pochodzenia przynajmniej znaczącej części powojennych osadników, jest następujący fragment jego opowieści: „zacząłem się zastanawiać, czy pracując przez kilka lat z kolegami z Kurpi, tak się nauczyłem mówić ich gwara, że we mnie już rozpoznawali swojego?”<sup>110</sup>. Oczywiście ten kierunek imigracji nie był jedyny. Tadeusz Pardej<sup>111</sup> opublikował przed laty wspomnienia, które zatytułował *Z utraconej ziemi*, opowiadając o tym, jak wyglądała aklimatyzacja uchodźcy z Kresów Wschodnich w Piszcu.

**Wygląd miasta.** Miasto w 1945 roku było strasznie zniszczone. Zdemonstrowane tory kolejowe. Stanisław Młynarczyk wspominał, że jeszcze w 1947 roku most przez rzekę był zniszczony, a Piśę pokonywało się po drewnianej, prowizorycznej konstrukcji. Przy wjeździe na most stał stary dom, w którym był warsztat krawiecki w prywatnym mieszkaniu. Gdy później most został odbudowany, to usypano wysoki podjazd i w pozostawionym niżej domu „tylko pół okien było widać”<sup>112</sup>.

Kazimiera Lipińska zamieszkała w Piszcu około 1951 roku. Jak wspomina: „Wszędzie w Piszcu mnóstwo gruzów było”. W pamięci zapisała się jej piekarnia koło mostu i stara poczta przy ulicy Kościuszki – nieistniejący już dziś budynek z czerwonej cegły<sup>113</sup>. Według Młynarczyka „stara poczta” stała przy samej jezdni<sup>114</sup>. Vis a vis Szkoły Podstawowej nr 1 istniały jeszcze ponemieckie domki (których połowę stanowiła część mieszkalna, połowę chlewek, „ładny ogród” i szopka).

Gdy Stefan Bikowski po raz pierwszy przyjechał do Pisu w 1954 roku, miasto nadal było w znacznej części zniszczone. W pobliżu ponemieckiego szpitala zarządzanego przez wojsko znajdowała się siedziba Powiatowego Urzędu

---

<sup>110</sup>Ibidem.

<sup>111</sup>T. Pardej, *Z utraconej ziemi* [w:] *Jest takie miejsce. Ziemia piska we wspomnieniach i poezji*, Suwałki 1998.

<sup>112</sup>Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>113</sup>Relacja Kazimiery Lipińskiej.

<sup>114</sup>Relacja Stanisława Młynarczyka.



Bezpieczeństwa Publicznego oraz domy mieszkalne, użytkowane przez lekarzy wojskowych, funkcjonariuszy UB oraz urzędników. Naprzeciwko PUBP rozciągały się ogrody należące do szpitala. Przed szkołą, tzw. Jedyką, stał magazyn lodu. Na ulicy Rybackiej stare ponemieckie domy. Zapamiętał także piekarnię, prowadzoną początkowo przez Wojdełkę, nad którą unosił się zapach świeżego pieczywa<sup>115</sup>.

Na piskim rynku, dzisiejszy plac Daszyńskiego, dwa razy w tygodniu odbywały się targi, na które przyjeżdżali chłopcy nie tylko z okolicy, ale także z powiatu Kolno. Przywożono też zboże do młyna, który stał nad rzeką, gdzie potem powstała Odbudowa Mazurska, a dzisiaj znajduje się hotel Nad Pisą<sup>116</sup>.

W wielu wspomnieniach odnajdujemy informacje, że szpital dla mieszkańców, apteka i przychodnia znajdowały się przy ulicy Słowackiego, potem aptekę przeniesiono na ulicę Lipową. Weterynaria była zlokalizowana w pobliżu dzisiejszego Zespołu Szkół Zawodowych. Tam, gdzie obecnie znajduje się bank PKO, stały niegdyś piętrowe domy mieszkalne. Obecne Gimnazjum nr 1, pobudowane w latach sześćdziesiątych jako szkoła „tysiąclatka”, jest usytuowane na miejscu dawnego tartaku<sup>117</sup>. Z relacji K.G. poznajemy inwestycje fabryczne związane zarówno ze sferą produkcyjną, jak i mieszkaniową. Z kolei opowieść Wiesława Pietraszewskiego przypomina o inwestycjach podejmowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

**Rozrywki.** W zebranych materiale wspomnieniowym możemy odnaleźć wiele informacji na temat rozrywek. Na wsiach były to spotkania z muzyką i opowieściami wioskowych „gadaczy”. Wiele informacji dotyczy świąt i wesel, skromnych w związku z powojenną biedą i życiem na dorobku. Ale pojawiają się także inne przekazy. Według wspomnień Kazimierzy Lipińskiej dla przyjeżdżających do piskiej fabryki sklejk pracowników wielką atrakcją było kino. Jeśli chciała film obejrzeć, to zatrzymywała się u koleżanki i już nie wracała na noc do Kozła<sup>118</sup>. Chodziły też razem do Muszli przy ulicy Leśnej, gdzie można było potańczyć. Potańcówki odbywały się we wspomnianej Jubilatce, gdzie znajdowała się sala restauracyjna i bar piwny. W latach siedemdziesiątych uruchomiono kawiarnio-restaurację Myśliwska.

---

<sup>115</sup>Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>116</sup>Relacja Stanisława Młynarczyka.

<sup>117</sup>Ibidem.

<sup>118</sup>Relacja Kazimierzy Lipińskiej.



W piskiej codzienności obecne były także inne rozrywki. Powstała orkiestra i drużyna piłkarska, następnie Klub Sportowy Mazur, o którym wspomina Romualda Jańczyk<sup>119</sup>. Piękna przyroda i bliskość wód budziły zainteresowania żeglarskie i wędkarskie. W opowieściach Dietmara Serafina i Ludwika Śliwki poczesne miejsce zajmuje myślistwo, uprawiane w lasach Puszczy Piskiej.

**Stosunek do komunizmu.** Osobnym tematem, który można przeanalizować w kontekście zebranych wspomnień, jest stosunek autorów do komunizmu. Celina Kołakowska stwierdza w swej relacji: „ja na komunę nie narzekam, dlatego że byłam młoda”. Ale jednocześnie bardzo negatywnie ocenia działalność Związku Młodzieży Polskiej na terenie liceum: „ci zetempowcy to prawdziwe diabły były. Pozapisywali się w każdej klasie. ZMP rządziło szkołą, nawet dyrektorem rządziło [...]. Jak walczyli z kułakami, to robili tak, żeby dzieci chłopów nie dostały jeść na stołówce”<sup>120</sup>. Doskwierała jej też konieczność godzenia się ze szkolnym przedstawianiem historii najnowszej, które kłóciło się z jej własną obserwacją świata.

Również Janusz Chmielewski wspomina dysonans poznawczy, gdy w szkole musiał konfrontować zakłamanie na lekcjach historii na temat II wojny światowej z rodzinnymi doświadczeniami wyniesionymi z łagrów. Dopiero upadek komunizmu otworzył możliwości uzewnętrznienia tych doświadczeń, choćby przez zaangażowanie jego matki w odtwarzanie lokalnych struktur Związku Sybiraków.

Komunizm obfitował w celebry określonych świąt państwowych. Najbardziej utkwił w ludzkiej pamięci sposób, w jaki czczono Święto Pracy. „Obchody 1 Maja to były zawsze na stadionie. Schodzili się wszyscy, później była taka tam odprawa, a później maszerowali wszyscy ulicą Klementowskiego, przedtem nazywała się ulicą Żymierskiego. I później ulicą Kościuszki i szli przez most aż na ulicę Targową, tam się kończyła cała impreza. A [...] na placu Daszyńskiego była taka trybuna postawiona i tam władze stały i odbierały ten przemarsz. Bo tam wszyscy, cały Pisz przechodził, to i szkoły były, i nadleśnictwa, bo [...] wszystkie przedsiębiorstwa musiały świętować”<sup>121</sup>.

W wielu opowieściach opisane jest zachowanie bezpieczeństwa. Z opowieści właścicielki wynajmowanego mieszkania Stefan Bikowski poznał historię jej

---

<sup>119</sup>Relacja Romualdy Jańczyk.

<sup>120</sup>Relacja Celiny Kołakowskiej.

<sup>121</sup>Relacja Stanisława Młynarczyka.

pierwszego męża, Józefa Zaborowskiego, w latach czterdziestych represjonowanego przez Urząd Bezpieczeństwa, który miał swoją siedzibę przy obecnej ulicy Klementowskiego. Milicja znajdowała się w budynku narożnym u zbiegu ulic Rybackiej i 1 Maja. W 1958 roku został oddany do użytku obiekt przy ówczesnej ulicy Buczka (dziś ulica Armii Krajowej), gdzie przeniesiono Komendę Powiatową MO i włączoną do milicyjnych struktur Służbę Bezpieczeństwa<sup>122</sup>.

Pracownicy fabryki sklejki tak zapamiętali działalność aparatu represji w fabryce: „UB też gnębiło tych ludzi. W fabryce też myśmy się bali, że maszyna się zepsuła czy co. Bo zaraz UB przychodziło, zaraz wywiad był, a dlaczego, a po co, że to się zrobiło sabotaż. Mieli zawsze pretensję”<sup>123</sup>. Obecność bezpieczeństwa w fabryce dosyć szczegółowo odnotował też K.G. O represjach i często zakulisowych próbach wpływania na los „niewygodnego” obywatela można dowiedzieć się z relacji Teresy Skrodzkiej. Podobny wątek widoczny jest także we wspomnieniach Janusza Chmielewskiego. Gdy ten ostatni zdecydował się pójść za głosem powołania i przyjąć stan duchowny, również wobec niego stosowano zabiegi operacyjne zmierzające do werbunku<sup>124</sup>.

Na podstawie wspomnień poznajemy też stosunek do rządzącej PZPR. Ludwik Śliwka podkreślał w swej relacji, że przez pięć lat udało mu się pracować na stanowisku nadleśniczego bez równoczesnego akcesu do tej organizacji<sup>125</sup>. Potem, dzięki umiejętnemu postępowaniu, wiele można było przez PZPR „załatwić”. Z kolei dzięki Stefanowi Bikowskiemu poznajemy ciekawy wątek związany z działalnością PZPR w Zakładzie Silikatów w Piszcu, gdzie do zwiększenia liczebności partii doszło na wyraźne żądanie zwierzchników, adresowane do kierownika zakładu Bolesława Ligiejki, który nawet opłacał składki za innych członków<sup>126</sup>. O nasyceniu fabryki sklejki członkami PZPR opowiadał natomiast K.G., który jednocześnie przytoczył nieco informacji o nastrojach panujących w zakładzie po narodzinach Solidarności<sup>127</sup>. O represjach czasu stanu wojennego wiele dowiadujemy się z relacji Wiesława Pietraszewskiego, internowanego na kilka miesięcy w 1982 roku<sup>128</sup>.

---

<sup>122</sup>Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>123</sup>Relacja Kazimierzy Lipińskiej.

<sup>124</sup>Relacja Janusza Chmielewskiego.

<sup>125</sup>Relacja Ludwika Śliwki.

<sup>126</sup>Relacja Stefana Bikowskiego.

<sup>127</sup>Relacja K.G.

<sup>128</sup>Relacja Wiesława Pietraszewskiego.

## Podsumowanie

Analiza wykorzystanych wspomnień i relacji została przeprowadzona przez wyodrębnienie kilkunastu wątków, występujących w dostępnym materiale. Oczywiście wybór dokonany i zaprezentowany w niniejszym artykule jest jak najbardziej subiektywny i wynika z zainteresowań niżej podpisanego. Z pewnością możliwe byłoby zinterpretowanie „historii zapamiętanej” przez mieszkańców ziemi piskiej z odmiennej perspektywy i pod zupełnie innym kątem.

A jednak dzięki bliższemu przyjrzeniu się relacjom i wspomnieniom zebranych podczas realizacji projektu zyskaliśmy szansę na odtworzenie obrazu historii pogranicza w XX wieku, rozumianego nie tylko jako pogranicze między Polską a Prusami Wschodnimi, ale także jako pogranicze wojny i pokoju, pogranicze między okresami zapisanymi w naszej historii jako Polska Rzeczpospolita Ludowa i III Rzeczpospolita. I jeśli nawet udostępniony w ten sposób materiał nie wyczerpuje możliwości interpretacyjnych, jakie daje pamięć naszych współmieszkańców, to niech przynajmniej będzie bodźcem do kolejnych prób dokumentowania „historii zapamiętanej”.

Waldemar Brenda



*Ziemia piska  
na dawnych fotografiach*

---



# Orzysz międzywojenny

---



Dworzec w Orzyszu



Hotel w Orzyszu z widocznymi śladami zniszczeń po I wojnie światowej



Kanał orzyski wybudowany w 1865 r.



Koszary w Orzyszu po przebudowie w 1935 r.



Niemieccy żołnierze w Orzyszu podczas ćwiczeń





Ulica Bronsartstrasse i poczta w Orzyszu



Orzyski rynek z widocznym hotelem i kościołem ewangelickim

# Pisz międzywojenny

---



Bank Kredytowy w Piesz (elewacja z lat trzydziestych)



Hotel Graf Yorck odbudowany po zniszczeniach I wojny światowej



Most kolejowy w Pisz



Fragment rzeki Pisy

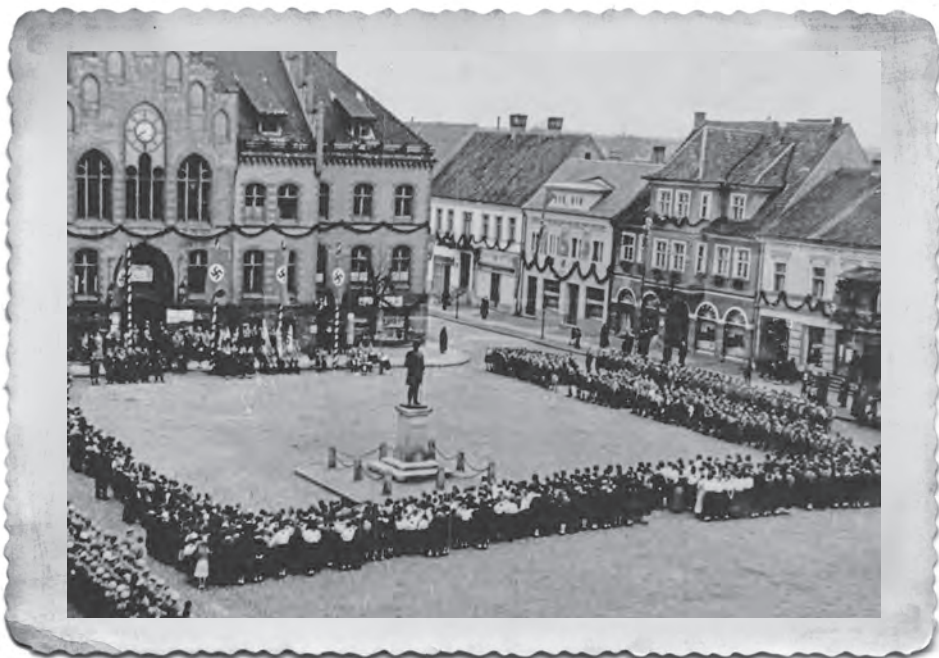


Fragment zabudowy rynku w Pisz



# Objęcie władzy przez NSDAP

---



Wiec na piskim rynku



Uroczystości nazistowskie na piskim rynku



Obóz Służby Pracy Rzeszy w Pisz za fabryką sklejk. Baraki były wykorzystywane także po wojnie przez Junaków



Wiec nazistowski w Pisz



Uroczystości 1 Maja w mazurskiej szkole (1938 r.). Wśród zaproszonych gości znaleźli się przedstawiciele NSDAP



Przemarsz wojsk niemieckich przez Pisz przed atakiem na Polskę  
(sierpień 1939 r.)



Niemieccy żołnierze przed inwazją na Polskę



Żołnierze niemieccy na rynku w Pisz (sierpień 1939 r.)



# Jeńcy wojenni (1939–1945)

---



Jeńcy francuscy w czasie II wojny światowej



Jeńcy francuscy w Babrostach w czasie wojny



Jeńcy francuscy pilnowani przez niemieckiego podoficera



Dramat radzieckich jeńców w Dłutowie



Niemieccy strażnicy obozu w Dłutowie po służbie



Niemiecki strażnik przed barakiem dla ochrony obozu w Dłutowie



Strażnicy niemieccy z obozu w Dłutowie na tle kolejki wąskotorowej



Einsatzort: Herrnhutal			
belegt mit 20 Sowruss. Kgf.			
Nr.	Wohnort	Vorname	Beruf
1. 18465	Wolakiłow	Iwan	
2. 18435	Karpentowka	Wassili	
3. 18466	Kietilow	Jekow	
4. 30149	Perewoschikow	Simon	
5. 18435	Sokanow	Iwan	
6. 18645	Naschom	Ilarion	
7. 18221	Chonin	Piotr	
8. 10319	Charkamow	Feodor	
9. 18467	Kamkow	Wassili	
10. 18487	Bulischow	Ilarion	
18. 1. angekommen			

Wykaz jeńców radzieckich skierowanych do pracy w Piskorzewie

Johannisburg, den 12.3.1942.

Gesch.-Z.: Kb./42 - III E 10 -

An die Lagerführer von Sowjetsgefangenen

Betr.: Sowjetsgefangene.

Gemäß E-1aß des Herrn Reichsministers für Ernährung und Landwirtschaft vom 28.2.42 ist eine Zulage bis zum 5.4.42 von 50 gr. Fett und 375 gr. Roggenschrot pro Mann und Woche bewilligt.

Anliegend erhalten Sie die Berechtigungsscheine für diese Zulagen zu Ihrer Bedienung.

Anlagen.

Heil Hitler!

I.A.

*Hermanns*

Pismo określające racje żywnościowe dla jeńców radzieckich

Arbeitstage der Kriegsgefangenen Russen.  
Monat September. 1942

Marie Joswig Tannenheim	2 Tage	280	Marie Joswig	280
Fritz Dudda	2 Tage	1120	Fritz Dudda	1120
Gustav Jegodka	8 Tage	1120	Gustav Jegodka	1120
Johann Wielgos	1 Tag	560	Johann Wielgos	560
Max Dudda	4 Tage	140	Max Dudda	140
Wilh. Palussek	1 Tag	420	Wilh. Palussek	420
Franz Dzewas Kullik	3 Tage	420	Franz Dzewas Kullik	420
Wilhelm Sobottka Hirschwalde	4 Tage	420	Wilhelm Sobottka Hirschwalde	420
Max Jablonski	3 Tage	420	Max Jablonski	420
Samuel Pinkos Oppendorf	6 Tage	840	Samuel Pinkos Oppendorf	840
Ida Gurba Grünheide	2 Tage	280	Ida Gurba Grünheide	280
Ida Radeck Grünheide	2 Tage	280	Ida Radeck Grünheide	280
Richard Joswig Grünheide	2 Tage	280	Richard Joswig Grünheide	280
Friedrich Hombell	7 "	980	Friedrich Hombell	980
" Hombell	4 "	560	" Hombell	560
Wojciechowski	3 "	420	Wojciechowski	420
Otto Prof. Hoffmann	7 "	980	Otto Prof. Hoffmann	980

Aug 61. 8540. R.M.

61X  
140  
2440  
61  
8540

17616  
8535  
26151  
8540  
17611  
16100  
16111

Ally. Kudde 16  
Ally. Kudde 14  
Palussek 14  
Friedrich 20

1308  
208  
3388  
756  
36  
416

136  
320  
150  
3486

6400  
2135  
8535

524. 24/11

Wykaz dniówek dla jeńców radzieckich za wrzesień 1942 r.

## Dawni mieszkańcy Orzysza (lata czterdzieste)

---



Hella Kloss z bratem Adolfem i jego przyjaciółmi (7 kwietnia 1944 r.)



Adolf Kloss w kwietniu 1941 r. (obecne Osiedle Robotnicze w Orzyszu)



Adolf Kloss w lecie 1942 r.





Klara Kloss na tle domów (obecne Osiedle Robotnicze) w Orzyszu



Hella Kloss (1943/1944 r.)



Przedszkolaki z Orzysza w 1940 r. z opiekunką grupy – Friedel Bausmer

# Zniszczenia wojenne i powojenna odbudowa

---



Zniszczony budynek przy ul. Gdańskiej w Pieszce



Odbudowa budynku przy ul. Gdańskiej



Odgruzowywanie Pisu (lata czterdzieste)



Uprzątnięcie gruzów w Pisu



Usuwanie skutków wojny w Pisz (lata czterdzieste)



Usuwanie zniszczeń wojennych w Pisz



Zburzony budynek w Pisz





Zniszczenia wojenne w Pisz



Lokalni „oficje” na zniszczonym rynku w Pisz. W środku starosta Edmund Rutkowski, w mundurze prawdopodobnie szef PUBP, obok (po lewej) przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej Stanisław Grzeszczak



Zniszczony Urząd Powiatowy w Pisz



Kościół w Pisz obok zniszczonej plebanii



Pochód pierwszomajowy na tle zniszczonego miasta



Ulica Rybacka w Pieszce. Na domach widoczne ślady pocisków broni maszynowej



Przywracanie do użytku budynku przy ul. Wojska Polskiego w Pisz  
(lata czterdzieste)



# Stary Pisz zachowany jeszcze w latach powojennych

---



Tak zwany Biały Dom w Pisz. W okresie PRL przez wiele lat mieściła się tam siedziba biblioteki miejskiej oraz władz PZPR i organizacji młodzieżowych



Budynek przy ul. Mickiewicza będący pozostałością po dawnej zabudowie kolejowej (stan z 2013 r.)



Budynki przy ul. Słowackiego w Pieszce. Po wojnie mieścił się w nich szpital



Powojenne zdjęcie kamienia plebiscytowego w Pieszce, ustawionego przez Niemców w parku nad rzeką na pamiątkę plebiscytu z 1920 r. W początkach lat sześćdziesiątych wysadzony przez saperów



Rynek w Pisz z widocznymi nieotynkowanymi budynkami (koniec lat pięćdziesiątych)



Rynek w Pisz po 1964 r. Na pierwszym planie gazon kwiatów układających się w pięcioramienną gwiazdę, w centrum widoczny Pomnik Dwudziestolecia PRL, za nim widoczna bryła Domu Kultury



Stara poczta przy ul. Kościuszki w Pisz. Obecnie budynek nie istnieje





Zabytkowa chałupa z XIX w. przy ul. Rybackiej w Pisz. Kilka lat po zrobieniu tego zdjęcia budynek spłonął



Kładka drewniana przez Piśę. W perspektywie budynki u zbiegu ul. 1 Maja (obecnie rozebrany i zastąpiony innym) i ul. Rybackiej (przebudowany po pożarze)





Hotel Nad Pisą w latach siedemdziesiątych

# Komunistyczne świętowanie

---



Wicewojewoda Olsztyński Bogdan Wilamowski  
z wizytą w Pisz w 1947 r.



Pracownice Starostwa Powiatowego w Pisz ze starostą Edmundem Rutkowskim (1946 r.)



Manifestacja 1 maja 1947 r.



Święto 1 Maja na rynku w Pieszce



Uczestnicy pochodu z okazji 1 Maja





Uczennice Gimnazjum Ogólnokształcącego w Pieszce (1948 r.). Na pierwszym planie członkini Związku Młodzieży Polskiej



Młodzież podczas uroczystości państwowych



Uroczystości 1 Maja w Drygale



Święto 1 Maja w Białej Piskiej (1954 r)



Zbiórka uczestników przed pochodem z okazji 1 Maja



Wyścig kolarski w Pisz (przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych)



Drużyna piłkarska w 1949 r.



Transport powojenny (lata pięćdziesiąte). Na pierwszym planie auto marki Chevrolet przysłane do Polski w ramach UNRR. W tle budynek ratusza



Orkiestra działająca przy piskiej fabryce sklejk





Urzednicy Powiatowej Rady Narodowej



Posiedzenie Ligi Obrony Kraju



W ramach tzw. czynu społecznego pisy dygnitarze porzadzaja fragment miasta



Uroczystości odsłonięcia Pomnika Dwudziestolecia PRL w Pisz (1964 r.)



Uroczystość 22 Lipca (1964 r.)



Święto 22 Lipca



Dekoracja rynku w Pisz (prawdopodobnie podczas uroczystości Tysiąclecia Państwa Polskiego w 1966 r.)





Uroczyste wręczenie dowodów osobistych  
przez Feliksa Grabkę



Posiedzenie ZSMP



Sklep monopolowy Wojewódzkiej Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Piszu



Telewizyjny turniej miast Pisz-Słubice 21 czerwca 1987 r., transmitowany w TVP

# Prace przy piskim ratuszu

---



Porządkowanie terenu przy ratuszu w 1969 r.



Prace przy ratuszu. Po prawej stronie, w miejscu obecnej biblioteki, do ratusza przylegał budynek gospodarczy



Budynek gospodarczy przylegający do ratusza przed rozbiórką



Ratusz z dobudowaną po prawej stronie biblioteką



Prace przy ratuszu. Za rozbieranym murem widać budynku dawnego browaru



Uczniowie piskich szkół podczas zajęć lekcyjnych pracują przy piskim ratuszu



Porządkowanie terenu wokół piskiego ratusza z udziałem wojska i młodzieży szkolnej



# Czas Solidarności

Marsz protestacyjny mieszkańców Pisz przeciwko kłamstwom TVP w 1982 r. Dokumenty i zdjęcia z materiałów operacyjnych Służby Bezpieczeństwa (ze zbiorów IPN)



W związku z 6-tym miesiącem panowania reżimu partyjno-wojskowego  
i na znak protestu przeciwko:  
- dyskryminacji naszego związku,  
- bezprawnym przetrzymywaniom i więzieniom działaczy związkowych,  
- bestialskiemu pobiciu i pomordowaniu członków naszego związku,  
Zwracamy się do mieszkańców miasta aby wyrazili swój protest spacerem  
wokół Placu Dzierżyńskiego dn. 15.06.1982 w godz. 19,30-20-ta /czas trwania DTV/.

NSZZ "Solidarność"  
Region Pojezierze







W związku z 7-mym miesiącem stanu wojennego i panowania reżymu wojskowego w naszej Ojczyźnie żądamy:

1, zniesienia stanu wojennego,  
2, uwolnienia więzionych za przekonania i interpowalany oraz zaprzestania wszelkiego rodzaju represji wobec niwinnej ludności,  
3, Odwieszenie działalności NSZZ, Solidarność"

Prosimy mieszkańców Piszania o manifestowanie powyższych żądań w dniu 13-ty lipca w czasie trwania DT, podczas spaceru ulicami miasta. Nie bójmy się, ducha iwiary nie zdaje nam zabnąć żaden iż. Powyższe żądania będziemy manifestować każdego dnia w mieście bez ukazywania się ulotek, aż do czasu osiągnięcia stanu wojennego. Nie bójmy za dotychczasowe wspieranie naszych strajk. Nie słyszmy głosu...

NSZZ, Solidarność"  
Region „Pojezierze"

Österreichische

Oświadczenie, że w dniu 8. VI 1972  
rokiem udało się przyłożyć do  
"Opłoty" przy ul. Zgromadzenia zwanym, si-  
gnalizatorze elektrycznym przy drodze (stoj-  
co około 10-12 lat) wyłożonej płytami nie-  
skamieniałymi, fragmentem szlifowania, 2  
liniami wyznaczającymi, jest to elektryczny, Solow-  
kowskiego typu napinany na manganie i na  
przewodzący prąd. Zakończonymi resztkami  
tych elektrycznych układów na ul. przy-

[illegible]

Oświadczenie mieszkańca Piza złożone władzom o pojawiających się ulotkach Solidarności





# *Wspomnienia i relacje*

---





Urodziłam się w 1953 roku. Moja mama ma na imię Teresa i jest miejscowego pochodzenia. Przyszła na świat w 1928 roku w Odojach w rodzinie Hagen. To była duża rodzina. Ich było pięcioro rodzeństwa – mamusia, siostra, dwóch braci, którzy mieszkali po wojnie w Westfalii, siostra w Bremen. Dziadek Kazimierz pracował na kolei, a babcia zmarła, gdy mama miała osiem czy dziewięć lat. Mama chodziła do szkoły rolniczej w Elku i miała w Odojach u takich bogatych gospodarzy praktykę. A na lekcje religii przyjeżdżała do kościoła ewangelickiego w Orzyszu.

Jak mama mamy zmarła, to dziadek ożenił się z wdową, która też miała pięcioro dzieci. Zamieszkali w Grzegorzach, a mama nadal pracowała w Odojach, ale nie pamiętam, jak się nazywali jej gospodarze. W czasie wojny u tych gospodarzy zatrudniano też robotników Francuzów i z innych narodowości.

Przyszedł rok 1945. Jak szli Rosjanie, to mama opowiadała, że jej gospodarze w Odojach naszykowali sobie żywności, wszystko to pokładli na wozy i wyjeżdżali razem z ludźmi, których zatrudniali. Jak dojechali do Dąbrówki, tam wpadli w kocioł. Rosjanie ich zgonili i jakiś Francuz zaczął mówić, żeby mama uciekała. Zdążyli się wycofać, ale niedaleko odjechali, gdy za sobą usłyszeli strzały. Wszystkich tam powybijali! A ta rodzina wróciła z powrotem i znów zamieszkali w Odojach.

Ruscy żołnierze byli chętni na młode dziewczyny, to mama kiedyś uciekała przed nimi i w stóg siana włązała. A oni uparcie szukali, to taką przeczeskę zrobili, takimi długimi szpadami w ten stóg bodli, że ledwo kilku centymetrów brakowało, żeby ostrze skórę przebiło. Gospodyni strasznie się o mamusię bała, bo myślała, że już tą młodą dziewczynę wywieźli. Cały dzień i noc siedziała w tym stogu... Okropne rzeczy się działy. Opowiadała, jak pozabierali te dziewczyny i pozamykali w jakieś piwnicy. Podejrzewali, że należały do tej partii NSDAP albo Hitlerjugend. Siedziały w piwnicy, woda była wysoko, więc nogi miały zamoczone i jeszcze na głowy im woda kapła. Nie wiem, ile to trwało, ale po jakimś czasie mąż jej gospodyni z Odojów – on był jakąś ważną szyczą i Rosjanie

liczyli się z nim – pomógł moją mamę wyciągnąć z tej piwnicy i ją uratował. Kiedyś uciekała w nocy z Odojów do ojca w Orzyszu. Jak szła po ciemku – zaraz za przejazdem kolejowym, jak się na Odoje jedzie – to w tym lesie szła po czymś twardym i nagle zorientowała się, że deptała po trupach zamarzniętych...

Ojciec z rodziną swojej żony wyjechali do Niemiec i wtedy mama niemal zupełnie sama została. Wyjechało z nimi prawie całe rodzeństwo. I musiało się to odbyć jakoś nagle, bo znam opowieść, jak mama przyszła do domu swego ojca pewnego dnia, a tu pusto. Nikogo nie ma! Aż się wystraszyła, bo myślała, że może rodzinę gdzieś zabrali i wywieźli? Została tylko mama i siostra. Siostra mamy pracowała na izbie przyjęć w Orzyszu jeszcze w latach pięćdziesiątych. Dziadek wysłał mamie papiery, żeby mogła wyjechać do Niemiec, to mama oddała je siostrze, żeby mogła wyjechać zamiast mamy.

A mama nie chciała, bo się zakochała w Leonie Lemańskim, moim ojcu. Przyjęła nawet katolicyzm, aby wyjść za Polaka. Tato pochodził gdzieś z Wścieklic koło Łomży. Cała jego rodzina Lemańskich przyjechała do Orzysza po wojnie i zamieszkała na Osiedlu Robotniczym. To była miłość od pierwszego wejrzenia... Pracował w transporcie w GS jako pracownik fizyczny.

Potem jeździliśmy do Niemiec wiele razy. Mama to czasem nawet kilka razy w roku, a jak rodzina po trzydziestu latach nawiązała z mamą kontakt, to i oni przynajmniej raz w roku przyjechali do Orzysza. Zawsze im się tutaj podobało..., to są ich rodzinne strony... Brat mamy do ostatniego dnia życia myślał o tym, żeby jeszcze przyjechać do Orzysza. A teraz już wszyscy nie żyją. Przyjeżdżała tu także rodzina Kloss, która przed wojną mieszkała w tym domu, co my teraz jesteśmy. Mamy nawet od nich album ze starymi zdjęciami, to czasem oglądamy, jak Osiedle Robotnicze wyglądało i jacy ludzie tu mieszkali.

A mama nie chciała wyjechać na stałe, choć przecież cała jej rodzina tam, w Niemczech, a tu nikogo. Ja to czasem o tym myślałam, żeby zostać tam podczas odwiedzin rodziny w Niemczech, ale mama mnie pilnowała! I zawsze wracaliśmy. Mówi zawsze:

– Tu się urodziłam i tu będę umierała!

Moi dziadkowie w ogóle nie znali języka polskiego. Mama nauczyła się mówić po polsku dopiero po wojnie. Od sąsiadów, potem od męża i w pracy. Pracowała w przedszkolu na ulicy Elckiej, potem przeszła na porodówkę w Orzyszu i po pięciu czy sześciu latach przeszła do pracy w rozlewni piwa i wód gazowanych na ulicy Wojska Polskiego. Pracowała od samego rana do



Teresa Lemańska, mama autorki relacji, przegląda album fotograficzny rodziny Kloss

samego wieczora, a my, to znaczy ja i brat, byliśmy praktycznie sami. A mama przychodziła wieczorem, robiła obiad dla nas na drugi dzień, innym znów razem miała dyżur nocny na porodówce, to wtedy w dzień szła do gospodarza pomagać, żeby więcej pieniędzy zarobić, bo tak się składało, że nie zawsze starczało na życie. Sama z bratem też chodziłam tak pracować... I dlatego przeszłam do tej wytwórni wód gazowanych.

Nie było lekko. Bo przecież i tak się zdarzało, że ludzie wyzywali od „hitlerówek”. A nawet i mnie, i moją córkę... W latach osiemdziesiątych, jak było w sklepach pusto, to mnie się dostało... Szłam po zakupy, a tu ktoś mówi:

– Jedź do Niemiec po zakupy!

To potem, jak jego córka z Niemcem się związała, to go pytałam:

– I co? Teraz Niemiec dobry?

A kiedyś przyjechali goście z Niemiec, stoją samochody na podwórku, a tu dzieciak jakiś przechodzi obok, rękę podnosi do góry i krzyczy:

– Heil Hitler!

Poszłam wtedy do jego ojca i powiedziałam, że sobie nie życzę czegoś takiego. Jak ojciec temu chłopakowi łomot potem spuścił... Różni byli ludzie... Ale mama nie narzeka. Zadowolona jest ze swego życia.

Mama bardzo niemiłe wspomina czasy Hitlera, bardzo go nie lubiła. Jak jeszcze Erich Koch siedział w więzieniu w Barczewie i czasem coś tam o nim w gazetach napisali albo mówili w telewizji, to mama zawsze przypominała:

– Dzieciaku! – mówiła – to straszny dziad! – Bo zapamiętała, jak z megafonów w 1945 roku ogłaszali, że w Ostpreussen jest czysto, bo wszyscy Niemcy ewakuowani... a oni wszyscy siedzieli na miejscu i czekali na możliwość ucieczki przed frontem...

Teraz, jak Niemcy przyjeżdżają do Orzysza, to organizują takie spotkania z tymi rodzinami, co mają tutejsze korzenie, co należą do mniejszości. Chodzimy, słuchamy, jak wspominają przy kawie i ciście. Czasem z dziećmi pooglądamy stare zdjęcia. I zawsze lubiłam słuchać, jak mama opowiadała o dawnych czasach. Ale nie wszystko pamiętam. Aż szkoda, że do tych wspomnień nie można wrócić.

Urodziłam się w Kolnie w roku 1930. Moje panieńskie nazwisko Ciszewska. Miałam dwie siostry – Domicelę i Zofię, więc jak trwała wojna, rodzice nie pozwalali starszej Domiceli wychodzić z domu. Obawiali się, że Niemcy mogą ją wywieźć do Prus na roboty przymusowe. W końcu na wykopki ją zapisali, bo ktoś ją tam do niemieckiego urzędu podał. Ale zamiast niej poszłam ja. No i Niemcy zobaczyli, że jestem taka młoda i powiedzieli:

– Idź do domu!

Wróciłam do domu, a matka mówi:

– Mój Boże, to przyjdą teraz po moją drugą starszą córkę!

I ukrywali ją, kiedy była łapanka. Mieliśmy ciotkę chorą, która siadała na łóżko zasłane. Siostra moja rozłożyła się jak długa w łóżku pod pierzyną, a ciotka, co była chora, siadała na tym łóżku. Kiedy Niemcy weszli do nas do domu, to ona zaczynała kasłać. Tylko spojrzeli, że ciotka tak źle wygląda, że kaszle, i zaraz uciekli z domu. Bali się, że się zarażą. A kiedy ja już byłam większa, to chodziłam na kopanie rowów przeciwpancernych w Kolnie, bo i tam zapisana była moja siostra. I też mnie mama wysłała, ale mnie Niemcy znów wypędzili – że za młoda i za mała.

Wieczorami to młodzież się zbierała na takich zabawach. Innym razem chodziliśmy do krzyży, żeby różaniec odmawiać.

Z krzyżami w czasie wojny to mi się taka historia przydarzyła, jak jeszcze w Kolnie byłam. Za Niemca to było, oni zajęli naszą szkołę. W szkole przed wojną w każdej klasie wisiał krzyż, a Niemcy wszystkie te krzyże pozdejmowali i wyrzucili do ubikacji. A myśmy się przekradli, żeby nas Niemcy nie zobaczyli, i zabraliśmy te krzyże. Ja wzięłam ich tyle, ile mogłam unieść. Poszłam z nimi do domu i tam rozdaliśmy krzyże sąsiadom i znajomym ludziom. A sama sobie zostawiłam jeden i nadal wisi u mnie na ścianie, nad łóżkiem. Na pamiątkę.





Krzyż uratowany przez Reginę Alicją  
ze szkoły w Kolnie w czasie wojny

Po skończonej wojnie ja nadal mieszkalam w Kolnie, a moja starsza siostra, Domicela, wyjechała do Pisu. I jak ona zaczęła tu pracować w prezydium<sup>1</sup>, wzięła mnie do siebie. Mieszkałyśmy razem, razem też chodziłyśmy do kościoła. Mazurzy też w Pisu mieszkali. Z Polakami dogadywali się po polsku, ale między sobą rozmawiali po niemiecku. Ludzie nie bardzo ich lubili.

W Pisu nadal uczyłam się. Najpierw uczęszczałam do liceum ogólnokształcącego. Bardzo dobrzy nauczyciele byli. A ostatni rok szkoły to już pracowałam i uczyłam się zaocznie w Bemowie<sup>2</sup>, bo mąż był wojskowym<sup>3</sup>. Najpierw w gminnej spółdzielni<sup>4</sup> praco-

wałam, później w PZGS<sup>5</sup>, a ostatnio pracowałam już w Budopolu na ulicy Warszawskiej. Tam się szło, gdzie większe pensje płacili.

Jak przyjechałam do tej siostry, to na ulicy Warszawskiej zniszczone więzienie było. Chodziłam nieraz oglądać to więzienie. Tam różne te pokoje<sup>6</sup> były, że aż nieraz wszyscy, a dużo nas tam chodziło młodzieży, popłakaliśmy się nad tym wszystkim, że tak ludzi w tym więzieniu kiedyś męczono.

A później zaczęto ten nasz Pisz odbudowywać. Za mąż wysłam. Mąż był starszym sierżantem w jednostce wojskowej w Szerokim Borze i tam się przeprowadziliśmy. Był nawet na szkole wojskowej, ale zrezygnował, to go zwolnili do cywila. Mam dziś jedną córkę i troje wnuków. Ułożyło się życie.

<sup>1</sup> Czyli w urzędzie miejskim lub starostwie powiatowym.

<sup>2</sup> Bemowo (ob. Bemowo Piskie, niem. Szlaga, Schlagenkrug) – miejscowość położona w powiecie piskim, gmina Biała Piska. W 1935 r. w związku z przywróceniem powszechnego obowiązku służby wojskowej w III Rzeszy w Bemowie wybudowano nowoczesny kompleks wojskowy, tzw. Arys-Süd. Po wojnie obiekt został przejęty na potrzeby Wojska Polskiego i przez wiele lat stanowił osiedle zamknięte.

<sup>3</sup> Liceum Ogólnokształcące dla potrzeb wojska prowadziło w Bemowie klasę dla mundurowych (tzw. klasa zamknięta), którzy musieli zdobyć średnie wykształcenie. Ze wspomnień wynika, że w klasie tej mogli się uczyć również członkowie rodzin wojskowych.

<sup>4</sup> Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska.

<sup>5</sup> Powiatowy Zarząd Gminnych Spółdzielni.

<sup>6</sup> Mowa o celach więziennych.

## IRMA BARTLICK

Nazywam się Irma Bartlick. Urodziłam się w 1925 roku. Pochodzę ze wsi Turośl<sup>1</sup> położonej w pobliżu Pizsa. Mój ojciec, Franz Klimek, miał tam restaurację z pokojami do wynajęcia. Mieliśmy też sklep. Dzięki sporym dochodom ojciec mógł nawet dokupić gospodarstwo rolne w Pogubiu. Ja również, po wyjściu za mąż, zostałam właścicielką restauracji, która mogła zapewnić dostatnie utrzymanie.

Przed wojną utrzymywaliśmy częste kontakty w Polakami. Nasza wieś leżała bardzo blisko granicy, przez którą Polacy chodzili z przemytem. Do nas przynoszono jaja, gęsi, mięso. Na polską stronę zabierali najczęściej naftę i sól. Również nasi ludzie wyruszali na drugą stronę. Sama też tam byłam, z ciekawości – żeby zobaczyć, jak żyją w Polsce.

Oczywiście nikt wtedy nie chwalił się policji, że przenosi towary przez granicę, ale we wsi ludzie i tak o wszystkim wiedzieli. Pamiętam, że przemytem zajmował się między innymi Kozłowski, który posiadał gospodarstwo nieco oddalone od Turośli w kierunku granicy. Miał liczną rodzinę – czworo czy pięcioro dzieci.

Za Hitlera do partii NSDAP<sup>2</sup> musiał należeć prawie każdy. Byli tacy, którzy zapisywali się dobrowolnie, innych do tego zmuszano – namawiano, grożono. Właściwie to nie żyło nam się wtedy źle.



Irma Bartlick przy stacji benzynowej Shell w Turośli

<sup>1</sup> Turośl (niem. Turoscheln, od 1938 r. Mittenheide) – wieś położona w pobliżu południowej granicy powiatu piskiego (do 1945 r. była to granica niemiecko-polska). Powstała w 1716 r. jako wieś szkatułowa. W 1939 r. we wsi było nadleśnictwo, posterunek żandarmerii, murowany kościół i ponad 500 stałych mieszkańców.

<sup>2</sup> NSDAP (niem. Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei) – Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza.

W restauracji partyjni i członkowie SA<sup>3</sup> organizowali zebrania, potańcówki. Młodzież też miała zajęcie, bo mogła uczestniczyć w różnych akcjach – ogniskach czy zawodach sportowych. Był porządek. A jednak nie wszyscy byli zadowoleni z rządów partii hitlerowskiej. Na przykład nasz ksiądz<sup>4</sup> głośno krytykował Hitlera, za co go aresztowano podczas wojny.

Kiedy wybuchła wojna, to odczuliśmy ją przede wszystkim dlatego, że zabrano mężczyzn na front. Mój mąż, Emil Bartlick, też został powołany. Najpierw służył w Czechosłowacji, potem na Wschodzie. Czasami przyjeżdżali żołnierze na urlop i wówczas niektórzy opowiadali różne straszne rzeczy, które widzieli na wojnie.

Gdy mężczyźni poszli do wojska, nie było komu pracować na ziemi. Sprowadzono więc przymusowych robotników – Polaków, Francuzów, Rosjan. Mieszkali u gospodarzy i pracowali. Moja restauracja była w tym czasie nieczynna, ponieważ wojsko zajęło budynek na magazyn mundurowy. Było to nawet dla mnie korzystne, bo otrzymywałam wynagrodzenie za użytkowanie mojej własności. Sama nigdy bym tyle nie zarobiła, zwłaszcza że pod koniec wojny musiałam zajmować się moim małym dzieckiem.

Po raz pierwszy poznaliśmy smak wojny w lecie 1943 roku. Pewnej sierpniowej nocy obudziły mnie hałasy, jakby ktoś strzelał. Pobiegłam do restauracji ojca. Siedziało tam kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy tej nocy mieli pełnić we wsi wartę. Grali w karty. Zaczęłam do nich wołać, żeby się ruszyli, ktoś strzelał, chciałam im podać strzelby, ale oni udawali, że nic się nie dzieje. Był między nimi Kozłowski<sup>5</sup>, ale on również nie chciał wziąć broni do ręki<sup>6</sup>. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że to polski oddział z drugiej strony granicy zaatakował Turośl<sup>7</sup>.

---

<sup>3</sup> SA (Sturm Abteilung) – drużyny szturmowe, organizacja paramilitarna utworzona przez NSDAP.

<sup>4</sup> Chodzi o duchownego ewangelickiego.

<sup>5</sup> W wykazie mieszkańców Turośli kilkakrotnie występuje nazwisko Kozłowski, więc nie wiadomo, któremu z nich Irma Bartlic poświęciła ten fragment swojej relacji. Zob. G. Wydra, *Die 166 Dörfer des ostpreussischen Kreises Johannisburg. Band II*, maszynopis powielany, w zbiorach MZP.

<sup>6</sup> Mieszkaniec Turośli – Kozłowski – pod pseudonimem Przemytnik był współpracownikiem polskiej organizacji konspiracyjnej PO WE. Mogło to być powodem zachowania Kozłowskiego w opisanej scenie.

<sup>7</sup> Był to oddział partyzancki Uderzeniowych Batalionów Kadrowych pod dowództwem Stanisława Karolkiewicza „Szczonego”, który 15 sierpnia 1943 r. dokonał odwetowego uderzenia na Turośl, po tym jak 17 lipca 1943 r. w miejscowości Krasowo-Częstki Niemcy dokonali krwawej pacyfikacji, mordując co najmniej 257 osób i równając polską wieś z ziemią. W Turośli zginęło maksymalnie kilkanaście osób. Zob. K. Krajewski, *Uderzeniowe Bataliony Kadrowe 1942–1944*, Warszawa 1993; W. Brenda, *Okoliczności wypadu uderzeniowych Batalionów Kadrowych na Mittenheide (Turośl) w 1943 roku*, „Znad Pisy” 1997, nr 5; idem, *Akcja odwetowa polskich partyzantów na Mittenheide (Turośl) w Prusach Wschodnich*, „Debata. Miesięcznik Regionalny” 2013, nr 8 (71).



Uroczystość sąsiedzka w Turośli (w mundurze Herbert Opitz)

Najpierw napadnięto na leśnicówkę Herberta Opitza. To był nasz bardzo dobry znajomy, wysoko postawiony we władzach partyjnych. Podobno często wygrażał polskim robotnikom, którzy u niego pracowali. Mieli u niego źle<sup>8</sup>. Teraz ktoś wywołał go na podwórze, że niby koń jest chory. Gdy Opitz wyszedł, został zastrzelony. Zamordowali też żonę i dzieci – Martina i Basię. Przeżyła najstarsza córka – Brygida. To bardzo dziwne, ale na piętrze u Opitzów mieszkała rodzina z Berlina, która uciekła do nas przed bombardowaniem. Podobno oni cały czas spali i nic nie słyszeli, że na dole strzelają... Może byli w takim szoku? Albo tak mocno spali?

Napastnicy zastrzelili też kobietę, która znalazła się na drodze w czasie tej walki. Poszli też do gospodarstwa Bendicków i ich zabili. Łącznie dieście, może dwanaście osób zginęło wtedy w Turośli. Nie wiem, dlaczego właśnie te rodziny. Spalono też kilka gospodarstw, sterty siana... Polacy poszli też do żony nadleśniczego Cramera von Laue<sup>9</sup>. Jej mąż też był na wojnie.

<sup>8</sup> Jeden z polskich robotników pracujących w tamtym czasie w Turośli napisał o nim tak: „Był to dobry hakata, zacięty wróg Polaków”. Zob. K. Śmigielski, *Tę ziemię sobie obiecałem* [w:] *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*, red. W. Korycka, Olsztyn 1970, s. 334. Hakata była to antypolska organizacja założona w 1894 r. w Poznaniu, nazywana tak od pierwszych liter nazwisk założycieli (Ferdynand von Hanseemann, Hermann Kennemann, Henryk von Tiedemann). Jej pełna nazwa brzmiała Niemiecki Związek Marchii Wschodniej.

<sup>9</sup> Według innych przekazów dowódca oddziału polskiego spotkał się z Hildegardą von Krauss, której mąż zginął pod Stalingradem. Przekazał jej informacje wyjaśniające przyczyny polskiego uderzenia. Zob. K. Krajewski, op. cit., s. 234.

Kościół w Turośli  
w 1940r



Ponieważ robotnicy zawsze ją chwalili, więc nikt nie zrobił jej krzywdy. Zabrano tylko broń z jej mieszkania.

Podczas tej nocnej napaści słysząc było także wybuchy granatów, które wrzucono do kilku domów.

Całe to zamieszanie nie trwało zbyt długo, bo mieszkańcy wsi zaczęli się bronić, ostrzeliwali się żandarmi i urlopowani żołnierze. Po godzinie pierwszej wszystko zaczęło cichnąć. Ponieważ łączność telefoniczna była zerwana, więc dopiero teraz lekarz z Turośli pojechał do Pizy samochodem. Wojsko przyjechało około czwartej nad ranem. Zrobili obławę z psami, doszli do samej granicy, ale nikogo nie znaleźli.

Rano na placu przed restauracją ojca zebrano wszystkich robotników Polaków. Było ich dwudziestu, a może więcej. Wszyscy przez kilka godzin musieli klęczeć na placu z rękami podniesionymi do góry. Tylko jedna dziewczyna, która dzień wcześniej wróciła z operacji wyrostka, nie musiała klęczeć. Ale w południe zabrano ją wraz z innymi Polakami na ciężarówkę i wywieziono w nieznanym kierunku. Może do obozu?<sup>10</sup>

Mieszkańcom Turośli władze zakazały rozpowiadać o tym wydarzeniu, choć tak naprawdę nie można było tego ukryć. Nie był to zresztą jedyny taki wypadek. Słyszałam, że Polacy z drugiej strony granicy spalili kilka leśniczówek w naszej okolicy.

Wkrótce potem wojna ponownie dała o sobie znać. Zbliżał się front. Na jesieni 1944 roku pozwolono wyjechać kobietom z niektórych wsi, jeśli miały

<sup>10</sup> Część z aresztowanych wówczas robotników przymusowych trafiła do obozu w Snopkach koło Pizy. Być może niektórzy zostali wysłani do obozu koncentracyjnego.



dużo dzieci. Chyba niewiele osób zdecydowało się wtedy na opuszczenie rodzinnych domów.

Kiedy stało się pewne, że i do Turośli przyjdą Rosjanie, wtedy zaczęłam się bać. Widzieliśmy przelatujące samoloty, spadające z nieba flary, słychać było dalekie grzmoty. We wsi stacjonowało już wtedy wojsko. Gdy w styczniu 1945 roku przyszedł rozkaz ewakuacji dla wszystkich mieszkańców Turośli, znajomi żołnierze wywieźli nas samochodem. Za cały dobytek miałam dwie walizki i wózek z dwunastomiesięczną córką, Margittą. Większość sąsiadów była nieprzygotowana do wyjazdu. Jechali wozami, rowerami. Każdy obładowany tobołkami, teczkami z rzeczami niezbędnymi i całkiem zbędnymi...

Żołnierze odwieźli mnie samochodem na pociąg w Rucianem. Koleją, po trzydniowej podróży, dotarłam do Królewca. Pamiętam z tego okresu głównie uczucie głodu, jakie nam towarzyszyło w tej wędrówce. Tęskniliśmy za marynatami, które zostały w naszym domu. Ciągłe o nich rozmawialiśmy.

Z Królewca przetransportowano nas do portu w Piławie, skąd statkiem do Stralsundu. Tam skończyła się dla mnie wojna... W 1945 roku urodził się mój starszy syn, Wolfgang. Odnalazł się też mąż Emil. Do Polski wróciliśmy dopiero w 1949 roku. Byłam w ciąży, więc młodszy syn, Joachim, urodził się już w piskim szpitalu. Potem jeszcze urodziła się córka, Karin. Nie wróciliśmy jednak do rodzinnego domu, tylko do Wejsun<sup>11</sup>. Tam po wojnie zamieszkał mój ojciec i otworzył piekarnię. Dlaczego wróciłam? Bo tu była moja rodzina, moje rodzinne strony. Tu był mój dom...

W Polsce mieszkaliśmy do grudnia 1962 roku. Wtedy już na stałe wyjechałam do Niemiec. Ale wciąż tu przyjeżdżam, podobnie jak synowie. Mamy tu mnóstwo przyjaciół, znajomych z dawnych lat. Chłopcy są członkami Polskiego Związku Łowieckiego. Joachim uwielbia polowania w Puszczy Piskiej.

---

<sup>11</sup> Po wojnie wiele rodzin autochtonicznych, narażonych na rabunki, gwałty i pobicia, szukało spokojnych miejsc z dala od głównych szlaków komunikacyjnych. Takim miejscem mogła wydawać się wieś Wejsuny, gdzie w sposób zwarty osiedliło się stosunkowo dużo osób przybyłych z innych miejscowości powiatu piskiego, przez co dla podkreślenia specyficznego, „autochtonicznego” charakteru wsi nazywano przez jakiś czas „republiką wejsuńską”. Nie udało się jednak uniknąć mieszkańcom Wejsun rabunków. Między 20 grudnia 1945 r. a 31 stycznia 1946 r. funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pisz wywieźli z Wejsun siedem wozów i dwie bryczki zrabowanego dobytku, m.in. narzędzia rolnicze, meble, obuwie, materiały włókiennicze, maszyny do szycia, pościel, bieliznę, odzież męską i damską, furazę, około 30 kur. Kilka miesięcy później, tj. 3 października 1946 r., banda A. M. (napływowego mieszkańca wsi, współpracującego z rabusiami w mundurach Armii Czerwonej) obrabowała cztery rodziny mazurskie. To tylko przykłady, które zostały utrwalone w ówczesnych dokumentach. Problem rabunków dotyczył oczywiście wszystkich miejscowości, zarówno tych zamieszkanymi, jak i opuszczonych. Zob. W. Brenda, *O bandytyzmie na Warmii i Mazurach w pierwszych latach powojennych* [w:] *Problemy bandytyzmu w okupowanej Polsce w latach 1939–1947*, Warszawa 2003, s. 61–70.

## *S*TEFAN *B*IKOWSKI

Jestem rocznik 1940. Właściwie nic nie powinienem pamiętać z czasów wojny, ale jednak mam takie przebląsy, które jakoś utrwały się w pamięci dziecka. Co ja miałem... cztery lata, jak u nas w Gromadzinie Ukraińcy rozstrzelali dwudziestu czterech ludzi. Z naszej wsi i takich, których schwytali po drodze z Kolna. W szereg ustawiali i rozstrzeliwali. Pamiętam z tego jeden moment. W bunkrze takim porosyjskim<sup>1</sup> leżał przykryty watówką<sup>2</sup> człowiek. To był nasz sąsiad Kozikowski. I kiedyś w czasie rozmowy rodzinnej, jeszcze byłem dzieckiem, opowiedziałem o tym, co pamiętam, to wszyscy się dziwili. Ale jak mama zapytała, czy pamiętam także i to, że razem z nią chodziłem do Filipkowskich i Gromadzkich, bo z tych rodzin między innymi zginęły po trzy osoby, do Dziegielewskich, tam czworo zginęło, to tego już nie pamiętałem.

Po raz pierwszy w Piszcu zjawiłem się jako młody, czternastoletni, chłopak w 1954 roku. Zachorowałem na migdałki i przyjechałem pod opieką starszego brata, Piotra, na zabieg. Wojskowy lekarz, major Pławczyk, usuwał mi je prywatnie w swoim mieszkaniu. Godzinę posiedziałem u niego w fotelu, a potem kazał mi iść do domu. Przenocowaliśmy w mieście i rano jeszcze przyszliśmy na kontrolę, po czym wróciliśmy do Gromadzyna. Jechaliśmy takim ciężarowym wozem, na którym zrobiona była buda, z boku poustawiano drewniane ławki i wchodziło się od tyłu po schodkach.

Ten major Pławczyk pracował w szpitalu przy obecnej ulicy Klementowskiego, który wtedy podlegał pod wojsko. I ci wojskowi lekarze mieszkali w budynkach na rogu ulic Mickiewicza i Klementowskiego, przedtem to była ulica Żymierskiego. Tam mieszkał Woroniak, Pławczyk, Kozak, Ogórkiewicz, Janowski. Gdy ponownie przyjechałem do Piszca, cztery lata później, to szpital już był przekazany władzom cywilnym. Część lekarzy wojskowych wyjechała, a inni, jak Kozak czy Ogórkiewicz, zostali w Piszcu i pracowali dalej.

---

<sup>1</sup> Wybudowanym w okresie sowieckiej okupacji (1939–1941).

<sup>2</sup> Watówka – kurtka watowana.

W 1956 roku do Pisza na stałe przeprowadził się mój starszy brat, Piotr, a 22 września 1958 roku także i ja przyjechałem tu do pracy. Pamiętam, że jeździły już normalne autobusy, tak zwane ogórki. Ponieważ większość mieszkańców pochodziła z okolic Kolna, to w sobotę i niedzielę autobusy były najbardziej zapchane, a miasto się niemal wyludniało. Wszyscy wracali do swoich rodzinnych domów.

W tym okresie w Piszcu było może około pięć tysięcy mieszkańców<sup>3</sup>. Miasto było zniszczone niesamowicie. W 1954 roku ulica Kościuszki wciąż była wielkim gruzowiskiem. Przy ulicy Dworcowej, gdzie jest teraz Markann, to stały mury do wysokości parteru. Tam, gdzie bank, na rogu ulic Dworcowej i Klementowskiego, stał taki budynek, gdzie mieszkał pan Rzemieniewski, który się zajmował naprawą opon i dętek. On się potem wybudował na ulicy Mickiewicza. Ocalało trochę starych niemieckich budynków. Między ulicą Lipową a Rybacką pełno jakichś szop, bud. Przy Lipowej domki takie maleńkie, można było przez szybę w oknie do środka zajrzeć. Naprzeciw szkoły Jedyńki stała taka drewniana stodoła pod czerwoną dachówką, a za tą stodołą był magazyn na lód. Zimową porą wozacy zwozili lód, zasypywali go trocinami i potem ci, co wytwarzali lody, albo do sklepu rybnego, to stamtąd brali i kupowali lód. Można go było w takich warunkach przechowywać aż do następnej zimy!

Ulica Rybacka to też były stare domy. Tam, w tych mieszkaniach przy ulicy Rybackiej, było najwięcej pracy zimową porą. Było tam zimno, woda zamarzała, rury pękały, trzeba było wszystko wymieniać, ocieplać, żeby ludzie mieli bieżącą wodę. Często wołali majstrów do napraw.

Tam, gdzie dzisiaj osiedle Lipowa, były ogrody szpitalne. Pracowały tam salowe ze szpitala, sadiły, pielily, bo z tych ogrodów były świeże warzywa dla pacjentów i pracowników. Na ulicy Kwiatowej był taki drewniany hotel. W nim mieszkali junacy<sup>4</sup>, którzy pracowali w fabryce sklejki. W pobliżu, tam, gdzie jest Gimnazjum nr 1, a wcześniej Szkoła Podstawowa nr 3, był tartak. Na placu zawsze było dużo drzewa, a w miejscu dzisiejszego basenu stał trak. W tym tartaku robili deski.

Za mostem drogowym, na lewym brzegu Pisy była taka piekarnia, prowadzona z początku przez pana Wojdełko<sup>5</sup>. Potem mu ją zabrali na rzecz państwa. Jak się tamtędy przechodziło, to zawsze wokół unosił się zapach świeżego pieczywa.

<sup>3</sup> W 1950 r. w Piszcu mieszkało 4961 osób. Dla porównania w Orzyszu – 2031 osób, w Białej Piskiej – 1964 osoby.

<sup>4</sup> Najpierw byli to junacy skierowani ze szkół przysposobienia przemysłowego, a później (do 1955 r.) Powszechna Organizacja Służba Polsce, zaś po 1955 r. Ochotnicze Hufce Pracy.

<sup>5</sup> Pan Wojdełko pochodził z Wileńszczyzny.



Piekarnia S. Wojdełki w Piszu przy zjeździe na most drogowy z ul. Wojska Polskiego



Stefan Bikowski (na tylnym siedzeniu motocykla) podczas odbywania zasadniczej służby wojskowej

Nieco dalej, ale przy samej ulicy prowadzącej do mostu była tak zwana Mysia Wieża z czerwonej cegły. Przez jakiś czas był tam internat dla młodzieży.

Jak zaczęto budować Dom Kultury<sup>6</sup>, to w pierwszej wersji był to taki murowany gmach, przykryty czterospadowym dachem z czerwonej dachówki. Potem ten dach zdjęto i dobudowano jedno piętro. Od tego czasu Piski Dom Kultury zyskał swój obecny wygląd.

Ja początkowo zatrudniłem się w Powiatowym Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym, którego dyrektorem był Bronisław Łagowski<sup>7</sup>. Potem nazwy się

<sup>6</sup> Budowa Piskiego Domu Kultury (dawniej – Powiatowego Domu Kultury) na miejscu hotelu Graf Yorck, zniszczonego w 1945 r. przez Armię Czerwoną, rozpoczęła się w 1956 r. i trwała pięć lat. Koszt inwestycji (4,5 mln zł) w równych częściach pokrył Skarb Państwa, Powiatowa Rada Narodowa w Pisz oraz Komitet Wojewódzki Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy. Miała to być nagroda za wysoką zbiórkę materiału i pieniędzy na odbudowę Warszawy. Projekt był oparty na wzorze analogicznego obiektu w Pionkach. Uroczyste otwarcie nowego obiektu nastąpiło 21 lipca 1960 r. Zob. M. Świerczewska, *Zarządzanie finansami Piskiego Domu Kultury w Pisz*, maszynopis, Elk 2009, s. 8.

<sup>7</sup> Bronisław Łagowski – przybył do Pisz po zdemobilizowaniu z wojska w 1947 r. Początkowo pracował na stanowisku sekretarza Zarządu Miejskiego, od 1 stycznia 1948 r. pełnił równocześnie obowiązki kierownika przedsiębiorstw miejskich. Wspólnie z innymi urzędnikami zainicjował utworzenie spółdzielni Odbudowa Mazurska. W 1956 r. została ona upaństwowiona, dając początek przedsiębiorstwu remontowo-budowlanemu.

zmieniały: Przedsiębiorstwo Budownictwa Terenowego<sup>8</sup>, Piskie Przedsiębiorstwo Budowlane<sup>9</sup> i w końcu Budopol. Łagowski trzymał to twardą ręką, potrafił wiele załatwić i zorganizować.

Przepracowałem tam dwa lata, do chwili, gdy zostałem powołany do służby wojskowej w 1960 roku. Już nie wróciłem do tamtego przedsiębiorstwa, bo podjąłem pracę w Zakładzie Silikatowym w Piszcu, w którym przepracowałem prawie czterdzieści lat! Praca nie należała do najłżejszych. Dużo kurzu, para, chłód zimową porą, w lecie upał, tak że można mówić o ciężkich warunkach pracy. Ale jak na tamte czasy zarobki były niezłe, chociaż dziś się zastanawiam, czy to rekompensowało cały ten wysiłek. Zwłaszcza ciężko miały kobiety, które na jednej zmianie musiały nieraz przerzucić kilka ton gotowego wyrobu!

Brat pracował w Piszcu od 1956 roku. Najpierw w Centrali Mięsnej, a potem w Jubilatce, gdzie był tak zwanym kalkulatorem. W Jubilatce jego praca polegała na kalkulowaniu cen produktów żywnościowych oferowanych w restauracji. Wejście do Jubilatki było od ulicy 1 Maja. W samym rogu znajdowały się duże drzwi, za którymi schodziło się dwa stopnie w dół. Tam poustawiane były beczki. Na tych beczkach siedzieli chłopcy i popijali piwo. Jak ja przyjechałem do Piszca, to nie piłem jeszcze piwa, bo mi nie smakowało, więc do Jubilatki zachodziłem tylko na obiad. Obiady jadało się w osobnej sali konsumpcyjnej, gdzie był zakaz palenia, poustawiane były eleganckie stoliki, nakryte białymi obrusikami, na każdym wazonik z kwiatkiem... To potem dopiero, pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, Jubilatka kojarzyła się z najgorszą speluną. Ale wcześniej to było bardzo przyjemne miejsce. Czasem chodziło się tam na potańcówki. Warto wspomnieć też o pobudowanej chyba gdzieś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych bardzo przyzwoitej restauracji-kawiarni Myśliwska przy ulicy Okopowej. Była dwupiętrowa, na górze odbywały się dancingi. Pamiętam, jak byliśmy w Myśliwskiej na weselu Ireny – koleżanki mojej żony. To było wielkie wydarzenie, bo wychodziła za mąż za Amerykanina! Dziś w tym budynku znajduje się Urząd Skarbowy.

Jak przyjechałem do Piszca w 1958 roku, to zamieszkałem na stacji u pani Heleny Seligi przy ulicy Moniuszki. To była taka przemiła pani, z którą potem przez wiele lat, aż do jej śmierci, utrzymywaliśmy z żoną bardzo bliskie kontakty. Seliga to było nazwisko po jej drugim mężu, który był w Piszcu geodetą, a uprawiał ten fach jeszcze przed 1939 rokiem. W latach wojny Rosjanie wywieźli go do

---

<sup>8</sup> Przekształcone z Powiatowego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego w 1959 r.

<sup>9</sup> Przekształcone z Przedsiębiorstwa Budownictwa Terenowego w 1964 r.



łagrów na Wschodzie. Strasznie to przeżył. Zawsze odczuwał strach, że zabraknie mu chleba i będzie głodny. Nosił w kieszeniach kawałki suszonego pieczywa, a czasem, jak się zapomniał, to potrafił kupić kilka bochenków chleba na zapas...

Pani Helena z pierwszego męża miała nazwisko Zaborowska. Jej mąż, Józef Zaborowski<sup>10</sup>, był zaraz po wojnie urzędnikiem w Piszu odpowiedzialnym za sprawy rolnictwa. Przed wojną posiadał majątek, wtedy też uzyskał wyższe wykształcenie, a takich było niewielu w powojennym Pisz. Ale w latach czterdziestych spotykały go bezustanne kłopoty ze strony władzy. Kiedy komuniści objęli w Polsce rządy, to musiał opuścić swoje rodzinne strony i podobnie jak inni „obszarnicy” osiedlić się nie mniej niż sto kilometrów od dawnego miejsca zamieszkania. Trafił do Pisza, ale bez przerwy go szarpali. Co jakiś czas przychodził po Zaborowskiego funkcjonariusz PUBP<sup>11</sup>, Jan P. Podobno nawet grzecznie się zachowywał. Mówił tylko:

– Pójdzie pan ze mną. – A potem Zaborowski siedział na „dołku” w Pisz albo nawet wieźli go do Olsztyna. Wracał po miesiącu czy dwóch, a potem znów przychodził ubek i ponownie zabierał go do PUBP przy dzisiejszej ulicy Klementowskiego. Znam tą historię z relacji pani Zaborowskiej, bo jej mąż zmarł w 1951 roku, kiedy mnie jeszcze w Pisz nie było.

Kiedy sprowadziłem się do Pisza, to już Urzędu Bezpieczeństwa nie było, tylko włączono go w struktury Milicji Obywatelskiej. W 1958 roku kończono budować siedzibę Komendy Powiatowej MO przy ówczesnej ulicy Buczka, dziś Armii Krajowej. Jeszcze firma Łagowskiego i jacyś budowlancy z Olsztyna robili wykończeniówkę, poprawiali coś na dachu, ale milicjanci już urzędowali w nowym miejscu. Wprawdzie ten najgorszy stalinizm już wtedy minął, był to prze-

---

<sup>10</sup> Józef Zaborowski – w 1946 r. był zastępcą przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pisz. W czerwcu 1946 r. pełnił również funkcję komisarza ziemskiego i był członkiem opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL). W czerwcu tegoż roku delegat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na powiat piski Jan Banasiak donosił swoim zwierzchnikom o represjach wobec członków PSL: „W dniu 25 czerwca 1946 r. zostali zatrzymani tymczasowo w PUBP w Pisz trzej członkowie PSLu: 1. Zaborowski Józef komisarz ziemski na pow. Pisz, wiceprzewodniczący PSL. 2. Choromański Władysław inspektor rolny na pow. Pisz członek PSLu. 3. Kotowski Kazimierz instruktor rolny na pow. Pisz PSLu. Dwóch pierwszych w/wymienionych zostali zatrzymani na skutek doniesienia iż pobierali łapówki z przydziału koni z darów UNRRA dla miejscowej ludności przydzielając takowe członkom PSLu. Pozostały Kotowski Kazimierz został zatrzymany na skutek tego, iż uprawia potajemnie werbunek członków PSLu, co do Zaborowskiego i Choromańskiego, z przeprowadzonych rozmów z szefem Urzędu wynika iż wymienieni prowadzą tak samo werbunek skryty członków do PSLu korzystając przy sposobności objazdów terenu służbowo” (Biuro Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa w Warszawie, Materiały dotyczące Referendum 1946 r., sygn. 434/IV, t. 35, k. 202; obecnie materiały w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej). Analiza dokumentu pozwala sądzić, że głównym powodem aresztowań była działalność w legalnej partii, ale zwalczanej przez Polską Partię Robotniczą i Urząd Bezpieczeństwa. Zarzuty natury kryminalnej opierały się na niesprawdzonych donosach i stanowiły tylko pretekst do represji.

<sup>11</sup> Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego

cięż czas tak zwanej odwilży, ale ludzie mimo to bali się opowiadać o tamtych koszmarnych czasach.

Dużo Mazurów było wtedy jeszcze w Pisz. Jak Mazurki szły ulicą i rozmawiały po niemiecku – człowiek wtedy nie był tego zwyczajny – to często się oglądałem, gdy słyszałem obcy język. Ze mną pracowało dużo Mazurów, których uważano za bardzo dobrych fachowców: Dukacz, który prowadził brygadę murarzy, Jabłoński, Leszczyński, Papież, Podgórny, Wilimczyk, Horst Swatko. Z opowieści wiem, że Swatko w czasie wojny pomagał uciekać do domu Polakom, którzy zostali skazani na obóz w Snopkach. Co najmniej kilka osób przeprowadził przez granicę. A pod koniec wojny sam się ukrywał po polskiej stronie we wsi Brzozowo u rodziny Kałków. Jak się z nimi pracowało, to nie pamiętam, żeby były jakieś podziały, że „my Polacy, a wy Niemcy”. Może inaczej zaraz po wojnie było, bo to różne rzeczy się wtedy działy?

Jak już się ożeniłem, urodziły nam się córki, to kłopoty z miejscem w przedszkolu początkowo były. Więc starszą córkę oddawaliśmy do niani Mazurki. Mówiliśmy:

– Trzeba zaprowadzić do omy<sup>12</sup> Kotary.

I jak się zaprowadziło, to już poustawiane były nocniki, każdy przyprowadzony dzieciak siadał na nocnik, dostawał w buzię słodkiego groszka. Wszystko musiało



Podwórko domu przy ul. Sienkiewicza w Pisz, w którym po ślubie zamieszkali Henryka i Sefan Bikowscy (1965 r.)

<sup>12</sup> *Oma* (niem.) – babcia.

być czysto i w najwyższym porządku. A kiedyś Kotarowa pyta, czy nie będziemy mieli za złe, jak dziecko nauczy modlić się „po nasemu”. Odpowiedzieliśmy, że skąd, przecież modlitwa to modlitwa. No i kiedyś wieczorem mała Agnieszka klęka w domu do pacierza i słyszymy:

– *Unsere Vater...*

W latach siedemdziesiątych zaczęło się to masowe wyjeżdżanie do Niemiec. Mówili, że do siebie jadą, dlatego zostawiali za bezcen wszystko, byle uciec do tego lepszego świata. Ale coś im chyba powietrze nie pasowało, bo i ten Swatko, i Gustaw Wilimczyk to dość szybko zmarli. Mój kolega z zakładu silikatowego też pojechał, to nie mógł sobie tam miejsca znaleźć, wszędzie tylko nazywali go „Polakiem”. I popadł w alkoholizm. Wydawało im się, że tam będzie bardzo dobrze. Erich Rynio wyjechał z całą rodziną. Młodym poszło dużo łatwiej z tą aklimatyzacją. Złapali szybko język niemiecki, prędzej mogli zaakceptować inną mentalność i prędzej ich akceptowano. Wielu z tych, którzy stąd wyjechali w latach siedemdziesiątych, to już się potem tutaj nie zjawili.

Z atrakcji w Piszku pamiętam też kino. Było kino objazdowe przy Domu Kultury, które prowadził Mieczysław Bikowski i jeden Mazur, którego nazwiska nie pamiętam. Jeździli po wsiach z seansami. Ale był to też kino stacjonarne, w miejscu, które do dziś ludzie nazywają „pod kinem”, choć przecież od dawna już zostało ono zlikwidowane. Kino Stolica powstało, zanim ja do Piszka się sprowadziłem. Do kina trudno się było dostać! A jak jeszcze puszczały jakiś film z Zachodu, to żeby bilet dostać, trzeba było mieć znajomości! Rano w niedzielę to były takie poranki dla dzieci o dziewiątej. A zawsze po południu były dwa seanse kinowe. Wszystkie miejsca zajęte, a jeszcze i z boku ludzie stali. Pamiętam, był taki francuski film pt. *Poznane nocą*<sup>13</sup>, to ludziom na podstawie tytułu się zdawało, że nie wiadomo, o czym ten film będzie! Inny film, który zapamiętałem, ale z innego całkiem powodu, to *Krzyżacy* w reżyserii Aleksandra Forda<sup>14</sup>. Mieli go grać w piskim kinie 30 października 1960 roku, a ja tak strasznie żałowałem, że nie będę mógł obejrzeć, bo 29 października musiałem się stawić w jednostce wojskowej, gdzie odbywałem służbę zasadniczą. Ale niestety, służba nie drużba, musiałem aż do Gliwic pędzić.

Pamiętam jeszcze, że przed wieczornymi seansami kinowymi to po rynku krążyły takie „trójki” szkolne. Dwie osoby z komitetu rodzicielskiego i nauczy-

<sup>13</sup> Film z 1953 r. w reżyserii Ralpha Habiba.

<sup>14</sup> Premiera filmu *Krzyżacy* w Warszawie odbyła się w sierpniu 1960 r.

ciel. Jak któryś z uczniów przy kinie się kręcił i chciał się dostać na film o późnej porze albo na film dla wyższej kategorii wiekowej, to go wyprowadzano z sali i oddawano w ręce takiej „trójki”. A „trójka” już odprowadzała biedaka do domu. Potem pewnie były jakieś konsekwencje – uwaga w dzienniczku albo do szkoły rodzica wzywano, że dziecko o późnej porze wałęsa się po ulicy.

Po powrocie z wojska już nie wróciłem do poprzedniej firmy. Zacząłem pracować w cegielni. Początkowo podlegaliśmy pod dyrekcję w Giżycku, potem w Biskupcu, potem pod Olsztyńskie Zakłady Silikatowe Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych, aż w końcu zmienili nazwę na Olsztyńskie Zakłady Ceramiki Budowlanej. Podlegały im wszystkie zakłady z województwa, w tym także nasz zakład produkujący cegłę silikatową. W skrócie mówiliśmy, że to Piskie Silikaty. Przez wiele lat wybierała mnie załoga do tak zwanej Konferencji Samorządu Robotniczego<sup>15</sup>. Każda załoga w województwie wybierała swojego przedstawiciela. Ale co tam ci ludzie mieli do powiedzenia? Główny księgowy prezentował dane ekonomiczne, potem zabrał głos dyrektor i potem dyskusja – co zrobić, żeby było lepiej? No tam były wnioski załóg, ale nie każdy umiał ten głos zabrać, więc te KSR to były często takie martwe ciała. Ja zwykle jakiś głos zabierałem, bo ten nasz zakład był zawsze na wysokim poziomie. We współzawodnictwie produkcyjnym często pierwsze miejsce zajmowaliśmy. U nas się nieźle zarabiało, bo w pewnym momencie to mieliśmy nawet stawki ustalone przez dyrektora całego zjednoczenia, za te właśnie osiągnięcia.

Naszym kierownikiem, chyba od 1964 roku, był Bolesław Ligiejko. Pochodził gdzieś z Kresów. Dobrze zakład prowadził, ale on był z tych podejrzanych przez władzę. Po wojnie represjonowano go za przynależność do WiN<sup>16</sup>, chociaż on sam twierdził, że to była nieprawda, że mu to przypisano. Zakład zajmował pierwsze miejsce, a Ligiejko miał najniższe pobory. Jak go z wojska zwolnili po wojnie, to nie mógł nigdzie pracy dostać. Wynajął się w Stawigudzie, wózki z ceglami popychał, a że był facet bystry, to kierownik tamtej cegielni, Mazur, Dąbrowski, wziął go do pracy w biurze. I po jakimś czasie przysłali go do Pisza na stanowisko kierownicze. Trzeba stwierdzić, że organizator był niesamowity, ale potem zniechęcił się, bo zrozumiał, że te jego starania nie mają u dyrekcji żadnego odzwierciedlenia, jeśli chodzi o zarobki dla niego. Gdzieś w okolicach 1974 roku poprosił, żeby go zdjęli z tej funkcji kierowniczej i pracował odtąd jako

---

<sup>15</sup> Konferencje Samorządu Robotniczego (KSR) – organa samorządu pracowniczego, utworzone w 1958 r. w PRL na fali zmian związanych z odwilżą październikową. Bardzo szybko stały się organem fasadowym.

<sup>16</sup> Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość (WiN) – utworzona we wrześniu 1945 r. poakowska organizacja konspiracyjna, której celem było przeciwdziałanie komunistycznemu terrorowi i propagandzie.

zwykły robotnik aż do przejścia na emeryturę. Jak się nieraz rozgadał, to sporo można było posłuchać o czasach wojny... Z Karagandy jechał pod wagonem, żeby się dostać do wojska. Przypiął się paskiem, żeby nie wypaść pod koła pociągu. Okrutnie wtedy zmarł. Ale nie zdążył do Andersa<sup>17</sup>, tylko trafił do Sielc<sup>18</sup>. U kościuszkowców przeszedł trzymiesięczny kurs i został podporucznikiem, razem z towarzyszem Wojciechem Jaruzelskim. Wtedy to opowiadał mi, że Jaruzelski był dziwnym żołnierzem. Nie miał jakoś specjalnie kolegów. Co kilka dni na jakiś czas znikał, potem znów się pojawiał. Mówił to wszystko w wielkiej tajemnicy:

– Jak już mnie nie będzie, to możesz to przekazać innym.

Rok 1970 pamiętam dobrze, między innymi dlatego, że brat żony pracował wtedy w Stoczni Gdańskiej. Pewnego grudniowego dnia<sup>19</sup> zjawił się nagle w Pissu, wystraszony. Opowiadał o zamieszkach, o tym, jak strzelali do ludzi z helikoptera. Gdzieś tam się ukrył, przeczekał kilka godzin i pierwszym nadarżającym się pociągiem wrócił do Pissu. Pracował tu aż do przejścia na emeryturę.

U nas w Silikatach do pewnego momentu do PZPR chyba tylko jeden pracownik należał, który zawsze na zebraniach wypowiadał się w imieniu partii. Jeśli ktoś jeszcze, to może się nie przyznawał. A potem ktoś z władz zaczął nakłaniać kierownika Ligiejkę, że u niego w zakładzie powinna powstać silna organizacja partyjna. No to się zapisali – majster, magazynier, kierownik. Jeśli dobrze pamiętam, to oni nawet nie płacili składek, tylko Ligiejko za nich płacił, żeby utrzymać formalnie istnienie organizacji partyjnej w zakładzie. A jak przestał być kierownikiem, to przestał płacić i za innych, i za siebie. I rozwiązało się chyba wszystko? Wydaje mi się, że po 1975 roku to już partii w zakładzie nie było. Istniał natomiast związek zawodowy. Ja od czasu do czasu byłem wybierany na przewodniczącego. A jak Solidarność powstawała, to Waldek Bergman się w to zaangażował. Też w pewnym momencie wyjechał do Niemiec. Ludzie bardzo entuzjastycznie zareagowali w zakładzie na powstanie Solidarności. Najgorzej zareagował majster, który potem nawet został kierownikiem zakładu. Może nie za bardzo umiał pisać, ale miał praktykę i po objęciu tego stanowiska dobrze się starał. Ale Solidarności się przestraszył.

---

<sup>17</sup> Władysław Anders (1892–1970) – generał broni Wojska Polskiego, dowódca Armii Polskiej w ZSRR, wyprowadzonej w 1942 r. na Bliski Wschód, następnie II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych w latach 1944–1945, następca Prezydenta RP w latach 1950–1954.

<sup>18</sup> Sielce nad Oką (ZSRR) – w 1943 r. miejsce formowania Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, podporządkowanej ZSRR.

<sup>19</sup> W dniach 14–22 grudnia 1970 r. w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie i Elblągu doszło do protestów robotniczych przeciwko podwyżce cen. Protesty zostały brutalnie stłumione przez MO i ludowe WP. Według oficjalnych danych zginęło 41 osób, rannych zostało ok. 1160 osób, zatrzymano ok. 3000 protestujących.



## JANUSZ CHMIELEWSKI

Urodziłem się w 1951 roku w Pisz, ale korzenie moje sięgają Lachowa niedaleko Kolna. Tam dziadek Władysław Chodnicki, rocznik 1905, w okresie międzywojennym był dowódcą organizacji paramilitarnej – Strzelców, w której młodzi chłopcy przechodzili podstawowe przeszkolenie wojskowe.

I dlatego właśnie 19 września 1939 roku, już kilka dni po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski, dziadek został aresztowany przez NKWD<sup>1</sup> i przewieziony do Łomży. Nikt z rodziny nie wiedział przez dłuższy czas, co się stało z głową rodziny, aż dopiero pocztą pantoflową dotarła do Lachowa informacja, że dziadek czeka na rozprawę w więzieniu w Łomży. Na jaką rozprawę? Jakie popełnił przestępstwo? Zaczęły się wyprawy do Łomży, żeby się czegoś konkretnego dowiedzieć. Pewnego razu pojechała do Łomży moja matka i stanęła pod więzieniem z nadzieją, że może gdzieś za tymi blendami zakrywającymi więzienne okna, chociaż jego rękę zobaczy. Wtedy któryś z sowieckich żołdaków podszedł do niej i powiedział tylko:

– Diewoczka, czewo ty źdiosz? Twój ociec dawno użę na Sybire. Nie prichodi siuda bolsze!<sup>2</sup> – No i wtedy matka się rozplakała, wróciła do domu.

Tymczasem zaczęło się zwykłe sowieckie urzędowanie. Co jakiś czas kogoś wywozili, aż nadszedł moment, gdy zabrali się za pozostałą część naszej rodziny. Przyszli w czerwcu 1941 roku. NKWD zabrało wszystkich, którzy byli w domu, i wywieźli na Wschód. Po drodze zostali rozdzieleni. Młodszych powieźli aż nad jezioro Bajkał, a mamę – miała wtedy siedemnaście lat – do prac w kołchozie, potem przy wyrębie lasu. To była strasznie ciężka praca w okropnych warunkach. W Snopkach mieszka inny zesłaniec, Kazimierz Marusa, który to pomógł mojej matce załatwić pracę w cukrowni w miejscowości Barnauł. Pracowała przy myciu buraków, które zwożono z kołchozowych pól. A Marusa zwoził te buraki z odległości mniej więcej dwudziestu kilometrów. Mieszkał w miejscowości Topczicha.

<sup>1</sup> Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł (NKWD) – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, organ centralny w Rosji Sowieckiej (Związku Radzieckim) pełniący funkcje policji politycznej.

<sup>2</sup> Dziewczyno, czego tu szukasz? Twój ojciec już dawno na Syberii. Nie przychodź tu więcej!

Mama wróciła do Polski dopiero w 1946 roku, po sześciu latach zesłania w Związku Sowieckim razem z rodziną Kazimierza Marusy. On sam wspominał 2012 roku w rozmowie ze mną: „Wróciliśmy do Polski w czerwcu 1946 roku, nas cała rodzina – dziewięć osób i dużo znajomych, z którymi pracowaliśmy [...]. Koleją dojechaliśmy do Grajewa, a stamtąd kto jak mógł do domu. Szliśmy pieszo aż za Szczuczyn, a z nami twoja matka [...]. Nikt nie miał po nas przyjechać, bo jak? Rozstaliśmy się z twoją matką, bo ktoś jechał w tamtą stronę, skąd matka pochodziła. Rodzice z nami powrócili na ojcowiznę. Ja potem znalazłem pracę w PGR w Liskach koło Pisz i tam pracowałem na traktorze, a potem trafiłem do PGR w Kaliszkach”.

Moja mama w rodzinnych stronach zastała same zniszczenia. Gospodarstwo było zdewastowane. Dach stodoły załamany, konie i inwentarz zabrali Rosjanie... Ludzie czasem sami ciągli tę soszkę<sup>3</sup> czy lekki pług, żeby tej ziemi trochę uprawić. No i mama zaraz po powrocie zaczęła szukać jakiegoś sposobu, żeby gdzieś podjąć pracę. I tak jeszcze w 1946 roku trafiła do Pisz. Miasto było zniszczone bardzo, lokalne władze szukały ludzi do każdej roboty. I tej fizycznej, przy odbudowie, i tej umysłowej, w urzędzie. Mama podjęła najpierw pracę w PZGS. Potem przeszła do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego<sup>4</sup>, następnie zaczęła pracować w Referacie Wojskowym, aż wreszcie jesienią 1948 roku rozpoczęła pracę zawodową w Nadleśnictwie Pisz, które do końca lat osiemdziesiątych miało swoją siedzibę przy ulicy Dworcowej, w takim starym budynku, przekazanym następnie na potrzeby nowej parafii Świętego Józefa. Ale to już było po upadku komuny. Zanim wybudowano tam nowy kościół, to w tym budynku nawet kaplica była. No i właśnie w tym starym budynku nadleśnictwa mama pracowała przez te wszystkie lata.

Wcześniej jednak, podczas epizodu zatrudnienia w Referacie Wojskowym, w 1948 roku poznała swego przyszłego męża. Po prostu przyszedł załatwiać jakieś sprawy i tak się spotkali. Tato, Eugeniusz Chmielewski, pochodził ze Lwowa. Był tam w partyzantce, więc jak polskie kresy południowo-wschodnie zajęli Sowieci, to nie miał tam czego szukać. Przyjechał na Mazury, bo tu chciał zatrzeć ślady swej przeszłości w AK. Poznał mamę i w połowie sierpnia 1949 roku zawarli związek małżeński.

Miesiąc wcześniej wrócił z „sowieckiego raj” dziadek Władysław. Gdy został aresztowany we wrześniu 1939 roku, skazano go na dziesięć lat łagru

---

<sup>3</sup> Socha – dawne drewniane narzędzie rolnicze służące do orki.

<sup>4</sup> Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) – instytucja utworzona w Polsce w 1944 r. Jej zadaniem było organizowanie przesiedleń Polaków, którzy znaleźli się poza granicami kraju, do Polski oraz udzielanie tym osobom wsparcia w osiedleniu. W Pisz na czele PUR stał Konstanty Bryczkowski.



Budnek Nadleśnictwa Wilcze Bagno, następnie Nadleśnictwa Pisz. W latach dziewięćdziesiątych XX w. przekazany parafii św. Józefa (stan z 2013 r.)

i trafił do Archangielska. Ale gdy 30 lipca 1941 roku premier emigracyjnego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, generał Władysław Sikorski<sup>5</sup>, zawarł układ z sowieckim ambasadorem w Londynie Iwanem Majskim<sup>6</sup>, na mocy którego Polacy siedzący w więzieniach mieli zostać amnestionowani, by wstąpić do polskiego wojska, dziadek za wszelką cenę próbował wyrwać się z łagru. Ale do Andersa nie zdążył. Poszedł więc do Berlinga<sup>7</sup>. Pieszko szedł do tych słynnych Sielc nad Oką, gdzie tworzyła się Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Zawsze mówił, że to było polskie wojsko tylko z pozoru, bo cała wyższa kadra dowódcza była sowiecka. W październiku 1943 roku bił się pod Lenino<sup>8</sup>, o której to bitwie opowiadał, że to była rzeźnia, a nie chrzest bojowy. Przeszedł cały szlak bojowy od Lenino do Berlina. Tam został trzykrotnie ranny, trafił do

<sup>5</sup> Władysław Sikorski (1881–1943) – generał Wojska Polskiego i polityk. W latach 1939–1943 premier Rządu Polskiego na Uchodźctwie i Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych. Zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem.

<sup>6</sup> Układ Sikorski–Majski ustanawiał na nowo stosunki dyplomatyczne między Polską a ZSRR.

<sup>7</sup> Zygmunt Berling (1896–1980) – w czasie I wojny światowej żołnierz Legionów Polskich, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, generał broni Wojska Polskiego, od 1943 r. dowódca polskich formacji wojskowych tworzonych początkowo w miejscowości Sielce (ZSRR) pod auspicjami Związku Patriotów Polskich i pod kontrolą Sowietów. Komendant Akademii Sztabu Generalnego, po II wojnie światowej członek PZPR, wiceminister leśnictwa, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej i Polskiego Związku Łowieckiego.

<sup>8</sup> Lenino – wieś na Białorusi, miejsce bitwy stoczonej 12–13 października 1943 r. pomiędzy tworzoną w ZSRR Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki a Wehrmachtem. Dywizja poniosła ogromne straty – 510 żołnierzy zostało zabitych, 1776 rannych, a 776 dostało się do niewoli niemieckiej lub zostało uznanych za zaginionych, co stanowiło ok. 25% całego stanu osobowego jednostki. Przez komunistyczną propagandę bitwa była przedstawiana jako wielki sukces i chrzest bojowy wojsk Berlinga.

lazaretu. A kiedy wyzdrowiał, trafił akurat na moment, kiedy część oddziałów Armii Czerwonej wracała z Niemiec. Przypomnieli sobie o dziadku, że nie skończył wyroku i z szeregów polskiego wojska zabrali go z sobą do ZSRR. Brakującą część wyroku odpracował w kopalniach w Workucie. Pozwolili mu wrócić właśnie w 1949 roku. Jako pamiątkę ze Związku Sowieckiego przywiózł astmę.

Pierwsze moje dziecięce wspomnienia to najścia ubeków. Ojciec pracował na początku w różnych zakładach, m.in. był kierownikiem restauracji Stokrotka w piwnicach ratusza<sup>9</sup>, potem kierował masarnią. Czy to przez nich zmieniał miejsca pracy? Wciąż mam w oczach obraz przychodzących do domu na ulicy Dworcowej „dziwnych panów”. Ojca wyzywali od bandytów, robili przeszkania. Pamiętam, jak przyszli po ojca w długich, czarnych płaszczach, wyglądali podobnie jak dziś pokazuje się na filmach gestapowców. Zachowywali się w sposób skandaliczny, bili ojca, katowali. A potem go zabierali. Od stania po kolana w wodzie w piwnicy miał całe sine nogi. Najdłużej, bo przez półtora roku, siedział w Osowcu.

Działo się tak, gdy zamieszkaliśmy na ulicy Moniuszki i wcześniej, gdy mieliśmy lokum na ulicy Dworcowej. Stał tam taki czerwony budynek, gdzie dzisiaj jest dworzec autobusowy. Tam się osiedlił dziadek i w końcu rodzice zamieszkali z dziadkiem. Warunki były nienajlepsze. Rodzice chowali dwie krowy, owce.

Szarpanie ojca skończyło się dopiero wtedy, gdy Władysław Gomułka<sup>10</sup> doszedł do władzy. W ten sposób odczułem w Polsce zmianę związaną z przełomem październikowym, bo ojca już nie aresztowali, choć jeszcze przez jakiś czas wzywali na przesłuchania.

Ale w szkole nadal nie można było nic powiedzieć, gdy 1 września była obchodzona rocznica napaści Niemiec na Polskę, a ja wiedziałem z opowieści rodziców i dziadka, że byli jeszcze Rosjanie. Dziadek nauczył się na zesłaniu strasznie przeklinać, więc pamiętam, że gdy słyszał takie rzeczy, to zawsze reagował nerwowo:

– Co oni pier..., te sk...syny, lżą! A gdzie to, co namordowali ruscy Polaków? Wnuczku, nie słuchaj, bo to wszystko obłuda, kłamstwo... Na Syberii to na wczasach się znalazłem? A to sk...syny!

<sup>9</sup> W piwnicach ratusza, gdzie dzisiaj mieści się Muzeum Ziemi Piskiej, przed wojną była restauracja Ratskeller.

<sup>10</sup> Władysław Gomułka (1905–1982) – polityk, działacz komunistyczny, I sekretarz KC PPR (1943–1948), I sekretarz KC PZPR (1956–1970), poseł na Sejm Ustawodawczy oraz na Sejm PRL czterech kadencji. Pod koniec lat czterdziestych odsuwany od wpływu na decyzje polityczne, w latach 1951–1954 więziony pod zarzutem „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”. Wrócił do władzy w 1956 r. na fali tzw. przełomu październikowego, rozbudzając ogromne nadzieje na demokratyzację życia w Polsce.

Do szkoły poszedłem do Jedyńki, wtedy była to ulica Żymierskiego. Uczyli mnie państwo Włodzimiera<sup>11</sup> i Roman Kozyrowie<sup>12</sup>, wychowawczynią była Irena Wrona<sup>13</sup>, uczyła pani Ćwiek<sup>14</sup>, pan Szłyk<sup>15</sup>, przez pewien czas będący dyrektorem. Chodziłem tam do klasy szóstej, a wyższe klasy to były już przy liceum.

Mój ojciec biegle znał niemiecki i zawsze zazdrościłem, że on tak płynnie potrafił się po niemiecku porozumieć z niektórymi rodzinami. A tych rodzin było wiele – Kern, Ruschmann i inni. Z Piotrem Kernem chodziłem do jednej klasy, a ponieważ była z niego taka niespokojna dusza, to nam było po drodze. Wiem, jak niektórzy koledzy taktowali Piotra: „Ty szwabie”. A mnie, ponieważ się z nim zadawałem, nazywali volksdeutschem. Ojciec Piotra był Austriakiem, pracował jako fryzjer „pod kasztanem” na ulicy Dworcowej, a mama była Niemką. Mieli liczną rodzinę, samym chłopców było siedmiu. W 1965 roku wyjechali do Niemiec. Piotr przed wyjazdem cieszył się, że wyjedzie „do Reichu”, a potem, kiedy pierwszy raz przyjechał do Polski, to było chyba w 1969 roku, to mówił, że tu był uważany za Szwaba i do tego się nawet przyzwyczaił, bo w końcu rodzice nie byli żadnymi Mazurami, tylko rodziną niemiecko-austriacką. A kiedy pojechał tam, to również w Niemczech jest traktowany jak obcy, jak Polak. Innym razem przyjechał już z żoną, to mówił, że sam już nie wie dokładnie, kim jest...

Zawsze ogromne znaczenie miał dla mnie Kościół. Pamiętam księdza Kazimierza Batowskiego<sup>16</sup>, u którego zaczynałem służbę ministranta. A najbardziej

---

<sup>11</sup> Włodzimierz Kozyra (ur. w 1917 r.) – w latach 1937–1939 nauczycielka szkoły powszechnej w Medurze w powiecie halickim (obecnie Ukraina). Po wojnie pracowała w gimnazjum w Bełzie. W latach 1947–1972 nauczycielka geografii w szkole podstawowej, w liceum oraz w liceum dla pracujących w Piszu.

<sup>12</sup> Roman Kozyra (ur. w 1913 r.) – absolwent Wyższej Szkoły Handlowej w Krakowie. Od 1936 r. pracował jako nauczyciel w prywatnej Szkole Handlowej w Sokalu, województwo lwowskie. Po wojnie w latach 1945–1947 organizował Gimnazjum w Bełzie. Od 1947 r. pracował w Piszu jako nauczyciel w szkołach podstawowych, średnich i dyrektor Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących, zorganizowanego pod auspicjami Związku Spółdzielni Samopomoc Chłopska i Związku Nauczycielstwa Polskiego (w 1952 r. liceum zostało upaństwowione). W szkole istniały klasy zamknięte dla funkcjonariuszy MO i UB oraz zawodowych wojskowych z Orzysza. Członek PZPR.

<sup>13</sup> Irena Wrona (ur. w 1935 r.) – ukończyła Liceum Pedagogiczne w Mrągowie i od 1954 r. rozpoczęła pracę w Szkole Podstawowej nr 1 w Piszu.

<sup>14</sup> Anastazja Ćwiek (ur. w 1914 r.) – podczas II wojny światowej prowadziła tajne nauczanie. W latach 1945–1953 uczyła w szkołach podstawowych w powiecie ostrołęckim. Od 1953 r. kierowała szkołą podstawową w Puchlinie, w latach 1957–1973 uczyła w Piszu.

<sup>15</sup> Wojciech Szłyk (ur. w 1920 r.) – w latach 1939–1941 pracował w Grajewie, po napaści Niemiec na ZSRR prowadził tajne nauczanie. Od 1947 r. pracował w szkołach powiatu piskiego. W 1950 r. został kierownikiem Szkoły Podstawowej dla Pracujących w Piszu, od 1959 r. był kierownikiem Szkoły Podstawowej nr 1 w Piszu. W 1950 r. ukończył wyższy kurs nauczycielski w Olsztynie. Przez kilka kadencji radny Miejskiej Rady Narodowej w Piszu.

<sup>16</sup> Ksiądz Kazimierz Batowski (1910–1995) – w 1937 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk biskupa łuckiego, w 1947 r. przybył do diecezji warmińskiej, w latach 1957–1962 proboszcz w Piszu.



zachowałem w pamięci mego wielkiego przyjaciela, człowieka o wielkim sercu, księdza prałata Bolesława Winkla<sup>17</sup>. Był wybitnym duchownym. Nie było łatwo pogodzić rozległość parafii, wiele dojazdów do wsi, gdzie się odprawiało msze, z obciążeniami wynikającymi ze specyfiki systemu, w którym przyszło żyć księdzu. Winkiel był niesamowicie kulturalny, powściągliwy w wydawaniu opinii. Potrafił osiągać swoje bez budowania konfliktów, potrafił nawet dogadać się z ówczesną władzą.

Za jego czasów kończyłem maturę, podjąłem decyzję o pójściu do seminarium, jego radziłem się w sytuacjach trudnych, także wtedy, gdy ważyła się decyzja o odejściu z kapłaństwa. Był przy moich święceniach, przy mszy prymicyjnej. Najważniejsze rozmowy z nim przeprowadzałem, można nawet powiedzieć, że w pewnych sytuacjach zastępował mi ojca, którego straciłem przedwcześnie. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem w Wyższym Seminarium Duchownym. Przyczyna była jak najbardziej prozaiczna, podczas budowania domu zakuł się gwoździem i dostał zakażenia.

W 1978 roku otrzymałem święcenia kapłańskie. Przed święczeniami, byłem na drugim bądź trzecim roku seminarium duchownego w Olsztynie, gdy dostałem wezwanie do „czerwonego” budynku w Olsztynie, gdzie była Komenda Milicji Obywatelskiej. Powiedziałem o tym wezwaniu rektorowi i poszedłem z kolegą, żeby mieć świadka. Mój rozmówca w Komendzie MO, jak się domyślam funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, miał wygląd odrażający i podobnie się zachowywał. Groził, że mogą mi cofnąć maturę, bo oni mają informację, że matury w Piszcu były „załatwiane”. Odparłem, że mnie to nie dotyczy i nigdy o tym nie słyszałem. Potem rozmawiał o ojcu, wypytywał o niego, a potem zaczął wykrzykiwać, że ojciec był bandytą. Odparłem, żeby mnie nie zastraszał, a on na to:

– My możemy pomóc, ale możemy też zaszkodzić. Ma pan matkę, brata...

To była próba werbunku, którą szczęśliwie udało mi się przetrwać...

Kilka lat później odszedłem z kapłaństwa. Było to 1 czerwca 1985 roku. Powody były najzupełniej osobiste. Miałem do wyboru – albo pozostać czynnym księdzem, albo podjąć trudną decyzję i założyć rodzinę. Ale po rozmowie z biskupem Julianem Wojtkowskim, który był moim wykładowcą w seminarium i też wiele mu zawdzięczam, uzyskałem dyspensę od celibatu, bo on wystąpił do papieża w tej sprawie. Dzięki temu w 1993 roku mogłem zawrzeć związek małżeński.

---

<sup>17</sup> Ksiądz Bolesław Winkiel (1913–1986) – w 1941 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa wileńskiego, od 1946 r. w diecezji warmińskiej, administrator parafii w Wydminach, a w latach 1962–1986 proboszcz parafii w Piszcu.

Lata osiemdziesiąte... To okres nadziei związanych z narodzinami Solidarności i okres rozczarowań spowodowanych stanem wojennym. Kiedy w tym czasie zaczęło być głośno o działaczu opozycji Bronisławie Geremku<sup>18</sup>, mama zaczęła opowiadać, że jego ojczym<sup>19</sup> był pod koniec lat czterdziestych starostą w Pisz. Określała go jako znakomitego pana, ładnie ubranego, dostojnego, który mieszkał razem z usynowionym Bronkiem i jego matką. Mieszkali koło szpitala. Jakiż to zbieg okoliczności, że w 1989 roku właśnie Bronisław Geremek kandydował do okrągłostołowego sejmiku z ramienia Komitetu Obywatelskiego z ówczesnego województwa suwalskiego, do którego należał wówczas Pisz. Przyjechał wówczas do Pisz na spotkanie z wyborcami. Czy wspominał swój piski epizod przy okazji?<sup>20</sup>

W tym czasie zaangażowaliśmy się z mamą w działalność Związku Sybiraków<sup>21</sup>. W Nadleśnictwie Pisz przez wiele lat współpracował z mamą pan Zdzisław Ciotrowski. Też był na Syberii, lecz nigdy o tym nie opowiadał, mimo iż tyle lat pracowali razem w jednym pokoju. Nigdy nie mówili na ten temat! Aż w 1988 roku rozeszły się słuchy, że w Warszawie Irena Głowacka<sup>22</sup> chce reaktywować Związek Sybiraków, który działał już przecież przed wojną. I wtedy tutaj obydwójce nagle się porozumieli. I tak od 1989 roku zaczęli organizować w Pisz Związek Sybiraków. Okazało się, że dawnych zesłańców mieszka w Pisz i okolicach bardzo dużo. Na początku związek liczył w powiecie ponad trzystu członków! Ale czas działa nieubłaganie. Dziś piskich Sybiraków jest tylko czterdziestu siedmiu, z tego większość na stałe przykutych do łóżka... i wciąż nie wszyscy chcą rozmawiać o swoim dramacie.

---

<sup>18</sup> Bronisław Geremek (1932–2008) – właśc. Benjamin Lewertow; historyk i polityk, w schyłkowym okresie PRL działacz opozycji demokratycznej, doradca Solidarności i uczestnik rozmów tzw. okrągłego stołu, w czasie których część środowisk opozycyjnych porozumiała się z władzami PRL, w wyniku czego 4 czerwca 1989 r. przeprowadzono tzw. wybory kontraktowe do parlamentu. Było to jednym z głównych czynników mających wpływ na proces upadku komunizmu w Europie. Minister Spraw Zagranicznych w latach 1997–2000, przewodniczący Unii Wolności w latach 2000–2001, poseł na Sejm, od 2004 r. do śmierci poseł do Parlamentu Europejskiego.

<sup>19</sup> Stefan Geremek był starostą w Pisz w latach 1949–1950.

<sup>20</sup> Podczas kampanii wyborczej do tzw. sejmiku kontraktowego w 1989 r. Bronisław Geremek i Andrzej Wajda, kandydaci Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, uczestniczyli w spotkaniu z wyborcami w Pisz. Odwiedzili również Muzeum Ziemi Piskiej i wówczas Geremek rozpoznał zabytkową szafę w muzeum, która w 1949 r. miała stać w gabinecie jego ojczyma w Starostwie Powiatowym w Pisz.

<sup>21</sup> Związek Sybiraków działał w Polsce w latach 1928–1939. W okresie tzw. Polski Ludowej nie mógł podjąć legalnej działalności. Reaktywowany w 1988 r. na fali zmian, związanych z rozmowami tzw. okrągłego stołu.

<sup>22</sup> Irena Głowacka (ur. w 1926 r.) w czerwcu 1941 r. została wywieziona do Altajskiego Kraju, aby w 1945 r. powrócić z powrotem do Polski. Należała do grona inicjatorów odtworzenia Związku Sybiraków.



Urodziłem się w 1930 roku w Obrębcu, powiat Przasnysz. Po zakończeniu wojny zaczęły się odbywać takie nabory do szkół organizowane przez różne organizacje młodzieżowe, na przykład OM TUR<sup>1</sup>. W 1947 roku zapisałem się z młodszym bratem. Mój brat poszedł na szkołę papierniczą do Krapkowic koło Opola, tam była wytwórnia papieru. A ja zdecydowałem się na roczny kurs przysposobienia w szkole przemysłu drzewnego w Olszynie Lubańskiej, powiat Lubań. Dwa dni mieliśmy praktyki w zakładach meblarskich, bo tam były duże fabryki produkujące meble, a cztery dni normalnych szkolnych zajęć. Za tę szkołę nie płaciliśmy, dostawaliśmy przyrządy szkolne, ubrania, żywnienie, pranie, a w zamian, po skończeniu turnusu w sierpniu 1948 roku, trzeba było dwa lata odpracować w przemyśle. Odbywało się to w ten sposób, że przyjeżdżali przedstawiciele różnych firm i zachęcali do wyboru takiego czy innego przedsiębiorstwa. Ja miałem ochotę zostać w tej Olszynie Lubańskiej, bo trochę już poznałem miejsce, wiedziałem, na czym polega praca. Ale nas z Przasnysza było kilku chłopaków i oni zdecydowali się na Pisz, gdzie powstawała fabryka produkująca sklejkę<sup>2</sup>. Wy tłumaczono nam, że to kiedyś był Johannesburg, do Przasnysza tylko sto trzydzieści kilometrów, więc blisko do domu. Dlatego ja pojechałem razem z kolegami.

Przyjechaliśmy do Pisz pociągiem 8 sierpnia 1948 roku. Dworca nie było, w pobliżu stały tylko dwa wysokie, czerwone budynki. Z nami jechał przed-

---

<sup>1</sup> Organizacja Młodzieży Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego (OM TUR) – młodzieżowa organizacja związana z Polską Partią Socjalistyczną.

<sup>2</sup> Powstanie zakładu wiąże się z początkiem XX w. Utworzono zakład przemysłu drzewnego, w którym produkowano sklejke, tarcice, płyty stolarskie i pilśniowe. Pod koniec II wojny światowej fabryka została w większej części spalona. W 1945 r. zakład trafił pod zarząd Pomorskiego Zjednoczenia Przemysłu Drzewnego w Sopocie. Przejęcie na własność Skarbu Państwa nastąpiło w 1948 r. pod nazwą Mazurskie Zakłady Przemysłu Drzewnego z siedzibą w Olsztynie – zakład nr 4. Od 1 stycznia 1954 r. przedsiębiorstwo zmieniło nazwę na Mazurskie Zakłady Przemysłu Sklejek w Morągu (MZPS Morąg). W późniejszym czasie nazwę zmieniono na Piskie Zakłady Przemysłu Sklejek. Od 27 sierpnia 1996 r. przedsiębiorstwo przekształcono w spółkę akcyjną pod nową nazwą PAGED Sklejka.

stawiciel szkoły, przywiózł nasze dokumenty, które miał zostawić w zakładzie w ramach dwuletniego nakazu pracy.

Zakład zorganizował nam wyżywienie, nocleg, płacili nam jak normalnym pracownikom. Tym miejscem do spania to były takie cztery baraki za Teatrem Leśnym, na skraju lasu, nad rzeką. Tam zakwaterowano cały pierwszy kurs junaków, który wtedy liczył osiemdziesięciu młodych ludzi. W tych barakach pod ścianami były ustawione prycze. Wszystko to było niemieckie. Kiedyś musiał się w tym obiekcie znajdować jakiś obóz Hitlerjugend<sup>3</sup> czy innej organizacji<sup>4</sup> prowadzącej jakieś szkolenia. Nawet zachował się wtedy niemiecki maszt, na który wciągano flagę. Ale nam te warunki nie bardzo odpowiadały, więc się trochę zbuntowaliśmy i nam porobili ze sklejki takie ścianki działowe, wydzielając mniejsze izby na dwadzieścia – dwadzieścia pięć osób. A na czas tego remontu przenieśli nas na miesiąc do Teatru Leśnego.

Wydaje mi się, że pierwszym naszym opiekunem, czy może raczej przełożonym junaków z ramienia Sklejki, był taki K. Zapamiętałem go, bo on wziął dla nas z kasy odprawę, żeby kupić nam buty czy coś, ale te pieniądze zdefraudował. Złapali go i potem była wielka publiczna rozprawa, która odbywała się w Teatrze Leśnym. Był prokurator i sędzia, wielka afera.

Sklejka w tym czasie jeszcze się budowała<sup>5</sup>. Z niemieckiego zakładu to w tym czasie pozostała kotłownia, warsztat mechaniczny, warsztat elektryczny, niskie budynki z biurami i zakładową strażą pożarną. Inne obiekty musiały być wcześniej popalone, na skutek działań wojennych. A gdy przyjechaliśmy w sierpniu, to kończono budowę hali głównej i hali płyt. Stał też nowy magazyn wyrobów gotowych.

Po miesiącu odbyło się oficjalne otwarcie odbudowanego zakładu. To był koniec września 1948 roku, kiedy zorganizowano wielką uroczystość. Przyjechał nawet wojewoda olsztyński, Mieczysław Moczar<sup>6</sup>, wszędzie było mnóstwo

---

<sup>3</sup> Hitlerjugend – organizacja młodzieżowa w III Rzeszy, oddziałująca ideologicznie w duchu nazizmu na masy członkowskie. Organizacyjnie związana z NSDAP.

<sup>4</sup> Najprawdopodobniej był to obóz RAD (niem. Reichsarbeitsdienst, pol. Służba Pracy Rzeszy) – organizacja paramilitarna w III Rzeszy, w której od 1935 r. musieli odbyć półroczne przeszkolenie i pracę na rzecz państwa wszyscy mężczyźni (a od 1939 r. także kobiety) w wieku 18–25 lat. Często świadczyła prace na rzecz Wehrmachtu.

<sup>5</sup> Decyzja o odbudowie fabryki produkującej w Piszu sklejkę zapadła w 1946 r. Przez pierwsze lata zmieniło się dwunastu dyrektorów w zakładzie i chociaż ruszyła produkcja, to duży wpływ na rozwój firmy miał dyrektor Mieczysław Szlachetko, który rozpoczął pracę w styczniu 1949 r. Zob. B. Szulc-Chojnicka, *Mieczysław Szlachetko*, „Znad Pisy” 2002, nr 11, s. 294–297.

<sup>6</sup> Mieczysław Moczar, właśc. Mykoła Demko (1913–1986) – działacz Komunistycznej Partii Polski, powiązany z sowieckimi służbami. W czasie wojny działał w Gwardii Ludowej/Armii Ludowej związanej z PPR. Po 1945 r. członek KC PPR/KC PZPR, generał dywizji KBW, wysoki funkcjonariusz aparatu represji, Minister Spraw Wewnętrznych. Formalnie od 9 października

milicjantów, ubeków, straży przemysłowej, żeby zapewnić ochronę. Do wzmocnienia obstawy wykorzystano także nas, junaków, bo my przecież byliśmy skoszarowani, mieliśmy zielone mundury i furażerki. Ja widziałem Moczara wtedy osobiście, bo akurat miałem przydział do pilnowania od strony starej portierni, a on szedł w mundurze generalskim przez tory w kierunku magazynu. Jakieś trzydzieści metrów ode mnie.

W pracy były i dobre i trudne chwile. Do Sklejki często zachodzili funkcjonariusze UB. Przychodzili z bronią, wszędzie wietrzyli sabotaż. A potem przedstawiciel Urzędu Bezpieczeństwa miał swoją siedzibę w Sklejce. Oni się zmieniali, ale pamiętam, że wśród nich był Leszczyński, Jóźwik, Banasiewicz i pewnie jeszcze kilku innych. Nawet miałem z nimi wątpliwą przyjemność. Pracowałem jako prasowy, to znaczy robiłem na prasie razem z pomocnikiem. No i na chwilę zostawiłem tego pomocnika, żeby pójść na posiłek, a w tym czasie coś tam się zepsuło. Wracam, a tu już mnie wołają do Leszczyńskiego, a ten mnie wypytuje, rozmawia i przy okazji czyści broń. Nie wiem, czy to na pokaz, czy żeby mnie zastraszyć?

Mówiło się wtedy, że „wróg nie śpi” albo „wróg czuwa”. Ciągłe zebrania agitacyjne organizowali i załodze wkładali do głowy, że „wszędzie są wrogowie klasowi”. No i kiedyś w nocy jeden ze straży przemysłowej zasnął na warcie. Dowódca warty go zobaczył, cichutko z innym strażnikiem podeszli i znienacka złapali go za ręce, a ten chłopina krzyczy:

– O Jezu! Panowie! Ratunku, wróg klasowy mnie dusi!

Skoszarowani w barakach byliśmy przez dwa lata. W 1951 roku ożeniłem się i w tym czasie powstał Dom Młodego Drzewiarza Sęk jako hotel dla junaków. Bo wprawdzie nasz nakaz pracy się skończył, ale jeszcze przez kilka lat przyjeżdżali następni junacy. A ja zamieszkałem z żoną w takim długim baraku przy ulicy Kwiatowej, gdzie Sklejka przygotowała niewielkie mieszkania dla młodych małżeństw zatrudnionych w fabryce. Z tego baraku przenieśliśmy się

---

1948 r. wojewoda olsztyński, przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie (do 1952 r.), następnie w Białymstoku i Warszawie. W latach sześćdziesiątych współodpowiedzialny za antysemityzm w PZPR i PRL, prezes Najwyższej Izby Kontroli, członek władz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Zob. K. Lesiakowski, *Mieczysław Moczar „Mietek”*. *Biografia polityczna*, Warszawa 1998.



do bloku przy ulicy Gdańskiej. Tam stoją dwa bloki, jeden był magistracki (przy ówczesnej Żymierskiego), a drugi właśnie wybudowany czy odbudowany dla pracowników Sklejki. Tam mieszkaliśmy do 1959 roku, a 11 lipca 1959 roku dostaliśmy do zamieszkania jeden z domków, które Sklejka budowała, częściowo z gotowych elementów, dla swoich pracowników. Sześć takich budynków powstało przy ulicy Jagiełły, cztery przy ulicy Żeromskiego i dwa, trochę inne, murowane, przy ulicy Sikorskiego. To były domki dwurodzinne, więc dwadzieścia cztery rodziny miały gdzie mieszkać!

Ja dostałem tu mieszkanie, bo po skończeniu tego okresu junackiego, zastanawiałem się, czy zostać w Piszcu. I poszedłem do dyrektora Mieczysława Szlachetki, że nie mam gdzie mieszkać. A w Sklejce był wciąż problem ze znaczną zmiennością załogi. Ludziom było ciężko pracować, bo był duży rygor, praca nielekka, niektórzy w mieście to nawet nazywali nasz zakład, że to „getto”. Tu nie można sobie było wyjść w czasie godzin pracy na miasto. Dużo pracowników codziennie przywoziły samochody, które jeździły po Kurpiach i zbierały ludzi do pracy. Ale jak ktoś nie był związany z zakładem, to łatwo się wykruśzał, rezygnował, szukał czegoś lżejszego i lepiej płatnego. No a ja, jakby nie było, dwa lata przepracowałem. Przez ten czas czegoś się nauczyłem, kierownictwo poznało się na mnie. A przecież moja żona i jej rodzina też zatrudniona była w fabryce. Więc dyrektor uznał, że warto mnie zatrzymać.

– Słuchaj, nie będę dyrektorem, jeśli nie dostaniesz mieszkania w tym bloku, co teraz budujemy. Będę jeszcze budował domki. I jak pobudujemy, to dostaniesz w domku. – A trzeba powiedzieć, że Szlachetko to lubił nas, junaków. Lubił do nas przyjsć, kiedy jeszcze byliśmy skoszarowani, porozmawiać, popoglądać to, co przygotowaliśmy w świetlicy. To był w ogóle bardzo dobry szef.

Nasz zakład produkował przez te wszystkie lata bardzo szeroki asortyment. Sklejkę meblową i wodoodporną, która szła do stoczni na budowę statków, i sklejkę na wagony kolejowe, a to przecież nie wszystko. Produkowaliśmy też na eksport, między innymi do Anglii i do Niemiec, ale tu pośrednikiem było takie przedsiębiorstwo Paged. Pamiętam, jak kiedyś przyjechał przedstawiciel prywatnej firmy niemieckiej, syn właściciela. Chodził po zakładzie z dyrektorem Lekrzyckim i coś tam rozmawiali. A potem dyrektor śmiał się, że jak chodzili po kolejnych stanowiskach, to ten Niemiec mówił mu:

– O, ten stoi, już by u mnie nie pracował. I tamten już by nie pracował. Nic nie robi. – Tak oceniał wydajność pracy w socjalistycznym zakładzie.

Do PZPR w szczytowym okresie należało około dwustu pracowników. Sklejka wtedy miała etatowego sekretarza, który był wyznaczany przez Komitet Powiatowy. Przez jakiś czas był nim Opolski Bonifacy, nie jestem pewien imienia. Partia zawsze po swoim przedstawiała ważne momenty w historii. Pamiętam wydarzenia poznańskie w 1956 roku, o których partyjni mówili, że to wrogowie klasowi rozpętali. A jak Gomułka doszedł do władzy, to ludzie, tak jak w Warszawie, podeszli do niego początkowo z aplauzem. Ale potem też było różnie. Nie dało się już ukryć strzelaniny na wybrzeżu w grudniu 1970 roku, ani tych wydarzeń związanych z cofniętą podwyżką cen w czerwcu 1976 roku.

A kiedy zaczął się czas Solidarności to ludzie nawet zaczęli legitymacje partyjne oddawać. Na wydziale lignofolu kolega Tadeusz Pastuszewski zebrał legitymacje od wszystkich pracowników, bo wszyscy chcieli oddać, ale bali się to zrobić. Pogadać to ludzie chętnie gadali, a odważnych za wielu nie było. On potrafił się wychylić. Więc odniósł te legitymacje i o dziwo, nie było chyba żadnej reakcji ani ze strony partii, ani dyrekcji. Powstał Komitet Zakładowy NSZZ Solidarność, jego przewodniczącym był Jan Kozikowski<sup>7</sup>. W marcu 1981 roku, gdy w Polsce po kryzysie bydgoskim podjęto przygotowania do strajku generalnego, również w Sklejce powstał komitet strajkowy, w który zaangażował się między innymi Janek Sznajder. Sporo się wtedy działo w fabryce. Między innymi we wrześniu 1981 roku odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru sklejkowskiej Solidarności. Jak kilka miesięcy później Jaruzelski wprowadził stan wojenny, to esbecy go poszukiwali. A sztandar został ukryty u proboszcza Winkla. W tym czasie dyrektorem był już Jan Muzyka.

---

<sup>7</sup> Jan Franciszek Kozikowski (ur. w 1930 r.) – pracownik fabryki Sklejka w Pisz, przewodniczący KZ NSZZ Solidarność w zakładzie, internowany od 12 grudnia 1981 r. do 23 lipca 1983 r. Od czerwca 1983 r. przebywał w ośrodku internowania w Kwidzynie.

# **OGŁOSZENIE**

**KOMISJA ZAKŁADOWA  
NIEZALEŻNEGO SAMORZĄDNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO**



**przy Piskich Zakładach Przemysłu Sklejek w Pisz**

## **ZAWIADAMIA**

**że w dniu 27 września 1981 r. o godz. 11.30 w kościele parafialnym w Pisz, odbędzie się uroczystość**

# **POŚWIĘCENIA SZTANDARU**

**na którą serdecznie zapraszamy pracowników zakładu i społeczeństwo miasta Pisz.**

Komisja Zakładowa NSZZ  
„SOLIDARNOŚĆ”  
przy Piskich Zakładach Przemysłu Sklejek  
w Pisz

Pisz z. 1097 D. 10 (A-6)

Plakat informujący o uroczystościach poświęcenie sztandaru Solidarności w Pisz

## RÓMUALDA JAŃCZYK

Urodziłam się w 1928 roku we Włódkach w powiecie kolneńskim. W międzyczasie, jako dziecko, byłam we Francji, bo moi rodzice emigrowali z powodów zarobkowych. Ale jeszcze przed wojną wróciliśmy do Polski.

Moi dziadkowie, Franciszek i Józefa Skrodzcy, kiedy jeszcze byli młodzieńcami, też pojechali do Ameryki, żeby zarobić. Nie wiem tylko, czy spotkali się oboje w Stanach Zjednoczonych czy pojechali już tam jako małżeństwo? W każdym razie w 1900 roku urodziła się tam moja mama, Zofia, w USA. Później wrócili do Polski. No, ale wiadomo, jak to kiedyś ludzie... jeśli pracował za granicą, to chciał później kupić ziemię. Kupili kawałek gospodarstwa i zabrakło pieniędzy. Moja babcia z dziećmi, a już tych dzieciaków było więcej, została w domu, to znaczy w Polsce, a dziadek znów pojechał do Stanów. Aby miał pieniądze na tak zwaną schiffkartę, czyli bilet na statek, i wtedy już mógł sobie wyjeżdżać.

Trafił do Pittsburgha w Ameryce, gdzie przeżył całą pierwszą wojnę światową, a później to jeszcze zabrał moją ciocię, czyli mojej mamy siostrę, też była rodaczka amerykańska, którą zabrał do siebie do Stanów. Jak ta ciocia pojechała do Stanów, to dziadek wrócił do Polski.

Dziadek i ciocia pracowali w hucie. Nawet ja widziałam tą hutę, jak byłam w Ameryce, bo ciocia mi pokazywała, tylko że ona już była nieczynna. Praca była bardzo ciężka, ale lata 1929–1930 to był kryzys<sup>1</sup> w USA. Jak moja ciocia tam pojechała w dwudziestym dziewiątym, to żeby dostać pracę, musiała stać w długiej kolejce, i jak przyjmowali do pracy, to nie pytali, co umiesz. Bo moja ciocia to była przecież dziewczyna ze wsi, z gospodarstwa i nie potrafiła pracować w przemyśle. Ale nie pytali, kazali tylko pokazać ręce. Jak ręce były spracowane, to był przyjęty człowiek, a jak nie – to nie. I ona dostała się do tej pracy. Przeżyła całe życie w Stanach. Ale nigdy nie przestała być Polką, bo dzieci jej umiały po polsku. Jeszcze przed stanem wojennym, to moja ciocia przyjeżdżała kilka razy do Polski. Mówiła:

---

<sup>1</sup> Chodzi o wielki kryzys ekonomiczny, który rozpoczął się tzw. czarnym czwartkiem (24 października 1929 r.) na giełdzie nowojorskiej i ogarnął także znaczą część kontynentu europejskiego.

– Co mam wyjeżdżać gdzieś za granicę, to wolę przyjechać do Polski. – Bo ona się czuła tu jak w domu. Pomimo że przeżyła tam całe życie.

Ojciec, Stanisław Korzep, zmarł bardzo wcześnie, w 1940 roku. Rodzice poznali się w Polsce i pobrali po wojnie światowej. Nas było czworo, dwoje to umarło jako niemowlęta, a miałam jeszcze starszego brata, który zmarł trzynastu lat temu. Też mieszkał w Piszcu, zajmował się ogrodnictwem.

Jak była wojna polsko-bolszewicka<sup>2</sup>, to mój tato zgłosił się na ochotnika. Wspominał potem, że miał osiemnaście lat. Pognali bolszewików i to było najważniejsze.

Jako dziecko to wiedziałam, że miałam bardzo ciężko chorą mamę. Moja siostrzyczka wtedy zmarła na szkarlatynę. Ja też chorowałam, jak miałam sześć lat. Ile to wtedy kosztowało leczenie? A gospodarstwo było niezbyt zamożne, więc gdyby nie ta siostra mamy w Ameryce, to byłoby ciężko z pieniędzmi na leczenie.

Miałam siedem lat, jak poszłam do szkoły, dwa kilometry od nas w Drożdżynie. Był jeden nauczyciel i trzy klasy razem prowadzone. Ta szkoła była w izbie jednej z wiejskich chałup. Pamiętam pogrzeb marszałka Piłsudskiego. Nawet wiersz umiem o marszałku Piłsudskim. To jest pod tytułem *Wódz na tułaczce*:

Płonął. Walczył. Szarpał się wśród krat.  
Na bój wzywał. Do broni. Na szaniec.  
Aż z więzienia wyszedł jak wygnaniec  
za granicą w nieznamy świat.  
Szli tak dawniej powstańcy, poeci.  
Szedł i teraz sam, bezbronny wódz,  
Szukał miejsca i pracy na świecie,  
Swobodnego oddechu dla płuc.  
Lecz gdziekolwiek los go w świecie rzucił  
I gdziekolwiek niósł go morski prąd,  
zawsze wiedział – nie odejdzie stąd,  
Że do kraju, do walki powróci.  
Są północne pola białych lodów,  
Jest na wschodzie słońce, morski piach,

---

<sup>2</sup> Wojna polsko-bolszewicka w latach 1919–1920 zakończyła się podpisaniem traktatu pokojowego w Rydze (1921 r.). Jej kulminacyjnym punktem była tzw. bitwa warszawska i polska kontrofensywa znad rzeki Wieprz w połowie sierpnia 1920 r., która zakończyła się rozbiciem Armii Czerwonej i odcięciem znacznych sił bolszewickich na północnym Mazowszu. Kilkadziesiąt tysięcy czerwonoarmistów, aby uniknąć polskiej niewoli, musiało przekroczyć granicę z Prusami Wschodnimi. Znaczna część tych sił przeszła granicę w rejonie wsi Wincenta i została przez Niemców tymczasowo internowana w Orzyszu.



Lecz nie każdy kto tam trafił za młodu  
Zdobyl Polskę wymarzoną w snach.  
Nie każdemu rzekł wszechmocny Bóg:  
Ja z tułaczki do kraju cię sprowadzę.  
Dam Ci w rękę i miecz i pług,  
dam ci w rękę i państwo i władzę.  
Za tych wszystkich co zginęli w oddali,  
W obcych miastach, za obszarem mórz,  
Za tych wszystkich co nie doczekali,  
Ty dziś Polskę wyzwalam i twórz.  
Ty coś wyszedł z kraju jak wygnaniec,  
Ty, coś zeszedł tyle obcych dróg,  
Prowadź wszystkich do otwartych  
Granic, na Ojczyzny odzyskany próg.

Dzieci w szkole były raczej grzeczne, a jeśli ktoś łobuziakował, to nauczyciel sobie z nim dawał radę. Różne bywały kary. Klęczenie na pewno było, ale nie na grochu. Stanie w kącie było. Koza była po lekcjach. Jak nieodrobiona praca domowa, trzeba było zostać w kozie i odrobić. I dopiero wtedy się poszło do domu.

Od nas z wioski co roku kilku mężczyzn chodziło do Prus na roboty sezonowe. Więcej ludzi korzystało z tej możliwości na terenach leżących bliżej granicy. Polacy tam bez problemu dogadywali się z Prusakami. Dziś mówimy o nich Mazurzy. I każdy jeden Mazur umiał mówić po polsku. Te saksy były jak najbardziej legalne, choć nie wiem, czy gdy Hitler objął w Niemczech władzę, nie zaczęły się jakieś utrudnienia.

W 1939 roku zaczęła zbliżać się wojna. Ludzie głośno mówili, że coś będzie się działo. A gdy się już zaczęła wojna, to najbardziej mi utknęło w pamięci, jak bombardowana była Łomża, od nas w prostej linii może trzy kilometry. Było słyszeć we wsi wybuchy. A w nocy to wszyscy żeśmy szli do piwnicy. Na początku wojny każdy mówił, że aby tylko uciec za Narew, to już dalej Niemcy nie pójda. To szli ludzie pieszo i furmankami jechali... Były tylko za Narew... A Niemcy poszli dalej. My zostaliśmy na miejscu. Bo jaki był sens uciekać?

Wojsko niemieckie było zmotoryzowane. To oni po tych małych wioskach, po zapadłych kątach nie szli, oni jechali prosto głównymi traktami. Potem dopiero te wojska okupacyjne zaczęły się rozchodzić po poszczególnych wioskach, ale potem wycofali się i oddali ten region ruskim. Za ruskich to nawet szkoła była. Organizowali różne zebrania, na które trzeba było chodzić i słu-

chać tych kłamstw. Na takim jednym zebraniu mój ojciec zwrócił Rosjaninowi uwagę, że opowiada głupoty ludziom. Mówił:

– Powiedz naprawdę, jak tam jest, bo ja tam byłem i wiem, jaka tam jest bieda.

I za to musieliśmy się później już ukrywać. Dobrze, że później wypadała ta wojna. Niemcy napadli na nich i popędzili. Inaczej bylibyśmy na pewno wywiezieni, bo z naszej wioski trzy rodziny wywieźli. Jedna osoba stamtąd wróciła. I dopiero w 1941 roku znów wrócili Niemcy, ale oni przynajmniej nie udawali...

Nie wolno było bić świni, tylko trzeba było wszystko zdawać. A była raz taka sytuacja, że byłem w ogrodzie. Z ogrodu mojego strumyk płynął, a później szła droga do Łomży. I szła kobieta do Łomży, a jechali żandarmi niemieccy. No i coś im kazało ją zrewidować, tak sobie może dla żartu, może dla śmiechu. Zrewidowali. Nie wiem, co ona niosła? Może niosła masło, może niosła wódkę czy mięso, nie wiem. Ale widziałam to na własne oczy, jak strasznie tą kobietę pobili. Ja z tego widoku po prostu szału dostałam. Wpadłam do domu i zaczęłam strasznie krzyczeć. Strasznie krzyczałam. Mój tatuś już nie żył. Moja mamusia nie wiedziała, co się dzieje ze mną. A ja do tego stopnia krzyczałam, że aż straciłam przytomność. Dwie doby leżałam nieprzytomna. Tak to przeżyłam, że po wszystkim powiedziałam:

– Gdyby tu przyszedł do nas żandarm i nas brał, to rzuciłabym mu się do oczu! – Tak we mnie to wszystko siedziało... A przedtem nie mogłam patrzeć, jak zabijali kurę czy co, to ja uciekałam. Później dla mnie to było nic. Przeżyłam ten szok i stałam się taka uodporniona na wszystkie zło.

A potem przecież Niemcy często do nas zachodzili. Bo u nas po śmierci taty było tak biednie, że zaczęliśmy zarabiać na życie pędzeniem bimbru. Pędziliśmy z żytniej mąki i sprzedawaliśmy. No i właśnie niemieccy wojskowi z Łomży chętnie do nas po tą wódkę przyjeżdżali. Złej by nie kupowali, więc musieliśmy się starać, żeby nie robić byle czego. Bo wtedy było najbezpieczniej, gdy Niemcy kupowali. Uczciwie płacili i był spokój, że ich żandarmi nie złapią, a oni żandarmom nie wydadzą nas.

Ale Niemcy też ludzi wywozili do roboty. Mój brat był w Prusach Wschodnich na roboty wywieziony, chociaż jeszcze nawet nie podlegał jego wiek. Miał szesnaście lat, ale sołtys wyznaczył i on musiał jechać. Nie za długo tu był, gdzieś na Prusach Wschodnich, blisko granicy i uciekł. Potem wspominał, że byli i dobrzy ci gospodarze dla Polaków, ale zdarzali się także strasznie wredni.

W okolicy była partyzantka. W gminie Mały Płock, my do tej gminy należeliśmy, naczelnikiem żandarmerii był Niemiec, Rauch. Dla niego zabić człowieka

to tyle, co muchę zabić. Dla niego to był żaden problem. No i kiedyś partyzantka przy Budach Czarnockich zrobiła zasadzkę na konwój zakładników, których więźli żandarmi. Jechali najpierw żandarmi, później zakładnicy, a później jechała jeszcze żandarmeria. I na końcu ten Rauch. Więc partyzanci przepuścili pierwszych żandarmów, zakładników przepuścili, a tu na tych ostatnich ogień nastawili i ten Rauch zginął wtedy. A zakładników puścili do domów. To się zdarzyło bardzo blisko naszej wioski. Myśleliśmy, że Niemcy będą brać zakładników z naszej wsi, ale na szczęście nikt nie został wtedy aresztowany.

W 1944 roku znów front zbliżył się do Łomży od wschodu i znów na Narwi się zatrzymał. Z tej strony rzeki byli Niemcy, a tam już Rosjanie zajęli tereny aż do Łomży. Niemcy nas w kilka minut ewakuowali i zaczęli palić wieś. No to każdy wypędza swój dobytek na łąkę, na pastwiska, ale nie pozwolili nam już tego zabrać. Każdy uniósł to, co miał w ręku. My zatrzymaliśmy się w Cydzynie na całe sześć miesięcy u takich państwa Garbaczów.

Niemcy przyszli do Cydzyna i zrobili zebranie, na którym chcieli namawiać mężczyzn, żeby zgłaszali się do niemieckiego wojska. A zamiast tych mężczyzn na to zebranie poszły same kobiety. Bo nie wiadomo, co Niemcy z mężczyznami by zrobili, gdyby do tego wojska się nie zgłosili. I potem, jak w styczniu 1945 roku ruszył front, to natychmiast po przejściu pierwszej linii Rosjan my wróciliśmy do swojej wioski. A tam tragedia. Przez pół roku w domach kule się rwały. Więc, jak Niemcy czegoś nie spalili, to rosyjska artyleria zniszczyła. I z tej racji znaleźliśmy się na Ziemiach Odzyskanych.

W maju czy w czerwcu 1945 roku mama zdecydowała, żeby zamieszkać w Białej. Najbliższe miasto, do którego można się było dostać, bo w Piszcu przecież stacjonowało jeszcze wojsko rosyjskie. Tu cały sztab chyba się ich mieścił? A z tą Białą to chyba trochę przypadek zrządził. Ktoś jechał do Białej wozem, moja mamusia z nim pojechała i tam wybrała mieszkanie. A potem zdecydowała o przeprowadzce do tego miasteczka, które nie było tak bardzo zniszczone<sup>3</sup>, choć już nieco rozszabrowane. Były puste ściany w naszym mieszkaniu, ale brat gdzieś poszedł, jakiś stolik przyniósł, łóżko.

A przede wszystkim był młyn, który też nie był zniszczony. I ta ulica, na której mieszkałam, 11 Listopada, też nie była zniszczona. Było troszkę tych Mazurów. Oni byli początkowo tacy zastraszeni. Ale jeśli zrozumieli, że nie wszyscy są szabrownikami, jeśli od kogoś usłyszeli jakieś życzliwe słowo, to też starali się być życzliwymi ludźmi. Zresztą, jak my osiedliliśmy się w Białej, to

---

<sup>3</sup> O Białą nie toczyły się w styczniu 1945 r. żadne walki, a mimo to zniszczenia szacowane były na 30%.

już tam nie było tak niebezpiecznie. Ale wciąż się słyszało, że tam gdzieś kogoś pobili, okradli, naubliżali. Człowiek, który przychodzi kraść, nie liczy się ani z drugim człowiekiem, ani w ogóle z niczym. W Białej przychodziła do mojej mamusi taka jedna Mazurka i mówiła w ten sposób do mojej mamy:

– Gdyby twoje dzieci chciały być na gospodarce – a miała duży piękny dom i duże gospodarstwo rolne – to ja wam to wszystko odpiszę i nigdzie nie pojedę, tylko z wami zostanę.

– Weźmy to, dzieci, weźmy – namawiała nas mama. Ale my nie chcieliśmy. Już mieliśmy mieszkanie w mieście, dwa pokoje z kuchnią i to nam wystarczało.

Tym bardziej, że mój brat zaraz poszedł do starostwa w Białej<sup>4</sup> i w aprowizacji zaczął pracować. Założyli stołówkę dla osiedleńców, w której pracowały cztery dziewczyny, w tym ja oraz kierowniczka. Szykowały obiady dla osiedleńców, którzy przychodzili na Ziemie Odzyskane. A przecież jeszcze sklepów nie było, a trzeba było coś zjeść. Więc jeździło się po pustych domach i gospodarstwach, zwoziło ziemniaki, warzywa i z tego przygotowywaliśmy te posiłki<sup>5</sup>.

Chyba z rok pracowałam w tej stołówce. Wprawdzie w sierpniu–wrześniu 1945 roku Rosjanie już opuszczali Pisz i starostwo z Białej przewoziło się do Pizsa, ale jeszcze wszyscy Rosjanie nie wyszli, a ja i mama bardzo się tych Rosjan bałyśmy i dlatego jeszcze przez jakiś czas pozostałyśmy w Białej. Zaczęłam pracować w młynie. W tym czasie poznałam mego przyszłego męża, Zygmunta. To była bardzo śmieszna sytuacja, bo ja go sama zaczepiłam, myśląc, że to ktoś inny, kogo wcześniej już znałam. Zaczepiłam i uciekam, gdy zorientowałam się w swojej pomyłce. Mąż pracował w gorzelni w Białej, wcześniej był tu w Prusach Wschodnich na robotach przymusowych.

Dopiero gdy skończyłam osiemnaście lat i w styczniu 1947 roku wyszłam za mąż, przeprowadziliśmy się do Pizsa. Bo mój mąż w Pizsu pracę sobie znalazł.

---

<sup>4</sup> Pierwsi przedstawiciele władz polskich zjawili się w powiecie piskim już w lutym 1945 r. Byli to urzędnicy, którzy zmierzali do innego powiatu, ale sowieckie komendantury wojenne nie chciały ich dalej przepuścić. Dopiero 5 kwietnia wyruszyła ekipa urzędników z zadaniem tworzenia administracji cywilnej w powiecie. Ze względu na obecność Armii Czerwonej w Pizsu i mniejsze zniszczenia Białej tam właśnie zaczęto organizować pierwsze struktury starostwa piskiego, mimo obecności komendantury wojennej także w tym mieście.

<sup>5</sup> W oficjalnych dokumentach z tego okresu nic się nie wspomina o „pozyskiwaniu” żywności z opuszczonych gospodarstw. Starosta Józef Wróblewski 18 maja 1945 r. pisał w sprawozdaniu do władz zwierzchnich: „Komendantura wojenna, pod której zarządem znajduje się miejscowy młyn, zaopatruje polską administrację w chleb. Wszystkie inne środki spożywcze niezbędne do wyżywienia nabywamy, dzięki niedalekiej odległości, z województwa białostockiego [...]. Do dnia 17 bm. zostały osiedlone 4 rodziny w mieście Biała [...]. Siedziba urzędu starościńskiego znajduje się w byłym gmachu pocztowym, do którego przeniesiono się 12 maja 1945 r. Poprzedni gmach z nakazu wojennej komendantury musiano opuścić [...]. W powiecie są miejscowości zamieszkałe przez ludność miejscową, lecz znajduje się ona na ewidencji wojennej komendantury”. Zob. *Warmiacy i Mazurzy w PRL. Wybór dokumentów. Rok 1945*, red. T. Baryła, Olsztyn 1994, s. 35.

Najpierw w Sklejce, którą trzeba było odbudować ze zniszczeń. Później poszedł do biura w PSS<sup>6</sup>. No a w „międzyczasie” robił kursy piekarnicze. Został piekarzem, następnie mistrzem piekarskim, kierownikiem piekarni, no a w końcu był inspektorem piekarnictwa w Wojewódzkim Zarządzie Gminnych Spółdzielni w Olsztynie. Z takim panem Wachowskim z Olsztyna jeździli do piekarń na inspekcje.

Natomiast ja nie pracowałam zawodowo, tylko zajmowałam się domem i gospodarstwem. Dzierżawiłam kawałek pola, chowałam sobie krówki... Ale po śmierci mamy, czyli jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat temu zlikwidowałam to gospodarstwo. Teraz już mam tylko ogród koło domu z kwiatami i warzywami. Ponieważ to jest mieszkanie ponemieckie, to mam ładne miejsce na ogród, który chcieli mi koniecznie zabrać i postawić tam jakiś budynek. A ja powiedziałam:

– Dla mnie ogród ważniejszy od waszych budynków.

Jak sprowadziliśmy się do Pisma w 1947 roku, to zamieszkaliśmy przy ulicy Szerokiej, gdzie zresztą mieszkam do dziś. Dom był wprawdzie zrujnowany, nie miał okien, piece rozwalone, nie było drzwi, ale mój mąż obrał to mieszkanie, bo z naszego okna było widać jezioro! Przyniósł więc skądś drzwi, doposażał jakieś okno, dziury połatał. Początkowo nie było elektryczności. Długo nie było kanalizacji, wody bieżącej nie mieliśmy. Nie mieliśmy nawet ulicy. Wiosna przyszła czy jesień, to błoto było do kolan. Jeszcze jak córki chodziły do szkoły, to musiały w gumowcach chodzić. Dopiero trzy czy cztery lata temu zrobili nam porządną ulicę.

W latach osiemdziesiątych przyjechała jakaś kobieta z Niemiec i tak zaglądała na moje podwórko... Córka właścicielki, która opuściła to mieszkanie w 1945 roku, będąc jeszcze dzieckiem. Zaprosiłam ją do środka. Weszła, ogląda i mówi:

– Teraz centralne, a był tu piec. Tu nie było łazienki... – opowiada tak, że tego nie było, tamtego nie było. No, ale w końcu jak odchodziła, to powiedziała: – Ja się bardzo cieszę, że mieszkają tu ludzie, którzy tak dobrze zagospodarowali to mieszkanie.

Dużo tych pierwotnych mieszkańców uciekło z Pisma przed frontem. Została tylko garstka, tak że po sprowadzeniu się do miasta trochę ich spotykaliśmy. Nawet na naszej ulicy i na ulicy Długiej mieszkało kilka rodzin. Moja sąsiadka z ulicy Szerokiej to była Mazurka z rodziną, bo miała dwóch synów jeszcze. Znałam taką rodzinę Optacych. Część tych osób wyjechała do Niemiec

---

<sup>6</sup> Powszechna Spółdzielnia Spożywców.



w ramach takiej akcji łączenia rodzin. Ale inni zostali do dziś, tacy... prawdę mówiąc tacy przyjacielscy to byli ludzie... Bardzo fajni ludzie. Miejscowi wyjeżdżali, a przyjeżdżali Polacy. W większości spod Kolna i z Kurpi. Całymi wioskami się tu osiedlali po wojnie.

Zresztą my też myśleliśmy o wyjeździe. Mamusia napisała do swojej siostry list, że ludzie wyjeżdżają do Stanów<sup>7</sup>, to żeby przysłała nam papiery, to może i nam uda się wyjechać. No i przysłała ta moja ciocia te druki do wypełnienia. Ale chyba SB zadziałała, że moja mama się tak wystraszyła i już nie pozwoliła tych druków wypełnić, tylko od razu zniszczyła i koniec.

Mój mąż uwielbiał sport, ruch, świeże powietrze. Często wędkował. Miał łódkę nad jeziorem, z której wędkował aż do śmierci. W szachy też grał. I w piłkę nożną. Prawdę mówiąc, piłka nożna w Pisz to chyba dzięki niemu powstała. Był Klub Sportowy Mazur<sup>8</sup>, do którego mąż wprowadził trzech graczy z Grajewa. Do Olsztyna jeździli na mecze... Czasem ciężarówka z całym klubem po męża pod dom zajeżdżała.

I tak minęły te wszystkie lata. Mąż zmarł, dzieci dorosły... Czasami sobie pojadę do mojej rodzinnej wioski, bo przecież mieszka w tamtych stronach moja rodzina. Ale kiedy myślę „dom”, to wiadomo, gdzie ten dom jest. Żaden inny mnie nie interesuje. Tylko tutaj.

---

<sup>7</sup> W powiecie piskim w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczął się trend wyjazdów zarobkowych do USA. Jego apogeum przypadło na kryzys lat osiemdziesiątych. Zarobione wówczas pieniądze i przysłane paczki pozwoliły rodzinom nie tylko przetrwać okres największego marazmu gospodarczego drugiej połowy lat osiemdziesiątych, ale przyczyniły się do rozwoju budownictwa jednorodzinnego. W tym okresie powstało w Pisz osiedle, które do dziś popularnie nazywane jest Reganówkiem.

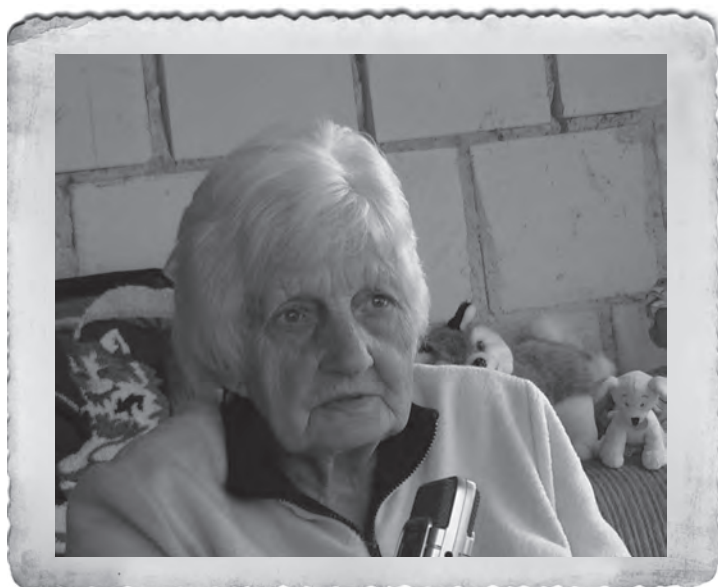
<sup>8</sup> Klub Sportowy Mazur–Pisz powstał w 1951 r.

## WŁADYSŁAWA KACZYŃSKA

Urodziłam się w 1923 roku w Krukówce, gmina Mały Płock. Moi rodzice, Władysław Cudakiewicz i Jadwiga z domu Rządka, posiadali skromne gospodarstwo rolne. Tylko sześć hektarów, bo tatuś musiał rodzeństwo spłacić. Dziadek przed pierwszą wojną światową wrócił z Ameryki i zginął na samym początku tej wojny, w 1914 roku. Tatuś ożenił się w wieku osiemnastu lat i rodzice mieli ośmioro dzieci, ale trójka zmarła. A ja byłam najstarsza. Ale bardzo pracowici byli rodzice. W gospodarstwie posiadali dwanaście sztuk bydła, sześć koni, trochę świnek, hektar sadu.

Do szkoły chodziliśmy trzy kilometry w Rakowie Starym. Jedna czy dwie książki starczyły na całą klasę. Nauczyciel był srogi, linijką po rękach dał... albo klęczeć w kącie kazał. A jak się przyszło do szkoły, to najpierw musieliśmy zaśpiewać *Kiedy ranne wstają zorze* i dopiero wtedy siadaliśmy do nauki.

Jak wojna się miała zacząć, to chodziliśmy do pracy w majątku Korzeniste. Ale wybuchła wojna i nic nam nie zapłacili. Dziedzic zabrał walizkę, wsiadł na



Władysława  
Kaczyńska

konia i pojechał przez Narew. Utopił się w czasie przeprawy. My nie uciekaliśmy. Pamiętam, jak pojawili się Niemcy, to akurat modliliśmy się pod figurą. Przyjechało dwóch na koniach i wszyscy spod tej figury pouciekali. Został tylko jeden dziadek i przywitał się z nimi po niemiecku. Zapytali go:

– Gdzie Dorf<sup>1</sup> Rakowo? – No to im pokazał i pojechali. Tam zrobili sobie sztab w tym majątku Rakowo. A drogą wtedy prowadzili kolumnę polskich jeńców w stronę Prus. Było ich tak wielu... Kto tam we wsi miał jedzenie jakieś, to tych naszych żołnierzy częstował. Niemcy nie przeszkadzali...

Mój brat Bronisław był wzięty na roboty do Kętrzyna. I uciekł stamtąd. Szedł tydzień, żywiąc się tylko marchwią, to wrócił taki chudy... Mówił, że szukali go z psami, ale nie znaleźli. Kiedyś z tatusiem pojechaliśmy do skrzyżowania drogi, a tu słychać jakieś takie straszne krzyki. Nie wiedziałam co to, a to Niemcy Żydów z Kolna pędzili. Nikt nie domyślał się dokąd, a to na Mściwuje<sup>2</sup> pędzili, żeby ich wymordować. Najpierw kobiety i dzieci, a potem pozostałych. A my przecież te rowy przeciwczołgowe wcześniej kopaliśmy, co Niemcy potem w nich pogrzebali zabitych Żydów.

Jak przyszli Rosjanie, to niedaleko nas ich tanki<sup>3</sup> się zatrzymały. Jeden chciał mnie zabrać, ale ja się schowałam, to zabrał moją mamusię. Przyleciał sąsiad i mówi:

– Władek, tu niedaleko lejtnant amunicji pilnuje, idź do niego, może ci uratuje żonę. – I tatuś poleciał. Lejtnant strzelił w górę i kazał mamusię temu żołnierzowi puścić. Puścił, ale zabrał inną kobietę, poprowadził do chlewa i słychać było dwa strzały. Chciał ją tam zgwałcić, ale się opierała, to zabił. A ona miała pięcioro dzieci...

Ale wśród nich też byli dobrzy ludzie. My im kiedyś jajek zanieśliśmy, to taki jeden nam ryb wędzonych przywiózł... Tak myślę, czy to ruski kraj, czy polski, czy amerykański, ale to przecież wszystko zależy od człowieka. A Rosjanie to bardzo muzykalni byli, lubili, jak im tatuś na organkach grał. Sami też grali, na bałabajkach.

Zaraz po wojnie to wyjechaliśmy na Prusy. Ze stryjkiem Stanisławem Cudakiewiczem, tatusia bratem, zamieszkaliśmy w Nowych Gutach<sup>4</sup>. Objął tam gospodarstwo, ale potem się przeniósł do Mrągowa. Z Nowych Gut Mazurzy

---

<sup>1</sup> Dorf (niem.) – wieś.

<sup>2</sup> Mściwuje – wieś w gminie Mały Płock. Po napaści III Rzeszy na ZSRR w sierpniu 1941 r. Niemcy dokonali tam masowego mordu na żydowskich kobietach z Kolna.

<sup>3</sup> Tanki – czołgi.

<sup>4</sup> Nowe Guty (niem. Gutten, od 1936 r. Seegutten) – wieś założona w 1450 r. na prawie chełmińskim. W 1939 r. liczyła 1037 mieszkańców.

wyjeżdżali, do Niemiec chcieli jechać, a inni w Piszcu się gromadzili, bo na wioskach nie było dla nich zbyt bezpiecznie. Ja się w tym czasie uczyłam na krawcową i po roku zamieszkałam w Piszcu, gdzie poznałam taką Mazurkę z Orzysza, co to była dobrą krawcową. I ona razem ze mną szła ubrania staroście Rutkowskiemu<sup>5</sup>, takiemu co nie miał ręki. Płaszcz, kurtki, spodnie. Żeby jeszcze zarobić, to z tą Mazurką praliśmy ludziom. Takiej rodzinie Kuksów, co przed wojną nad samą granicą mieszkali, a teraz piekarnię prowadzili, fartuchy praliśmy. Ale nie dostawaliśmy od nich pieniędzy, tylko chleb i dwie bułki. Oni też wyjechali. Niemcy to byli dobrzy ludzie. Jak uciekali przed Rosjanami, to zostawiali wszystko. Na torach koło Jeży pełne wagony stały dobytku. To tej Mazurki dzieci się podkraśli i cały wózek jedzenia przywieźli<sup>6</sup>.

W tym czasie poznałam męża, Stanisława Kaczyńskiego. On jeździł samochodem w mleczarni, w Zarządzie Drogowym, w PKS<sup>7</sup>. Moje wesele w 1947 roku wyglądało tak: u tej krawcowej, co u niej robiłam, mamusia zrobiła takie przyjęcie, przyjechał muzyk od nas z wioski, Antoniak, i w dwie godziny było już po wszystkim. Ale do ślubu jechałam bryczką zaprzężoną w konie, co nam starosta dał na ten dzień.

Po ślubie to już nie pracowałam zarobkowo. Wzięłam pięć hektarów pola pod Jagodnem i pracowałam na polu. Miałam cztery sztuki bydła, dwie loszki miałam, do prosiaków i kury, po osiemdziesiąt gęsi. Ale w późniejszych latach to do Niemiec jeździłam. Spotkałam nawet tych Niemców, co stąd wyjechali. Takiego jednego z Wejsun, od niego z bratem drewno braliśmy. To płakał w tych Niemcach za swoimi stronami.

---

<sup>5</sup> Edmund Rutkowski (1917–1997) – absolwent prawa na Uniwersytecie Poznańskim. W latach II wojny światowej żołnierz ZWZ-AK i Korpusu Bezpieczeństwa. Ranny w powstaniu warszawskim. W 1945 r. zastępca starosty piskiego. Członek PPS, zasiadał we władzach wojewódzkich partii. Pozbawiony z powodów politycznych członkostwa w PPS i funkcji starosty, wyjechał do Poznania.

<sup>6</sup> Być może jest to opowieść zasłyszana, bo w 1946 r. nie było już ani torów poblizu Jeży, bo zdemonstowali ją żołnierze sowieccy, ani tym bardziej wagonów z dobytkiem, bo te już wcześniej zostałyby albo wywiezione na Wschód, albo rozszabrowane.

<sup>7</sup> Państwowa Komunikacja Samochodowa.

**RZECZPOSPOLITA POLSKA**  
**MINISTERSTWO ZIEM ODZYSKANYCH**

**AKT NADANIA**

Nr 121  
(Wypis)

Powiatowa Komisja Osadnictwa Rolnego w .....  
województwa ..... na podstawie art. 25, 33 i 36  
dekretu z dnia 6 września 1946 r. o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze Ziemi  
Odzyskanych i byłego Wolnego Miasta Gdańska (Dz. U. R. P. Nr. 49, poz. 279)  
orzeczenia z dnia ..... 1947 roku za Nr. ....

**nadaje**

ob. Seligman Jakobson (imię i nazwisko)  
urodzonemu dnia 25.9.1900  
(miejscowość, gmina, powiat, województwo) Ros. Lefkach  
stanowicze własność Skarbu Państwa gospodarstwo - działkę: pożądano  
(nazwa nieruchomości oraz położenie, gmina, powiat, województwo)  
objmujące: pożądano na 101  
1. grunty (rodzaj i powierzchnia w ha): pożądano 101  
2. budynki: pożądano 101  
3. inwentarz żywy: .....  
4. inwentarz martwy: .....

na warunkach, określonych w wyżej powołanym dekrete.  
Ujawnienie prawa własności nadanej nieruchomości w księgach wieczystych  
nastąpi po ustaleniu ceny nabycia i granic nadanego gospodarstwa (art. 30, 31,  
32 i 35 powołanego dekretu).

....., dnia 12.10.1947 roku.  
**PRZEWODNICZĄCY**  
M. P. Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego:  
.....  
CZŁONKOWIE  
Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego:  
.....

**STARE ZIEMIE PIASTOWSKIE**  
**WRÓCIŁY DO MACIERZY**

Akt nadania ziemi po wojnie polskim osadnikom



## CELINA KOŁAKOWSKA

Nazywam się Kołakowska Celina, mieszkam w Pisz. Urodziłam się w 1935 roku w miejscowości Rostki<sup>1</sup> położonej pięć kilometrów od Stawisk. Tu, na Mazurach, po wojnie mówiło się, że to centralna Polska, a to przecież nie było daleko od dawnej granicy z Prusami Wschodnimi. Rostki to taka nieduża wioska. Miałam troje rodzeństwa – bracia, Kazimierz i Jan, już zmarli. Kazimierz był księdzem, a Jan zmarł w wieku piętnastu lat. Był chory, miał wadę serca po urodzeniu i wszyscy się obawiali, że w tym wieku, jak zacznie się rozwijać, to... Teraz może by go uratowali, ale przedtem to nie było mowy. Dziś została mi tylko siostra, Bogumiła. Mieszka w Łodzi. Moi rodzice byli rolnikami. Jak tatuś zmarł w 1954 roku, to po kilku latach mamusia przyszła do mnie mieszkać, do Pisz. Było to w 1959 roku.

Kiedy zaczęła się wojna, miałam cztery lata. Ale gdy w 1945 roku wojna się kończyła, miałam dziewięć lat, to już byłam uważana za dużą. Na przykład kiedy Niemcy od strony Stawisk zbliżali się do wsi, to działał system ostrzegania, w którym dzieci miały przydzielone ważne zadanie. Takie były na końcu wioski trzy krzyże, do których wszystkich zmarłych wyprowadzali, i tam dzieci zawsze musiały się bawić. No i ja też. Jak Niemcy jechali samochodem, to naszym zadaniem było lecieć przez wieś, w okna bębnić i krzyczeć: „Niemcy jadą!”. Wtedy wszyscy, kto tylko mógł, to się chował, kto mógł to uciekał. W czasie wojny tak musieliśmy pilnować. Dzieci według kolejności tak stały na straży. Niby się bawiliśmy, a jak pojawiali się Niemcy, to od razu robiliśmy taki alarm. Były czasem takie duże oblawy, na przykład wtedy, gdy Żydów szukali... potem co oni z nimi robili.... Wszędzie na wioskach zjawiały się niemieckie patrole, bardzo często, co drugi dzień przyjeżdżały. W każdym tygodniu na pewno były w naszej wsi.

---

<sup>1</sup> Rostki – wieś powstała w 1415 r. W XV w. jej właścicielem był Tomasz z Rostek, potem przechodziła z rąk do rąk, stanowiąc m.in. własność rodziny Kisielnickich. W 1945 r. liczyła ok. 250 mieszkańców.

Młodzież, jeśli się nadawała do pracy, to zaraz zabierali i do Niemiec wywozili. Tam do gospodarstw byli przydzielani, do roboty. Bo przecież swoich mężczyzn Niemcy przeważnie zabierali do wojska, a nawet jeśli ktoś na początku został w domu z jakiegoś powodu, to później mógł być zabrany do niemieckiej armii. Zostawały same kobiety i dzieci. Dlatego, jak ktoś z Polaków na terenach okupowanych skończył piętnaście lat, to już się nadawał do pracy i zabierali go do Niemiec, do gospodarzy, żeby pomagali w pracy na roli.

Mojego wujka, Stanisława Konopkę, zabrali. Później takiego Chudzińskiego i wielu innych. Niemcy brali tych młodych ludzi na roboty i wtedy na polskich gospodarstwach zostawały tylko kobiety i dzieci. Kto został w domu, to jakoś gospodarzył. Kiedyś inaczej się pracowało na roli. Nie było tak jak teraz, że ludzie mają pięćdziesiąt krow albo i więcej. Każdy miał konia, ale jak przyszła wojna, to mogli mu zabrać do zaprzęgu. Każdy sobie ziemię zaorał, zasiał dla siebie, nikt na zbyt<sup>2</sup> nie robił. Jedną krowę, czasem dwie krowy miało gospodarstwo. Na pole te krowy zaprowadzili, upalowali<sup>3</sup>, nawet nie było komu tych krow paść. A kobiety chowały kury, gęsi, żeby było co jeść. Jak była krowa, to i mleko było. Wtedy już dzieci nie były głodne. W ogródkach warzywa posiały kobiety, na zimę kapusta była zawsze zakiszona. Także to były bardzo ciężkie czasy.

Mojego tatusia nie było w domu, jak się brat Kazik urodził. Tatuś był zabrany do wojska, gdy miała wybuchnąć wojna<sup>4</sup>. Wielu mężczyzn z wioski wtedy powołano. W 1939 roku tatuś walczył w Grodnie, bo Grodno wtedy należało do Polski. Do jego powrotu nie było z nim żadnego kontaktu<sup>5</sup>. A kto tam o listach słyszał, to trzeba było mieć papier, ołówki jakieś. No i listy nie przychodziły, tylko jak wrócił tatuś po wojnie, to pamiętam, że tak wszyscy się cieszyliśmy, we wsi ludzie płakali...

---

<sup>2</sup> Na zbyt – na handel.

<sup>3</sup> Upalowali – za pomocą łańcucha i kołka (pala) białego w ziemię uniemożliwiano się oddalenie krowy w tzw. szkodę.

<sup>4</sup> Z kontekstu wynika, że ojciec autorki wspomnień został powołany do Wojska Polskiego i brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r.

<sup>5</sup> To mogło oznaczać, że ojciec autorki relacji w 1939 r. przynajmniej na jakiś czas trafił do sowieckiej niewoli.

Do wojska zabierali też Rosjanie. Jednych do wojska, innych na wywózki albo do więzienia. W 1939 roku najpierw Rosjanie u nas byli w wiosce, a dopiero w 1941 roku przyszli Niemcy. Pamiętam, że kobiety klękały i tych Niemców po rękach całowały<sup>6</sup>. Zanim to jednak nastąpiło, Rosjanie zorganizowali u nas szkołę rosyjską. I mieszkali w lesie. Tam była taka „płosczaдка”<sup>7</sup>. Oni tam mieli swoje mieszkania, domy pobudowali, nauczycielka była rosyjska. Niby po polsku uczyła, ale więcej po rusku niż po polsku. Dzieci tam chodziły do szkoły. Jak była niedziela, nauczycielka stawiała przy tych krzyżach przed wsią i od kościoła<sup>8</sup> zawracała dzieci. A medaliki to zrywała, wyrzucała. Obrazy w szkole wisiały<sup>9</sup> to zdjęła je i utopiła w ubikacji. Na wsi kiedyś nie było ubikacji w domach, tylko na podwórku była ubikacja wybudowana. Ludzie się bali tych ruskich, jak nie wiem co.

Kiedy Hitler napadł na tego Stalina, to Niemcy przegonili Rosjan, a ci Rosjanie szybko uciekli przed nimi, jak kto mógł. I wtedy Polacy poszli do tego rosyjskiego osiedla i wszystko zabierali. Wynieśli fotele, dywany i firanki. Co tam kto mógł, to włókł do swojej chałupy. A jeszcze ci niektórzy Rosjanie pozostali i strzelali do Polaków. Mojej koleżanki babcię zabili. Pamiętam, jak leżała na podłodze w pokoju i tak krew z niej ciekła, bo ona firanki zbierała. Wszędzie strzelali, a ona jeszcze firanki zbierała z tych okien. Tak, że jak Niemcy przyszli, to wielka radość była, kobiety się cieszyły.

– Ooo, wybawiciele przyszli! – krzyczały. Później się okazało, jacy z Niemców wybawiciele byli.

Jak po wojnie chodziłam do szkoły, to nie mogłam się w szkole pogodzić z tym, czego nas uczyli. Jak to Niemcy zaatakowali Polskę, toż u nas najpierw Rosjanie byli? Jeszcze nie rozumiałam tego tak, że to mogły być kłamstwa. W podstawowej szkole uczyliśmy się, że „Niemcy napadli na nas!”. A tu zupełnie inna była świadomość, bo ja tu mieszkalam i wiedziałam, że w 1939 roku byli Rosjanie, a Niemcy dopiero później.

---

<sup>6</sup> Dla wielu mieszkańców ziem II Rzeczypospolitej, okupowanych przez ZSRR w latach 1939–1941, zaatakowanie sowieckiego państwa przez niemiecką III Rzeszę było wybawieniem przed strasznymi represjami i wywózką. Stąd początkowo witano Niemców z życzliwością.

<sup>7</sup> Płosczaдка (ros.) – plac.

<sup>8</sup> Rostki należały do parafii w Stawiskach.

<sup>9</sup> Prawdopodobnie chodzi o zdjęcia portretowe Prezydenta Mościckiego i Józefa Piłsudskiego.

W 1944 roku, jak się już zbliżał koniec wojny, to u nas w pokoju mieszkał Niemiec, taki starszy szarż, bo wojsko stało też we wsi. Aż w końcu przeszedł front i ponownie weszli Rosjanie. I wtedy Rosjanie całą naszą wioskę wysiedlili<sup>10</sup> do sąsiedniej wioski Mieczki. Co to za kultura rosyjska była... Na przykład zimno im było to palili tym, co pod ręką. Meble popalili, szafy, łóżka, a spali na słomie. Na środku palili ogniska, w takim miejscu, co kroilo się żarcie świniom i podłoga była ceglami wyłożona. Ja nie wiem, jaki u nich był zwyczaj, u tych ruskich, ale oni tak chyba byli przyzwyczajeni i dlatego palili te ogniska w domach, tak się ogrzewali. Zamiast w kuchni napalić, żeby ciepło było... Bo u nas w domu było palenisko na kuchni, a obok taka ściana, którą komin szedł. I ta ściana była cała ciepła, obok była ława do siedzenia. Każdy mógł usiąść i w plecy miał ciepło. I zamiast oni palić w kuchni i ogrzewać, to nie, palili na tej cegle, co podłoga była w jednym miejscu wyłożona. I tak tam siedzieli, śpiewali! A ludzie przychodzili, kobiety pod oknami płakały. Widziały, że się pali w domu ognisko, że mogą spalić dom.

My wtedy w tych Mieczkach mieszkaliśmy. W jednym domu kilka rodzin mieszkało, to taką słomę rozesłaliśmy na podłogę i tak się spało. A do domu nie wolno było przyjść po swoje rzeczy. Chyba dwa miesiące mieszkaliśmy w tych Mieczkach. Więc jak front ruszył dalej, mogliśmy wrócić. Jak żeśmy wrócili, to tak – ni łóżka, ni szafy, ni nic nie było, tylko gołe ściany, bo wszystko było spalone. Potem dopiero wiejski stolarz robił całej wsi łóżka drewniane. Układało się na nich czyściutką słomę, następnie prześcieradło i tak się na tym spało. Pierzyna była z prawdziwego pierza.

W czasie wojny na wsi była partyzantka. Ta partyzantka powstała już za ruskich<sup>11</sup>, gdy ludzie się przed nimi ukrywali. Ale potem i za Niemców była. Ale oni nie bardzo sprawiedliwi byli. Jak ktoś miał do kogoś złość, to wtedy mieli okazję wyżyc się. Nie wiem, chwałą tych partyzantów, ale ja pamiętam, że ludzie bali się ich. Szeffem był ten, co był w tych Niemczech i wrócił – Konopka<sup>12</sup>. Z kim oni tam walczyli, jak w Stawiskach siedzibę mieli Niemcy, ci Rosjanie to byli na tej „płoszczadce”, ale kiedy oni z nimi walczyli? Oni między sobą walczyli, kto miał do kogo pretensje<sup>13</sup>.

<sup>10</sup> Wysiedlenia objęły w 1944 r. całą strefę przyfrontową i podejmowane były zarówno przez Armię Czerwoną, jak i Wehrmacht, które w ten sposób oczyszczały sobie zaplecze i teren przyszłych działań obronnych lub ofensywnych. Nastąpiło wówczas zniszczenie wielu miejscowości leżących w pobliżu linii frontu.

<sup>11</sup> Czyli w okresie sowieckiej okupacji ziem leżących na wschód od linii Pisa–Narew–Bóg w latach 1939–1941.

<sup>12</sup> W tym regionie w konspiracji działało kilka osób o nazwisku Stanisław Konopka.

<sup>13</sup> Niesprawiedliwy osąd, wynikający prawdopodobnie z powtarzania utartych sądów i plotek, powstałych m.in. na skutek rzeczywistych sporów między Armią Krajową a Narodowymi Siłami Zbrojnymi, które pod koniec wojny rywalizowały o wpływy w terenie, prowadząc równocześnie negocjacje

W wojnę to dzieci trochę się uczyły w domach. Jak matka znalazła gdzieś stary worek papierowy, to urwała kawałek kartki i jakiś ołówek znalazła czy tam może w mieście kupiła, i się na tym pisało, gumką ścierało codziennie, i tak się człowiek uczył literek. A worek to z kilku warstw był, z trzech czy czterech, to tak delikatnie nożem się wycinało, żeby jak najdłużej te kartki starczyły. Bo szkoły w wojnę nie było, każdy się bał nosa wychylić... Jakby nawet była jakaś nauczycielka, to przecież to było wszystko zabrane gdzieś tam, albo do Rosji, albo do Niemiec. Kto uczony, to wywozili, tak jak teraz w tym Katyniu<sup>14</sup>. Ilu tam Polaków było wywiezionych, kto mądrzejszy...

Zaraz po wojnie w szkolnej sali to uczyły się nawet po trzy klasy. Trzy rzędy ławek ustawiono, tu pierwsza klasa, tu druga, tam trzecia. Uczniowie przerosnięci byli po wojnie, bo przecież w czasie okupacji nie można się było legalnie uczyć. Jak się wojna skończyła, to nieważne, kto ile lat miał, szedł się uczyć. W klasie jedni mieli nawet piętnaście lat, a drudzy siedem lat. Ja miałam dziewięć, gdy zaczęłam chodzić do szkoły. Ale dzieci były w różnym wieku. Kto się lepiej uczył, to już go przesadzali do następnej klasy. Ja w ciągu roku to trzy klasy zrobiłam, bo się dobrze uczyłam. Powiedzieli tylko:

– A już wszystko umiesz, czytać umiesz, to siadaj tutaj. – A potem, na koniec roku już: – Siadaj tutaj.

Nauczycielka miała elementarz. Nie wiem, skąd ona go zdobyła, bo miała tylko jeden elementarz i z tego elementarza przepisywała na tablicy. Ludzie tam czymś pomalowali kawał drewnianej deski i to była tablica.

Dzień wyglądał tak: rano gęsi paść albo krowy się pilnowało, a do szkoły na dwie, na trzy godziny się poszło. A wieczorem lekcje odrabiać. W dzień nie było wolnego! Na wsi tak dzieci nie miały, że usiadł i odrobił lekcje. U nas, ja byłam jedyna taka do posługi i jeszcze musiałam brata Kazika bawić. Jak szłam gdzie do koleżanki, to i jego musiałam ciągnąć, bo mamusia coś tam robiła w domu albo w polu.

---

na temat połączenia obu organizacji. Regułą było także i to, że po wojnie członkowie podziemia niepodległościowego byli przez komunistyczną propagandę oskarżani o bandytyzm, co po kilkudziesięciu latach wdrukowało się w społeczną świadomość. Oczywiście zdarzały się przypadki działań poszczególnych dowódców lub partyzantów, które ułatwiały rozpowszechnianie takiej propagandy. Szerzej na ten temat zob.: S. Poleszak, *Podziemie antykomunistyczne w Łomżyńskim i grajewskim (1944–1957)*, Warszawa 2004; W. Brenda, *O bandytyzmie na Warmii i Mazurach w pierwszych latach powojennych* [w:] *Problemy bandytyzmu w okupowanej Polsce w latach 1939–1947*, red. B. Stefańczuk, Warszawa 2003.

<sup>14</sup> W 1940 r., na skutek decyzji podjętej przez władze ZSRR, funkcjonariusze NKWD rozstrzelali w Katyniu ok. 4 400 polskich oficerów, którzy w 1939 r. trafili do sowieckiej niewoli. W sowieckiej Rosji wymordowano łącznie blisko 22 000 oficerów. Poza Katyniem miejsca kaźni odkryto w kilku innych miejscowościach.



A w domu luksusów nie było. Na śniadanie to matka kaszy zrobiła. Krowa była czy tam dwie, to mleko było. Mama mleka ugotowała, dodała jakiejś kaszy i już było gotowane. Nie było tak, żeby jeść same wędliny. Masła mama jak robiła, jak śmietany trochę zebrała z mleka, od czasu do czasu, i masła robiła, to można tym masłem chleb posmarować. Mięso było, jak zabili we wsi świniaka. Ludzie wtedy tak dzielili się między sobą, że raz bili świniaka w jednym gospodarstwie i brali na przykład po ćwiartce. Lodówek nie było, więc każdy brał część, posolił i do beczki, żeby na dłużej starczyło. A później następny sąsiad zabił świniaka i znów się na przykład czterech dogadywało i po ćwiartce każdy brał.

A chleb jak upiekli, to najlepszy był z cukrem... ale cukru też za dużo nie było, bo gdzie to kupić w czasie wojny czy zaraz po wojnie? No, jak mama kiedy poszła do Stawisk, wzięła jajek z domu, bo pieniędzy skąd, ani poborów, ani nic nie było, to sprzedawała te jajka czy masło. Bo w Stawiskach były takie targi, chyba dwa razy w tygodniu. Zniosła to masło czy jajka na sprzedaż, sprzedawała, cukru kupiła trochę i dzieciom chleba posypała. Jajka sprzedawało się na sztuki albo tuziny, na kopy<sup>15</sup> – to już musiało być dużo. A gomółka to było masło, tam nikt nie ważył. Tyle i tyle kosztowała gomółka masła i tyle płacili. Jeszcze w takie chrzanowe liście je zawijali, potem to masło pachniało chrzanem... Jak przyszedłam do Pisz, to na początku takie masło ze sklepu mi nie smakowało.

Na wsi najważniejszy był sołtys. I w czasie wojny też był sołtys. Najczęściej mężczyzna, ale jak mężczyzny nie było, to i kobiety brały, która taka dziarska bardziej była, to wybierali ją ludzie na sołtysa. I do sołtysa ze wszystkim ludzie szli. A jak ząb cię bolał, to był na końcu wsi kowal... Z bolącym zębem do kowala się szło. Pamiętam, to niedziela była, dzieci się zbierają, śpiewają, bawią się u koleżanki. Jej ojca zabolał ząb i się złapał:

– O Jezuu, ale boli ten ząb!

A jego żona mówi:

– No to idź do tego Mieczkowskiego.

A ja tak sobie myślę: „Do Mieczkowskiego? Toż on kowal”. No i ten ojciec koleżanki poszedł.

– To poczekaj – mówi mu Mieczkowski – ja tu obcęgi zaraz trochę przepalę nad ogniem. Ogień się palił, to te obcęgi wsadził, rozgrzał trochę.

– Który cię ten ząb boli? – pyta. I wyrwał mu! Gdzie tam do dentysty by kto szedł na wsi? Gdzie dentysta był, kogo szukać? Wszystko załatwił kowal.

U nas w Rostkach to było pięć klas tylko szkoły podstawowej. To ja w ciągu dwóch lat powojennych zrobiłam pierwszą, drugą i trzecią, a później czwartą

---

<sup>15</sup> Tuzin to 12 sztuk, kopa – 60 sztuk.

i piątą w jednym roku. Tak że do Stawisk chodziłam już do szóstej i do siódmej. Bo tam było siedem klas szkoły podstawowej i potem cztery lata gimnazjum. To znaczy nazywało się to już liceum... mówi się teraz „ogólniak”. Do Stawisk chodziłam dwa lata. W lecie się chodziło pieszo do miasteczka, a w zimie to tam mieszkało się na stacji. Skończyłam tę szkołę w 1949 roku i wtedy pojawił się dylemat – gdzie dalej do szkoły chodzić? Dowiedzieliśmy się, że w Pieszku prawdopodobnie jest szkoła. I samochód na dojazd jest, wtedy mówiło się pekaes. Ten pekaes to samochód, chociaż to nie był taki samochód jak autobus, ale jakby nysa<sup>16</sup>, z boku taka plandeka była. Przyjeżdżał kierowca tym pekaesem, no i ile weszło do środka pod plandekę, to zwykle zabrali. A tu tyłu nas chciało do Pieszka, że wyjątkowo się nie zmieściliśmy! Egzamin ma być we wtorek. To my w poniedziałek rano od szóstej idziemy do Pieszka na pieszo. Cały dzień i cała noc! Ze Stawisk do Pieszka jest z sześćdziesiąt kilometrów! Za te pieniądze, co mieliśmy na pekaes, to – jak w Kolnie się zatrzymaliśmy – kupiliśmy bułki, mleko, żeby coś zjeść. Po drodze spotkaliśmy ludzi jadących na targ do Pieszka i z Jezy nas taki chłop podwiózł. Tak nas pięć osób ze Stawisk trochę szło, trochę jechało. Właściwie to byliśmy dziećmi! No i o godzinie czwartej rano dotarliśmy na miejsce. Ponieważ był koniec sierpnia, może początek września, więc zrobiło się już widno. Chłop, który nas wiozł, podjechał pod jakiś budynek i mówi:

– Tu jest internat, pukajcie, to wam kucharz otworzy. Może pośpicie jeszcze, da wam spać, gdzieś na sali.

Pukamy.

– O, a kto tu jest? – słyszymy zza drzwi.

– No my, dzieci!

– A skąd?

– Z centralnej Polski.

– A co wy o tej porze robicie?

– Myśmy przyszli, do szkoły, na egzaminy.

– A Boże! – otwiera te drzwi. Dał nam chleba, kawy czarnej zbożowej i mówi: – Kładźcie się! – A tu materace niepowleczone, bo jeszcze nie było dzieci, internat był w końcu sierpnia nieczynny. – I wy na egzamin idziecie? No to kładźcie się, ja was o siódmej obudzę, bo o ósmej na ten egzamin.

Dał nam jeść, pospaliśmy trochę, obudził nas. Poszliśmy na ten egzamin.

---

<sup>16</sup> Samochód dostawczy produkowany w Zakładzie Samochodów Dostawczych w Nysie w latach 1958–1994. W 1949 r. funkcję pekaesu pełnił zapewne jakiś inny typ auta, przez autorkę relacji kojarzonego z nysą.

Z matematyki egzaminował taki Mikołaj Własienko<sup>17</sup>, a te zadania... o bażantach i królikach! Nigdy tego nie zapomnę, dzieci ze wsi nie wiedziały, co to są bażanty, i nie mogły tego zadania rozwiązać, a ja – nie wiem czemu – wiedziałam i jako jedyna rozwiązałam to zadanie. Ten Własienko tak podszedł do mnie, mówi:

– Ty jedna tylko zrobiłaś to zadanie, ale oni z tobą szli, to ich wszystkich przepuszczę, niech odpiszą.

Taki dobry był człowiek. Te dzieci odpisały ode mnie zadanie o bażantach i Własienko przyjął nas do szkoły w Pisz.

– A ty masz pieniądze...? – zapytał.

– Nie, nie mam – przecież nawet na powrotną drogę w domu nie dali. Nie wiem, co myśleli wtedy rodzice, dając na bilet w jedną stronę tylko! I te pieniądze, co miałyśmy na pekaes, po drodze wydaliśmy na mleko i bułki. No, może jeszcze kilka złotych nam zostało.

– To idź do internatu i będziesz przyjęta. I dam ci stypendium, bo ze świadectwa widzę, że masz dobre stopnie. I matematykę tak zrobiłaś dobrze, to dostaniesz stypendium.

Kazał mnie podanie napisać, ale nas w szkole podstawowej w Stawiskach nie uczyli pisać podań.

– Ja tam liczyć mogę, ale podania nie umiem napisać – odpowiedziałam.

Własienko napisał nam na brudno podanie i mówi:

– To piszcie wszyscy. Nie wiem, kto dostanie te stypendium, ale ty dostaniesz. Internat kosztuje dwieście czterdzieści pięć złotych, to dostaniesz dwieście sześćdziesiąt złotych, jeszcze będziesz miała piętnaście złotych.

Te egzaminy były tam, gdzie dziś jest Szkoła Podstawowa nr 1, dziś mówi się popularnie Jedyńska. Tam na parterze była szkoła podstawowa, a na piętrze liceum<sup>18</sup>. A internat to był tam na rogu przy ulicy Warszawskiej, w takim

---

<sup>17</sup> Mikołaj Własienko (ur. 17 kwietnia 1916 r. w Szorkowszczyźnie, powiat Działowa) – jeden z pierwszych nauczycieli uczących w powiecie piskim. Przed wojną studiował na Uniwersytecie Wileńskim. W 1953 r. uzyskał dyplom nauczyciela szkół średnich w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Łodzi. Członek Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz PPR/PZPR. W 1946 r. uruchomił szkołę w Dybowie. W 1946 r. został nauczycielem chemii w Liceum Ogólnokształcącym w Pisz. Przez pewien czas kierował internatem. W 1951 r. oraz w latach 1952–1954 był dyrektorem liceum w Pisz. W latach 1954–1959 pracował jako dyrektor liceum w Wysokim Mazowieckiem. W 1959 r. powrócił do Pisz, by podjąć pracę na stanowisku instruktora KP PZPR. W latach 1960–1966 pracował w Szkole Podstawowej nr 2 w Pisz, w latach 1966–1972 ponownie w liceum ogólnokształcącym.

<sup>18</sup> Utworzenie tzw. jedenastolatek w 1948 r. było próbą dostosowania systemu oświaty w powojennej Polsce do wzorców radzieckich. Nowa szkoła miała obejmować siedmioletnią szkołę podstawową i czteroletnią szkołę średnią. W Pisz jedenastolatka była zlokalizowana w dzisiejszej Szkole Podstawowej nr 1, ale w 1952 r. liceum przeniesiono do oddanego do użytku budynku dzisiejszej Szkoły Podstawowej nr 2 przy ul. Gizewiusza.

nieistniejącym budynku<sup>19</sup>. A obok dzisiejszego „nowego ogólniaka”, ten budynek z czerwonej cegły, to była szkoła krawiecka. Te uczennice to my „szpulki” nazywaliśmy. Jak wróciłam do internatu, ten kucharz pyta:

– No i co, zdaliście ten egzamin?

– No zdaliśmy. – Był bardzo zadowolony, że tak się zaopiekował dziećmi. To był dobry człowiek. On i za dyrektora był, i za wychowawczynię, i za wszystko. Taki naprawdę dobry człowiek był. I wtedy mówi:

– No, to dobrze, to już będziecie teraz wszystko mieć. Obiad dobry zjecie.

Jak później przyszedł ten Własienko, już pościel dostaliśmy, obiad zjedliśmy. Na początek grochówkę z takiego amerykańskiego grochu gotowali, to wszystko w torbach dawali, na śniadanie chleb z marmoladą, na kolację znów chleb z marmoladą, w paczkach to wszystko, z darów amerykańskich to chyba było<sup>20</sup>.

Czternaście lat wtedy miałam, nawet jeszcze nieskończone... Szkołę niby się zaczynało od lat siedmiu, ale ja zaczęłam od dziewięciu i musiałam nadrobić stracony czas... I w szkole średniej dobrze się uczyłam, ściśle przedmioty były moje ulubione. A i język polski też, to miałam czwórkę na egzaminie, na maturze chyba nawet piątkę? Ale w szkole byłam najlepsza z matematyki i z fizyki.

Jak już miałam stypendium i później w szkole ogólnokształcącej w Pieszku uczyłam się dobrze, to jeden nauczyciel, co uczył nas matematyki – on był w wieczorówce<sup>21</sup> dyrektorem szkoły i nigdy nie miał czasu – to zawsze mnie prosił:

– Przyjdź do wieczorówki, to dzieci pouczysz. – A ja tam miałam dużo koleżanek, trzy z nich to poszły na wieczorówkę, bo w dziennym liceum jakoś nie było miejsca, już nie pamiętam... W każdym razie trzy koleżanki ze Stawisk znalazły się na wieczorówce i one też mnie prosiły, tak samo jak ten dyrektor:

– To przyjdź nam pomożesz, lekcje poprowadzisz. Słabszym dzieciom pomożesz.

---

<sup>19</sup> Tak zwana Mysia Wieża.

<sup>20</sup> UNRRA (ang. United Nations Relief and Rehabilitation Administration, pol. Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) – organizacja międzynarodowa utworzona w 1943 r. w Waszyngtonie z inicjatywy USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie oraz Azji po zakończeniu II wojny światowej. Prawie 70% świadczeń na rzecz UNRRA pochodziło z USA. Największymi odbiorcami były Chiny i Polska.

<sup>21</sup> Trudno powiedzieć, czy chodzi o szkołę podstawową czy średnią dla pracujących. Liceum ogólnokształcące dla pracujących istniało w Pieszku od 1946 r. Dyrektorem w latach 1948–1962 był Roman Kozyra, uczący matematyki. Szkoła podstawowa dla pracujących powstała w Pieszku w 1950 r.

Ale wychowawczynie nie chciała mnie puszczać wieczorami na miasto, więc najpierw cała klasa z wieczorówki po mnie przychodziła, a później mnie wszyscy odprowadzali! Ten dyrektor bardzo zadowolony był, a i te dzieci, co je douczałam, też się cieszyły... A to dały mi jakieś pieniądze, a to materiał na sukienkę kupiły, a kiedyś to był rarytas.

Cały czas mieszkalam wtedy w internacie w Pisz. Do domu tylko na wakacje się jeździło. Już miałam swoje pieniądze. Starczyło na podróż do domu i na ubranie. A uczeń na niedzielę musiał mieć mundurek i na co dzień fartuch do szkoły. Cały strój był!

Maturę to składaliśmy w budynku przy kościele, bo później przenieśli szkołę średnią do tego budynku, co dziś jest Szkoła Podstawowa nr 2 przy ulicy Gizewiusza. Jan Bitner<sup>22</sup> był dyrektorem tam, w tej Jedynce, on później do Elku wyjechał chyba. Jak ja tylko przyjechałam, to była ósma klasa, tak my mówiliśmy, to znaczy na dzisiejsze czasy to była pierwsza, druga, trzecia i czwarta klasa liceum, ale my mówiliśmy wtedy ósma, dziewiąta, dziesiąta i jedenasta. Tak to się wtedy potocznie nazywało<sup>23</sup>.

Pisz po wojnie zniszczony był. Jak przyjechałam, to tylko drzewa rosły, takie olszyny, takie tyczki wszędzie. Na rynku tylko, gdzie teraz są delikatesy, to ten budynek stał. Gdzie Piski Dom Kultury jest to pole było, gruzy tylko rozsypane. My mieszkaliśmy w internacie na ulicy Warszawskiej, ale niedaleko znajdowały się jeszcze gruzy więzienia poniemieckiego. Po drugiej stronie kościół był, to znaczy to był katolicki kościół<sup>24</sup>, ale w gruzach. Stała taka chrzcielnica, z cementu jakby zrobiona, to żeśmy mówili:

---

<sup>22</sup> Jan Bitner (ur. w 1905 r.) – magister historii, był przedwojennym nauczycielem szkół średnich. Sprowadzony do Pisz przez swego krewnego Klemensa Masłowskiego, który w 1945 r. organizował oświatę. Od 1 września 1946 r. zorganizował koedukacyjne gimnazjum w Pisz. W 1948 r. wyjechał do pracy w Elku. W styczniu 1947 r. został członkiem PPS, by kilka miesięcy później znaleźć się w szeregach PPR.

<sup>23</sup> Szkoła jedenastolatka.

<sup>24</sup> Była to kaplica Najświętszego Serca Jezusowego w Pisz urządzona w plebanii. W 1925 r. 293 pisan było katolikami (6% ogółu mieszkańców), 1937 r. w Orzyszu mieszkało 151 katolików (4,3%), w Białej – 43 (1,5%). Zapewne ze względu na te liczby właśnie w Pisz powstała parafia katolicka, wyodrębniona w 1869 r. z parafii elckiej. W okresie międzywojennym proboszczami katolickimi w Pisz byli: Ryszard Nadolski, August Właschewski, Otto Rosenkranz, kuratus parafii w latach 1937–1945. W 1945 r. kaplica została zniszczona, a przybywający do Pisz katolicy modlili się w poewangelickim kościele św. Jana Chrzyciela. Przed wojną parafia katolicka powstała też w Orzyszu (1934 r.). Początkowo w charakterze proboszcza pracował tam Henryk Lüpschen, a następnie, od 1942 r., Gerhard Thidigk. Zob. A. Kopiczko, *Katalog duchowieństwa katolickiego w diecezji warmińskiej (do 1945 roku)*, Olsztyn 2003, s. 41, 44; idem, *Duchowieństwo katolickie diecezji warmińskiej w latach 1821–1945*, Olsztyn 2003, s. 239, 293.



– O, woda tam jest. – Bo jak padało, to woda tam leciała. Chłopaki łapali dziewczyny i wołali:

– O, zaraz cię ochrzczimy tutaj!

A do tego więzienia chodziliśmy też tak zwiedzać. Kiedyś to wleźliśmy na górę i schody się oberwały, potem nie mogliśmy zejść. Boże jedyny, ile to strachu było... to tak się wszystko ważyło... Spadnie? Nie spadnie? No, ale wszędzie chciało się wejść, zobaczyć, co tam było. To był dawny budynek sądu, a w podwórku więzienie było. A teraz to jest ulica i budynki, już teraz zupełnie co innego.

Najpiękniejsza ulica to była Rybacka. Tam stało parę starych domów. Ale po drugiej stronie, co teraz są sklepy, to taka rudera stała, okna powybijane... Później ludzie to odbudowali. No, i piękny ratusz był. A tu, gdzie teraz delikatesy, to znajdował się Wiejski Dom Towarowy, sklep taki wielki. Nazywaliśmy to wudet. A szpital był tam, gdzie jest dzisiaj szpital, tylko wtedy to był szpital wojskowy. Szpital cywilny był na ulicy Słowackiego, taki ostatni budynek na końcu<sup>25</sup>. Urzędu powiatowego nie było. Siedziba gminy była naprzeciw dzisiejszej szkoły, „starego ogólniaka”<sup>26</sup>. Taki domek tam stał, za dzisiejszym elektrycznym sklepem<sup>27</sup>. To Urząd Gminy tam się mieścił. Niecikowska tam pracowała, moja koleżanka, z którą jakiś czas razem mieszkalam. Początkowo, jak jeszcze była panienką, pracowała w wydziale finansowym, a później była sklepową. I jej mąż też pracował w gminie, później oni tam mieszkali, w tym budynku.

Jak skończyłam maturę, to już w banku pracowały te koleżanki z wieczorowej szkoły, co chodziłam z matematyki pomagać. I one poszły do swego dyrektora, że ja taka zdolna, matematyczka, najlepsza ze szkoły i mi tę pracę załatwiły. Jak ja maturę zdałam w 1953 roku, to na drugi dzień poszłam do pracy. Bank mieścił się tam, gdzie teraz jest drogeria, przy ulicy Rybackiej, tuż koło ratusza. To był Narodowy Bank Polski<sup>28</sup>, w którym przepracowałam całe życie. Tam zaczęłam i tam skończyłam swoją pracę zawodową.

---

<sup>25</sup> Według lustracji z maja 1946 r., zatem z okresu nieco wcześniejszego względem relacji autorki szpital mieścił się przy ul. Słowackiego w zwykłym budynku mieszkalnym. Był „małych rozmiarów, lecz wystarczający z uwagi na małą frekwencję chorych (przeciętnie 30 chorych), z których część, tj. zakaźnie chorych ulokowana jest w budynku sąsiednim [...]. Szpital dobrze aprowizacyjnie zaopatrzony: ma 2 krowy, 3 szt. świń, duże zapasy żywności, wystarczające na kilka miesięcy”. Cyt. za: E. Stefańska, *Starostwo Powiatowe w Pisz 1945–1950. Organizacja i funkcjonowanie*, „Znad Pisy” 1999, nr 8, s. 111.

<sup>26</sup> Zespół Szkół Ogólnokształcących uzyskał nowy budynek przy ul. Sikorskiego we wrześniu 1960 r.

<sup>27</sup> Sklep przy ul. Sikorskiego.

<sup>28</sup> Również przed wojną w tym budynku mieścił się bank.

Matura wyglądała zupełnie inaczej niż współcześnie – dzisiaj zdaje się jeden przedmiot, jutro inny. Wtedy, gdy weszło się na egzamin, to było od razu pięć przedmiotów. Nie wyszłaś, aż wszystkie przeszłaś. Pisemny tylko był wcześniej – matematyka i język polski. A ustne egzaminy z różnych przedmiotów trwały cały dzień, przed komisją ciągnęło się kartki z pytaniami. I egzamin kończył się wieczorem. Na koniec zbierano wszystkich uczestników i ogłaszano: ten zdał, ten nie zdał. Ja zdawałam maturę 14 czerwca, a już 15 czerwca poszłam do pracy. Do domu nawet nie pojechałam. No bo tu potrzeba było szybko, dlatego że starzy pracownicy na urlopy chcieli iść...

Oczywiście od razu musiałam opuścić internat. Najpierw to mieszkałam na ulicy Wojska Polskiego u takiej pani, nazywaliśmy ją „ciotka Pepłowska”, ale później to u państwa Kucharskich mieszkałam. Kucharski to już dziś staruszek, ale jeszcze i teraz mnie odwiedza... Ale wcześniej ich nie znałam. Chodziłam od domu do domu z pytaniem, czy nie przyjmą mnie na stancję. Tak to się odbywało...

Komenda Powiatowa Milicji Obywatelskiej była na rogu przy ulicy Rybackiej. Potem wybudowali nowy budynek przy dzisiejszej ulicy Armii Krajowej<sup>29</sup>. Od ulicy Klementowskiego to było takie pole ciągnące się aż do szpitala. Olszyny rosły, leżały śmieci. Jakieś działki. Pamiętam, że w banku pracował pan Wojciechowski, którego córka, Bożenka, chodziła jeszcze do szkoły. I ona dostała wypracowanie do napisania, jaka będzie przyszłość... i ojciec jej napisał to wypracowanie. Przewidział, że w Piszcu będzie osiedle Wschód, ale i że nowy kościół będzie, że takie nowoczesne osiedle w Piszcu powstanie, i że do samej rzeki będą stały domy, i nad brzegiem jeziora... Że takie mamy piękne miejsce, że tu będzie wszystko zagospodarowane. A tu nic przecież nie było, tylko ruiny, pola i wokół miasta las. Ulica Świerczewskiego, gdzie teraz mieszkam... to ludzie pola tu przecież uprawiali! Tak samo na ulicy Jagiełły – to są wszystko nowe domy. Wszystko budowane po wojnie. To było pole, normalne pole. To się śmieli z tego wypracowania. Jak Bożena przeczytała głośno na lekcji, to nauczycielka powiedziała:

– Ale ty masz fantazję, dziecko.

A na ulicy Świerczewskiego to chyba my się pobudowaliśmy pierwsi, to znaczy ja i mój mąż, już po ślubie. Jeszcze musiał szukać po wsiach domu, bo

---

<sup>29</sup> W okresie tzw. Polski Ludowej ulica nosiła imię Romana Buczka, przedwojennego działacza komunistycznego.

wszystkie musiały być jednakowo wybudowane na tej ulicy. Teraz to każdy buduje, jak mu się podoba. I jeszcze po latach, jak my podnieśliśmy dom, to te stare okienka były małe, do przeróbki, i dach do przeróbki – to mąż sam musiał rysować i kreślić, bo był budowlancem i potrafił. Więc jak przerobił plany tego naszego budynku, to Urząd Miasta musiał zatwierdzić i wszyscy mieszkańcy ulicy musieli się zgodzić na piśmie – my dopiero wtedy mogliśmy budować go wyżej. Dlatego część starych domów na ulicy jest takich... nie za dużych. Takie kuse, takie jak na okolicznych ulicach, takie małe.

Męża poznałam w szkole. Chodził do liceum, tylko nie ze mną, a jedną klasę wyżej. Rok wcześniej chodził, bo rok starszy. No i ja nie wiem, jak to w szkole było, pamiętam tylko, że na koniec roku zaprosił mnie na bal maturalny. Bo to nie było studniówek kiedyś, tylko były bale maturalne. Po balu pojechał do domu, do Malic, skąd pochodzi. Jak tam przyjechał to wszyscy mówili:

– Oo, szkołę skończył, liceum!

Bo nie było zbyt wielu takich, co zdobyli średnie wykształcenie. To od razu sołtys do niego przyszedł z dyrektorem tamtejszej szkoły w Brzozowie, odległej o kilometr. Nie było komu uczyć, to poprosili go, żeby tam uczył dzieci matematyki. I rok czasu pracował w szkole. Ale narzekał:

– Tak, te dzieci są, no wiesz, jak to dzieci, mało zdolne. A to ten sąsiad, a tamten wujek, a postaw taki stopień. A co taki słaby stopień? – Tak mu to zbrzydło, że jak przyjechał do Pizy w wakacje, do Peplowskich, któraś kobieta od nich z domu pracowała jako woźna w banku. Listy na pocztę zanosila, przynosiła. I ona opowiedziała, że w banku to pracuje taka Celina Chrzanowska. A on na to:

– Pracuje?! W banku? – I godzina trzecia, a on stoi pod bankiem. Nie wiedziałam w ogóle, że on przyjechał do Pizy. Spotkaliśmy się i to chyba jest przeznaczenie. Już nie pojechał, pracę sobie znalazł. Tam tylko napisał podanie o zwolnienie, wysłał. Nie chciał już pracować w tej szkole.

– Co ja tam będę siedział. Raz, że te dzieci nie uczą się, a rodzice mają pretensje: „a postaw, a żeby przeszedł” – mówił. – Nic nie umie, a mam postawić stopień, żeby przepuścić tylko. Nie, to nie dla mnie praca.

W Pizie znalazł sobie pracę w mleczarni, no i później jeszcze zaocznie budowlankę skończył, bo co po maturze, jaką pracę znajdzie? To zaocznie się uczył i uprawnienia zrobił. Mleczarnia była przy ulicy Wojska Polskiego, gdzie teraz sklep alkoholowy jest. Całe te budynki, które tam stoją, należały



Ruiny piskiego zamku przed 1963 r.

do mleczarni. Takiej poniemieckiej jeszcze. No i tam pracował. Później, jak już skończył zaocznie szkołę i uprawnienia zrobił budowlane, to już potem poszedł budować. I cały Pisz to on budował, te wszystkie domy, co są. Później to i w Orzyszu wszystkie wojskowe budynki budował... I na wsi, gdy przeszedł do Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego.

W 1956 lub 1957 roku dostaliśmy pierwsze mieszkanie nad rzeką, przy samym moście. Tam taka stara piekarnia była, jedna ściana w rzece stała, a jak się na moście stało, to do okna można było zapukać. I my tam dostaliśmy pierwsze mieszkanie. A po drugiej stronie rzeki były ruiny zamku krzyżackiego<sup>30</sup>. Może na metr albo na dwa jeszcze były te gruzy. I dzieci tam biegały, i ze szkoły tam chodzili. A wycieczki jak przyjeżdżały, to też zaglądali do tych ruin. Najwięcej to Niemców przyjeżdżało, jak oni stąd zostali wysiedleni, z tych ziem, to oni tutaj przyjeżdżali i między innymi ten zamek chodzili oglądać. Tam i do piwnicy było takie jakieś wejście czy tunel<sup>31</sup>. Wszędzie były rozebrane cegły. Komuś potrzeba

<sup>30</sup> Zamek krzyżacki Johannisburg został założony w Pisz w XIV w. Był wielokrotnie przebudowywany, aż w XVIII w. stracił znaczenie militarne i od tej pory pełnił funkcję mieszkalne. Rozebrano mury obronne. W 1945 r. z zamkowych budynków pozostały ruiny, niemal doszczętnie zniszczone w 1963 r., gdy nad rzeką utworzono park. Przez wiele lat powojennych w miejscu dawnego zamku istniał tzw. Plac Zamkowy.

<sup>31</sup> Echo legendy, wciąż wywołującej spore zainteresowanie, jakoby z zamku krzyżackiego prowadziło przejście podziemne do Łupek.

było cegieł, to szedł i brał. A później to, nie pamiętam który, któryś taki mądry burmistrz<sup>32</sup> był, że trzeba porządek nad rzeką zrobić. I władze te ruiny kazały zniszczyć. A to było takie... kto nie przyjechał, to wszyscy zwiedzali.

W tej piekarni nad rzeką to Wojdełko był kierownikiem, jako piekarz pracował R., takie niemieckie nazwisko miał. Później też został kierownikiem nowej piekarni. A Wojdełko to był taki stary piekarz, dobry, jego żona robiła smaczne torty. Przy tej piekarni kilka mieszkań było. Tam kierownik piekarni mieszkał i jeszcze ktoś. Jak ja w banku pracowałam i szukałam mieszkania, dyrektor Buraczewski mówi do Wojdełki:

– Daj dziewczynie jakieś mieszkanie. – A tam pokój z kuchnią w tej piekarni był wolny. No to myśmy się tam przeprowadzali 22 grudnia.

Burmistrzów<sup>33</sup> nie pamiętam. Poza jednym, nazywali go Karowa. Bo on polował. I kiedyś, jak myśliwi się zbierali, to nie wiem, czy on czy inny myśliwy myślał, że to dzik, a to krowa się pasła, i zabił tą krowę. I on wtedy mówi:

– A ty cholero jedna, karowu zabiłeś! – I od tamtej pory go nazywali Karowa. Myślał, że to dzik, a on karowu zabił. On tak mówił dziwnie. Grodno należało do Polski, bo mój tatuś w Grodnie służył, ludzie z tych wszystkich ziem, co nam potem ruskie zabrali po wojnie, to tam tak mówili. Rosja zabrała to, co na wschodzie, a dali te ziemie tutaj, bo to było niemieckie. To znaczy może nie niemieckie, a jakby to powiedzieć... Prusy<sup>34</sup>, dali nam tu do Odry, a zabrali cały Wschód, kawał ziemi. No i on stamtąd pochodził. I ponieważ tak dziwnie mówił, to go wyśmiali. Nazywali go od tego zdarzenia na polowaniu Karowa.

Ośrodki zdrowia to były w różnych miejscach. Na ulicy Rybackiej, tam na końcu taki czerwony budynek stoi, teraz to chyba otynkowany, tam był ośrodek zdrowia. Jeszcze był ośrodek zdrowia na ulicy Lipowej, za dzisiejszą apteką taki budynek stał, później tam było przedszkole w tym budynku. Także tych ośrodków zdrowia to tak przenosili, aż później odzyskali szpital, gdy wojsko wyprowadziło się, to już tam zrobili. I wtedy szpital był zlikwidowany na ulicy Słowackiego.

---

<sup>32</sup> Za decyzję o rozbiórce zamku krzyżackiego w 1963 r. odpowiedzialny był prawdopodobnie ówczesny I sekretarz KP PZPR w Pisz.

<sup>33</sup> W pierwszych latach powojennych Pisz miał burmistrzów. Później wprowadzono instytucję Naczelnika Miasta.

<sup>34</sup> Wahanie autorki wynika stąd, że przez kilkadziesiąt lat w okresie tzw. Polski Ludowej oficjalnie podkreślano polskość tzw. Ziemi Odzyskanych. Tymczasem Warmia i Mazury należały do Prus, które w XIX w. stały się częścią zjednoczonych Niemiec.



A przy dzisiejszej ulicy Klementowskiego stoi taki budynek czerwony, otynkowany. Między szpitalem a szkołą Jedyńką. To tam kiedyś było UB i w piwnicach ludzi trzymali, Polaków i Mazurów<sup>35</sup>.

Mazurzy... Oni kto mógł, to uciekał... A niektórzy Mazurzy to na przykład się przyznawali, że są Polakami. Ze mną pracowała taka Krysia N., z domu Optacy. Jedna jej siostra w księgarni pracowała, bardzo mądra kobieta była, a Krysia pracowała u nas w banku. To oni nie chcieli wyjeżdżać. Ona później wyszła za Polaka i mieszkali tu w Piszcu. Jedna moja znajoma Mazurka wyszła za takiego ubowca<sup>36</sup>, bo to byli wtedy rzekomo wielcy patrioci. Mieli jedno dziecko, córkę Bożenkę. Ona była bardzo miła dziewczyna, ale chyba się tu nie bardzo czuła. Bo wszyscy jak dobrze, to dobrze, ale w złości każdy potrafi coś takiego powiedzieć: „Ty Niemro!”. I ona w końcu wyjechała do tych Niemiec. I wyjechała rodzina R. Oni z nami mieszkali, bardzo dobrzy sąsiedzi nasi, ja na nich jednego słowa nie mogę powiedzieć. R. był później kierownikiem piekarni. Choć przecież Mazurzy najpierw nie chcieli wyjeżdżać. Ojciec tej mojej koleżanki, Krysii N., powiedział:

– Ja tu się urodziłem i tu umrę, ja jestem Polakiem.

A to wszystko dlatego, że ludzie jak to ludzie. Jak dobrze, po sąsiedzku, to wszystko wydawało się dobrze. A jak ktoś był zły, to zaraz krzyczał, że „Niemra idzie!”. A przecież Mazurzy to byli ludzie pokrzywdzeni, bo Niemcy ich wyzywali od Polaków. Ten R. pojechał do Niemiec w latach siedemdziesiątych<sup>37</sup>. I tam też zaczął pracować, to go podobno nazywali „polską świnia” w Niemczech, bo on z Polski przyjechał. Kiedyś jego żona przyjechała do Piszca, bo jej siostra nie chciała wyjeżdżać i została. I pani R. opowiadała, że jej mąż się załamał, bo jak przychodził z pracy, zamykał się w pokoju i nawet jeść nie chciał. Bo on nie chciał wyjeżdżać, tylko jego żony matka tak chciała koniecznie wyjechać. Ona ciągle: „wyjedzie i wyjedzie i wyjedzie i wyjedzie”, i w końcu namówiła do tego wyjazdu.

---

<sup>35</sup> Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Piszcu w latach 1945–1954 miał swoją siedzibę w budynku wzniesionym w latach 20. XX w. dla urzędników, przy obecnej ul. Klementowskiego 10. Potem UB przemianowano na Powiatowy Urząd ds. Bezpieczeństwa Publicznego, a po 1956 r. budynek został przeznaczony na cele mieszkaniowe. Zob. *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956*, red. T. Łabuszewski, Warszawa 2012, s. 512–513.

<sup>36</sup> Funkcjonariusz Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Piszcu.

<sup>37</sup> Największa fala wyjazdów z Mazur nastąpiła w latach 70. XX w. Impulsem była z jednej strony normalizacja stosunków między PRL a RFN w grudniu 1970 r. oraz udział władz PRL w Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Helsinkach, podczas której doszło do wynegocjowania porozumienia (1975 r.) między I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem a kanclerzem RFN Helmutem Schmidtem, uwzględniającego m.in. akcję łączenia rodzin. Władze PRL zgodziły się zliberalizować politykę wyjazdową do RFN dla osób pochodzenia niemieckiego.

– A w Niemczech ludzie dobrze żyją! – mówili. A oni i tutaj mieli bardzo dobrze, wszystkie jedzenie tam z tej piekarni przyniósł, nie dość, że chleb i bułki, to jeszcze i masło przyniósł, i mąkę, to co było w piekarni. Żona trochę mięsa kupiła i bardzo dobrze im się żyło. I bardzo dobrze w domu mieli, ładnie, pieńiądze mieli. A tam został zwykłym piekarzem. Jak poszedł do pracy w Niemczech, to powiedzieli, że mu stanowiska nie dadzą, bo on z Polski. Parę razy ktoś mu powiedział „polska świnia”, to się załamał:

– Ja nie chciałem wyjeżdżać, tam mnie było dobrze i wam dobrze.

A ta jego żona, jak odwiedzała siostrę w Pysku, to też powtarzała:

– Ja bym tutaj była panią, a tam to jestem takim...popychadłem. Dziwię się, że ktoś zmienia sobie jakieś lokum. Gdzie kto mieszkał, niech mieszka.

Dziewczynki mieli dwie, bardzo dobrze się te dziewczynki uczyły.

Ludzi to chyba w 1968 roku taka głupota ogarnęła<sup>38</sup>. Ludzie teraz, jak prze myślą, to źle było z tym wymuszaniem, kim kto jest. Szary człowiek i tak jest pokrzywdzony, bo jeden nazywa go tak, a drugi tak. To kim on jest? Nie Polak, nie Niemiec. Nie ruski, nie pruski. Tu matka chce tak, dzieci się chowają tak... Te dziewczynki to płakały przy wyjeździe. Miały koleżanki, nie chciały wyjeżdżać. To jest tragedia dla rodziny. To nie jest takie proste... Bo nawet ci, którzy się tutaj urodzili, przecież wiedzieli, że Niemcy w czasie wojny mordowali i oni się nie chcieli nawet przyznawać. Bo to oni nie byli nawet Niemcami. To były kiedyś polskie ziemie, potem Niemcy je zagarnęli<sup>39</sup>, to zniemczali ich, jak mogli tylko<sup>40</sup>. I ten naród taki jest... Ja to im współczuję tym ludziom... Tak jak ta Krysia N., mówiła zawsze:

<sup>38</sup> W relacji nakładają się przymusowe wyjazdy osób pochodzenia żydowskiego, związane z nagonką antysemitką wywołaną w 1968 r. przez jedną z frakcji PZPR, tzw. moczarowców; z wyjazdami do Niemiec osób przynajmniej się do niemieckich korzeni. Wyjazdy te były dobrowolne i najczęściej miały miejsce w ramach tzw. akcji łączenia rodzin lub pod wpływem złych warunków ekonomicznych. Ich eskalacja nastąpiła po podpisaniu w 1970 r. porozumienia między PRL a RFN.

<sup>39</sup> Tereny dzisiejszych Mazur, jako część odrębnego państwa – Księstwa Pruskiego, stały się lennem Rzeczypospolitej w 1525 r., gdy ostatni Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego Albrecht Hohenzollern złożył hołd lenny przez królem Zygmuntem Starym. Był to tzw. hołd pruski, w XIX w. uwieczniony w znanym obrazie Jana Matejki.

<sup>40</sup> Proces germanizacji rozpoczął się w XIX w., wraz z początkiem kształtowania się nowoczesnego nacjonalizmu. Rozpoczął się od tzw. wojny o język w mazurskich szkołach, gdy władze pruskie podjęły próbę wprowadzenia podczas nauki religii języka niemieckiego zamiast polskiego. Na rosnące wpływy kultury niemieckiej wśród Mazurów miał wpływ także naturalny proces modernizacji, gdy tzw. awans społeczny wiązał się ze znajomością języka niemieckiego. Miała na to wpływ m.in. służba w wojsku, możliwość zdobycia pracy w niemieckim przemyśle, a dzięki rozwojowi sieci kolejowej ułatwiona komunikacja z pozostałymi częściami Niemiec (zjednoczonych przez Prusy w 1871 r.). Według danych statystycznych w 1890 r. 10 323 mieszkańców powiatu piskiego za język ojczysty uważało niemiecki, 18 616 – polski, 17 640 – mazurski. W 1925 r. 43 421 osób deklarowało używanie języka niemieckiego, 292 – języka polskiego i 7 990 – mazurskiego. Zob. A. Sakson, *Mazury. Społeczność pogranicza*, Poznań 1990, tab. 1.

– Ja bym pojechała do tych Niemiec, ale do kogo? Z czego ja tam pojadę, tam nie znam nikogo? Siostra nie chciała jechać, ja mam dobrą pracę, czego ja będę jechać tam?

Jej rodzice mieli na Łupkach mieszkanie, tu poumierali, tu są pochowani. A później Mazurzy zaczęli też tak o z Polski wyjeżdżać. Dużo ich wyjeżdżało, bo tu bieda była, komuna, a w Niemczech było jednak lepiej trochę. Tak jak ze Śląska ludzi tyłu wyjechało. Wyjechali, bo tam łatwiejsze życie na Zachodzie. I tak się zdecydowali, zrzekali się obywatelstwa polskiego, a jak ktoś już tam miał dobre znajomości, to się nie zrzekł, tylko przyjął drugie obywatelstwo.

Jak po wojnie przyjechałam do Pisz, to niewielu mówiło po niemiecku. Oni starali się nie mówić w ogóle po niemiecku. Oni tak się wystrzegali, bali się po prostu. Może gdzieś tam ktoś w domu mówił, ale ja tam nie wiem. Oni się bali, bo po wojnie, to ruskie te dziewczyny niemieckie tak gwałcili i robili z nimi, co chcieli<sup>41</sup>. Pamiętam, że też Polacy, jak przyjeżdżali z centralnej Polski, z wiosek, grabili wszystko. Nie patrzyli, że w domu siedzą dzieci, matka, tylko co mogli, to zabierali<sup>42</sup>.

– Bo to Niemcy! Przegrali wojnę, tyle nas męczyli, to teraz wszystko możemy zabrać! – tak czasem mówili. I ludzi ograbiali, że niektóre rodziny zostały bez niczego, bo wszystko zabrali im. Jeden jest trochę kulturalny, to trochę myśli, a drugi to tylko, aby zabrać. I ci ludzie miejscowi byli tacy zastraszeni po prostu. I dlatego zaraz po wojnie starali się wyjechać, chociaż nie wiedzieli też, jaki los ich w tych Niemczech czeka. Ale jechali, bo wiedzieli, że tam ich nie będą męczyć. A tu jeszcze jak ruskie byli, to strasznie na tych Niemców się

---

<sup>41</sup> Szerzej na temat gwałtów i rabunków dokonywanych na Warmii i Mazurach przez Armię Czerwoną zob. w: W. Brenda, *O Armii Czerwonej na Warmii i Mazurach*, „Znad Pisy” 2002, nr 11.

<sup>42</sup> Z tą relacją korespondują wspomnienia dowódcy oddziału partyzanckiego NZW: „Na tych Ziemiach Odzyskanych panował jakiś amok – nawet niegłupio myślący ludzie wszystko niszczyli. Może w odwecie za Niemców, za lata okupacji? Am czułem, że jak spotkam ładne niemieckie okno, to muszę je zbić. Jak zorganizowałem grupę PAS [Pogotowie Akcji Specjalnej – WB], powiedziałem sobie, że pierwszego napotkanego Niemca spiorę po pysku, oddam za swoje. Zajeżdżamy do wsi, pytam: – *Są Niemcy?* – *Nie ma, ale w drugiej wsi, panie, są* – odpowiada chłop. Jedziemy do drugiej. – *Są Niemcy?* – *Nie ma, w następnej są* – Wreszcie w którejś słyszymy, że są. Ja już szykuję się, ręce zacieram. – *Gdzie oni?* – *Panie, myśmy ich zagnali do szkoły na końcu wsi*. To już mnie trochę zastanowiło, że z własnych domów ich wypędzono. Ale idziemy tam. Jak to w partyzantce: połowa w mundurach, połowa po cywilnemu. Drzwi otworzyliśmy – jak oni nas zobaczyli, zrobił się wrzask. No to, oczywiście, nie ma już mowy o biciu. Staram się, razem z chłopakami, uspokoić sytuację, uciszyć wszystkich. Mielśmy trochę papierosów, trochę cukierków. Okazało się, że to Mazurzy, autochtoni; w pojęciu przyjezdnych Niemcy. Zaczęli nam opowiadać, co się tu dzieje: – *Co dzień przychodzą i co dzień biją. Szukają złota, zegarków. A skąd my weźmiemy, jak Ruskie dawno zabrali*” (J. Karwowski, *Ludzie akcji specjalnej*, „Karta” 1994, nr 14, s. 21–22).

zawzięli. A na te Niemki... nie miały nic do gadania, co ruskie chcieli, to robili. A to byli przecież dobrzy ludzie. Pamiętam w internacie jak mieszkaliśmy, to przychodziliśmy jabłka kupować do tych Mazurów. Mówiliśmy:

– Idziemy do Mazurów jabłka kupić.

– A wy macie pieniądze? – pytali nas. – Jak nie macie, to i tak dzieci tych jabłek możecie nazbierać. – Czasem gospodyni sama nazbierała na podwórku.

W tych starych domach, co stoją na ulicy Świerczewskiego i Żeromskiego, takie stare po jednej i po drugiej stronie, to właśnie Mazurzy tam mieszkali. Mirosław K., co pracował na komendzie milicji, właśnie w takiej komórce odpowiedzialnej za przesiedlenia, on pomógł jednej Mazurce wyjechać, papiery załatwić i ona im zostawiła to mieszkanie.

Piski Dom Kultury był nowy, od podstaw budowany. Wcześniej tam nie było nic, trawa taka dzika rosła. A po tej drugiej stronie rzeki, gdzie dziś są sklepy<sup>43</sup>, to taka budka stała z lodami. Próbowaliśmy tych lodów, a tu wokół trawa, śmietnik, do samej ulicy Warszawskiej. Na Warszawskiej parę domów stało. Trochę były zrujnowane, ale mimo to ludzie się wprowadzali, odnawiali sobie i mieszkali. Tam gdzie kościół katolicki był przed wojną, to teraz wcale dom stoi nowy, już nie ma tych ruin. Tu wszyscy są z Kolna, Czerwonego, Wincenty, Stawisk. To z tej strony ludzie wszyscy w Piszku mieszkają, pół Stawisk tu w Piszku zamieszkało.

Pobraliśmy się z mężem w 1955 roku. Ślub był w kościele Świętego Jana Chrzyciela, poniemieckim<sup>44</sup>. Ten kościół Świętego Jana Chrzyciela to wymagał wielkiego remontu i to też mój mąż robił plany, żeby odnowić<sup>45</sup>. Ale zaraz po wojnie ten kościół przejęli Polacy, którzy się tu osiedlili. A ewangelicy dostali budynek z tyłu dawnego kina. Przed wojną tu mało było katolików, prawie sami ewangelicy!

Bo ci co przyjechali to wszystko katolicy. To taka biedota przyjechała, bo kto miał gospodarkę i dobrze mu było, to tutaj nie przyjechał. Ja na przykład

<sup>43</sup> Chodzi zapewne o sklepy przy ul. Wojska Polskiego.

<sup>44</sup> W 1946 r. kościół św. Jana Chrzyciela został oddany do dyspozycji społeczności katolickiej, coraz liczniejszej w Piszku w związku z rozwijającym się osadnictwem. Na potrzeby parafii ewangelickiej oddano budynek dzisiejszej plebanii przy ul. Daszyńskiego 9.

<sup>45</sup> Remont kościoła św. Jana Chrzyciela zorganizował ks. proboszcz Bolesław Winkiel w latach sześćdziesiątych XX w. W pracach planistycznych uczestniczył m.in. inż. Romuald Koziół z Pisza.

skończyłam szkołę i pracę na drugi dzień mi dali, to ja i tak musiałam, bo gdzie ja bym tą pracę w Stawiskach znalazła? No i zostałam. I zaczęłam pracę w banku i skończyłam w banku. Najpierw w księgowości pracowałam. Skarbnikiem to po pięciu latach powinno się być w banku, ale ja dwa lata popracowałam, a dyrektor mówi:

– Na skarbnika cię biorę.

Ja na to:

– Panie dyrektorze, jeszcze nie, jeszcze trzy lata popracuję, teraz nie dam rady.

– Dasz sobie radę.

Jak ślub był w kościele, tak wesele u nas w domu. U Peplowskich wtedy mieszkaliśmy, teraz w tym miejscu szkoła zawodowa jest i ulica Piaskowa. To tam też sami Mazurzy mieszkali, którzy wyjechali. Dom stał wolny. Dużo było takich budynków. I tam po wojnie akurat Peplowscy przyjechali, i oni zajęli ten dom po Mazurach. Mieli pięć pokoi, ale w tym domu dużo rodzin mieszkało: Brzezińska, Brzostowska, nauczycielka Konstańczakowa<sup>46</sup>. Na początku Peplowscy na ulicy Lipowej mieszkali. Ale tutaj był ogród, to Peplowski się przeprowadził, bo lubił ogród. Ogród był duży, do samej ulicy, tam gdzie dzisiaj bank stoi PKO i z drugiej strony do miejsca, gdzie jest pomnik Lecha Kaczyńskiego<sup>47</sup>. Tam stały też dwa budynki, z których mieszkańcy wyjechali. Kiedyś Peplowski z moim mężem chcieli w tym ogrodzie piwniczkę na warzywa wykopać. I wykopali: serwisy, porcelana, kryształ i dwa baniaki wódki. A jak się cieszyli wszyscy! Oni się najpierw bali napić tego, co to jest w tych baniakach? Tak palcem próbowali, żeby to się nie otruć.

– Aha, dobre, wódka.

A drugi baniak był z winem. Niemcy tak zakopywali swój dobytek na podwórkach, bo bali się rabunków. Myśleli, że kiedyś odkopią.

Ale mimo wszystko to było wesołe życie. Jak przyszła sobota, to w Teatrze Leśnym zabawy były. Potańcówki odbywały się też obok żelaznego mostu. Tam taka była wysepka, orkiestra grała. Za kinem tutaj się zbierało dwóch albo trzech muzykantów i też grali. Młodzież się zbierała, tańczyła, bawiła się. Nie było kina, nie było telewizorów, nie było komputerów. No, co miała młodzież

---

<sup>46</sup> Halina Konstańczak pracowała w Pizzu od 1951 r.

<sup>47</sup> Pomnik Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego został odsłonięty w 2012 r.



zrobić? Tylko się zbierali i grali, potańczyli, było wesoło, fajno. Ja na komunę nie narzekam, dlatego że byłam młoda. A teraz to każdy się zamknie sam w czterech ścianach i jak zwierz siedzi w chałupie. No, może w głowie ma, wie co się na świecie dzieje. Ale takiego współżycia to tak nie ma chyba jak kiedyś. A kiedyś to jeden do drugiego leciał, rozmawiał, bawił się, jakaś taka była komunikacja między ludźmi. A teraz to takie sobki. Albo na wsi, jak jeszcze mieszkaliśmy. Tutaj zbierają się dzieci po siedem czy osiem lat, śpiewają, tańczą, różne zabawy. Tam, na następnym podwórku, w oknie taka tuba była, magnetofon ręką nakręcany, to bawią się takie nastolatki, takie czternaście do osiemnastu. Dorośli już zupełnie tam gdzieś na drugim końcu wsi tańczą, śpiewają przy tym, bawią się. I każdy w domu się szybko obrządzał, żeby lecieć się spotkać. Ale każdy też do swego towarzystwa szedł. Jeszcze tacy bajarze byli na wsi. U nas taki chłop był, mały i garbaty, ale miał taką gadkę... on był w Ameryce na piechotę! Jak on opowiadał, to ludzie gadali, żeby spisać to, co on opowiada. W zimie, to pamiętam, siedziało w domu przy piecu mnóstwo narodu. A w lecie to przy płocie się ludzie zbierali. I bajarz wiejski opowiadał, gdzie on nie był, czego on nie widział! I o duchach opowiadał! I potem nie wyszłam sama na podwórko do ubikacji, tylko musiała matka ze mną iść, tyle strachów naopowiadali. On jedno kończył, drugie zaczynał.

– No a panie, a pan tam gdzie był? – pytali ludzie.

– No pewnie, że byłem! Gdzie ja nie byłem? Później jak już ten garb mi wyrósł, to ja już nigdzie nie byłem!

I nie wiem, czy ludzie chcieli mu wierzyć, przecież ten garb to mu nie wyrósł na starość, tylko miał go od urodzenia. Ale on tak opowiadał, że każdy gębę otworzył i tylko siedział i słuchał. W zimie to wiadomo, długie wieczory. Na okapniku lampka stała, a kobiety tu kapustę kroją, tam przędą. Dawniej na wsi to każdy musiał umieć prząść na kółku<sup>48</sup> i na krosnach tkać. Też musiałam to wszystko robić. Miałam siedem lat to mamusi już spódnice udziałam.

A w szkole to był taki Związek Młodzieży Polskiej<sup>49</sup>. Ci zetempowcy to prawdziwe diabły były. Pozapisywali się w każdej klasie. ZMP rządziło szkołą, nawet dyrektorem rządziło. Zaraz po partii była ta organizacja, taka młodzieżówka. Jak walczyli z kułakami, to robili tak, żeby dzieci chłopów nie dostały jeść na stołówce.

<sup>48</sup> Kółko – kołowrotek.

<sup>49</sup> Związek Młodzieży Polskiej (ZMP) powstał w lipcu 1948 r. z połączenia Związku Walki Młodych (przypadek PPR), Związku Młodzieży Wiejskiej Wici (SL), Organizacji Młodzieży Towarzystw Uniwersytetu Robotniczego (PPS), Związku Młodzieży Demokratycznej (SD). ZMP stał się narzędziem, za którego pomocą PPR/PZPR oddziaływał w duchu ideologii komunistycznej na młodzież. Podlegało mu też harcerstwo. Zob. M. Wierzbicki, *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie*, Warszawa 2006.

– Bo nie płacą, nie mamy za co gotować.

– Nie płacą, to im nie dać jeść!

I tych dzieci ze wsi nie wpuszczano na obiady. Oni mieli wykaz i według tego wykazu wpuszczali na obiady. Taki dzieciak siedział, pieniędzy nie miał, i mu jeść nie dać? To ten kucharz mówił:

– Nie martwcie się. Ja tu kocioł zupy odstawilem, jak oni pójda, to się wszyscy najecie. – To taki był dobry ten kucharz. I on tym dzieciom dawał jeść. A jak była grypa, to nikt do lekarza nie chodził, tylko on ugotował kocioł mleka w internacie, z miodem, z masłem, i każdemu dawał. Chciałeś nie chciałeś, kubek musiałeś wypić. Cebulę sobie w piecu, bo tam w każdym pokoju był piec, na kijkach piekliśmy i jedliśmy. To było lekarstwo na grypę, kiedy na jesieni chorowały dzieci.

– To ile tutaj dzisiaj chorych jest? Cholera, ja tu nie będę chorych wybierał! – mówił i wszystkim cebulę dawał. A na tych zetempowców mawiał: – To są diabły czerwone, ja im żreć nie dam!

Jeden z tych zetempowców nazywał się N., potem w SB<sup>50</sup> pracował. I jak się do Snopek jedzie, to tam krzyż taki stoi we wsi, tam się tak drogi rozchodzą. Ten N. z takim drugim ubowcem w nocy ten krzyż ze Snopek postanowili wyrwać i wywieść, bo im tam przeszkadzał. Ale że ten jeden był chłopak ze wsi, to mu odbiło. Przyszedł do domu, całej nocy nie spał, a jego siostra Marysia ze mną pracowała w banku i opowiadała:

– Przyszedł, całą noc nie spał i mówi: „co ja za głupotę zrobił?”. I na drugą noc się zabił. W SB miał dyżur, przy stole w łeb sobie strzelił.

A jego żona pracowała w szkole, była dyrektorką w szkole pielęgniarstwie. Ona wyszła drugi raz za takiego N., też czerwonego. Jak przechodził, to bał się głowę do góry podnieść. Mieszkał w internacie wtedy, kiedy i ja tam mieszkalam. Taki był wredny, że podsłuchiwał, co dzieci mówią. I był taki przewodniczący W.D., co potem miał sklep, taki mały, wredny. I jeszcze taki Janek A. był w mojej klasie. Czerwony, to w czerwonym krawacie do szkoły chodził. To było kilku takich w szkole. Aż za mocno dokuczali, podsłuchiwali, co na kogo powiedzieć, to było takie to wrednostwo. Do komitetu partii wołali tych zetempowców, tam ich szkolili, co mają robić. I innych jeszcze wciągali, bo obiecywali, że pomogą przy przydzielaniu stypendium. Wszędzie się wkręcili,

---

<sup>50</sup> Służba Bezpieczeństwa – spadkobierczyni dawnego Urzędu Bezpieczeństwa, włączona w strukturę Milicji Obywatelskiej.

mogli i dyrektora podsunąć, żeby go zwolnili. Zebrania robili dla ZMP, ale i tak wszyscy musieli zostać. I gadali, jaka to wolność i jak powinniśmy się cieszyć. Jak to zdobyli, że ta partia, że wszystko to ich zasługa. I takie o głędzenie. I z różnych powodów zapisywały się tam dzieci. Bo kolega się zapisał i mu się dobrze żyje. Albo dla władzy, bo to człowiek będzie taki ważny, jak się zapisze. Ludzie ich nazywali komsomolce, bo w Rosji to była równorzędna organizacja młodzieżowa komsomolców<sup>51</sup>. Taka młodzieżówka, w szkołach, na uczelniach, w zakładach pracy. A u nas było ZMP. To ich tak kojarzyli i nazywali komso-  
molce. To nieraz się mówiło:

– O, komsomolec idzie! – ale to żeby nie słyszał, bo mogli i ze szkoły wyrzucić.

---

<sup>51</sup> Komunistyczny Związek Młodzieży (Kommunističeskij Sojuz Mołodioži) – działał w latach 1918–1991.

Szkołę powszechną ukończyłem w Białej Piskiej w 1948 roku i dalszą naukę w ósmej klasie rozpocząłem w Pisz. Mieszkalem we wsi Obledo odległej o trzy kilometry od Białej Piskiej razem z babcią, dziadkiem i całą rodziną. Rodziców nie miałem. Mama zmarła w 1935 roku. Ojca w lutym 1941 roku aresztowano i osadzono w więzieniu w Mołodecznie, a następnie, po wybuchu wojny z Niemcami, wywieziono na Sybir do Tobolska. Pochodzę z województwa wileńskiego, powiat Mołodeczno. W tamtych okolicach działało Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie Armii Krajowej<sup>1</sup>, do którego należeli moi wujkowie. Jednocześnie działała również partyzantka radziecka, która mocno rabowała ludność, szczególnie wiejską.

Dnia 29 czerwca 1944 roku, na Świętych Piotra i Pawła, musieliśmy spakować co się dało na furmanki i razem z oddziałami AK pod dowództwem Adolfa Pilcha, pseudonim Góra, Dolina, ruszyliśmy z miasteczka Raków na zachód. Cała podróż została opisana w książce pod tytułem *Partyzanci trzech puszczy*<sup>2</sup> przez dowódcę tego zgrupowania, który w następujący sposób przytoczył epizod związany z ewakuacją ludności cywilnej: „Razem z nami ewakuowały się rodziny naszych żołnierzy. Mało kto chciał pozostać i czekać na przybycie bolszewików. Ludzie się ich bali i nienawidzili. Trzeba podkreślić, że nikt nie organizował ewakuacji ludności cywilnej – była samorzutna. Wielu dołączyło do nas po drodze”<sup>3</sup>.

Po wielu perypetiach w maju 1946 roku zamieszkaliśmy z całą rodziną w wspomnianej wsi Obledo. Tu pracowałem na roli, pomagając rodzinie, i chodziłem codziennie piechotą do szkoły w Białej Piskiej. Był to bardzo trudny i ciężki okres, ponieważ nie mieliśmy nic.

---

<sup>1</sup> Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK było jednym z najdłużej działających na terenie okupowanej Polski oddziałów partyzanckich, mającym na swym koncie ponad dwieście walk, stoczonych między czerwcem 1943 r. a 17 stycznia 1945 r. Jednostka powstała w Puszczy Nalibockiej. W obliczu zbliżającego się frontu wschodniego dowódca zgrupowania cichociemny Adolf Pilch „Dolina” „Góra” wyprowadził liczący ok. 900 żołnierzy (plus cywile) oddział na zachód, docierając do Puszczy Kampinoskiej.

<sup>2</sup> A. Pilch, *Partyzanci trzech puszczy*, Warszawa 1992.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 147.

W szkole w Piszku otrzymałem stypendium w wysokości – jeśli dobrze pamiętam – czterystu złotych. Z tego trzysta sześćdziesiąt złotych płaciłem za internat i wyżywienie. Szkoła ogólnokształcąca w Piszku była bardzo dobrą szkołą. Posiadała doskonałych nauczycieli i wychowawców. Profesor wychowania fizycznego, Feliks Michałowski<sup>4</sup>, rozpałał w nas zamiłowanie do żeglarstwa, do bojerów i w ogóle do sportu. Nad rzeką Pisą i nad jeziorem Roś istniały dwie przystanie wodne. Jedna z pomostem<sup>5</sup>, a druga z hangarem i pochylnią<sup>6</sup>. Obydwie przystanie były mocno zdewastowane. Tutaj pierwszy raz zetknąłem się z żeglarstwem, dzięki Feliksowi Michałowskiemu, który był zapalonym sportowcem i propagatorem żeglarstwa. Zachęcał i mobilizował chłopaków, którzy byli uczniami do prac naprawczych na przystani. „Gdy w 1947 r[oku] znalazłem się w Piszku, wyruszałem na piesze wędrówki po najbliższej okolicy – wspominał po latach. – Podczas takiej wycieczki natrafiłem na żużlową ścieżkę wysadzaną wierzbami, która doprowadziła mnie do poniemieckiej przystani nad rzeką. Był to obszerny drewniany budynek z rzędami kabin ustawionych na skrzydłach. Niektóre z nich były poważnie zdewastowane, pozbawione drzwi. Na rzekę wychodził piękny pomost, do którego przed wojną przybijał statek. W niewielkim oddaleniu był dźwig służący do wyładunku towarów na nabrzeże. Brzeg był w tym miejscu uregulowany. Dalej, nad jeziorem znalazłem kolejny obiekt. Była to duża przystań żeglarska z hangarem i pochylnią. Cały kompleks pokryty był siecią torowisk z wagonikami do przewożenia jachtów w głąb hangaru [...]. Postanowiłem zabezpieczyć te obiekty. Dyrektor Bitner podstemplował mi cały plik kartek informujących, że budynki są własnością szkoły, po czym porozwieszałem je w różnych miejscach. Później jednak brak było środków na zagospodarowanie wszystkich obiektów. Dlatego nasze prace skoncentrowaliśmy na przystani usytuowanej nad Pisą. Wraz z uczniami rozpoczęliśmy prace porządkowe, szkolny stolarz dorabiał brakujące elementy. W przywrócenie bazy do stanu używalności

---

<sup>4</sup> Feliks Michałowski (ur. w 1916 r.) – przed II wojną światową ukończył Seminarium Nauczycielskie w Augustowie. Po wojnie studiował na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939r., którą zakończył, walcząc w obronie Lwowa. W latach II wojny światowej i po 1945 r. żołnierz ZWZ-AK-WiN pod pseudonimem Leśny. Ujawnił się w 1947 r. Po wojnie pracował jako nauczyciel w Ciszewie i Lachowie, a od 1947 r. w Liceum Ogólnokształcącym w Piszku. Od 1973 r. na emeryturze.

<sup>5</sup> W 1924 r. opracowano plan budowy kąpieliska miejskiego, zaś 16 grudnia 1925 r. podjęto decyzję o realizacji przedsięwzięcia w punkcie, wyznaczonym mniej więcej w połowie drogi między miejscem, w którym Pisa wypływa z jeziora Roś, a mostem kolejowym. Obok kąpieliska powstała przystań do cumowania łodzi i statków. Przed 1945 r. zarządcą kąpieliska był nieznan z imienia Msarek.

<sup>6</sup> W punkcie, gdzie Pisa wypływa z jeziora Roś, w okresie przed I wojną światową powstał klub żeglarski i przystań, której gospodarzem był Max Bondzio, pełniący też funkcję skutnika. Członkowie klubu organizowali regaty na jeziorach Roś i Śniardwy. Dziś w tym obiekcie znajduje się hotel Roś.



wszyscy włożyliśmy sporo pracy”<sup>7</sup>. Michałowski wynalazł gdzieś w szuwarach jacht kilowy, który zaczęliśmy pieczołowicie naprawiać, malować i przywracać do stanu używalności. Jacht został nazwany Mewa. Profesor tak zapamiętał odnalezienie jachtu: „W tym czasie do szkoły wieczorowej uczęszczał pan Zebrowski pracujący w Nadzorze Wodnym. Ja od dawna interesowałem się żeglarstwem, on również [...] i kiedyś dogadaliśmy się, że w pobliżu budynków Nadzoru Wodnego znajduje się wyciągnięty na ląd duży jacht kilowy. Gdy się tam wybrałem, rzeczywiście odnalazłem jacht pozbawiony kabiny. Nieopodal leżał kil o wadze 600 kilogramów! Jacht nazwaliśmy »Mewą«. Ściągnęliśmy go na brzeg w pobliżu szkoły i rozpoczęliśmy odnawianie, w czym nieocenioną wręcz pomocą służył nam Mazur Duda. Na wiosnę 1948 r[oku] mogliśmy już zacząć pływać”<sup>8</sup>. Niestety, nie mieliśmy ożaglowania. Nie można było dostać płótna żaglowego ani specjalnej maszyny do szycia żagli. Pływaliśmy więc jachtem na wiosła! Pewnego razu, w czerwcu 1949 roku, nocą, w tajemnicy przed panem Feliksem Michałowskim, uszyliśmy żagiel z czterech koców i ruszyliśmy w rejs na jezioro. Noc czerwcową była ciepła, wiał lekki wiaterek z rufy, więc bez przeszkód żeglłowaliśmy na pełne jezioro. Liczyliśmy, że w drodze powrotnej do przystani będziemy halsować. Niestety z halsowania nic nie wyszło, ponieważ żaglem z koców nie można było operować. Nic nam nie pozostało innego, jak chwycić za wiosła i ze środka jeziora Roś wiosłować do przystani. Napracowaliśmy się niemiłosiernie i całe szczęście, że wiatr zupełnie ucichł i dzięki temu rano dobiliśmy do przystani i mogliśmy zdążyć do szkoły na lekcje. O wyprawie nocą dowiedział się pan Feliks Michałowski i udzielił nam odpowiedniej reprimendy. Ożaglowanie o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych otrzymała nasza Mewa dopiero latem 1949 roku. W szkole w Piszku prenumerowałem czasopisma „Młody Żeglarz” i „Skrzydłata Polska”. Dzięki temu byłem zorientowany w szkolnictwie morskim w Gdyni, a w szczególności sporo wiedziałem o Państwowym Centrum Wychowania Morskiego, jak również o Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie.

Dyrektorem szkoły w Piszku był w tym czasie Józef Konopka<sup>9</sup>. Wspominam go z wielką wdzięcznością. Wraz z nowym rokiem szkolnym, 1949/1950, zgodził się on, aby grupa chłopców uczących się w szkole, licząca osiem osób – wśród nich ja – zamieszkała w pokojach na przystani. Niestety pamiętam tylko Jurka Arciszewskiego, mojego przyjaciela, który w późniejszym czasie ukończył Oficerską Szkołę Topograficzną w Jeleniej Górze. Ostatni raz, gdy go

---

<sup>7</sup> „To była moja młodzież...” Wywiad z Feliksem Michałowskim, „Znad Pisy” 1996, nr 3, s. 27.

<sup>8</sup> Ibidem.

<sup>9</sup> Józef Konopka miał wykształcenie uniwersyteckie. W latach 1948–1950 był dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego w Piszku. W 1949 r. wstąpił do Związku Nauczycielstwa Polskiego.

spotkałem, był w stopniu kapitana. Dyrektor Józef Konopka wyposażył nas na przystani w radioodbiornik Pionier, który głównie służył nam do słuchania radia Wolna Europa. Myślę, że dyrektor uczynił to specjalnie, abyśmy mogli mieć dostęp do wiadomości płynących z Zachodu. Pod wpływem tych audycji prowadziliśmy bardzo gorące dyskusje polityczne. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Polska nie ma pełnej niepodległości i jest zależna od Związku Radzieckiego. Część z nas chciała iść do wojskowych szkół oficerskich, aby po zdobyciu wiedzy walczyć o niepodległość kraju, gdy zajdzie potrzeba. Ja marzyłem o oficerskiej szkole marynarki wojennej w Gdyni lub lotniczej w Dęblinie.

Pewnej niedzieli, w styczniu 1950 roku, szedłem z przystani do miasta. Pogoda była mroźna i padał śnieg. Po drodze spotkałem dyrektora Józefa Konopkę, który po przywitaniu zaczął na mnie krzyczeć, dlaczego w tak zimną pogodę chodzę tak lekko ubrany. Grozi to przecież przeziębieniem i chorobą. Odpowiedziałem, że chodzę tak, ponieważ nie mam nic innego do założenia. Ubrany byłem w mundurową marynarkę, którą otrzymałem z opieki społecznej. Podobną marynarkę nosił grecki generał Markos<sup>10</sup>, stąd też koledzy nazywali mnie Markosem. Podobno byłem do niego podobny również fizycznie. Gdy dyrektor to wszystko usłyszał, znów zaczął na mnie krzyczeć, dlaczego mu o tym nie powiedziałem. Poleciał, abym w poniedziałek rano natychmiast zgłosił się w jego sekretariacie. Gdy zgłosiłem się następnego dnia, zawieziono mnie do domu towarowego i zakupiono dwa garnitury, dwa płaszcze, ciepłą bieliznę, buty, czapkę i rękawicę. Odzież ta służyła mi jeszcze, gdy byłem w Szkole Jungów w Gdyni, a nawet w Państwowej Szkole Morskiej w Szczecinie. Dlatego dyrektora Józefa Konopkę noszę zawsze we wdzięcznej pamięci, gdyż okazał mi wielką pomoc w trudnym okresie mojego życia.

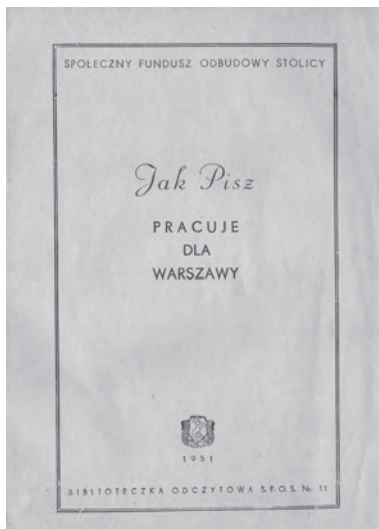
Będąc uczniem jedenastoletniej szkoły w Piszcu, szukałem na dalszą naukę takiej szkoły, która zapewni mi nie tylko edukację, zakwaterowanie, wyżywienie oraz odzież. Takie warunki spełniały tylko szkoły oficerskie oraz Państwowa Szkoła Jungów PCWM w Gdyni. W 1949 roku na wakacyjne miesiące lipiec i sierpień wraz z kilkoma kolegami zgłosiłem się na ochotnika do organizacji Służba Polsce<sup>11</sup> do odbudowy Warszawy. Chcieliśmy zobaczyć i poznać naszą stolicę Warszawę. Zostałem przydzielony do 4. Młodzieżowej Brygady Służby Polsce, która stacjonowała

---

<sup>10</sup> Wafiadis Marcos (1906–1992) – grecki generał i polityk lewicowy. W latach II wojny światowej reprezentował komunistów w Greckiej Ludowej Wyzwoleniczej (ELAS), uczestnik powojennych walk z greckimi zwolennikami powrotu rządów monarchicznych. Poniesiona klęska spowodowała jego wyjazd do ZSRR, gdzie przez 35 lat przebywał na emigracji.

<sup>11</sup> Powszechna Organizacja Służba Polsce – państwowa organizacja paramilitarna, utworzona 25 lutego 1948 r. i przeznaczona dla młodzieży w wieku 16–21 lat. Podlegała wpływom politycznym PPR/PZPR. Przez organizację przewinęło się kilka milionów młodych ludzi. Została rozwiązana w 1955 r., a w 1958 r. jej miejsce zajęły Ochotnicze Hufce Pracy.

w miejscowości Włochy-Odolany. Składała się z dwóch batalionów po ośmiuset chłopaków w każdym. Rygor ściśle wojskowy. Nigdy i nigdzie tak ciężko nie pracowałem. Miałem osiemnaście lat. Pobudka była o godzinie piątej, następnie ćwiczenia gimnastyczne, śniadanie, mycie naczyń zimną wodą. O godzinie siódmej wyjeżdżaliśmy samochodem do pracy w Warszawie. W sobotę były ćwiczenia wojskowe. W Warszawie pracowaliśmy w różnych miejscach – na lotnisku Okęcie rozładowywaliśmy łopatami wagony z piaskiem i niwelowaliśmy teren; w dzielnicy mieszkaniowej Koło kopaliśmy wykopy pod budynki mieszkalne; układaliśmy tory na Dworcu Zachodnim; w Berenrowie kopaliśmy wykopy pod kanalizację; pracowaliśmy także przy budowie Trasy W-Z. Włożyliśmy bardzo dużo pracy i wysiłku przy odbudowie Warszawy.



Strona tytułowa broszury na temat udziału Pisz w odbudowie Warszawy

Jedenastoletnia szkoła ogólnokształcąca była bardzo dobrą szkołą, ponieważ rozbudzała w uczniach zamiłowanie do literatury i czytelnictwa książek. Dlatego też często zapraszała pisarzy na spotkania z uczniami. Dzięki temu miałem okazję spotkać takich twórców, jak Jalu Kurek<sup>12</sup>, Gustaw Morcinek<sup>13</sup>, Włodzimierz Wnuk<sup>14</sup>, Antoni Gołubiew<sup>15</sup> i najbardziej pamiętany Arkady Fiedler<sup>16</sup>. Jego książka pod tytułem *Dziękuję Ci, Kapitanie* wywarła na mnie ogromne wrażenie i na pewno miała wpływ na moje morskie życie. Opisani przez niego kapitanowie byli dla mnie niedoścignionymi morskimi herosami. W moich marzeniach pragnąłem być takim, jak oni i powoli do tego zdążałem.

<sup>12</sup> Jalu Kurek (1904–1983) – właśc. Franciszek Kurek, polski poeta i prozaik, przedstawiciel tzw. Awangardy Krakowskiej.

<sup>13</sup> Gustaw Morcinek (1891–1963) – właśc. Augustyn Morcinek, polski pisarz i publicysta związany ze Śląskiem, nauczyciel, poseł na Sejm PRL I kadencji (1952–1956).

<sup>14</sup> Włodzimierz Wnuk (1915–1992) – studiował prawo i filozofię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1939–1941 więzień niemieckich obozów koncentracyjnych. Żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego. Po wojnie działacz Związku Podhalan, dziennikarz i redaktor Instytutu Wydawniczego PAX. Związany z „Tygodnikiem Powszechnym”.

<sup>15</sup> Antoni Gołubiew (1907–1979) – pisarz i publicysta katolicki, z wykształcenia historyk. Po wojnie był członkiem redakcji „Tygodnika Powszechnego”, współpracował z pismami „Znak” i „Odra”. W 1978 r. podpisał deklarację założycielską Towarzystwa Kursów Naukowych. Autor czterotomowej epopei, powieści historycznej *Bolesław Chrobry*.

<sup>16</sup> Arkady Fiedler (1894–1985) – polski prozaik, reportażysta, przyrodnik i podróżnik, porucznik Wojska Polskiego.

Pewnego razu, zimą, gdy mróz był bardzo tęgi, pan Feliks Michałowski dokonał pomiaru grubości lodu i zorganizował wyprawę na łyżwach na jezioro Roś. Łyżwy mieliśmy bardzo mizerne, ale zapal i chęci ogromne. Po zamrożniętej tafli lodowej pędziliśmy z wiatrem jak albatrosy, ale droga powrotna ze środka jeziora była niezwykle męcząca. Kompletnie zmordowani, prawie ostatkiem sił dotarliśmy do naszej przystani. Wszyscy jednak byliśmy szczęśliwi, że zaliczyliśmy tak wspaniałą wyprawę.

Wspominam również z wielkim sentymentem nauczyciela języka angielskiego, kapitana Wojska Polskiego Adama Łempickiego<sup>17</sup>. Walczył pod Monte Cassino i tam został ranny. Miał niewładną prawą rękę. Lekcja języka angielskiego zawsze była ostatnia. Pan Adam Łempicki za każdym razem prawie dwie godziny po lekcji poświęcał na opowiadanie historii walk o Monte Cassino i w ogóle walk Wojska Polskiego na froncie zachodnim. Tutaj czytaliśmy pod ławkami pierwsze wydanie książki Melchiora Wańkowicza pod tytułem *Monte Cassino*<sup>18</sup>. Dzięki temu znaliśmy prawdziwe dzieje walk na Zachodzie.

Wspominam także księdza Dadasa<sup>19</sup> oraz panią profesor języka polskiego Bonik<sup>20</sup>. Z jej córką chodziłem do jednej klasy. Wspominam moich kolegów

---

<sup>17</sup> Adam Łempicki (1907–1991) – przed wojną ukończył osiem klas gimnazjum w Grajewie. W latach 1931–1933 ukończył kurs Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie pod Ostrowią Mazowiecką i został mianowany podporucznikiem służby stałej, otrzymując przydział do 33. Pułku Strzelców Kurpiowskich w Łomży. Uczestnik kampanii wrześniowej. Aresztowany przez Sowieców podczas próby przedarcia się na Węgry, został osadzony w obozie na Uralu. W 1941 r. wstąpił do armii gen. Władysława Andersa. Wraz z wojskiem trafił na Bliski Wschód, walczył m.in. w bitwie o Monte Cassino. Zakończył służbę w stopniu kapitana Wojska Polskiego. Po zakończeniu działań wojennych powrócił do Polski. Przez jakiś czas pracował jako nauczyciel w Pisu. W 1947 r. wstąpił do ZNP. Po przejściu na emeryturę w 1975 r. podjął się pracy społecznej. Był przez długi czas przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Związku Łowickiego w Olsztynie, pracował w wojewódzkich zarządach Ligi Ochrony Przyrody i Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. W 1988 r. awansowany do stopnia podpułkownika. Zob. T. Dudziński, *Adam Łempicki (1907–1991)*. [http://www.grajewiak.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=464&Itemid=56](http://www.grajewiak.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=464&Itemid=56) [dostęp 11.11.2013].

<sup>18</sup> W komunistycznej Polsce *Monte Cassino* Melchiora Wańkowicza wydano po raz pierwszy dopiero w 1958 r., więc uczniowie piskiego liceum nie mogli czytać go kilka lat wcześniej. Najprawdopodobniej więc czytali któreś z emigracyjnych wydań książki, co do połowy lat pięćdziesiątych mogło się skończyć aresztowaniem przez PUBP.

<sup>19</sup> Ksiądz Władysław Dadas (1910–1972) – studia filozoficzne ukończył na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, a teologiczne w Seminarium Duchownym w Pińsku, gdzie w 1937 r. przyjął święcenia kapłańskie. Podczas wojny był związany z wileńską Armią Krajową, choć potem czasami przyznawał się do współpracy z partyzantką radziecką. W latach 1946–1948 administrator Parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Pisu. Później był proboszczem w Białej Piskiej, Barczewie i Giżycku. W latach pięćdziesiątych związał się z upaństwowionym Caritasem, lecz na wyraźne polecenie władz kościelnych, widzących w tej działalności groźbę rozbicia Kościoła, wycofał się. Zob. A. Kopiczko, *Duchowieństwo katolickie diecezji warmińskiej w latach 1945–1992*, cz. 2: *Słownik*, Olsztyn 2007.

<sup>20</sup> Irena(?) Bonik (ur. 1905 r. w Pińsku) – z wykształcenia była filologiem polskim. Uczyła języka polskiego i historii w Pisu w latach 1949–1951.

i koleżanki, z którymi razem uczęszczałem do szkoły. Jerzy Arciszewski – kapitan Wojska Polskiego; Henryk Cimochoński, Mieczysław Pykało<sup>21</sup>, Rudnicki – ukończyli seminarium i zostali księżmi.

W czerwcu 1950 roku zostałem przyjęty na kurs rekrutacyjno-kwalifikacyjny w Ośrodku Żeglarskim w Giżycku, organizowany przez Państwowe Centrum Wychowania Morskiego w Gdyni. Kurs odbył się w lipcu 1950 roku i trwał dwa tygodnie. Komendantem kursu był porucznik Marynarki Wojennej Feliks Krauze. Kiedy dowiedziałem się, że zostałem przyjęty na kurs, byłem bardzo szczęśliwy i radość moja nie miała granic, chociaż wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak ten kurs będzie przebiegać i czy w ogóle dam sobie radę. W każdym razie był to początek realizacji moich marzeń o morskich podróżach, o pracy na morzu i możliwości zdobycia szlifów kapitańskich. Jednak kurs okazał się niełatwy, a wręcz bardzo trudny pod każdym względem. Dyscyplina wojskowa, gdyż instruktorzy byli podoficerami Marynarki Wojennej. Znowu pobudka o piątej rano, następnie gimnastyka dosyć intensywna, śniadanie, po którym następowały zajęcia albo wykłady w salach, lub wiosłowanie po jeziorze. Wiosłowanie było ciężką pracą. Nie byłem przyzwyczajony do tak ogromnego wysiłku. Bolały ręce i dostawałem odcisków na dłoniach. Łodzie, ogromne barkasy na dwanaście lub czternaście wiosł, instruktorzy krzyczący podczas wiosłowania: – Z krzyża! Z krzyża! – często jeszcze wyzywali nas w niecenzuralnych słowach.

Jako uczeń szkoły ogólnokształcącej nie byłem przyzwyczajony do takiego słownictwa i muszę przyznać, że mocno to przeżywałem. W przetrwaniu tego krótkiego okresu pomogło mi doświadczenie zdobyte w brygadzie Służby Polsce. Młodzieży na kursie było bardzo dużo, ale do końca wytrzymało mniej niż połowa.

Na zakończenie odbył się egzamin wstępny do Państwowej Szkoły Jungów w Gdyni na kolejny kurs. Patrząc na ilość zdających, bardzo mocno się niepokoiłem, czy uda mi się pokonać tę egzaminacyjną barierę. Jakże ogromna była moja radość, kiedy po egzaminach zobaczyłem moje nazwisko pomiędzy tymi, którzy zdali. Po powrocie do domu na wsi minęło kilkanaście dni, zanim otrzymałem za-

---

<sup>21</sup> Mieczysław Pykało (1931–2001) – pochodził z Lachowa. Po II wojnie światowej wraz z rodziną zamieszkał w Piszcu. Tu w 1951 r. zdał maturę i wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego Hosianum w Olsztynie. W 1957 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Początkowo był wikariuszem w Świętajnie, w latach 1958–1969 proboszczem w Kumielsku i od 1969 r. w Turośli. W 1994 r. odznaczony godnością kanonika rzeczywistego Kapituły Konkatedralnej Sambijskiej (zob. A. Kopiczko, *Duchowieństwo katolickie w diecezji warmińskiej w latach 1945–1992*, op. cit., s. 240). W okresie PRL jego kościół parafialny w Turośli był miejscem, gdzie odbywały się „ciche” uroczystości chrztu dzieci, urodzonych w rodzinach milicyjnych.



wiadomienie, aby 1 września 1950 roku stawić się na pokładzie s/s Beniowski w Gdyni. Był to stary, wysłużony, parowy statek pasażerski, który stał zacumowany przy nabrzeżu w porcie i służył jako Szkoła Jungów. Kiedy nastąpił dzień wyjazdu, nie było mi łatwo. Moja ukochana babcia Adela i ciocia Olimpia płakały rzewnymi łzami, mówiąc, że na pewno jadę na zatracenie i nigdy mnie już nie zobaczą. Ja jednak pocieszałem je, prosząc, aby się nie martwiły. Pełen entuzjazmu, wiary i nadziei pożegnałem ukochane osoby i opuściłem małą wieś Oblewo koło Białej Piskiej, aby wyruszyć na podbój oceanów.

Rozpoczął się nowy etap w moim życiu. Po ukończeniu trzeciego kursu Szkoły Jungów, w czerwcu 1950 roku zdałem egzamin do Państwowej Szkoły Morskiej – Wydział Nawigacyjny w Szczecinie. Podczas nauki w PSM przeszedłem dwukrotnie szkolenie na najpiękniejszym żaglowcu Dar Pomorza. Pierwszy raz od 29 marca do 19 czerwca 1951 roku, a następnie od 17 maja do 26 sierpnia 1952 roku. To była wspaniała przygoda i niezapomniane do końca życia rejsy pod żaglami.

Państwową Szkołę Morską ukończyłem w czerwcu 1953 roku i zostałem powołany do czteromiesięcznej służby w Marynarce Wojennej, którą pełniłem na dozorcówcu D-16.

Po ukończeniu PSM otrzymałem nakaz pracy w Polskiej Żegludze Morskiej w Szczecinie, którą rozpocząłem 27 października 1953 roku i zaokrętowałem się na statek m/s Oksywie w charakterze młodszego marynarza. Tak rozpoczęła się mozolna wspinaczka do stanowiska kapitana. Szesnastego kwietnia 1955 roku zdałem egzamin oficerski w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni i otrzymałem dyplom porucznika żeglugi małej, zaś 1 września 1955 roku zostałem powołany na kurs doskonalenia oficerów w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej w Gdyni, ukończony w grudniu tego roku. Dnia 29 października 1959 roku otrzymałem dyplom porucznika żeglugi wielkiej. Dwudziestego drugiego czerwca 1960 roku objąłem obowiązki pierwszego oficera na statku m/s Krutynia. Dnia 30 listopada 1963 roku otrzymałem dyplom kapitana żeglugi małej. Po raz pierwszy obowiązki kapitana objąłem na statku s/s Huta Ostrowska w dniu 4 maja 1964 roku. Wcześniej sprawowałem na nim obowiązki pierwszego oficera. W ten sposób spełniły się moje marzenia z najmłodszych lat. Muszę zaznaczyć, że bardzo starałem się osiągnąć to stanowisko, poczynając od Państwowej Szkoły Jungów oraz Państwowej Szkoły Morskiej, jako uczeń, młodszy marynarz, starszy marynarz, poprzez wszystkie stanowiska oficerskie.

Jedenaście lat upłynęło od ukończenia PSM w Szczecinie do objęcia stanowiska kapitana na s/s Huta Ostrowiec. Pierwszą kapitańską podróż odbyłem od 4 maja do 21 sierpnia 1964 roku do portów Kuby: Hawany, Cienfuegos, Santa Lu-



Antoni Korziński podczas służby na statku

cina i Caibarien. Pływałem łącznie na siedemdziesięciu trzech statkach w różnym charakterze, a jako kapitan pływałem na trzydziestu dziewięciu statkach. Były to największe zbiornikowce turbinowe, takie jak: t/s Kasprowy Wierch, t/s Rysy, duże masowce i drobnicowce. Pływałem pod banderą Arabii Saudyjskiej, Iraku, Liberii, Libii i Gibraltaru. Wśród tych rejsów pamiętam podróż na m/s Uniwersytet Wrocławski z ładunkiem rudy żelaza z Cockatoo Island w Australii do przylądka Dobrej Nadziei. Mogliśmy wtedy zaobserwować precudny zachód słońca na Oceanie Indyjskim. Ocean jak lustrzana tafla lśnił niczym oliwa i odbijał niezwykle kolorowe refleksy chmur oświetlonych zachodzącym słońcem. Obserwowaliśmy nadzwyczajne kolory i wyjątkowo interesujący układ chmur. W momencie, gdy tarcza słońca „pograżyła się” w oceanie, wszystko zostało dosłownie zalane gamą przepięknych barw. Byłem oczarowany tym rzadko spotykanym zjawiskiem.

Ostatnim moim statkiem był m/s Europa pod flagą Liberii. Jego właścicielem byli bracia Frangos w greckim Pireusie. Był to bardzo duży statek przeznaczony do przewozu ładunków masowych, takich jak zboże, węgiel, ruda żelaza itp. Pływałem na nim z Wenezueli nad rzeką Orinoko z ładunkiem rudy

do Filadelfii w USA. Następnie z amerykańskiego Norfolk wiozłem ładunek węgla do Izdemir w Turcji. Był to niestety statek bardzo leciwy i dlatego armator sprzedał go na złom do Pakistanu. Odprowadziłem więc moją „Europę” do Gadani Beach, która znajduje się dwadzieścia mil morskich na północ od Karaczi w Pakistanie. Przez Kanał Sueski i z mocą „cała naprzód” wpłynąłem na plażę! Na tej właśnie plaży odbywa się złomowanie statków. Z żalem się pożegnałem ze statkiem i wraz z polską załogą jumbo jetem powróciłem do kraju. Tak zakończyła się moja morska przygoda. Był kwiecień 1998 roku. Od tego czasu jestem na emeryturze i tylko w Klubie Kapitanów Żeglugi Wielkiej przy Akademii Morskiej w Szczecinie wspominamy naszą młodość i piękne lata spędzone na morzach i oceanach świata.

## ERICH KOWALCZYK

Urodziłem się w Zdunowie<sup>1</sup> w 1934 roku. Rodzice to Anna z domu Optycy (z Hejdyka<sup>2</sup>) i Gustaw. Było nas kilkoro rodzeństwa: ja, Helmut, Horst, Walter i Willi (zginął na początku wojny) i trzy siostry: Marta, Erna i Greta.

W Zdunowie było pierwsze moje życie... tam chodziłem do szkoły w czasie wojny. Pole mieliśmy przy samej granicy, dlatego moi rodzice, przeważnie ojciec, trzymał się z Polakami. Podczas wojny handlowali ze sobą przez granicę. W Polsce była bieda z butami, więc ojciec – tak mi się wydaje – z Polakami handlował butami, a oni przez granicę przenosili do nas świniaka. Strażnicy pilnowali, ale ci, którzy mieszkali przy granicy, znali przecież swoje dróżki wśród lasów.



Erich Kowalczyk w latach młodości

Nikt ich nigdy nie złapał, zawsze dobrze wyszło. Ale jakby żandarmi się zorientowali to... U nas we wsi każdy świnie sobie chował, ale na zabicie trzeba było mieć pozwolenie. Jedna kobieta, jej mąż był na wojnie, postanowiła dokonać nielegalnego uboju. Sąsiedzi pomogli jej zabić świniaka, ale ktoś ją oskarżył. Przyjechali, w samochód ją wsadzili i posadzili do więzienia na półtora miesiąca. Nie wiem, czy w Piszku siedziała, czy może w Szczytnie. Wypuścili ją dopiero wtedy, jak ruscy mieli wejść. Wróciła z tego więzienia bardzo chuda.

<sup>1</sup> Zdunowo (niem. Sdunowen, od 1938 r. Sadunen) – osada powstała w 1709 r. na prawie wsi szkatułkowej. W 1939 r. liczyła 342 mieszkańców. W szkole uczyło trzech nauczycieli.

<sup>2</sup> Hejdyk (niem. Heidig) – osada powstała w 1758 r. jako wieś szkatułowa, należąca do parafii Turośl. W 1939 r. liczyła 350 mieszkańców, wśród nich dwie rodziny Optacych (Fritz Optazi i Wilhelm Optazi).

Ja to zawsze byłem taki ciekawy. I kiedyś podsłuchałem, jak ojciec z Polakami rozmawia po polsku. Ja nie rozumiałem, więc matki zapytałem, o czym mówią. Matka też rozumiała polską mowę, ale powiedziała, żebym się nie interesował. Ale zawsze coś tam z tych różnych rozmów zapamiętałem po polsku, chociaż w domu po niemiecku się rozmawiało.

Nie wiem, dlaczego nam, dzieciom, nie wolno było jeździć rowerami. Za rowery żandarmi łapali, mandaty wlepiali, a nawet rowery zabierali... Dlaczego?

Podczas wojny chodziłem jakieś pięćset metrów do szkoły w Zdunowie. Nauczyciel uczył nas oczywiście po niemiecku. Sporo było dzieci w klasie. Przychodziły na lekcje także dzieci z innych wiosek. Wracając ze szkoły, zachodziliśmy do ogrodu jednego gospodarza i po kryjomu wrywaliśmy marchew i cebulę. Aż gospodyni przyszła do szkoły i poinformowała nauczyciela. Wówczas nauczyciel po kolei nas wywoływał i pytał, ile wzięliśmy. Ile marchwi się wzięło, tyle łap się dostało. A miał taką różgę z trzciny i strasznie te razy bolały. Kiedyś więc wysmarowaliśmy nauczycielowi różgę cebulą. Jak chciał nas uderzyć, to się rozleciała!

Pamiętam także jakąś strzelaninę czy też napad na Turośl. Tam był taki leśniczy, który miał Polaka za parobka. Z tym Polakiem się źle obchodzili, to w nocy ten Polak przyszedł do leśnika i powiedział, że mu koń zachorował. I kiedy wyszedł, to go zabili.

Dobrze pamiętam włoskich żołnierzy, w charakterystycznych spiczastych czapkach. Mówiliśmy italiani. Oni byli tu jeńcami wojennymi<sup>3</sup>, ale normalnie po wsi chodzili, zabawki dla dzieci rozdawali, które sami z drewna robili.

Ale zimą z 1944 na 1945 roku<sup>4</sup> musieliśmy uciekać ze Zdunowa, bo ruscy szli. Uciekaliśmy wozem nakrytym taką budą specjalnie przygotowaną w tym celu<sup>5</sup>, żeby chroniła przed wiatrem. Zima była sroga, zabraliśmy więc ubrania, pościel i ruszyliśmy na północ. Nie sami uciekaliśmy, więc w śnieżnej zamieci poruszali-

---

<sup>3</sup> Włochy rządzone przez Benito Mussoliniego były sojusznikiem III Rzeszy. Kiedy w 1943 r. alianci lądowali na Sycylii, we Włoszech doszło do przewrotu. Władzę przejął Pietro Badoglio, który nakazał uwięzienie faszystowskiego przywódcy oraz zerwał sojusz z Hitlerem. W tej sytuacji Niemcy rozbroili włoskie oddziały wojskowe, a żołnierzy pojmali do niewoli. Część tych włoskich jeńców została skierowana m.in. do powiatu piskiego. Jakaś bliżej nieznana grupa Włochów przebywała w samym Piszku, gdzie przynajmniej dwóch zmarło, a od września 1943 r. także w Białej.

<sup>4</sup> Rozkazy ewakuacyjne dla powiatu piskiego władze niemieckie ogłosiły 19 stycznia 1945 r. W ciągu doby cała ludność miała być gotowa do wyjazdu transportem własnym lub kolejowym. Na koniec zamierzano pędzić stada bydła, aby nie dostały się w ręce Armii Czerwonej.

<sup>5</sup> Takie budy ze sklejki wykonywała piska fabryka z przeznaczeniem na wozy konne.





Erich Kowalczyk z kolegami

śmy się wolno, wóz za wozem<sup>6</sup>. Polacy, znajomi ojca, mówili, że jak ruscy wejdą, to żeby snopek słomy wrzucić do pokoju, niech się tam dzieci bawią, to nam włos z głowy nie spadnie. Bo inaczej wszystkich nas pozabijają. I rodzice tak robili, kiedy Rosjanie dopadli nas w Reszlu. W Reszlu domy były już puste. Weszliśmy do jakiegoś małego domku i ojciec zrobił, jak mu Polacy mówili. Ośmioro nas było w tym małym domku. I ruscy jak przyszli, tylko przez okno zerknęli i poszli. Ale konia nam zabrali. Swego gorszego zostawili, a naszego zabrali.

Później ten pierwszy front przeszedł. W Reszlu, obok był taki duży majątek. Jego właściciel właśnie urodziny obchodził i nie uciekał. Rosyjscy żołnierze zajęli, tam taka duża sala była, zastawione stoły, a ci wpadli i wszystkich zabili. Komendant<sup>7</sup> objął ten majątek, a my musieliśmy te wszystkie trupy, w ziemie,

<sup>6</sup> Dziesięcioletnia mieszkanka Kumielska tak zapamiętała ewakuację: „cała wieś, wóz za wozem, ruszyła w kierunku Rucianego [...]”. Bogatsi gospodarze mieli po dwa, trzy wozy, więc zabierali na nie tych, których nie stać było na kupno choćby jednego wozu i konia [...]. Jechaliśmy kolumną, ale po drodze wszystko się pomieszało, bo przecież ciągle dochodziły wozy z innych wsi [...]. Na pierwszy nocleg zatrzymaliśmy się Rucianem na dworcu kolejowym. Była jeszcze możliwość wyjechania do Niemiec, ale mój tata nie chciał zostawić tego, czego się dorobił. Czuł się Mazurem, nie Niemcem” (*List do redakcji*, „Borussia” 1993, nr 6, s. 179–180).

<sup>7</sup> W majątkach poniemieckich, w poszczególnych miejscowościach, Armia Czerwona ustanawiała komendantów, którzy mieli zarządzać terenem na zapleczu frontu, a jednocześnie zbierać poniemieckie mienie i przygotowywać do wywieżenia.

pochować. Zrobiliśmy jedną taką wspólną mogiłę i jednego na drugim zagrzebaliśmy. Ja tam nie robiłem, bo byłem mały, ale mój ojciec i inni starsi zajmowali się pochowaniem tych zmarłych i posprzątaniem. W tym majątku przez rok pracowaliśmy. Rosyjski komendant był dobry chłop, ale jak się napił – to uciekaj! Brał broń i strzelał tylko! NKWD przesłuchiwało wszystkich, żeby sprawdzić, kto należał do NSDAP. Więc z tym, co mieliśmy, uciekliśmy do innego majątku zarządzanego przez Armię Czerwoną. Niekiedy, jak wpadli Rosjanie, to kogo tylko zobaczyli – od razu zabijali. Ciężko było. Jak się później ruscy wycofywali do Rosji, to chcieli nam nawet dać krowę, jednego konia i wóz. Nie wzięliśmy tego. Ja zrobiłem wózek taki z kół od kultywatora, na ten wózek zabraliśmy rzeczy najpotrzebniejsze, jedzenie i postanowiliśmy wracać do domu. Wracaliśmy piechotą. Kiedy doszliśmy do Piecek, zachorowałem na tyfus. Tam wszystkie chałupy były puste, nikogo nie było z miejscowych ludzi. A ponieważ ja nie mogłem już iść dalej, więc zostaliśmy na jakiś czas w Pieckach. Wyruszyliśmy w dalszą podróż, gdy poczułem się lepiej. Dotarliśmy już do Karwicy<sup>8</sup>, stamtąd do Hejdyka. Tam zamieszkaliśmy, bo dom w Zdunowie był już zajęty.

Z dawnych mieszkańców wróciła może połowa? Reszta albo zginęła, albo jak dotarła do morza i chcieli się wydostać furmankami i samochodami po lodzie<sup>9</sup>, to wciąż samoloty bombardowały i mnóstwo ludzi się wtedy potopiło. Ruscy dużo też pozabijali, tak jak wtedy w tym Reszlu. Zabijali kobiety, dzieci wszystkie, krew się lała po kolana. Jedna kobieta dostała kulę przez szczękę. Nie mogła ni jeść, ni pić. My mieliśmy dużo szczęścia.

Po wojnie to bieda była. Na zakupy chodziliśmy do Spychowa na piechotę. Zima, nie zima. Jakiś plecak i dziesięć kilometrów prosto przez las. Sam jeden nie chodziłem, tylko grupami, bo nie były to bezpieczne czasy. UB i milicja rabowali trochę, Polacy przychodzili na szaber. Ale jak ja byłem chory, to ojciec po mleko do Łączek<sup>10</sup> chodził. Niektórzy narzekali, ale specjalnie jakoś się tak nie odczuwało. Wielu ludzi pomagało sobie nawzajem.

W Hejdyku odnalazł nas brat, który wrócił z rosyjskiej niewoli. W niewoli długo nie był, do końca wojny, gdzieś na wschodzie z morza kłoce wyciągali.

---

<sup>8</sup> Karwica (maz. Kurwie, od 1938 r. niem. Kurwien) – osada założona w 1679 r. jako osada szkatułowa. W 1939 r. liczyła 715 mieszkańców i stanowiła siedzibę Nadleśnictwa Kurwien.

<sup>9</sup> Wielu ewakuowanych docierało do Zalewu Wiślanego i po zamrożonym lodzie, wzdłuż wytyczonych przez wojsko szlaków, całymi kolumnami usiłowali dostać się na Mierzeję Wiślaną i stamtąd do portów bałtyckich, skąd odbywała się ewakuacja drogą morską na zachód.

<sup>10</sup> Łączki – wioska na Kurpiach, po polskiej stronie dawnej granicy.

Pnie były mokre, szybko zamarzały, to jednym takim się pokaleczył. Przewrócił się i o taki kloc głowę porozcinał. Jak wrócił do domu, miał całą siną głowę... Załapał się na transport z Rosji do NRD, a stamtąd wrócił do domu.

Po jakimś czasie z Hejdyka przeprowadziliśmy się z powrotem do Karwicy. Tu brat najstarszy poszedł do lasu, gdzie mógł zarobić trochę pieniędzy. Później to i ja do pracy się dostałem. Najpierw trochę też pracowałem w lesie, ja byłem pracowity. W 1954 roku poszedłem do wojska. Służyłem w Czarnem koło Szczecinka. Rok w piechocie zmotoryzowanej i rok w czołgach, ale tam też trochę przychorowałem.

Po dwóch latach służby wojskowej wróciłem do domu i wtedy poszedłem do pracy na poczcie. Ale w gospodarce leśnej powstały Ośrodki Transportu Leśnego. W tych OTL używano transportu samochodowego, a niewielu umiało prowadzić ciężkie auta. Więc kiedyś brygadzysta z OTL mnie zaczepił i pyta:

– Ile na tej poczcie zarobisz?

– Pięćset złotych – odpowiedziałem.

No to on mówi:

– Chodź do mnie, więcej zarobisz.

Poszedłem do naczelnika poczty Krysiaka, żeby porozmawiać. A wtedy on powiedział:

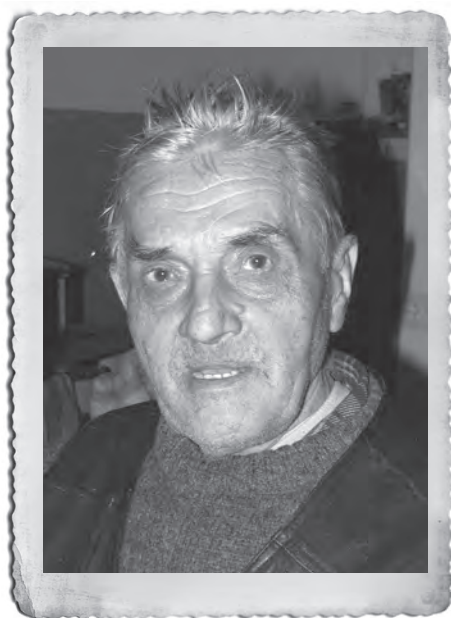
– Jak zarobisz więcej, to idź.

To poszedłem. Na poczcie pracowałem koło półtora roku, a w OTL osiem lat. Po upływie tego czasu w Nadleśnictwie Maskulińskim<sup>11</sup> zdarzył się wypadek. Kolega jeździł ciągnikiem z zaopatrzeniem. Kiedyś pojechał do Pisz, tam się napił wódki i w drodze powrotnej wjechał do rowu pod Wiartłem. I nadleśniczy zaczął szukać kogoś na jego miejsce. Zaczął mnie namawiać, żebym przeszedł do Lasów Państwowych. Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że dostanę mieszkanie. W tym czasie mieszkalem u teściów, miałem już dzieci.

– Dostaniesz – powiedział nadleśniczy i rzeczywiście dostałem. Jedna nauczycielka z mężem podleśniczym wyjeżdżali do Ameryki i opuścili mieszkanie przy szkole w Karwicy. Mogliśmy się tam przeprowadzić... Ale jakoś nam się nie podobało. Tu mieszkanie, a po drugiej stronie korytarza biegają dzieci. Więc kiedy później było łączenie nadleśnictw, to tu w Karwicy zwolniło się mieszkanie po Błaszczaku. Osobna zagroda, ładny dom, dobra lokalizacja. Więc poszedłem do nadleśniczego i mu powiedziałem, że chciałbym ten dom po Błaszczaku. On oznajmił:

---

<sup>11</sup> Nadleśnictwo Maskulińskie z siedzibą w Rucianem-Nidzie powstało w 1973 r. Nazwa odwołuje się do jednego z pierwszych po wojnie pracowników Lasów Państwowych Mariana Maskulińskiego, który został zamordowany w 1945 r. w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach.



Erich Kowalczyk. Zdjęcie współczesne

– Dobra, jutro będziemy u ciebie.

To było na jesieni. Nadleśniczy kazał wykopać kartofle i przewieźć już do piwnicy w moim przyszłym domu.

– Będziesz miał później mniej roboty.

W nadleśnictwie jeździłem na ciągniku. No to załadowałem te ziemniaki na przyczepę i przewiozłem. Aż tu któregoś dnia jadę do lasu po papierówkę, którą mam zawieźć do Nidy. Przejeżdżam obok, patrzę... a tu dym z komina idzie! Zatrzymałem, podszedłem do drzwi. Zamknęte! Jadę więc do nadleśniczego, że ktoś tam się wprowadził, a przecież dom miał być mój!

– P...lisz – odpowiedział i kazał swemu zastępcy się ubierać. – Zaraz

jedziemy do Karwicy, zobaczyć kto się na lewo wprowadził!

Przyjechaliśmy, dym dalej leciał z komina, drzwi były otwarte. Wchodzimy... w środku była żona jednego leśniczego H.M., który wprowadził się bez pytania do pustego domu. Dzięki tej interwencji leśniczy musiał natychmiast się wyprowadzić, a ja z rodziną mieszkam tu do tej pory.

Po wojnie do polskiej szkoły już nie poszedłem. Sam się nauczyłem pisać po polsku. W nadleśnictwie kto nie miał siedmiu klas podstawówki, szedł na kursy wieczorowe, takie doksztalcanie. Ja już siedem lat pracowałem, w wojnę skończyłem trzecią czy czwartą klasę w niemieckiej szkole i jakoś musiałem sobie dawać radę. Jakoś wypełniałem te karty, błędy na pewno były! W pisaniu po polsku na pewno się myliłem i w pisaniu po niemiecku. Nie bardzo nawet miałem z kim po niemiecku porozmawiać przez te wszystkie lata...

Czy nie chciałem wyjechać do Niemiec? W 1958 roku ożeniłem się z Polką z Białostockiego, panięskie nazwisko Ignaczuk. Przyjechali tu z Polski, bo były puste chałupy. Więc zamieszkali w jednej, gospodarkę później z gminy dostali. Urodziły się nam dzieci, zaczęły chodzić do szkoły.

Tu na cmentarzu leży mój ojciec, który zmarł w Hejdyku. Matka wyjechała do Niemiec w latach siedemdziesiątych. Ale też było przy tym tajemnic! Nikt nie mógł wiedzieć, tylko aby jakoś szybko wyjechać stąd na stałe. Wyjechał też mój



Anna Kowalczyk po wyjeździe do RFN

starszy brat, który tu mieszkał w Karwicy. Siostry jeszcze podczas wojny wyjechały<sup>12</sup> i już tam zostały. Dwie mieszkały w NRD, jedna w RFN. Raz ją odwiedziłem. Horst to w Olsztynie mieszkał i tam zmarł. Drugi brat zmarł w Turośli. Ja jeździłem do zachodnich Niemiec kilka razy do pracy, ale byłem u obcych. Tam pojechałem, gdzie dostałem pracę. Dostawałem wizę i jechałem, ale musiałem wrócić o czasie, bo na drugi raz już bym wizy nie dostał. Zawsze robiłem tak, żeby na czas wrócić. Miałem dobrą robotę, po niemiecku umiałem. Dobrze robiłem, szef był zadowolony, chciał żebym został na dłużej. Musiałem go okłamać, że dostałem telegram i muszę jechać do domu, a mnie już się wiza kończyła.

– Szkoda, że musisz jechać – mówił. – Jak ktoś będzie z Polski chciał przyjechać, to niech przyjedzie do mnie, robotę dostanie.

Podobało mu się, że tak szybko robię. Wycinałem zęby w tarczy do pił. To była łatwa robota. Tarcza się obracała i maszyna zęby wycinała. Raz wymieniłem mu wszystkie koła w samochodzie. I miałem mieć fajrant, ale szef chciał, abym jeszcze pomógł rozładować transport. Żebym ja wiedział, to bym dłużej te koła wymieniał! Jak wyjeżdżałem, to dał dodatkowo sto marek. Pojechaliśmy także na pogrzeb mojej matki. Miała dziewięćdziesiąt trzy lata, jak zmarła w Niemczech, w domu starców.

<sup>12</sup> Być może chodzi o częściową ewakuację kobiet i dzieci do lat 14 zamieszkujących tereny przygraniczne, ogłoszonej na jesieni 1944 r.



## MARIANNA KOWALEWSKA

Nazywam się Marianna Kowalewska z domu Sobotka. Urodziłam się w 1921 roku w Borkowie<sup>1</sup>, dużej wiosce między Kolnem a Łomżą. Moja rodzina była wielodzietna – było nas pięcioro rodzeństwa. Brat zmarł i zostały dwie siostry i dwóch braci. Rodzice byli rolnikami, pracowali na roli. Mieliśmy murowany, ładny dom.

Do szkoły chodziłam w Borkowie. Pięć klas tam było. Siostra i brat byli chyba mądrzejsi ode mnie, a może po prostu byłam starsza i dlatego to wszystko? Jak zdałam w Borkowie, to mogłam iść dalej się uczyć, ale trzeba było chodzić do szkoły w Kolnie. A rodzice zaczęli mówić, że nie ma komu pracować na gospodarce. Jak ja pójdę dalej do szkoły, to kto będzie pomagał? No to ja taka głupia byłam i zostałam w domu. A moja siostra i brat mądre byli, poszli do szkoły, wyuczyli się i sobie żyli. Już teraz to na emeryturze są. A ja pracowałam na ziemi. Ciężko pracowałam.

Jak wybuchła wojna, byłam już prawie dorosła. Pewnego dnia wstaliśmy rano, a mama mówi tak:

– Wiecie co, chyba Niemcy jadą! Boże drogi! – myśmy wyjrzeli oknem. Patrzę, najpierw jadą motorami. Motorami wjechali od strony Kolna, przez Borkowo, no i tam jechali, do Łomży. A my tacy przestraszeni byliśmy, że razem z siostrą uciekłyśmy do piwnicy i tam schowałyśmy się. No i co, przejechali tymi motorami, wyszłyśmy z tej piwnicy i patrzymy... jadą czołgi i samochody. Najpierw samochody jechały, pełno Niemców jechało na tych samochodach. A później za tymi samochodami jechały czołgi, takie ciężary, na Łomżę, wszystko tam ładowało. No i co, przejechali i na razie tam w Borkowie nic ludziom nie przeszkadzali. A później, jak Niemcy się już tutaj tak zagospodarzyli, to już tak po mieszkaniach i domach mieszkali. Myśmy mieli ładny, duży budynek murowany, to do nas się wpakowali chyba czterej oficerowie niemieccy. Mieszkali w jednym pokoju. Ale tacy raczej grzeczni byli i nie interesowali się nami

---

<sup>1</sup> Borkowo – wieś w Polsce położona w województwie podlaskim, w powiecie kolneńskim, założona w XV w. Po pożarze w 1929 r. i akcji komasacji gruntów w latach trzydziestych wielu gospodarzy pobudowało murowane budynki mieszkalne, osiedlając się poza wsią na tzw. koloniach.

specjalnie, tylko mówili, że im się ten pokój podoba i oni tam chcą mieszkać. No trudno. Co myśmy mieli do gadania? Weszli i mieszkali jakiś czas, a potem gdzieś wyjechali od nas. Może tam na front pojechali? No i tak przez ten czas wojenny tam w Borkowie nie było Niemców za dużo, bo wszystko jechało tam, na tą Łomżę, na tą Warszawę wszystko jechało<sup>2</sup>. Że tam zdobędą tą Warszawę.

A my zostaliśmy i pracowaliśmy na gospodarstwie, jak kto potrafił. Tylko my, dziewczyny, tak się ubierałyśmy, w takie spódnice i tak dalej, żebyśmy wyglądały na starsze. Tak na wszelki wypadek, żeby się ci Niemcy nie czepiali czy co? Na razie się nie czepiali, no ale później, jak już wracali z frontu, tacy pomęczeni, to omal się nie narobiło. U nas w Borkowie u takich Szymańskich były dwie dziewczyny. Panienki. Jedna starsza, druga młodsza. Przyszła do nich jeszcze jedna siostra z Czerwonego. Może przyszła albo przyjechała do nich tak na trochę posiedzieć, porozmawiać? A te dwie siostry były w domu i brat jeszcze leżał na łóżku, ale nie odzywał się nic. Niemcy weszli do nich do domu. Ilu ich weszło, to nie wiem, bom tego nie widziała. Jak tylko weszli to zaczęli się czepiać do tych dziewczyn. Jedna była młodsza, ale tej starszej się czepiali. No to ona od tej swojej siostry najstarszej wzięła dziecko na ręce, że może się obroni. Mówi:

– Ale ja mam dziecko małe, to jak ja mam iść. Gdzie ja pójde z wami? Ja mam dziecko, ja muszę dziecka pilnować.

A oni i tak ją ciągli. No i ta siostra dziecko wzięła od niej, a oni tak z boku trochę się odsunęli, a ona biedaczka co? Wypadła z tego mieszkania i uciekła.

A my trzeci dom byliśmy od nich. Siedzimy w domu, a mama moja mówi:

– Ktoś pod oknem do nas puka, żeby mu otworzyć.

A ja mówię:

– Mamo, może to Niemcy?

– Nie, dziecko – odpowiada. – To jakaś pani, nie wiem kto, ale ktoś prosi, żeby otworzyć!

No i mam poszła, drzwi jej otworzyła, a ona biedna, tak jak wypadła z domu, to nie wiedziała, czy to druty, czy to nie druty. Przyszła taka przerażona... uciekała przed tymi Niemcami. Spódnica była na niej podarta, bluzka, bo wpadła w druty. W tych drutach się zaplątała. To jak przyszła do nas, mama jej otworzyła, to aż krew miała na rękę, bo to w te druty się zaplątała. Uciekała, chciała się ratować. No i jak ona uciekła do nas, to te Niemcy wyszli z domu. A ten brat ich leżał na łóżku, Marian. Nic się nie odzywał, bo do niego też się

---

<sup>2</sup> Z kontekstu można wnosić, że niemieccy oficerowie mieszkali w domu autorki relacji krótko, w okresie kampanii wrześniowej 1939 r.

nic nie odzywali. Tylko ją tak ciągal, żeby ją wyprowadzić i tam co by chcieli, to by z nią zrobili. Ale ona się uratowała, no i uciekła do nas. Posiedziała u nas już do rana, bo to było wieczorem, tak może była gdzieś dwunasta godzina, jak zastukała w okno. Daliśmy jej ubranie, a ponieważ z ręki krew jej ciekła, więc opatrzyliśmy ją. Była u nas do rana, potem poszła do swojego domu. Ale już więcej do nich nie przychodzili łobuzy. A to z frontu takie szatany szli...

W czasie wojny i po wojnie w okolicy kręcili się partyzanci. Takie było moje spotkanie. To już było tak po wojnie, tej z września 1939 roku, my się z mężem pobraliśmy, gdy wrócił z niewoli, do której się dostał we wrześniu. Urodziło się pierwsze dziecko. I pewnego razu mama mojego męża tak mówi:

– Słuchaj dziecko, tutaj to tak samochody chodzą... – bo to koło szosy mieszkaliśmy między Kolnem a Łomżą. I dalej mama mówi: – To weź to dziecko, przyodziej się i idź do Janowa. – W Janowie niedaleko Borkowa ożeniona była siostra męża Kazia. – Tutaj ta szosa, to jakoś niebezpiecznie.

No i ja co, wzięłam Leszka, tego małego, i tak poszłam wieczorem piechotą do tego Janowa. A na miejscu Kazia, siostra męża, mówi:

– Boże, żeś się nie bojała tak z tym dzieckiem przyjść?

– No, mama tak mnie kazała, bo tutaj cicho jest.

I tak sobie siedzimy wszyscy w ich chałupie... byłam z dzieckiem, Kazia i jej mąż, bo reszta jego rodziny była wywieziona do Rosji<sup>3</sup>. No i Kazia mówi do męża:

– Stachu, ale gdzie my tego Leszka położymy? Tu nie ma gdzie... Idź na górę, na strych, tam na strychu to takie kiedyś były kopańki, tam ciasto na chleb wyrabiano, a potem ten chleb piekli. Tam stoi taka głęboka kopańka, przyniesiesz ją i tam go położymy.

– Stachu – odpowiedziałam – jest tutaj taki tapczanik, to ja się położę i będę tutaj pilnować tego małego.

No, siedzimy tak, a tu ktoś puka. Do okna.

– O Boże drogi, ktoś tu jest! Jakaś gromada tu stoi przed oknem. Może to Niemcy?

Stach wyjrzał i mówi:

– Nie. Nie bójcie się, to nie Niemcy. – Wyszedł Stach do nich, drzwi otworzył. Przyszło ich... no tak mniej więcej było ich z ośmiu, może do dziesięciu. Taka gromada. A jeszcze to było ciemno, bo światła nie świeciliśmy, tylko przy takiej świeczce siedzieliśmy. A jeszcze Stach mówi do tych męczczyzn:

---

<sup>3</sup> Prawdopodobnie zostali wywiezieni w okresie tzw. pierwszej okupacji sowieckiej (1939–1941), gdy powiat Łomża i Kolno na mocy postanowień sowiecko-niemieckich zostały włączone do ZSRR. Z terenów polskich zagarniętych przez Sowietów wywieziono wówczas co najmniej kilkaset tysięcy Polaków.

– Uważajcie, uważajcie, bo tu dziecko leży na ziemi. Jeszcze rozdepciecie je, zabijecie to dziecko!

A ja patrzę, drzę ze strachu, bo nie wiem, kto to. A oni tu wchodzą.

– Aaa, dzień dobry, dzień dobry, Stachu!

No, tacy jego znajomi partyzanci przyszli, bo i on też był w tym podziemiu. Ale on nie chodził w partyzantce, tylko tak pomagał...

– Stachu, daj nam jeść – mówią. – Bo nam się jeść chce, nie mamy co jeść.

Dał im to, co miał. Miał słoninę i jeszcze tam jakieś mięso. No i chleba im dał, ale potem powiedział, żeby sobie poszli, bo się boi.

– Przez was to ja mogę jeszcze śmierć połknąć – powiedział. No to poszli. Czy oni gdzie do lasu poszli, czy oni gdzie w żyta poszli? Bo to jeszcze żyta były. Czy oni gdzie w żytach się chowali, czy oni do lasu gdzie poszli, to tego nie wiem, bo nie widziałam. Więcej z partyzantami nie miałam kontaktu. A za jakieś dwa, trzy lata był koniec wojny. Mój stryjek ksiądz zawsze mówił, jak się wojna zaczęła, że będzie trwała pięć lat. I nie wiem, skąd on to wiedział, ale tak było. Jak się skończyło te pięć lat, tak potem ruskie weszli.

Ten mój stryjek, ksiądz, w czasie wojny mieszkał w Brześciu. I jak wybuchła ta wojna to złapali czterech księży i przyprowadzili do takiej szopy. Obstawili snopkami tą szopkę. I stryjek mi potem opowiadał, że ci czterej księża zamknięci w szopie się nawzajem wyspowywali w przeczuciu, że zginą.

– Podpalą i spalą nas – stryjek mówił. – Czekając na śmierć, siedzimy, mówimy różaniec, modlimy się, ale naraz słuchamy... jakieś tupanie przy oknie. O, już przyszli... Zaraz pobiją nas. – Ale gdy ci przybysze zaczęły pukać do okna, stryjek się odważył wyrzeć oknem i wtedy okazało się, że to nie Niemcy. Nie wiem, kto to był, ale chyba właśnie partyzanci. Zerwali kłódkę, otworzyli drzwi i kazali się udać do jakichś gospodarzy.

– Słuchajcie księżo – opowiadał ten mój stryjek – teraz my was do życia ocaliliśmy, to niech wam ludzie dadzą jakieś ubrania. Przebierzcie się i wracajcie do domów.

Dzięki partyzantom ci czterej księża zostali uratowani.

Mój mąż był w polskim wojsku. W 1939 roku wycofywali się przed Niemcami aż za Łomżę i tam dostali się do niemieckiej niewoli. I jak tych polskich żołnierzy Niemcy schwytali, to gnali ich przez Borkowo aż gdzieś za Pisz do



Marianna i Józef Kowalewscy

lagrów<sup>4</sup>. On w Prusach był trzy lata, jak stamtąd uciekał, to miał dwadzieścia dwa lata, tyle co i ja.

U nasz w Borkowie jest kościół. Zawsze w nim dzwonili w południe na Anioł Pański. A w czasie wojny Niemcy Żydów gnali z Kolna w stronę Łomży, ale po drodze pobili ich w tych rowach... Gnali ich przez Borkowo, a był w kościele taki kościelny, co zawsze dzwonił na Anioł Pański. I wtedy też dzwonił. A Niemcy, takie łobuzy jedne, to tak potem mówili, że dzwonili na Anioł Pański na taką żałobę, że gonią Żydów na śmierć. To jak za dwa dni przyjechali do księdza i go zabrali. Miał z Borkowa taką gospodynię, starsza już pani, co tam mu gotowała, przy nim sprzątała, to zaraz na drugi dzień, jak przyjechali Niemcy, ich zabrali i do dziś nie wiem, gdzie ich mogli wywieźć. Gdzie są, nikt nie wie. Zabrali i zabili ich. To za to, że dzwonili na taką żałobę, że Żydów gnali na śmierć.

A mój Boże, tak czwórkami ci Żydzi przez Borkowo szli, a Niemcy to po bokach ich pilnowali, żeby gdzie kto nie uciekł. Aż do Mściwuj ich gnali. Tam w tych Mściwujach takie były rowy przeciwpancerne<sup>5</sup>. Jak ich przygnali tam do

<sup>4</sup> Być może chodzi o obóz jeniecki w Snopkach, gdzie początkowo przetrzymywano wziętych do niewoli polskich żołnierzy.

<sup>5</sup> Rowy przeciwpancerne – pozostałość po umocnieniach budowanych w latach 1939–1941 na ówczesnej granicy sowiecko-niemieckiej, ustalonej w wyniku porozumień z września 1939 r.



Mściwuj, do tej wsi i w te rowy... jakiś gaz puścili, bo tamci ludzie, co byli ze Mściwuj, to widzieli niektórzy. Taki gaz puścili, że oni tak się przewracali. Momentalnie. Tak jakby zatruli ich. I potem do tego rowu wszystkich tych Żydów powrzucali. Ale sami nie zakopywali Niemcy, tylko ze wsi zegnali wszystkich ludzi, żeby te rowy zakopać. Ludzie ze Mściwuj potem opowiadali, że jak tych Żydów zakopywali, to jeszcze aż ta ziemia tak ruszała... Bo niektórzy jeszcze żywi byli i ta ziemia tak się podnosiła. Ale sami Niemcy nie zakopywali, zegnali ludzi ze wsi, żeby ludzie to zrobili. Tak, takie łobuzy z tych Niemców.

No, jak te Niemcy potem już uciekali, no to te ruskie weszli. A te ruskie to też niedobre łobuzy takie byli, złodzieje. Nic nie warte te ruskie. A Niemców to widzieliśmy, jak uciekali tam samochodami. A w górze samoloty leciały i bombardowały. W Borkowie jak bomba spadła, to jedna dziewczynka stała tak na dworzu, i ten chyba odłamek tej bomby spadł, to głowę jej ucięło. A samoloty tak leciały, niszczyły i paliły.

A potem te ruskie weszli. Z nimi jeszcze gorzej było. Bo jeszcze Niemcy to byli przynajmniej czyści. Jak u nas mieszkali w moim domu, to byli tacy eleganccy. Oni przyszli do studni, bo kranów do wody nie było kiedyś w domu, to jak przyszli do studni, to i perfumy mieli i mydła różne... Ale ruskie to brudasy.

U nas, jak tylko weszli, jeszcze w 1939 roku, to zaraz dwóch czy trzech przyszło do domu naszego i jeden mówi, no ja to tam nie umiałam po rusku, ale mój tata pamiętał z zaborów – razem z mamą chodzili przecież do ruskiej szkoły – to zrozumiał, że jemu się tu spodobało i będzie mieszkał. A miał ten ruski na sobie tych medalów! To był lejtnant. No i mieszkał u nas, u Sobotków dosyć długo. Rano wstawał i gdzieś jechał, ale na noc przyjeżdżał spać. A kiedyś przyszedł do kuchni mówi tak:

– Oo, już weszlim tutaj na wiegda. Już stąd nie pójdziemy. Tu już będziemy mieszkać w Polsce.

A potem przyjechały do tych ruskich w Borkowie takie panie, żony poprzyjeżdżały, w takich już ubraniach w Polsce poubierane te kobiety. No i byli jakiś czas tam w tym Borkowie, aż pewnego dnia przychodzi ten lejtnant do nas do kuchni i mówi, że muszą „udirac”, to chyba uciekać? A moja babcia mówi:

– A dokąd będzie Pan uciekał?

– No, wie Pani, ja muszę do swojej mamy chyba uciekać.

I za jakiś czas pognali ich Niemcy, a oni uciekali. Tak uciekali, z łóżek wstawali, tylko tak, że nawet nie zdążyli się ubierać i te panie w tych koszulach na samochody i uciekali wszyscy z Borkowa.

A jak się wojna skończyła na dobre, to mieszkaliśmy jeszcze z mężem przez jakiś czas w Borkowie. Ale do naszego gospodarstwa mieliśmy daleko od wsi, więc sprzedaliśmy gospodarzkę i przeprowadziliśmy się do Łupek<sup>6</sup>. Tutaj nad jeziorem ładnie, nad jeziorem mieszkaliśmy. To ja, jak przyjechaliśmy do Łupek, miałam pięćdziesiąt lat. Był 1971 rok.

I Pisz już wtedy był rozbudowany, bo wcześniej, w czasie wojny go zniszczyli. Teraz to się wszystko bardzo rozbudowało. Jak kiedyś odwiedzało się miasto, to było go jakoś mało. Ja nawet taką książkę miałam o Piesz, jak kiedyś było<sup>7</sup>. Ale to córka wzięła do Bogumiłów. To nie wiem gdzie ona, czy ona ją ma, czy ona zatraciła ją tam gdzie, nie wiem. A to taka ciekawa książka była, wszystko tam w niej opisane. Kilka razy ją tam czytałam, bardzo ładna była.

---

<sup>6</sup> Łupki – wieś usytuowana w pobliżu Piesz. Powstała w XV w., w przededniu wybuchu II wojny światowej liczyła 364 mieszkańców. Z dawnych zabytków do dziś przetrwał m.in. pałac z XVIII w., później przebudowany.

<sup>7</sup> *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*, red. W. Korycka, Olsztyn 1970. Książka wydana przez wydawnictwo Pojezierze w ramach serii monografii poszczególnych miast województwa olsztyńskiego. Bardzo popularne, bo przez długie lata jedyne opracowanie dziejów Piesz i najbliższej okolicy, skażone jednak ideowym piętnem epoki.

## KAZIMIERA LIPIŃSKA

Urodziłam się w 1933 roku we wsi Koziół koło Kolna. Nad samą Pisą, niedaleko granicy z Prusami Wschodnimi. Rodzina nasza nazywała się Kaczmarczyk. Mieliśmy trochę ziemi, ale bardzo mało. Ojciec jeszcze ciężko pracował, bo tarł piłą drzewo. Był cieślą. A mama zajmowała się domem.

A jak zaczęła się wojna w 1939 roku, to wzdłuż Pisy ustalono granice niemiecko-rosyjską. W Koźle był most, to ruskie ten most zburzyli, a mieszkańców



Pogranicze Polski i Prus Wschodnich z zaznaczoną nową granicą niemiecko-radziecką na rzece Pisie (1939–1941)

wsi wywieźli do Dzierzbi za Kolnem. Jak ten most zerwali, to myśmy się bali, taki to huk był. Tylko jedna połowa mostu, ta z naszej strony, była zburzona przez ruskich. A z tamtej, niemieckiej, strony została. I takie było zdarzenie jeszcze, że taki sąsiad po stronie niemieckiej miał zaraz swoje pole. On tam pojechał na pole, a w tym czasie ruski zburzyli ten most. I on nie mógł później wrócić. No to jakoś uzgodnili i go Niemcy puścili. Ale jak przepłynął na naszą stronę, to zaraz ruskie go zabrali i do dziś nie wrócił. Nie wiadomo, co się stało z nim. Już go nie odzyskała ta żona.

A później jak już zajęli Niemcy całą wioskę naszą, to nas z tej Dzierzbi chcieli zabrać. Kto zdążył prędzej, to na własną rękę wyjechał do Kozła. A myśmy nie zdążyli, to Niemcy podjechali w nocy o godzinie czwartej, jeszcze była tak szarówka, z furmankami pod każdy dom, gdzie mieszkali wysiedleńcy. Załadowali nas na te furmanki i wieźli do więzienia w Łomży. To gmach taki duży był. Po drodze ludzie nam dawali mleko, chleb, bo im nas szkoda było. W Stawiskach był postój. I jedna rodzina miała syna Stasia, który był trochę niepełnosprawny umysłowo. I ta mama pomyślała, że jak powie Niemcom, że on jest chory, to ich rodzinę puszcza. A Niemcy wzięli tego Stasia pod ścianę i zabili go. Ona strasznie to przeżywała.

Nas zawieźli do tej Łomży. W tym więzieniu nas zakwaterowali i chyba ze trzy dni myśmy tam byli. Małe dzieci chciały kawałek Łomży zobaczyć, to na barana rodzice brali i wyglądaliśmy przez okno. A nas nie puszczała nawet do łazienki, tylko takie drzwi o ścianę oparli i za te drzwi poustawiali wiadra i tam trzeba było się załatwiać.

Zwozili Polaków coraz więcej do tego więzienia. Jak zebrali nas bardzo dużo, to poustawiali w czwórki dzieci i dorosłych i pognali do łaźni. A potem kazali iść na stację i załadować się do bydłowych wagonów. Okna były pozabijane, drzwi pozamykane i nas wieźli do Niemiec. Kobiety siedziały na tobołkach, a mężczyźni stali i jak pociąg hamował, to ci wszyscy ludzie przewracali się na siebie. Duszno było w środku i nie wszyscy mogli to wytrzymać. Na szczęście ta podróż długo nie trwała, ale jak ktoś chciał z wagonu uciec, to Niemcy strzelali do niego. Ale gdzie nas przywieźli, to ja już tego nie pamiętam. Wyszliśmy. Stawiali nas rodzinami, a Niemcy przyjechali bryczkami i wybierali sobie rodziny do pracy. Tylko jakąś umowę spisali ci gospodarze z tymi, co nas przywieźli. A że moja mama była chora i ojciec chory, to nas zaprowadzili do lekarza. On się dziwił, dlaczego takie chore ludzie przyjeżdżają. Bo im powiedział, że my przyjeżdżamy do pracy na ochotnika! I ten lekarz nam załatwił, że pozwolono nam wrócić do tej Dzierzbi. Ale tam już nie było ani okien, ani

drzwi, tylko puste ściany. Wszystko było pozabierane. A kto zabierał, to nie wiemy. Pewnie miejscowi, bo byli przekonani, że nikt z nas już nie wróci.

Znów przeprowadziliśmy się do Kozła. Działy się tam straszne rzeczy w czasie wojny. Taki czarny samochód przyjeżdżał i zabierał mężczyzn. Bardzo się tego samochodu baliśmy.

Niemcy byli niejednakowi. Jak wojsko we wsi stało, to ci żołnierze nie byli tacy źli. Miałam chorą siostrę, to lekarz wojskowy przychodził pomagać. Mówił, że takie samo dziecko w domu zostawił. Obok za płotem stała kuchnia polowa, to kazali nam po zupeć przychodzić. Ale byli też strasznie wredni Niemcy. Najgorsi to ci od łapanek. Na roboty ludzi łapali. Jak kogoś młodego znaleźli, kto się ukrywał, to bili kijami. A my obok staliśmy i płakaliśmy.

Kiedyś partyzant jakiś schował się w stodole u kogoś niedaleko rzeki. A przyszli wtedy Niemcy do wioski, otoczyli cały Kozioł i zaczęli zabierać ludzi. To ten partyzant wyskoczył ze swej kryjówki, zaczął strzelać i uciekał do rzeki. I oni go trafili. To później go rozebrali do połowy, zgonili wszystkich dorosłych i dzieci i trzeba było go poznawać. A taki skutny był tymi bagnetami, że z gołego ciała tylko buzię miał taką, że można było go rozpoznać. Niemcy powiedzieli wtedy do nas:

– Żeby on zabił chociaż jednego Niemca, to całą wioskę byśmy zniszczyli. Ale że on nie trafił nikogo, to macie szczęście.

Ale i tak chłopów ze wsi zebrali i bili ich takimi kijami. A z tej rodziny, co tam się ukrywał ten partyzant, to chyba czterech czy trzech zabrali i już żaden nie wrócił z Niemiec. Do obozu ich wywieźli.

To była partyzantka dobra i była partyzantka zła. Byli i złodzieje. Przyjeżdżali do gospodarza i zabierali świniaaka czy tam co im się podobało. Ale byli i partyzanci, którzy walczyli o dobro. Mój teść był partyzantem też, miał stopień plutonowego. Ale on był bardzo dobry człowiek. Zginął później, już po wojnie. Zamęczyli go te ubowcy. Na to wojsko, co zwalczało partyzantkę, to ludzie mówili „dekarze”. To jak dekarze wpadli, to wszystko niszczyli, zabierali, szukali nie wiadomo czego. Później tylko słyszałam z opowieści od Stefana, męża, że miał czternaście lat, jak te dekarze, to wojsko przyszło szukać jego ojca. To podobnież zleli tego mojego męża, że jak uciekł gdzieś na łąki, w siano, to chyba ze trzy dni siedział w tym sianie i nie chciał wyjść. Po trzech dniach matka go znalazła i ten ojciec. Tak się bał tych dekarzy.

Po wojnie chodziłam trochę do szkoły, uczyły się razem dzieci starsze i młodsze. Nie było podręczników, zeszytów. Jak ktoś dokazywał, to łapy od nauczyciela dostał, nie było tak, jak teraz, że rodzice o dzieci się wykłócają.



A później już w pięćdziesiątym lub w pięćdziesiątym pierwszym roku przysłałam do pracy do Pizsa. Początkowo to wszędzie w Pizsu mnóstwo gruzów było. Tu gdzieś koło mostu jakaś piekarnia była. Na ulicy Kościuszki stała poczta. Taki gmach, już go nie ma, czerwony taki duży gmach.

W fabryce sklejki zaczęłam robić<sup>1</sup> i kończyłam szkołę podstawową. Przeprowadziłam tak trzydzieści lat. Przez kilka lat to nas z Kozła jeszcze dowozili do fabryki samochodem, ale potem już przestali i każdy musiał sobie szukać mieszkania na własną rękę. W hotelu można było coś znaleźć, ale ja nie chciałam w hotelu takim pracowniczym mieszkać, to sobie poszukałam pokoju w ponemieckim budynku. U takiej starszej pani, która miała córkę i też pracowała w fabryce. One tak trochę zaciągały przy mówieniu, ale nie wiem, skąd przyjechały. Myśmy się zapoznały i tam razem mieszkaliśmy. To było takie pół domku, pół chlewka, a dalej szopka była. Ogród piękny. Naprzeciw szkoły Jedyńki. Tam nie było takich bloków, jak są teraz, tylko były ogrody i stare ponemieckie mieszkania. Po kilku latach, jak już pobraliśmy się z moim mężem i mieliśmy dzieci, to dostaliśmy dwupokojowe mieszkanie z ciemną kuchnią, też w ponemieckim bloku. A później już ten blok zaczęli rozbierać, to na ulicę Okopową przesiedlili. Dostaliśmy mieszkanie w nowym bloku, ale też z fabryki.

W 1956 roku ożeniłam się, ślubu w kościele Świętego Jana Chrzyciela udzielał nam ksiądz Bolesław Winkiel. On był proboszczem. Taki mały ksiądz, ale fajny człowiek. Ruchliwy, mały, fajny człowiek. Oczywiście nie było potem takiego wesela, jak w dzisiejszych czasach. Tylko w domu, gdzie wynajmowałam pokój, u tej pani, zrobiliśmy obiad uroczysty. Ojciec mój zaraz tydzień po moim ślubie zmarł. W jedną sobotę brałam ślub, a w drugą ojciec zmarł, bo był chory. To nawet i na tym ślubie nie był. Tylko była teściowa i drużby.

Pamiętam też święta Bożego Narodzenia, jeszcze w Koźle. Choinka prawdziwa z lasu, na niej świeczki woskowe i jabłuszka wisiały, ciasteczka, zapach taki był w całym domu. Na pasterkę chodziliśmy aż do Kolna, osiem kilometrów. A jak wróciliśmy do wioski, to kto tam prędzej przyszedł już zapalał te świece na tych choinkach, świeczki się paliły i było tak naprawdę... Chociaż może było biednie, ale było wesoło. Tak nie było jak teraz. Ludzie byli zżyci ze sobą. Jak w Koźle mieszkaliśmy, takie podwórko mieliśmy ładne. Drzewa rosły, ławeczka stała pod ścianą. To jak skończyli w sobotę pracę, zaraz się poschodzili sąsiedzi. Mieliśmy tam grajka takiego. Grali nieraz i opowiadali aż do białego dnia. Tak jedni z drugimi, bo nie było jeszcze telewizorów. Radio jedno

---

<sup>1</sup> W listopadzie 1950 r. w Sklejce pracowały 694 osoby, ale wciąż odczuwano niedobór rąk do pracy, gdyż pracownicy sezonowi na okres zimy zwalniali się, mając trudności z dojazdem lub źle znosząc zamieszkiwanie w drewnianych barakach.

było na całą wieś i to na słuchawki. A później jak te toczki<sup>2</sup> pozakładali, to już prawie w każdym domu było. O tych PGR-ach<sup>3</sup> tam opowiadali.

Tu w Piszku też mieliśmy takich swoich sąsiadów, dobrych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniliśmy. Schodzili się jedni do drugich. Tylko jak zaczęła się telewizja, to synowie zawsze uciekali z domu, żeby u kogoś obejrzeć kolarzy. To ja się bałam, że oni późno wracali i dlatego też kupiliśmy taki telewizor, algę<sup>4</sup>.

Często też się chodziło do kina. Jeszcze nie byłam mężatką, to już chodziłam. Jak przyjeżdżaliśmy do pracy, to nieraz chciało się zostać, żeby film obejrzeć. Nocowałyśmy wtedy u koleżanek, chodziłyśmy na ulicę Leśną, tam była taka Muszla i można było potańczyć.

Razem ze mną w fabryce pracowali Mazurzy w takim wieku jak ja. Początkowo oni zostali, ale później powyjeżdżali do Niemiec. W porządku ludzie byli. Ci, co pozostawali, to nawet z moim mężem byli koledzy. Mieli taki łamany język, ale mówili po polsku. Zdarzali się wśród nich i tacy, co skarżyli się, że to ich ziemię się zabrało, że się przyszło na ich ziemię. Niektórzy mieli pretensję, że zajmuje się polniemieckie domy. Ale ci, których ja znałam, to może i tak źle myśleli, ale tak naprawdę nie było tak źle. Sporo przecież małżeństw mieszanych było po wojnie.

Czasami to się słyszało język niemiecki na ulicy. Później, jak już wyjeżdżali, to coraz mniej. Teraz to już co najwyżej jak wycieczki przyjadą. Kiedyś szłam ulicą i przechodzili Niemcy. I jak nadeszli, to nie powiedzieli „dzień dobry”, tylko po niemiecku mówili. Tak myśleli, że to ja jestem Mazurka. A ja odpowiedziałam:

– Dzień dobry – to oni dopiero się kapnęli, że to nie ta.

Mazurzy wyjeżdżali stąd z własnej woli, bo im lepiej było w Niemczech niż tu w Polsce. W Polsce była bieda, od początku po wojnie była bieda. Nie było tak dobrze. UB też gnębiło tych ludzi. W fabryce też myśleliśmy się bali, żeby maszyna się nie zepsuła czy co. Bo zaraz UB przychodziło, zaraz wywiad był, a dlaczego, a po co, że to się zrobiło sabotaż. Mieli zawsze pretensję<sup>5</sup>.

---

<sup>2</sup> Radiowęzeł, przez który nadawano tylko jeden program. Wykorzystywane w latach pięćdziesiątych jako sposób na propagowanie idei komunistycznych wśród społeczeństwa.

<sup>3</sup> Państwowe Gospodarstwa Rolne (PGR) – dawne majątki przejęte na własność państwa. Być może autorce chodziło o propagowanie „gospodarki uspołecznionej”, czyli zakładania na wsiach spółdzielni produkcyjnych, które komuniści starali się za wszelką cenę forsować na wsi na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych kosztem gospodarstw indywidualnych.

<sup>4</sup> Alga – telewizory produkowane w latach 1966–1968.

<sup>5</sup> W każdym większym zakładzie pracy od końca lat czterdziestych istniały Referaty Ochrony, które stanowiły ekspozytury powiatowych struktur UB. Również w piskiej Sklejce istniała taka komórka, którą załoga fabryki nazywała „za żelaznymi drzwiami”. Referaty tworzyły sieć informatorów w zakładzie, np. według ewidencji w lutym 1950 r. w Referacie Ochrony w Sklejce znajdowało się 8 informatorów i 15 kontaktów poufnych. Por. W. Brenda, „...Przeprowadzono kontrolę wszystkich biur w fabryce...”, czyli *Piska Sklejka w dokumentach UB z 1950 r.* <http://www.piszkulturalnie.pl/z-historii-regionu/pisz/ziemia-piska-w-archiwach-prl-odc-5> [dostęp: 12.11.2013].

Urodziłem się 1930 roku w Nowej Rudzie, powiat kolneński, województwo białostockie. Rodzice moi mieszkali na wsi w Nowej Rudzie. Mieliśmy gospodarstwo o powierzchni dziesięciu hektarów. Około połowy zajmowały pola uprawne, a reszta to łąki i pastwiska. Krowy hodowaliśmy, jednego konia, jakiś czas po wojnie dwa konie, świnię, kury, kaczki, gęsi i indyki. Dom wybudował ojciec – nowy, przed samą wojną, kryty dachówką. Większość domów w sąsiedztwie było pod słomą, ale u nas tylko chlew i stodoła. Później, po wojnie, postawiliśmy drugi chlew.

Jak się zaczęła wojna to ja miałem osiem lat. Od nas było niedaleko do granicy. Pamiętam, że wszyscy się bali. Ludzie mówili, że jak Niemcy przyjdą, to wszystkich powystrzelają. My przy lesie mieszkaliśmy i tam przez las szła taka droga polna. I zanim wybuchła wojna, to na końcu lasu zawsze dwóch żołnierzy na koniach miało posterunek. A ludzie zboże zakopywali w ziemi<sup>1</sup>, bo Niemcy przyjdą to pozabierają. Zniknęli, jak się zaczęło. Ludzie z okolicy zaczęli uciekać, aby czym dalej od granicy. Ale my nie uciekaliśmy. Siedzieliśmy w domu i jak Niemcy przyszli, to u nas zamieszkał oficer, bo mieliśmy w chałupie dwa pokoje. Tak było ze cztery tygodnie. Konie w chlewie Niemcy trzymali. U nas na koloniach się mieszkalo – tu chałupa z jednej wsi, a dalej już była z drugiej wsi chałupa. To się właśnie nazywało koloniami. I w sąsiedniej kolonii, skąd ludzie wyjechali, to Niemcy zajęli całą gospodarkę. Tam była kuchnia, to żołnierze tam na tą kuchnię chodzili posiłki jadać.

Niemcy nałożyli kontyngenty na ludność. Trzeba było oddawać zboże, to ziemniaki, to jak świniaka uchował gospodarz, to trzeba było go oddać, a sobie nie wolno było świniaka zabić. Bo jak żandarmi jeździli i znaleźli u gospodarza jakieś mięso, to zaraz brali i do łagrów zawozili. My też ukrywaliśmy jedną krowę przed Niemcami.

---

<sup>1</sup> Oczywiście w odpowiedni sposób zabezpieczone. Chodziło o doświadczenia z I wojny światowej, gdy armia niemiecka dokonywała rekwizycji.

Niemcy zabrali mojego brata. Trafił do Niemiec na roboty, do Zimnej<sup>2</sup>, gdzie u gospodarza pracował. Niby nie było mu źle, ale jak w czymś podpadł, to zabrali go na trzy miesiące do lagru w Rynie. Tam było takie więzienie duże i ciężkie. Źle karmili, tylko brukiew gotowali i wodą ich karmili<sup>3</sup>, i do pracy codziennie trzeba było chodzić. Stamtąd wrócił do tego samego gospodarza. Jak dotarł do domu w odwiedziny, to ważył czterdzieści kilo! Gdy się spojrzalo na niego, to tak jak trup był, tylko skóra i kości na twarzy. To Niemcy zrobili z człowieka. W końcu brat uciekł z tych robót do domu i się ukrywał. Ale złapali go żandarmi i zabrali do Działdowa<sup>4</sup>. Tam lager był między innymi dla tych uciekinierów, którzy z Niemiec uciekali.

Pewnego dnia Niemcy nabrali urzędników<sup>5</sup>, co to w szkole pracowali, to w gminie gdzieś pracowali i ich mieli wywieźć do lagru. Bo ludzi uczonych to Niemcy likwidowali. No i ich zabrali, ale kiedy wieźli ich wąskotorową kolejką z Turośli do Myszyńca, to partyzanci postanowili ich odbić. Partyzanci szyny rozkręcili, ta kolejka się tam wykołowała i czterech żandarmów zabili, co Polaków konwojowali, a więźniów wypuścili<sup>6</sup>. No to później wojsko niemieckie przyjechało i wzięło ludzi chyba ze trzech czy ze czterech wiosek! Z naszej wioski to wzięli czterdziestu, z drugiej tam trzydziestu. Wszyscy ci ludzie nie byli nic winni, ale Niemcy uznali ich za bandziorów<sup>7</sup>.

Niedaleko za granicą, w Dłutowie na łąkach był lager dla ruskich, co się w 1941 roku do niemieckiej niewoli dostali<sup>8</sup>. Niemcy tych żołnierzy ruskich

---

<sup>2</sup> Zimna (od 1938 r. Kaltenflies) – wieś w powiecie piskim założona w 1308 r. W przededniu II wojny światowej mieszkały tam 133 osoby.

<sup>3</sup> Raczej chodzi o wodnistą żupę.

<sup>4</sup> W Działdowie podczas II wojny światowej Niemcy urządzili obóz dla Polaków z północnego Mazowsza i Pomorza, w którym zamordowano ok. 3000 więźniów, m.in. zginął arcybiskup płocki Antoni Julian Nowowiejski i biskup Leon Wetmański. Po wojnie w tym samym miejscu powstał obóz przejściowy NKWD.

<sup>5</sup> Czyli aresztowali miejscową inteligencję.

<sup>6</sup> Aresztowania miały miejsce w czerwcu 1944 r. Gdy jeden z więźniów, żołnierz AK Zbigniew Styra „Zorza”, w trakcie przesłuchań zorientował się, że część aresztowanych zostanie przetransportowana kolejką wąskotorową do Myszyńca i dalej do więzienia w Szczytnie, udało mu się przekazać tę informację kolegom z konspiracji. Trzeciego lipca 1944 r. oddział NSZ pod dowództwem Romualda Kozła „Łużyca”, wsparty żołnierzami AK z kompanii Kazimierza Borzęckiego „Ryś” wykołował wagoniki z więźniami w pobliżu wsi Rudne Łyse. Podczas przygotowania akcji postanowiono unikać rozlewu krwi, żeby nie doprowadzić do niemieckiego odwetu. Jednak jeden z niemieckich konwojentów rozpoznał znanego sobie Polaka, uczestnika operacji, więc zapadła decyzja o likwidacji czterech niemieckich żandarmów. Zachowanie przy życiu choćby jednego groziło dekonspiracją całej struktury konspiracyjnej. Zob. T. Kruszewski, *Akcja „Burza” na Kurpiowszczyźnie*, Ostrołęka 1992, s. 13; W. Brenda, *Brat Kurpiów i Mazurów*, „Zeszyty Kolneńskie” 2006, nr 1, s. 23.

<sup>7</sup> W wyniku obławy w rejonie pogranicznych wsi Koziół-Szablaki, Turośl, Cieloszka-Leman Niemcy aresztowali od 400 do 500 Polaków i wysłali do obozów.

<sup>8</sup> Obóz jeniecki w Dłutowie-Jeżach powstał już w 1939 r. i był pierwotnie przeznaczony dla



Jeńcy radzieccy w obozie w Dłutowie (1941–1944)

z frontu przywozili do Dłutowa i oni się tam powoli wykańczali. Nic im nie dawali jeść, panował tyfus. A zmarłych wywozili za Wincentę, tam w lesie ich zakopywali. Ludzie, jak tamtędy jeździli z kontyngentem dla Niemców, to czasem co rzucili... Chleb, kilka kartofli... Niemcy zabraniali, ale kto by wytrzymał widok tych biednych ludzi?

Jak się wojna zbliżała do końca, to nam Niemcy kazali ostatnią krowę do Jeży zaprowadzić. Ja tę krowę odprowadziłem, ale coś tam Niemcy w Jeżach nie chcieli nam przyjąć. Na drugi dzień wypadła niedziela, poszliśmy jeszcze raz oddać krowę. A tam w Jeżach te krowy zabierane ludziom stały za ogrodzeniem z drutu i czekały na załadunek do wagonów kolejowych. Niemcy już się ewakuowali i chcieli wywieźć z pogranicza wszystko, co tylko możliwe... Jak stamtąd wróciliśmy do Nowej Rudy, to chyba było 25 stycznia 1945 roku, to już tu byli Ukraińcy, którzy współpracowali z Niemcami<sup>9</sup>. Uciekali przed frontem, bo jak ruski ich łapali, to zaraz strzelali. Jedna taka rodzina ukraińska podjechała i koń im nie chciał dalej ciągnąć... Blisko naszego gospodarstwa stanął i koniec. I ci młodzi razem z ojcem zostawili trójkę dzieci i babcię, a sami

polskich żołnierzy, którzy trafili do niemieckiej niewoli w 1939 r. Obóz miał charakter przejściowy. Po napaści Niemiec na ZSRR w 1941 r. ogromna ilość czerwoarmistów dostała się do niewoli niemieckiej. Około 12 000 umieszczono na terenie obozu. Mieszkali za ogrodzeniem z drutu kolczastego, musieli sami sobie wygrzebać ziemianki lub zbudować szałas. Panował głód i tyfus. Przyjmuje się, że w obozie zmarło ok. 4000 osób, które pochowano po drugiej stronie ówczesnej granicy, we wsi Wincenta. Zobr. Z. Lietz, *Obozy jeńckie w Prusach Wschodnich 1939–1945*, Warszawa 1982, s. 64.

<sup>9</sup> Chodzi o funkcjonariuszy różnych formacji militarnych współpracujących z Niemcami oraz członków ich rodzin, uciekających przed Armią Czerwoną. Trafienie ukraińskich, białoruskich czy rosyjskich kolaborantów w ręce sowieckie oznaczało niechybną śmierć.



uciekli! To te dzieci z babcią u nas przenocowały i rano mój ojciec wprowadził ich na drogę, ten koń już odpoczął przez noc, no i pojechali dalej. Całą noc Niemcy tam koło nas jechali, jechali, część szła piechotą, bo już na głównych drogach ruscy ich wyprzedzili, więc byli jakby okrażeni. Mieli tylko taką dziurę przez puszcę i oni koło nas wszyscy musieli uciekać. Byle do morza<sup>10</sup>. A na morzu ruskie potopili tych Niemców.

Później, jak weszli ruscy, to Polacy mieszkający blisko granicy do Prus jeździli szabrować wszystko. Bo jak po drugiej stronie granicy wszyscy Niemcy uciekli, to nie było nikogo w ich domach. Do takiej pustej wioski jak się pojechało, a tam w chałupie na stole wszystko... talerze, garnki. Oni wyjechali, a wszystko to zostało. To ludzie zabrali i wozili do domu to, co zostało. Brat krowę przyprowadził z Niemiec. Jeździliśmy też po maszyny rolnicze – kopaczkę, młockarnię, młynek do mielenia ziarna. A później niektórzy nawet domy drewniane, opuszczone przez mieszkańców – bo część Niemców zginęła, część uciekła za Odrę – to te drewniane domy rozbierali i przewozili do Polski. Bo w Polsce ludzie po wojnie biedowali. Butów nawet nie było, tylko takie się robiło chodaki albo klompy. Płótnem obił podeszwę drewnianą i to było takie chodzenie. Albo owijką nogę owinał, sznurkami okręcił i chodził w zimę. A latem... to jak na wiosnę boso zaczął człowiek chodzić, to aż zimno było – w ten czas dopiero założył jakieś obucie. To dlatego ludzie brali z Niemiec, co się dało. Tylko później ruskie zajęli Prusy, to byli już w Piszcu i jeździć nie dawali, bo oni zabierali i wywozili do Rosji cały majątek.

Przed wojną to chodziłem tylko do pierwszej klasy. W jednym z domów szkoła była i tam się uczyliśmy. A zaraz po wojnie to niedaleko nas nauczyciel mieszkał i on tą szkołę prowadził. Później jakiś czas było przerwy, bo on służył w partyzantce, a wojsko takich, co w tych partyzantkach byli, wyłapywali. No to go wzięli i siedział dwa lata w więzieniu. To my wtedy jeździliśmy rowerami siedem kilometrów do szkoły aż w Turośli.

W 1947 roku przyjechałem do Piszca, uczyć się za krawca. Przebywałem tu tylko dwa lata, to znaczy uczyłem się w Piszcu, a mieszkalem w Snopkach. Mój nauczyciel to był krawiec – rzemieślnik, nazywał się Rydzewski Witold. Przybył z Wąsosz koło Szczuczyna i w Piszcu założył ten swój warsztat w mieszkaniu na ulicy Wojska Polskiego. W jednym dużym pokoju miał zakład, a do zamieszkiwania miał kuchnię i drugi pokój. Oprócz mnie zatrudniał jeszcze jednego ucznia, a miał jeszcze czeladnika – dziewczynę.

---

<sup>10</sup> Raczej wątpliwe, aby kolumny uciekinierów, o których wspomina autor relacji, zdołały dotrzeć do morza przed radzieckimi kolumnami pancernymi. Armia Czerwona była już w tym czasie w Prusach.

To jego mieszkanie znajdowało się w takim starym domu przy samym moście przez Pisz. To znaczy tego mostu nie było, później akurat, jak ja tam się uczyłem, to ten most budowali. A nawet ten most podwyższyli i zrobili taki nasyp, którym biegła ulica prowadząca na most. I ten budynek został tak w dole, że tylko pół okien było widać. Obok tego mostu w budowie to wtedy był tylko taki drewniany mostek<sup>11</sup>, po którym przyjeżdżały furmanki od strony Kolna. A na placu Daszyńskiego była masarnia. Na tym placu był wtedy rynek, wybrukowany kamieniami. Na rynek we wtorki i piątki furmankami chłopci przyjeżdżali i targowali się<sup>12</sup>. Tam i konie przyprawdzali na handel. Mnóstwo straganów stało wszędzie. A tu, gdzie Dom Kultury jest, to tam przed wojną budynki były, ale gdy ja przyjechałem do Pisza, tam wszystko zostało popalone, tylko gruz taki został. Szpital był na Słowackiego, przychodnia tam była też na Słowackiego i apteka. Później aptekę i przychodnię przenieśli na ulicę Lipową, a ten szpital co teraz jest<sup>13</sup>, to on tam stał, ale tam nic nie było, wszystkie były okna powybijane, drzwi powywalane.

Ze Snopek do Pisza piechotą chodziłem, autobusy ani żadne samochody nie jeździły wcale. No, później rower miałem, to rowerem dojeżdżałem. Pociągu nawet nie było jeszcze w Piszcu, bo tutaj tory były pozdejmowane, tylko podkłady leżały, a tych szyn nie było wcale<sup>14</sup>. Później za parę lat<sup>15</sup> położyli te szyny i pociągi jeździły.

Pisz wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiaj. Budynki stojące współcześnie nad rzeką powstały już po wojnie, tylko tam, gdzie jest hotel, był taki duży młyn, do którego przywozili ludzie z wiosek żyto i pszenicę, by mielić na mąkę. Później ten młyn zlikwidowali i było tam przedsiębiorstwo budowlane, przedsiębiorstwo się nazywało Odbudowa Mazurska<sup>16</sup>.

Poczta była na ulicy Kościuszki przy samej jezdni. Wiele pozostałych budynków w tym miejscu było spalonych. Koło ronda imienia Prezydenta Lecha Kaczyńskiego to tutaj budynki stały, też były popalone, a tutaj, gdzie jest Bank PKO, to tam stały normalne budynki, takie dwupiętrowe. W pobliżu miej-

---

<sup>11</sup> Prom albo most pontonowy.

<sup>12</sup> Czyli handlowali. W tradycyjnym handlu do dobrego tonu należało targowanie się o cenę towaru.

<sup>13</sup> Obecnie przy ul. Klementowskiego.

<sup>14</sup> W Piszcu przez wiele lat opowiadano sobie dowcip, że Armia Czerwona zdemontowała tory kolejowe „do ocynkowania”. W rzeczywistości z całego regionu wywieziono kilka tysięcy kilometrów szyn. Zlikwidowano m.in. linię Szczytno–Pisz–Elk, Pisz–Dłutowo, Pisz–Orzysz.

<sup>15</sup> Częściowo odtworzoną linię kolejową z Pisza do Szczytna i do Elku oddano do użytku dwa lata po wojnie.

<sup>16</sup> Spółdzielnia powstała w 1947 r. z zadaniem podnoszenia Pisza ze zniszczeń wojennych.



Spółdzielnia Odbudowa Mazurska w Pisz (lata czterdzieste)

sca, gdzie jest zawodówka<sup>17</sup>, to była z początku weterynaria. Tam zwierzęta przyprowadzali chore do takiego długiego baraku. A tu, gdzie powstała szkoła zawodowa, to nie było nic, tam normalnie pole takie było.

Koło szpitala to były ogrody, tam na jabłka chodziliśmy. Tutaj, gdzie ta szkoła Trójka, to był taki duży tartak, to tam tarli kłoce, przecierali. Na ulicy Kwiatowej, tutaj, gdzie stoją dzisiaj bloki mieszkalne, to tam był taki drewniany hotel robotniczy. Ludzie w nim mieszkali, którzy pracowali w Sklejce. Bo w Sklejce to z początku fabryka była taka malutka, bo ja tam też pracowałem. A później ją rozbudowali.

Obchody 1 Maja to były zawsze na stadionie. Schodzili się wszyscy, później była taka tam odprawa, a później maszerowali wszyscy ulicą Klementowskiego, przedtem nazywała się Żymierskiego. I później tu, ulicą Kościuszki, i szli aż tu, przez most i na ulicę Targową, tam się kończyła ta cała impreza. A tutaj, na tym placu Daszyńskiego, była taka trybuna postawiona i tam władze stały i odbierały ten przemarsz. Bo tam wszyscy, cały Pisz przechodził, to i szkoły były, i nadleśnictwa, bo tam przedtem na 1 Maja to wszystkie przedsiębiorstwa musiały świętować. Orkiestra grała i wszyscy przemaszzerowali przed trybuną.

<sup>17</sup> Zespół Szkół Zawodowych.

Zabawy to były na ulicy Leśnej. Tam był amfiteatr, taka była Muszla zrobiona i bale, dancingi organizowano na tej Leśnej. Nawet wesela tam robili, a teraz to ludzie tam mieszkają<sup>18</sup>.

Moją żonę poznałem we wsi Szablaki. To była wioska niedaleko mojej rodzinnej wsi, to tam się poznaliśmy i pobraliśmy. Oczywiście nie od razu to wszystko się odbywało. Wcześniej trzeba było pochodzić, dobrze się zapoznać. Bo kiedyś nie tak było, że młode się zapoznają i chodzą ze sobą, a później się pobierają. Kiedyś to było tak, że rodzice z kimś się dogadali i ten ktoś, kto nazywał się raj, szedł do domu dziewczyny. Jak się rodzina dziewczyny zgodziła, to potem rodzice szli, żeby wszystko obgadać. I wtedy chłopak szedł do tej dziewczyny z rodzicami i tak po kolei to wszystko się odbywało. Nie tak jak teraz, że się zakochują w sobie albo razem mieszkają, albo ze sobą chodzą i się pobierają. Przedtem tak nie było. Było inaczej. Wesele musiało być... chłopak z dziewczyną, z którą chciał się ożenić, to musiał ślub wziąć. Nasz ślub był w kościele Matki Boskiej Częstochowskiej w Turośli, to jest w powiecie kolneńskim. Wesele zaczynało się wtedy u chłopaka, w ten czas to było w poniedziałek zawsze, bo śluby były we wtorek. To w poniedziałek na wieczór to u chłopaka do rana się bawili i w ten czas jechali furmankami i na koniach wierzchem do dziewczyny. Gdy zajechali na podwórko, to dziewczyna nie wyszła po tego młodego, tylko on musiał końmi zawrócić i odjechać. Przejechał się tam po drodze i z powrotem przyjechał na podwórko. W końcu panna młoda wyszła do niego, przywitała się i wchodzili do mieszkania. Tam rodzice pobłogosławili i wszyscy jechali do ślubu. Z kościoła orszak wracał do domu panny młodej czy tam, gdzie miało się odbywać wesele. Tam poczęstunek był, natomiast tańce to się odbywały w innej chałupie. W chałupie, jak masz pokój czy dwa, to tańczyć tam nie będą przecież. Muzykantów było trzech za całą orkiestrę. Jeden, co na harmonii grał, bo to taka pedałówka była, nogami tak deptali i rękami gra, perkusja była i skrzypce. Rano wesele się kończyło. A wtedy pan młody brał dziewczynę i zabierał ją do swojego domu. A tam też muzykanci byli i jeszcze do wieczora się bawili. Aż na wieczór się porzuchodzili. Tyle to było... trzy dni wesela. Nie przez jedną noc.

Po ślubie zamieszkaliśmy w rodzinnej wsi żony, w Szablakach, i po dwóch latach do Snopek się przeprowadziliśmy. I w Snopkach zamieszkaliśmy w 1963 roku. W 1977 roku przeprowadziliśmy się do Pisza. Tu podjąłem pracę na budowie, potem w fabryce sklejek w Piszcu. A później ze Sklejki się zwolniłem i przeszedłem do Szerokiego Boru, do jednostki wojskowej. Tam pracowałem aż do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

---

<sup>18</sup> Teatr Leśny.

## WIESŁAW PIETRASZEWSKI

Urodziłem się w Grodzisku Mazowieckim w 1940 roku. Do Pisza trafiłem w wieku dwudziestu trzech lat. Na jesieni 1962 roku spędzałem tu urlop. Jakoś tak się złożyło, że w czasie tego urlopu zetknąłem się z Bronisławem Łagowskim, ówczesnym dyrektorem Piskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Szukał fachowców w zakresie obsługi maszyn i urządzeń, więc zaproponował mi, że jeśli przeniosę się do Pisza, to pomoże mi zdobyć nowe mieszkanie. Zgodziłem się, a w następnym roku podjąłem tu pracę. Najpierw byłem konserwatorem, potem magazynierem, kierownikiem warsztatu, operatorem żurawi samochodowych. Te przydziały pokazują, jak zmieniała się praca w przedsiębiorstwie. Jako konserwator posiadałem służbowy rower (!) i jak gdzieś na budowie informowano o awarii, to jechałem, aby zlikwidować problem. W tym czasie budownictwo w Piszu i okolicy to była prawdziwa manufaktura! Telefon na korbkę, żadnego skomplikowanego sprzętu, nawet tokarki. Aby wykonać jakieś elementy, trzeba było prosić o pomoc kolegów z Państwowego Ośrodka Maszyn. Do czegoś innego byłem przyzwyczajony w Grodzisku, gdzie wcześniej pracowałem!

Ale właśnie w tym czasie, gdy zostałem zatrudniony przez Łagowskiego w Piszu, trafiłem na okres intensywnego rozwoju firmy. Zaczęto budować nowe osiedla. Dziś możemy narzekać na te blokowiska, ale mieszkania budowane w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych pozwalały ściągać do miasta ludzi młodych. Pierwszy blok pobudowaliśmy przy ówczesnej ulicy Żymierskiego i tam rzeczywiście dostałem mieszkanie. Postawiliśmy nowy biurowiec przy ulicy Warszawskiej<sup>1</sup>, który zastąpił wcześniejsze pomieszczenia biurowe<sup>2</sup>. Od razu zrobiło się wielkomiejsko i nowocześnie, gdy na nowym budynku umieszczono pierwszy w Piszu neon!

W 1978 roku Piskie Przedsiębiorstwo Budownictwa zostało podzielone na Przedsiębiorstwo Budowy Obiektów Użyteczności Publicznej w Piszu oraz

---

<sup>1</sup> Obecnie siedziba Sądu Rejonowego w Piszu.

<sup>2</sup> Dziś w tym miejscu znajduje się salon Skody.



Przedsiębiorstwo Gospodarki Maszynami Budownictwa Budopol – Mińsk Mazowiecki. I ja trafiłem do tej drugiej firmy, która świadczyła usługi sprzętowe dla pierwszego przedsiębiorstwa. Czego te firmy nie budowały! Szpital w Suwałkach, szpital onkologiczny w Warszawie, Komendę Wojewódzką MO w Suwałkach i Komitet Wojewódzki PZPR w Suwałkach i w Łomży. Stawialiśmy budynek PZPR w Pisz<sup>3</sup>, szkoły w Pisz, między innymi Tysiąclatkę, czyli dzisiejsze Gimnazjum nr 1. Różna była specyfika tych obiektów. Budowaliśmy szkołę w którejś z wiosek, gdzieś za Grzegorzami, to nie mieliśmy do czego betoniarki podłączyć, bo nie doprowadzono tam jeszcze prądu. Musieliśmy sprowadzić agregat. W Orzyszu część budynków mieszkalnych dla wojska stawialiśmy według planów, które dowódca jednostki otrzymał od swoich zwierzchników. No, i według tych planów całe ściany musieliśmy wylewać z betonu. Wszystkich to dziwiło, że zamiast normalnie budować, to musimy wylewać beton w szalunek na całej wysokości ścian. Mieszkańcy podobno do dziś narzekają na wilgoć w tych domach! A to być może miało związek z wojskowym charakterem miasta, gdzie stacjonowało Wojsko Polskie. Może te budynki miały być przez to mocniejsze? Budowaliśmy te obiekty chyba na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Moja firma wtedy po raz pierwszy dostała nowe dźwigi o udźwigu dwóch ton, tak zwane dwudziestki. Stawialiśmy też bank w Pisz<sup>4</sup>. Jak wylewaliśmy skarbiec, to plany tego skarbcza były na komendzie MO. Jeśli kierownik budowy chciał coś w planach sprawdzić, to za każdym razem musiał iść na milicję. Drzwi do skarbcza głównego, które wtedy zamontowano, ważyły ponad cztery tony! W każdym razie to nasze przedsiębiorstwo naprawdę bardzo prężnie się rozwijało, nawet otrzymało nagrodę w postaci tak zwanego sztandaru przechodniego Ministra Budownictwa. Po odbiór tego wyróżnienia jeździliśmy aż do Krakowa.

Oczywiście ten dynamiczny rozwój wiązał się z rosnącym zapotrzebowaniem na ręce do pracy. Przypomina mi się w związku z tym pewna anegdota. Minęło już parę lat od podjęcia zatrudnienia w Pisz. Mieliśmy wtedy robotę przy montażach dźwigowych i w tym celu przyjeżdżali z Mińska Mazowieckiego fachowcy pracujący na dźwigach. Jak zrobili swoje, to trzeba ich było odwieźć. Zajechaliśmy na piwo do Myszynca. I tym kolegom z Mińska strasznie się podobało, jak miejscowi między sobą rozmawiają po kurpiowsku.

<sup>3</sup> Budynek Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Pisz na wiosnę 1981 r. stał się przedmiotem akcji lokalnych struktur NSZZ Solidarność, zmierzającej do przekazania go na cele społeczne. Działania te zakończyły się sukcesem i w obiekcie przy ul. Dworcowej umieszczono żłobek. Obecnie wykorzystywany przez Szkołę Podstawową nr 1. Z archiwum oprac. W. Brenda, R.W. Pawlicki, „Znad Pisy” 1998, nr 7, s. 8–13.

<sup>4</sup> Współcześnie w budynku tym mieści się Powszechny Bank Handlowy.

Próbowali nawet naśladować. I wtedy jeden z miejscowych wstał gotów do bicia. Ja wtedy odruchowo zareagowałem:

– Ty, Kurpiu siedź!

A on na to:

– Tobie wolno, bo ty nasz! A im nie pozwolę się naśmiewać!

I wtedy zacząłem się zastanawiać, czy pracując przez kilka lat razem z kolegami z Kurpi, tak się nauczyłem mówić ich gwara, że we mnie już rozpoznawali swojego? Bo jak przedsiębiorstwo się rozwijało, to kierownictwo jeździło po wsiach kurpiowskich werbować ludzi do pracy. Stąd biurowiec przy ulicy Warszawskiej na piętrze miał pokoje dla robotników. Jak przychodziła sobota, to na samochodach ciężarowych montowało się plandeki i ławki, zwoziło się robotników z terenu i odwoziło do wiosek na Kurpie. A w niedzielny wieczór samochody raz jeszcze wykonywały ten kurs, zbierając ludzi. Potem ci wszyscy dojeżdżający do pracy mogli zamieszkać właśnie w blokach, które w Piszku stawiano.

Gdy przyszedł sierpień 1980 roku, wciąż pracowałem w tej samej firmie. Wcześniej odrzucałem różne atrakcyjne propozycje awansu, za który trzeba by jakoś... „zapłacić”. Sekretarzem PZPR w zakładzie był Wiesław Zalewski, zresztą porządny chłop. Kiedyś podsuwa mi deklarację przystąpienia do partii. Ale nie podpisałem, bo nie chciałem. Innym znów razem spotyka mnie na mieście Waław Doniec, wtedy chyba był kierownikiem Wydziału Komunikacji, i pyta, czy nie chciałbym zostać społecznym inspektorem ruchu drogowego. Tak to się chyba nazywało.

– Bo jeździsz po tutejszych drogach, często nocą, to mógłbyś nam pomóc.

Zgodziłem się, ale gdy dostałem pod nos deklarację wstąpienia do ORMÓ, to mówię:

– O nie! – ja do niczego takiego należeć nie będę.

I tak się kilka razy zdarzyło... A tu pewnego dnia wzywa mnie szef w pracy i zaczyna mi opowiadać, że się zaniedbałem w obowiązkach służbowych i dlatego on mi cofa zezwolenie na pracę po godzinach. Tak to wtedy się odbywało... No, to jak przyszła Solidarność, nie wahałem się nawet, czy wstąpić. To było oczywiste, że za pomocą prawdziwych związków będzie można bronić interesów pracowników. Tym bardziej, że ja zawsze byłem taki trochę oporny. Poza tym nie lubiłem słuchać kłamstw o historii i o ówczesnej rzeczywistości. Jak już się zapisałem, to zostałem przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność. A ponieważ moja firma podlegała pod Budopol – Mińsk Mazowiecki, więc ja również,

działając w tutejszych związkach, miałem swoich zwierzchników w Mińsku. Staraliśmy się wywalczyć godziwe warunki socjalne i płacowe dla ludzi. W mojej ówczesnej działalności nie było raczej postulatów politycznych, ale na przykład na wyższym szczeblu pojawiały się takie postulaty, aby przywrócić do pracy ludzi zwolnionych albo wypuścić osoby zatrzymane z powodów politycznych.

Tymczasem 13 grudnia 1981 roku komuniści wprowadzili w Polsce stan wojenny. Do łapania ludzi wezwano nawet tych milicjantów, którzy byli poza służbą. Z dostępnych współcześnie dokumentów wiem, że w całym województwie suwalskim planowano internować w tak zwanym pierwszym rzucie trzydzieści osiem osób. W wyniku akcji „Jodła” w noc stanu wojennego zatrzymano trzydzieści siedem osób<sup>5</sup>. Do 31 stycznia 1982 roku liczba internowanych wzrosła do osiemdziesięciu osób, a zwolniono dwudziestu sześciu zatrzymanych. Po tej dacie internowania miały charakter incydentalny. W samym Piszcu milicjanci przyszliznęli po kilka osób. Wiem, że w ciągu kilku miesięcy pozbawiono wolności Jana Kozikowskiego, Henryka Kozikowskiego, Ludwika Warcińskiego, Bronisława Raszczyk-Ławskiego, Edwarda Laszuka, Kazimierza Grusznisa i mnie. Nie wszystkich jednak od razu.

Po mnie sięgnęli kilka tygodni po ogłoszeniu stanu wojennego – 15 stycznia 1982 roku zjawił się u mnie w domu „pan K.”, milicjant z tak zwanej lotnej, czyli piskiej drogówki. Przyszedł w białej czapce i powiedział, żebym z nim poszedł na komendę milicji. Poszedłem, bo myślałem, że to jakaś sprawa związana z moją pracą – wtedy pracowałem na sprzęcie, który przemieszczał się po drogach publicznych. Od razu trafiłem do celi i zaczęło się śledztwo. Czego ode mnie chcieli? Chcieli broni! Próbowali mi wmówić, że ja komuś groziłem, że przygotowywałem jakąś rewoltę! Dochodziło do tego, że w nocy moje dzieci zabrano z mieszkania, przyprowadzono na komendę MO i pokazywano im mnie w celi, mówiąc:

– Zobaczcie, wasz ojciec nie chce się przyznać! Jak tylko się przyzna, to zaraz z wami do domu będzie mógł wrócić.

Spędziłem tak czterdzieści osiem godzin, po czym zakuto mnie w bransoletki, zawieziono do Suwałk i tam wręczono akt internowania. Z tego dokumentu dowiedziałem się, że Pietraszewski „swoją dotychczasową działalnością i postawą narusza normy prawne oraz może podejmować działania przeciwko ustrojowi socjalistycznemu”. A ja w życiu nie otrzymałem nawet mandatu! Kolega w Gołdapi z kolei został aresztowany, bo podobno przechowywał dynamit w lodówce! Wykorzystywano jakieś plotki zupełne, żeby mieć pretekst

---

<sup>5</sup> Według innych danych w pierwszą noc stanu wojennego internowano 35 osób, w tym 4 z Pisu: Edward Laszuk, Ludwik Warciński, Andrzej Rytel, Bronisław Raszczyk-Ławski. Zob. M. Zwolski, *Nieznani przeciw systemowi – stan wojenny w Piszcu*, „Znad Pisy” 2010/2011, nr 19/20, s. 227.

DECYZJA NR 1/82  
o internowaniu

Uznając, że pozostawienie na wolności obywatela  
nazwisko i imię **PIETRASZEWSKI WIESŁAW MIECZYŚKAŃ**  
imiona rodziców **Mieczysława i Anny**  
data i miejsce urodzenia **4.04.1940 r. Grodzisk Mazowiecki**  
zawód (zajęcie) i miejsce pracy  
miejsce zamieszkania **Pisz, ul. Żynierackiego 11/20**

zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że **swoją**  
**dotychczasową działalnością i postawą narusza normy prawne oraz**  
**może podejmować działania przeciwko ustrojowi socjalistycznemu**  
na zasadzie art. 43 ust. 6 **13.12.81 r.** o ochronie bezpieczeństwa

Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego

postanawia się:

1. internować ob. **PIETRASZEWSKIEGO WIESŁAWA**  
i umieścić go w ośrodku odosobnienia w **Suwałkach**  
2. wykonanie decyzji zlecić **Grupie Śledczej Komendy Wojewódzkiej MO**  
**w Suwałkach**



KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO

*[Signature]*

Suwałki

14.01

2

, dnia 1981 r.

do zatrzymania działacza Solidarności, aby izolować ludzi, którzy mogli mieć jakikolwiek wpływ na pozostałych. Powstała nawet taka piosenka:

Żeby położyć kres anarchii i kontrrewolucji  
Warcholskim rozróbkom partyjnej obstrukcji  
By zasady socjalizmu poznał naród ciemny  
Wprowadził pan premier w nocy stan wojenny  
Generał-premier ma rację

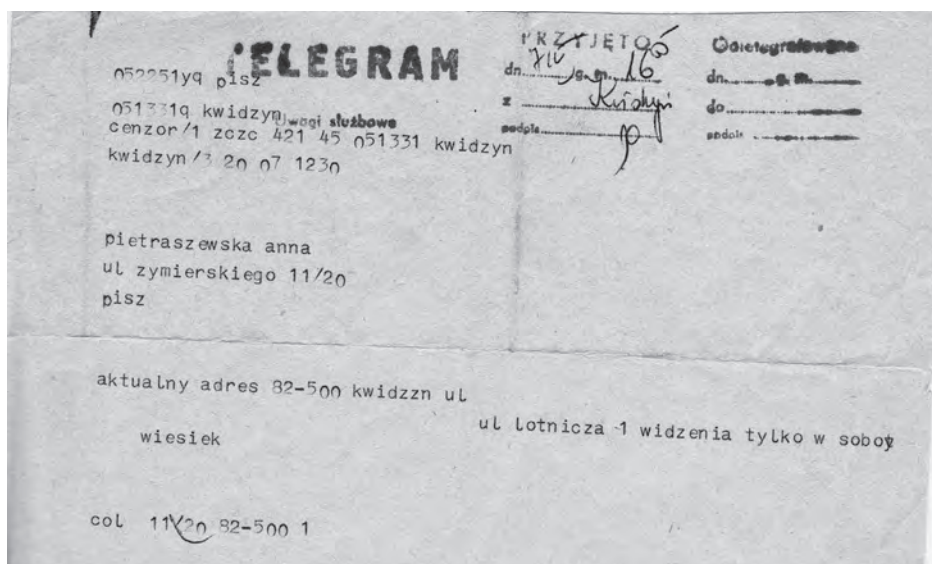
Mamy w Polsce demokrację  
Demokracja jest na fest.

Już Suwałki otwartymi celami nas wita  
Tu odpocznie sobie ekstrema elita  
Samodzielna, samorządna, taką jaką chcieli  
Będą mieli Polskę, lecz w więziennej celi.

Tak się śpiewało wtedy w okresie internowania, choć to również mogło grozić odpowiednią ścieżką zdrowia. To była końcówka stycznia. W celi siedzieliśmy chyba w sześciu. Robili nam takie „zabawy”. Pod celą ustawiał się szpaler zomowców, w hełmach, maskach, z tarczami i pałkami. A my wychodzimy do łaźni. W łaźni okna pootwierane, drewniane kratki z podłogi podniesione, więc trzeba stać na gołym betonie. Pod ścianą znajdowała się taka wielka ława. Rozbierać się trzeba do naga, a ubranie kłaść na tej ławie. I wtedy w otoczeniu zomowców zaczynała się rewizja rzeczy osobistych. Sprawdzali te nasze ubrania dokładnie i powolutku. Im się nie spieszyło, przez co cała operacja trwała czasem kilka godzin, podczas których my musieliśmy stać nago na tej zamrożonej posadzce. Jak ktoś z nas się przesunął i na przykład, nie daj Boże, nadeptał któremuś z zomowców stojących z tyłu na but, tamten pałką przywoływał internowanego do porządku. Jak po dwóch czy trzech godzinach pozwolono nam wrócić do celi, to wszystko było w niej powywracane na jednej kupie, bo w międzyczasie robili także kontrolę rzeczy osobistych w celach.

W niedzielę odprawiano msze święte dla internowanych. Przychodził ksiądz i na świetlicy mogliśmy się zebrać, ale urozmaicano nam przebieg tych modlitw w ten sposób, że za każdym razem w tej części świetlicy, gdzie się skupialiśmy, wisiały nowe gazetki ściennie ze Stalinem. W telewizji mogliśmy oglądać tylko Dziennik Telewizyjny, będący bezwzględny narzędziem reżimowej





Telegram do rodziny wysłany z Kwidzyna

propagandy. Ale jakby się ktoś w trakcie tej audycji uśmiechnął czy zażartował, to czekała go kara... Na przykład zakaz kąpieli przez tydzień lub brak spaceru. Szykany były rozmaite. Kiedyś zepsuło się coś w łaźni więziennej. Więc zapakowali nas do nyski milicyjnej i zawieźli do aresztu śledczego na kąpiel. Wymyśliśmy się pięknie, potem wydają czystą bieliznę... mokrą! Co było robić? Założyliśmy. Prowadzą nas znowu do „suki”, bo tak w tamtych czasach ta milicyjna nyska była nazywana, wsiadamy i... czekamy na mrozie godzinę albo i dwie, zanim przyszedł kierowca i mogliśmy ruszyć w drogę powrotną!

W Suwałkach przebywaliśmy kilka miesięcy, aż wreszcie na początku kwietnia 1982 roku przetransportowano nas do Kwidzyna. Jak nas wieźli do miejsca internowania w Kwidzynie, to oczywiście zapakowano nam prowiant, ale w pudełka po proszku do prania! Ta podróż do Kwidzyna trwała jakoś tak długo, wydaje mi się, że jak wyjechalśmy około południa, to do celu dotarliśmy po północy. Na miejscu powitano nas apelem i rewizją osobistą. Te rewizje były non stop, choć nie bardzo wiem po co? W Kwidzynie podczas spaceru jeden z kolegów znalazł się w strefie, do której nie wolno było się zbliżać. Chyba mu piłka tam wpadła i po nią pobiegł? I nagle rozległy się strzały! My na ziemię! Na szczęście nikomu się nic nie stało, ale wiem, że później, już mnie w Kwidzynie wtedy nie było, doszło do pacyfikacji i pobicie internowanych<sup>6</sup>.

<sup>6</sup> Była to tzw. krwawa sobota 14 sierpnia 1982 r. Zob.: *Sprawa kwidzyńska. Internowanie, pobicie, proces. 1982*, tekst K. Nawrocki, wybór i oprac. mat. ikonograficznych K. Lisiecki, Gdańsk-Kwidzyn 2012, s. 41–69.



Takimi drobnymi złośliwościami władza chciała złamać ekstremę Solidarności. Byłem internowany do maja 1982 roku. Ale byli koledzy, których dłużej przetrzymywano. Ja mogłem wyjść wcześniej, jeszcze w Suwałkach proponowano mi natychmiastowe zwolnienie na wolność... ale pod warunkiem, że podpiszę tak zwaną lojalkę i zgodzę się na natychmiastowy wyjazd z Polski. Nagle nie był problemem brak paszportu – obiecali, że wszystko sami załatwią. Tylko musiałbym wyjechać z rodziną bez prawa powrotu. Tak postąpił mój kolega z Piza, nauczyciel wychowania fizycznego w Liceum Medycznym, Edward Laszuk, który był członkiem Zarządu NSZZ Solidarność. Decyzję o internowaniu uchylono mu w marcu 1982 roku, a już na początku września razem z żoną opuścił Polskę i zamieszkał w Niemczech. Może miał rację? Nie wiem, ale ja się nie mogłem zdecydować. Zresztą wyjechało więcej osób. Z przyczyn politycznych do USA wyjechał Bronisław Raszczyk, którego internowano dwukrotnie, ale także Henryk Kozikowski, pozbawiony wolności od czerwca do października 1982 roku. On wyjechał do Niemiec i tam zmarł w dosyć niejasnych okolicznościach. Jego ojciec, Jan Franciszek Kozikowski, był przewodniczącym Solidarności w Sklejce i wraz z Raszczykiem oraz synem zostali internowani w czerwcu pod zarzutem udziału w nielegalnych demonstracjach na ulicach Piza<sup>7</sup>. Wyjeżdżali także inni, czasem z powodów politycznych, czasem ekonomicznych. I w żaden sposób nie da się porównać tamtych wyjazdów z dzisiejszymi, gdyż niełatwo było wrócić...

Mnie do domu wypuścili w maju 1982 roku. Dokładnie 7 maja podjęta została decyzja o uchyleniu internowania. To się tak wtedy nazywało – „uchylenie” – bo w ten sposób władza dawała znać, że zawsze mogę wrócić za kratki. Po wyjściu na wolność nie podejmowałem już żadnej działalności związkowej, żeby nie narażać kolegów. Ciągłe ktoś za mną chodził, śledził, kontrolował. Po wyjściu z internowania miałem „opiekuna”, który krok w krok za mną podążał. Szedłem do pracy, on szedł za mną, szedłem na piwo, on siadał przy sąsiednim stoliku. Składałem podanie o telefon jeszcze przed stanem wojennym, ale oczywiście bez skutku. Oczekiwanie na pozytywną decyzję ciągnęło się ze cztery lata. A jak wyszedłem z internowania, niemal na drugi dzień zjawiała się ekipa montażyistów. Jak to możliwe? Koledzy w zakładzie pracy zazdrościli, mówili, że się potrafiłem urządzić. A ja cały czas brałem pod uwagę ewentualność, że to Służba Bezpieczeństwa prawdopodobnie zakładała mi przy okazji

---

<sup>7</sup> Była to ogólnokrajowa akcja wychodzenia na ulicę polskich miast w porze Dziennika Telewizyjnego, aby w ten sposób zaprotestować przeciwko kłamstwom reżimowej propagandy. W. Brenda, *Telewizja kłamie. Protesty w Pizu w 1982 roku*, „Debata. Miesięcznik Regionalny” 2012, nr 9, s. 25–26.

# OSRODEK ODOSOBNIENIA

W Widzysławie

Ośrodek Odosobnienia

w Kwidzynie

Kwidzyna, dnia 30.5 1982 r.

## ŚWIADECTWO ZWOLNIENIA INTERNOWANEGO

Ob: Pietraszewski Wiesław s.l.c.1. Włocławski  
 Urodz: 4.04.1940 w Grodzisku Mazowieckim  
 Ostatnio zamieszkały w ul. W. Tymkowskiego 11/20  
 Legitymujący się dowodem osobistym nr ME 9896 429  
 Osadzony w Ośrodku Odosobnienia w Włocławku  
 dnia 15.1.82 na mocy decyzji nr 1/82 z dnia 15.12.81  
 Komendanta Wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Włocławku  
 został zwolniony w dniu 4.05.1982 r.

W/w obowiązany jest zameldować się w Komendzie Wojewódzkiej MO  
 w 12/ramienia najpóźniej do dnia ul. Włocławku 1982 r.



Komendant Ośrodka Odosobnienia

w Kwidzynie

Przy zwolnieniu z ośrodka odosobnienia:

a/ wypłacono z depozytu zł: 683,50 słownie zł. sześćset  
osiemset i trzy 50/100

b/ Udzielono pomocy

/podać rodzaj udzielonej pomocy/

na zł. \_\_\_\_\_ słownie zł. \_\_\_\_\_

nazwa organu udzielającego pomocy \_\_\_\_\_

Świadectwo zwolnienia Wiesława Pietraszewskiego z internowania

podłuch! Kiedyś pojechałem w odwiedziny do rodziców. Gdy tylko opuściłem rodzinne mieszkanie, natychmiast zjawiali się „smutni panowie” dopytywać, co ja podczas tej wizyty robiłem, z kim się spotykałem, itp. Te szykany miały jeszcze inny charakter. Gość, który ciągle za mną łąził, nazywał się S. – jego żona sprzedawała wódkę w sklepie monopolowym, ludzie mówili o niej „doktorowa”, bo niby jak miałeś kaca, to wódka wyleczyła – no i ten S. kiedyś przewrócił moją córkę na ulicy. I jeszcze wyzwał ją od smarkatych, gdy chciała przeliczyć pieniądze, które się jej rozsypały.

– Co smarkulo, złodzieja będziesz ze mnie robić?! – krzyczał na dzieciaka.

Być może dotknęło to również mojego syna. Bo czy to przypadek, że chłopak nie został dopuszczony do matury z języka polskiego, a średnia jego ocen z wcześniejszych lat wynosiła „cztery osiem”? Podobno czegoś nie zaliczył... a może po prostu ktoś gdzieś zadziałał, pociągnięto za kilka sznurków, by wykorzystać nadarzającą się okazję do uprzykrzenia życia mojej rodzinie?

Tak przetrwałem do końca lat osiemdziesiątych – okrągły stół, wybory czerwcowe, objęcie urzędu premiera przez Tadeusza Mazowieckiego. Niedługo potem odszedłem na emeryturę. Teraz współpracuję ze Stowarzyszeniem Represjonowanych w Stanie Wojennym Pro Patria. Ze względu na ideowe pokrewieństwo z tymi, którzy w czasie wojny walczyli o niepodległą Polskę, zostałem też członkiem Związku Żołnierzy AK. Coś tam próbujemy robić, aby przeszłość nie została zapomniana.

## JANINA PODESZWIK

Moi rodzice, Franciszek i Bolesława Kuliś, mieli gospodarkę w Zabieli. Ja się w Zabieli urodziłam w 1924 roku i tam się wychowałam. I mój mąż, Józef Podeszwik, też pochodzi z Zabiela. Do szkoły również chodziłam w Zabieli. Uczyłam się dobrze, bo byłam drugą uczennicą, myślałam nawet, żeby uczyć się dalej... na studia iść, ale nie poszłam. Byłam najstarsza z siedmiorga rodzeństwa, gospodarka była nie za duża, więc warunków nie było...

Robota ważniejsza była jak szkoła. Kiedyś się przedło całą zimę na kółku<sup>1</sup>, a całe lato trzeba było pleć. To len pleć, to proso, to warzywo. Na wiosnę trzeba było krosno robić. Krosna potrzebne były, żeby płótno tkać na worki, na pościel, na koszule. Potem trzeba to było bielić na dworzu. Zaraz za domem pastwisko mieliśmy, to z dziesięć razy na dzień rozpościerało się te płótna, żeby słońce wybieliło.

W przedwojennej szkole jak były przedstawienia, to chętnie występowałam. Do dzisiaj pamiętam:

Dokąd jedziesz Jasiu,  
na wojenkę daleko,  
weź mnie ze sobą  
pojadę z tobą, Jasiu Jasiu.  
Na wojence Kasiu  
strach co tam się dzieje  
gwizdzą kule  
a krew z ran się leje.  
Ja będę wojować  
by ojczyzny bronić  
trudu nie żałować,  
aby wszystkich bronić.

---

<sup>1</sup> Kółko – kołowrotek.



Janina Podeszwik

Jeszcze wierszyki pamiętam z trzeciej klasy. Jak mieliśmy studniówkę, to też mówiłam wierszyk dyrektorowi.

Tylko nieładny charakter pisma miałam, ale błędów nie robiłam. Czytać to dużo czytałam. Matematykę lubiłam i nawet podpowiadałam innym. Raz to mnie nauczycielka aż pod tablicę zawołała za karę. Ale w kozie nigdy nie zostałam. Może inni zostawali po lekcjach, ale mało. Ale pamiętam nieraz, jak mama kazała mi na pole iść.

- Mamo, lekcji nie robiłam!
- Trzeba krowy iść przepalować, a panią nie będziesz!
- Mamo, ale ja lekcji nie odrobiłam.
- Panią nie będziesz. Krowy paść!

Jak ksiądz po koledze chodził na wsi, to przed nim sołtys wozem jechał, kiedy się mówiło furmanka, i dla księdza zbierali len, jajka i zboże. I ksiądz chciał mnie pytać jakiegoś przykazania, a sołtys – był kawalerem takim starym – mówi:

- Proszę księdza, ona i do tańca, i do różańca!

A pamiętam, jak w maju 1935 roku Piłsudski zmarł<sup>2</sup>. Wszyscy poszliśmy do kościoła, była uroczysta msza. Jeszcze mój tata powiedział tak do swojego znajomego:

– No wszystkie dziury pozatykali, tylko dziurki od klucza nie zamknęli, to śmierć przyszła<sup>3</sup>!

Żałoba była w szkole, mieliśmy chyba tydzień noszenia żałoby... Do dziś pamiętam, jak córki Marszałka wyglądały, pamiętam też życiorysy Piłsudskiego, Mościckiego<sup>4</sup> i Rydza Śmigłego<sup>5</sup>, bo nas tego wszystkiego w szkole uczyli. A Piłsudskiego to naprawdę wszyscy chwalili, można powiedzieć, że był wielbiony.

Wojna zaczęła się we wrześniu 1939 roku, ale już wcześniej wszyscy się spodziewali, że Niemcy zaatakują. Każdy się bał. Mama jeszcze pamiętała tamtą, pierwszą, wojnę i nam opowiadała o tamtych Niemcach. Mieszkali na stacji u niej w domu, dobrze się zachowywali, nawet jeść dawali... Ale wojna to wojna, ludzi mordują, więc mimo że Niemców nie pamiętali na wsi źle, to strach był. A kiedyś na wsi to maszyny do młócenia mało kto miał, więc jeden od drugiego pożyczał. Sąsiad wziął maszynę od nas pożyczył, młóciliśmy u niego, a to był czwartek. Nagle mama przyleciała:

– Wy młóćcie, a tu wojna!

Wszystko rzucili i ludzie ze wsi postanowili uciekać za Narew. Mój tata zdecydował inaczej, choć też się ukryliśmy. Ale Niemcy przeszli i poszli, i nikomu nic nie zrobili, a za Narew kto pojechał, to potem nie mogli do domu wrócić<sup>6</sup>... Rosjanie wywozili. Antka Konopkę wywieźli, z Zabiela Przytułę wywieźli, ze Starej Wioski rodzinę wywieźli Rosjanie, Malinowskich – naszych sąsiadów. Po tym jeden nie wrócił, a pozostali wrócili po wojnie. Rainków wywieźli też. Wielu zabrali na Sybir i tam dużo młodzieży zginęło.

Żołnierze niemieccy byli dobrzy, tylko żandarmeria zła, ludzie na wsi wszyscy się jej obawiali. W czasie wojny to Niemcy zabierali krowy na potrzeby wojska.

---

<sup>2</sup> Józef Klemens Piłsudski (1867–1935) – polski działacz socjalistyczny i niepodległościowy, polityk. Naczelnik państwa w latach 1918–1922 i naczelny wódz Armii Polskiej od 11 listopada 1918 r., pierwszy marszałek Polski od 1920 r.; dwukrotny premier Polski (1926–1928 i 1930), twórca tzw. rządów sanacyjnych w II Rzeczypospolitej wprowadzonych w 1926 r. po przewrocie majowym.

<sup>3</sup> Echo starego przesądu, że śmierć przychodzi do domu przez szpary w drzwiach lub oknach.

<sup>4</sup> Ignacy Mościcki (1867–1946) – prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1926–1939, naukowiec, wynalazca, twórca polskiego przemysłu chemicznego.

<sup>5</sup> Edward Rydz Śmigły (1886–1941) – marszałek Polski uznawany za następcę Józefa Piłsudskiego, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Naczelnny Wódz w wojnie obronnej 1939 r.

<sup>6</sup> Na Narwi przebiegała linia granicy sowiecko-niemieckiej.



ZEZNANIE ŚWIADKA 10 MARZ. 1979

w sprawie rentowej Ob. Podeszwik Janiny, ur. 10. maj 1924r.  
 Ja niżej podpisany(a) Gremiec Anna, ur. 15. października 1924r.  
 zam. w 12-200 Pisz, ul. Kopernika 3 m 7 legitym. się dowodem osobistym  
 Nr ME 7929803 zatrudniony w Piskie Zakłady Przemysłu Sklejek w Piesz.  
 w charakterze pracownika fizycznego podać numer emerytury lub renty  
 w stosunku do zainteresowanego obcy — powinowaty — krewny obcy podać stos. powin. pokr.  
 świadomy odpowiedzialności karnej z art. 247 kodeksu karnego, który za składanie nieprawdziwych zeznań przewiduje karę pozbawienia wolności do lat 5, a nadto świadomy celu składania zeznań, oświadczam,  
 że w sprawie zatrudnienia Ob. Podeszwik Janiny jest mi wiadomo, co następuje:  
Obywatelka Podeszwik Janina z domu Kuliś przebywała na przymusowych  
robotach w Niemczech od 16. lipca 1941r. do 1.05.1945r. w miejscowości  
Georgenburg pow. Instenburg u gospodarza Alfreda Kece. Pracowała  
w gospodarstwie rolnym jako pracownik fizyczny. Praca trwała od  
rana do nocy. Wyżej wymienione dane znane mi są osobiście,  
ponieważ razem z Obywatelką Podeszwik Janiną byłam wywieziona  
tym samym transportem na roboty przymusowe, do tej samej  
miejscowości. Podczas pobytu utrzymywałyśmy ze sobą stały kontakt.

Zeznanie świadka potwierdzające pobyt Janiny Podeszwik na robotach przymusowych

Naszą krowę zabrali jedną, już po wojnie chodziłam szukać tej krowy, ale nie znalazłam, bo i jak można było ją znaleźć?

Niemcy brali też ludzi. Mieliśmy takie powykopywane nory, kryjówki na polu, żeby się ukryć w nocy. Jak była łapanka, to w domu mieliśmy też wykopaną jamę z przykryciem. Często też chowaliśmy ludzi w stogach na łąkach, jak nie chcieli iść na roboty albo do obozu do Niemiec. Bo niejeden stamtąd już nie wrócił.

Mnie zabrali, jak miałam osiemnaście lat... w 1942 roku. Trzy lata tam byłam u bauera, który się nazywał Keck. Nie wiem, dlaczego nie był w wojsku, w końcu to młody chłop był. Miał dwie córki. Duży z niego był gospodarz, miał mnóstwo krów, koni, drobiu... i zboża na polach. Nie było tam u niego źle, jak tylko ktoś chciał dobrze pracować. Ja najpierw pracowałam u niego na polu, a potem pomagałam w kuchni. Tam zawsze lepsze jedzenie było.

Młodzi ludzie zawsze się jakoś dogadali. Miałam znajomego Niemca, chłopak taki fajny był. Polscy robotnicy spotykali się z Niemkami. Ale to wszystko zabronione było, więc za dużo nie można było gadać, żeby się nie wydało. Nawet czasem ludzi zwolęwali i ogłaszali, że nie wolno. Byli też robotnicy z Francji. Czasem paczkę dostali z czekoladą, to i nas poczęstowali! A jak kiedyś byłam w Piszcu, to kupiłam podkolanówki czy skarpety dla siostry i jej wysłałam do domu.

Pamiętam, że jak ruskie zaczęli strzelać<sup>7</sup>, to Niemcy się bali. Chowali się i światła gasili. A my i Francuzi na podwórku skakaliśmy z radości, że wnet wojna się skończy.

Ale tęskniłam do domu. Co noc dom mi się śnił. W październiku uciekłam. Dziesięć dni byłam w drodze. Początkowo w dzień szłam, ale już później, jak mnie złapali w dzień, to już nocami szłam. Spałam w lesie albo w stogu spałam. Raz na cmentarzu. A na sobie to miałam taką kurteczkę, może grubsza, może nie grubsza, chustkę i kapcie na nogach, i tak wracałam do domu. Cały czas trzęsłam się z zimna! Po drodze Polaków spotkałam, a że byli oznaczeni<sup>8</sup>, to wiedziałam, że swoi. Powiedzieli, w którą stronę iść. I jedzenie dali. Mój Boże, jak ja się wtedy bałam. Idę, idę, brzdęk! brzdęk! Patrzę – zajac. Idę dalej – krowy na polu, a ja się boję, że ludzie do krów przyjdą i mnie znajdą. Lasem szłam, nawet nie wiem, ile kilometrów. W szkole się nauczyliśmy, że granice są zaznaczone, grabiami zagrabione, że słupy są itd. A ja przeszłam rowek taki malutki i patrzę – pokrzywy rosną. Coś mi nie pasuje. W Niemczech tego nie było... jak się robiło na polu, tam buraki hakowało czy co, to ten co pilnuje nie krzyczał, że mało zrobione. Tylko podniósł listek, czy pod listkiem nie ma zielska. Tak się pracowało. Wszystko musiało być czyste. A tu, za rowkiem pokrzywy... Stąd wiedziałam, że przeszłam granicę. Do domu wróciłam na Wszystkich Świętych. Akurat mama z tatą jechali do Kolna, kiedy się zjawiłam tak skryta<sup>9</sup>. Zaraz oddali mnie do kuzynów, gdzie się ukrywałam.

A potem w 1945 roku przyszła Armia Czerwona. Jechał wóz za wozem, taka chmara ich była. Jak wojna się skończyła, to dużo ludzi chodziło na te ziemie ponemieckie za rabunkiem. Granica była blisko, jakieś siedem kilometrów od nas, to za tą granicę ludzie chodzili. Nawet mój mąż chodził i przyniósł

---

<sup>7</sup> Prawdopodobnie chodzi o naloty sowieckich samolotów.

<sup>8</sup> Polscy robotnicy przymusowi w Prusach Wschodnich musieli nosić naszyty na ubrania kawałek materiału z literką „P”.

<sup>9</sup> Prawdopodobnie opatulona.

zegar, to mieliśmy przez długie lata. Co tam ludzie znaleźli, to brali, bo tam puste były chałupy. Niemcy pouciekali.

A przyszedł mój mąż, Józef Podeszwika, poznałam tak, że on był ode mnie o rok starszy i przychodził do mego brata, bo byli kolegami. Bo kiedyś na wsi to nie teraz. Schodziła zawsze na podwórko młodzież. I dziewczyny, i chłopcy razem, dziś tu, jutro tam... Zabawy robili po domach, to ja zapoznałam go. I jak tylko wojna się skończyła, to zaraz w sierpniu 1945 roku pobraliśmy się w kościele w Kolnie. On był nerwowy, ale pracowity. On jeszcze jak był młody, to już tam był nadzorcą przy kopaniu rowów<sup>10</sup>. A jak sprowadził się do Pisz, to ludziom beczki robił, balie robił, ule robił. Ile on uli narobił w Pisz!

Do Pisz przeprowadziliśmy się w 1948 roku. Miasto było zniszczone. Wszędzie gruzy. Nawet jak stały takie lepiej zachowane domy, to też... tu okien, tu drzwi nie było, tu podłogi nie było.... No i on naściagał cegieł, kafli i zrobił piec, że ja mogłam herbatę gotować. I kuchnię postawił, nawet piekarnik, więc piekłam ciasto. To przychodziły kobiety z ulicy i piekły ciasto w tym naszym piekarniku. A teraz ten dom rozebrali. To był dom nad samą rzeką, gdzie Wojdełko miał piekarnię. Obok mieszkał też krawiec, kilka rodzin w jednym domu. Tam mi się zdaje, że w naszym bloku po dziesięć rodzin było i panowała zgoda. Jeden drugiemu pomagał, jeden drugiemu jakoś dobrze życzył, a nie tak, że ty masz dużo, a ja mało! Każdy był biedny, nikt nic nie miał.

Przyjechaliśmy do Pisz, to wojskowe łóżko mąż kupił, zrobił stolik, taborety zrobił, piec postawił, dach wyremontował, potem podłogę ułożył... Wszystko było poniszczone, więc trzeba było samemu naprawiać.

Za to ryby mogliśmy łapać z okna! Pranie się chciało zrobić, to z wiadrem po wodę do rzeki się poszło, bo wody w kranach nie było... W zimie zamarzała! A ja się narobiłam przy tym praniu... Pranie było ręcznie, w ręku było trzeba wygnieść, iść wypłukać, wycisnąć, wałkować, potem wykrochmalić. Dużo roboty!

Misiński<sup>11</sup> był kiedyś w Pisz burmistrzem, ale gdy się sprowadziliśmy, to już kto inny był na tym urzędzie. Ale poznałam Misińskiego, bo jego córka

---

<sup>10</sup> Mowa o rowach melioracyjnych.

<sup>11</sup> Radosław Misiński (1913–1985) – w latach 1945–1948 sprawował w Pisz funkcję burmistrza. Członek władz powiatowych PPS (1947–1948), usunięty z partii i z funkcji z powodów politycznych, związanych z przygotowywaniem organizacji do wymuszonego połączenia z PPR. Przez wiele lat kierował Inspektoratem PZU w Pisz. Po 1989 r. jego imieniem nazwano jedną z piskich ulic. Zob. R.W. Pawlicki, *Radosław Misiński*, „Znad Pisy” 2004/2005, nr 13/14, s. 298–299; W. Brenda, *Polska Partia Robotnicza w powiecie Pisz (1945–1948)*, „Znad Pisy” 2004/2005, nr 13/14, s. 142–178.

i moja chodziły razem do szkoły. Poznałam też Bartosza<sup>12</sup>, on był przewodniczącym. Dobrym naszym znajomym był Niesiobędzki<sup>13</sup>, dyrektor. Te jego chłopaki chodzili do szkoły razem z moimi dziećmi. To jednym razem byliśmy na studniówce w szkole, innym razem na choince.

Mąż pracował w budownictwie. Budował między innymi fabrykę płyt wiórowych w Rucianem<sup>14</sup>. Potem, jak budowali w Nidzicy, to w Nidzicy miał wypadek – spadł z rusztowania i miał wstrząs mózgu. Dom Kultury budował. Jak pracował na budowie Domu Kultury, to dostaliśmy mieszkanie w domu, co nad rzeką jest teraz ten hotel, a wcześniej był młyn.

Mąż najpierw był zwykłym pracownikiem, bo miał skończone tylko siedem klas. Potem został majstrem, skończył technikum budowlane w Olsztynie, to został kierownikiem i w Spółdzielni Wielobranżowej pracował. Wszyscy go znali. Przyjechali kiedyś do nas kuzyni na stację, pytali się, gdzie Podeszwików można znaleźć – to im powiedzieli, gdzie mieszkamy. Może dlatego, że w Piszcu dużo ludzi z Zabiela zamieszkało i wszyscy się znali? Był taki Kowalczyk, to u niego trzy rodziny mieszkaly razem! Potem każdy ulepił sobie jakieś gniazdko i aby dalej, aby dalej.



Rodzinna pamiątka z wyjazdu na Jasną Górę

<sup>12</sup> Piotr Bartosz (Bartoś) – w 1945 r. był pierwszym komendantem Komendy Powiatowej MO w Piszcu (początkowo jeszcze z siedzibą w Białej).

<sup>13</sup> Władysław Niesiobędzki (1915–1968) – wieloletni nauczyciel i dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Piszcu w latach 1951–1953 oraz 1956–1968.

<sup>14</sup> W latach 1948–1954 odbudowano zniszczony w 1945 r. tartak i przystąpiono do budowy Zakładu Płyt Pilśniowych i Wiórowych. Pierwszy wydział produkcyjny obejmował wytwórnę płyt pilśniowych, w 1955 r. oddano wytwórnę płyt twardych, a w kolejnych drugi wydział płyt wiórowych. Ostatni wydział, produkujący płyty laminowane, otworzono w 1963 r. W 1965 r. w zakładzie zatrudnionych było 1144 osób. Rozbudowa zakładu była jednym z najważniejszych czynników, mających wpływ na uzyskanie przez połączone osady Ruciane i Nida (Ruciane-Nida) praw miejskich w 1965 r.

A jak potem fabryka zaczęła budować domy dla ludzi, to kto w fabryce pracował, dostawał mieszkanie. Mój mąż wtedy już pracował w Nidzicy, to na strychu dostaliśmy mieszkanie. Ale zawsze było gdzie mieszkać...

Przez siedemnaście lat pracowałam w fabryce sklejek w Piszcu. Najpierw robiłam przy prasie, ale często, gdzie mnie majster postawił, tam ja robiłam. Na pile, na gilotynie. Toż bym się wstydziła powiedzieć, że czegoś nie umiem. I mnie lubili pracownicy, między innymi kobiety, bo w Sklejce dużo kobiet zawsze pracowało. Niedawno jedna kobieta mi powiedziała:

– Alee, Podeszwikowa tyś była dobra – mówi. – Jak z Ulą byłam w ciąży i pojechałam do szpitala, to poszłaś i za mnie klej na halę przywiozłaś. Beczkę kleju. Tyś była dobra kobieta.

Z Piskiej Fabryki Produkcji Sklejek w 1979 roku przeszłam na emeryturę. Zawsze sobie z mężem mówiliśmy, że będziemy żyć po dziewięćdziesiąt lat. Bo moja babcia żyła dziewięćdziesiąt lat. Może by żyła jeszcze, ale tak kiedyś na wsi łąpała kurę na obiad, biodro sobie zbiła i nie mogła chodzić. I jego babcia dziewięćdziesiąt lat. To jeszcze kartofle kopała i za tydzień zmarła. To mówiliśmy: „Będziem żyli po dziewięćdziesiąt lat”. No, to on osiemdziesiąt cztery miał jak zmarł. A ja teraz osiemdziesiąt osiem lat chodzę po tym świecie.

Urodziłem się 24 marca 1944 roku. Urodziłem się na takiej odludnej kolonii nad jeziorem Omulew w powiecie nidzickim, daleko od jakiegokolwiek osady. Do najbliższej wioseczki, gdzie stało raptem sześć chałup, mieliśmy jakieś dwa i pół kilometra.

Moi dziadkowie to byli rodowici Mazurzy z dziada pradziada, ale wśród przodków byli także uchodźcy z Salzburga<sup>1</sup>. Ci Salzburchyzy w 1731 roku zostali przez arcybiskupa Salzburga wypędzeni z tamtego regionu, to jest północno-wschodniej Austrii, blisko granicy niemieckiej. Zostali oni wtedy, około dwudziestu tysięcy ludzi, postawieni przed alternatywą – przyjąć katolicyzm bądź trwać przy protestantyzmie. W związku z tym, że oni zdecydowali się tymi protestantami być, wywędrowali z Austrii. Część zatrzymała się na przykład podczas budowy Berlina, bo wtedy akurat rozbudowa Berlina intensywna trwała, bo to były czasy po królu Prus Fryderyku I<sup>2</sup>, który przyczynił się do rozbudowy potęgi Prus, no i jego następców – Fryderyka Wilhelma I<sup>3</sup> oraz Fryderyka II<sup>4</sup>, Wielkim zwanego, a przez Mazurów nazywanego „starym Frycem”. „Stary Fryc nie miał nic, eno jedną kozę, co srać nie może” – tak Mazurzy mówili. Ci Salzburchyzy byli po części rolnikami, a po sporej części świetnymi rzemieślnikami. A tutaj był brak rąk do pracy, bo to było jakieś dwadzieścia lat po 1711 roku, kiedy wygasła zaraza dżumy, która przyniosła straszne szkody<sup>5</sup>. Był brak w ogóle rąk do pracy i oni

---

<sup>1</sup> Salzburg – miasto na pograniczu Austrii i Niemiec, od XIV w. będące siedzibą arcybiskupa Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. W dobie konfliktów religijnych, w 1731 r. cesarz i arcybiskup zmusili 20 000 protestantów do opuszczenia tego regionu.

<sup>2</sup> Fryderyk I Hohenzollern (1657–1713) – wcześniej jako Fryderyk III był elektorem brandenburskim (Wielki Elektor) i księciem pruskim. W 1701 r. koronował się na króla w Prusach i przyjął nowe imię. Siedzibą króla był Królewiec, natomiast głównym centrum administracyjnym państwa – Berlin.

<sup>3</sup> Fryderyk Wilhelm I (1688–1740) – król w Prusach, rozmiłowany w armii, która w jego czasach znacznie się rozrosła. Stąd nazywano go „królem-sierżantem”. Popierał rozwój rodzimego rzemiosła i kolonizację.

<sup>4</sup> Fryderyk II (1712–1786) – król Prus, zwolennik budowania potęgi państwa przez wojny i podboje, łączył te metody z zamiłowaniem do filozofii i literatury. Nazywany był „królem filozofów”, a przez poddanych „starym Frycem” ze względu na długoletnie panowanie.

<sup>5</sup> Epidemia dżumy w latach 1709–1711 spowodowała śmierć ok. 1/3 mieszkańców Prus. W samym Piszcu przy życiu pozostało zaledwie kilkanaście osób. Stąd wynikały więc starania



tutaj byli traktowani jak jakieś dobro najwyższe. No i w mojej rodzinie tak się złożyło, że to była taka po części rolnicza, a po części rzemieślnicza rodzina, bo mieliśmy kowali, mieliśmy w swojej rodzinie i stelmachów. Stelmach to był taki człowiek, który koła robił drewniane, następnie okuwane metalową obręczą. Byli też wśród moich przodków stolarze, ale głównie to jednak rolnicy. Otrzymali za niewielką opłatą kawał lasu, który wykarczowali, no i zaczęli uprawiać tą ziemię, tylko z tym, że nie wzięli pod uwagę biedacy, że ta ziemia była bardzo uboga, piassek lotny. A więc musieli w nią włożyć wiele pracy, zanim zaczęła przynosić plony.

Tych salzburskich korzeni doszukiwała się kiedyś moja ciotka. Była nawet tam na miejscu w salzburskim bcyрку<sup>6</sup>, czyli w tym regionie, i znalazła miejscowość nazywającą się do dziś Marchelschweig. A moja rodzina nazywała się Marchel! Ciotka, mając już wcześniej jakieś dokumenty kościelne, zaczęła śledzić, pytać ludzi i nawet pokazali jej miejsce, gdzie stał stary dom, dziś tam stoi już inna chałupa. Cała ta dokumentacja urwała się, gdy moi przodkowie stamtąd wyjechali w tym XVIII wieku. Był tu kiedyś w Mikołajkach Erwin Kruk<sup>7</sup>. Parafia ewangelicka organizowała wtedy spotkanie na temat kultury, tego wymieszania się ludności mazurskiej, niemieckiej z ludnością polską, bardzo ciekawe spotkanie, był tam pisarz z Niemiec, byli różni ludzie, no i był między innymi Erwin Kruk z Olsztyna. Pisarz, publicysta, z zamiłowania historyk, wybitny znawca regionu. Ja mówię do niego, bo on pisał takie felietony w „Gazecie Olsztyńskiej”<sup>8</sup>, w których zawsze zaznaczał, że urodził się w 1941 roku, że pochodzi z rodziny mazurskiej. Ja do niego tak podszedłem, bo go wcześniej nie znałem osobiście. Przedstawiłem się i mówię:

– To pańska rodzina w tej wsi Dobrzyń koło Nidzicy, ona długo tam mieszka? Bo od zawsze, można powiedzieć, to była wieś szkatułowa<sup>9</sup>, jak i tutaj

---

władców, aby przez rozwój kolonizacji i stosowne rozwiązania prawne odbudować straty demograficzne i gospodarcze spowodowane zarazą.

<sup>6</sup> Bcyрк (maz.) – od niem. Bezirk, czyli okręg.

<sup>7</sup> Erwin Kruk (ur. w 1941 r. w Dobrzyniu na Mazurach) – poeta, prozaik, publicysta. Przewodniczący Mazurskiego Towarzystwa Ewangelickiego. Mieszka w Olsztynie.

<sup>8</sup> Cykl *Z mazurskiego brulionu* publikowany na łamach magazynu „Gazety Olsztyńskiej”, „Pomeranii” i „Myśli Protestanckiej” obejmował kilkaset artykułów, rozpraw i felietonów o dziedzictwie kulturowym regionu. Część z nich ukazała się w formie książkowej (E. Kruk, *Szkice z mazurskiego brulionu*, Olsztyn 2003).

<sup>9</sup> Osadnictwo szkatułowe – rodzaj osadnictwa w Prusach Książęcych zapoczątkowany przez Fryderyka Wilhelma i rozwijający się pod koniec XVII i w pierwszej połowie XVIII w. Nazwa oznacza, że dochody uzyskiwane ze wsi szkatułowych wpływały wprost do szkatuły książęcej, pozostając poza kontrolą reprezentacji stanowej. Umożliwiło to władcy m.in. wystawienie silnej armii.

w Puszczy Piskiej te wsie, więc to był XVIII wiek, kiedy te wsie powstawały. Może nawet powinowaci jesteście?

– A czemu? – pyta Kruk.

– No bo moi pradiadkowie tam mieszkali, część z nich została, a część dostała tam z nadania kawał lasu, który wykarczowali.

– No tak, ale to chyba najwyżej jakimś robotnikami leśnymi byli, bo ja nie bardzo natknąłem się na to nazwisko, a tam wszyscy byli albo rolnikami, albo robotnikami leśnymi, tam nie było innej alternatywy po prostu.

Za jakiś czas Erwin Kruk przyjechał do Pisz na zaproszenie Muzeum Ziemi Piskiej<sup>10</sup>. Organizowaliśmy mu spotkanie autorskie. Przyjechał i na sali głośno przeprosza, że tak mnie wtedy zlekceważył. Okazało się, że jego pradiadek i mój pradiadek kierowali wspólnie komitetem rodzicielskim w lokalnej szkole, czyli byli ludźmi tam uznanymi. Od tej pory zaczęła się, można powiedzieć, cicha przyjaźń z Erwinem. Przede wszystkim podziwiałem go, że on taki akt ekspiacji złożył przede mną. Ja nie oczekiwałem przecież niczego. Tylko śmiesznie mi się troszkę zrobiło, że robotnikiem leśnym najwyżej mógł ktoś być, kogo nazwiska on nie kojarzył.

A to faktycznie biedota była przecież, umiarkowana biedota, bo ludzie, którzy w tamtych czasach pracowali, to mieli szanse pomału do czegoś dojść. Natomiast przyszła pierwsza wojna światowa i diabli wszystko wzięli. Potem okres tej wścieklej inflacji<sup>11</sup>, potem przyszedł Hitler, za którego rzeczywiście ludziom przez krótki czas zaczęło się wieść lepiej. Domy można było budować chyba za niskoprocenowany kredyt, dwa czy trzy procent i na pięćdziesiąt lat spłata. I to jeszcze tanio, bardzo tani i niewielki ten kredyt był. To całą biedotę wtedy Hitler sobie pozyskał i bardzo wielu Mazurów na niego właśnie głosowało<sup>12</sup>. Choć znam z opowieści historię starej Zaleskiej z Szerokiego Boru, za Hitlera to się mówiło Breitenheide. Podobno właśnie ta stara Zaleska mówiła:

---

<sup>10</sup> Wieczór autorski Erwina Kruka w Muzeum Ziemi Piskiej odbył się 21 października 2003 r.

<sup>11</sup> Inflacja – wzrost cen związany ze spadkiem wartości pieniądza i kryzysem gospodarczym. Niemcy doświadczyły tych zjawisk po I wojnie światowej, gdy gospodarka wycieńczona kilkuletnią pracą na rzecz frontu została poddana dodatkowym obciążeniom, wynikającym z restrykcji narzuconych przez tzw. system wersalski.

<sup>12</sup> W wyborach do Reichstagu w 1932 r. w całej rejencji olsztyńskiej na listę NSDAP oddano 53,4% głosów. Najlepszy wynik partia uzyskała w powiatach: Elk (70,6%), Nidzica (69,0%) i Pisz (68,1%). Co ciekawe, niższe poparcie zanotowano na katolickiej Warmii. Ten sukces został jeszcze zwiększony w kolejnych wyborach do Reichstagu, wypadających w marcu 1933 r. W całych Prusach Wschodnich naziści otrzymali 56,6% głosów.

„Nie welujta<sup>13</sup> na tego huncwota [czyli na Hitlera – przyp. WB], bo bedzieta esce tego żałować”. Słowa jej okazały się prorocze. Podobno nawet chwilowo pozbawiono ją wolności. A gdy wybuchła wojna, ona sama utraciła dwóch synów na froncie wschodnim. Więc żałowała Zaleska, która nie głosowała, i pewnie żalowali ci, którzy głosowali. A niektórzy nie mieli okazji pożałować, złożwszy swoje kości gdzieś pod Stalingradem czy gdzieś pod obecnym Sankt Petersburgiem, a wtedy Leningradem. Po prostu kości Mazurów zostały rozsiane po całej Europie i nie tylko, bo trzeba pamiętać o jednym – że ginęli w czasie drugiej wojny światowej na wszystkich frontach. Mazurzy byli powoływani tak, jak Ślązacy do armii niemieckiej, Kaszubi byli powoływani do armii niemieckiej... Dlatego niepotrzebnie ktoś kiedyś wyskoczył, że Tuska dziadek był w Wehrmachcie<sup>14</sup>. Był, bo nie miał innej alternatywy, gdyby z tego Wehrmachtu uciekł, to by go złapali i zastrzelili.

Ci moi przodkowie wywodzący się z Salzburga zamieszkiwali tu, na Mazurach, od XVIII wieku, jednak część tej rodziny miała rodowód typowy dla pogranicza. Czyli miałem przodków również z północnego Mazowsza. Jedna z moich prababek w 1854 roku otrzymała niemieckie dokumenty i nazywała się Gołąb! A potem za Bismarcka<sup>15</sup> zmieniono jej nazwisko na Golombiewski, tak żeby bardziej *deutsch* było, bez polskich znaków *q* i *ł*. Ten dokument jest jedną z najcenniejszych rzeczy, którą mam po przodkach. Tak się jakoś złożyło, że nie pozostały mi z czasów przedwojennych prawie żadne pamiątki rodzinne. Nieliczne zdjęcia sprzed wojny też się częściowo rozeszły, bo ktoś z rodziny pożyczył i nie zawsze oddał... A przecież tego nigdy nie było zbyt dużo, bo w biednych rodzinach nie specjalnie myślano o fotografowaniu się czy zbieraniu pamiątek. A potem, jak przyszedł w latach 1944–1945 czas wielkiej ucieczki przed frontem, to tych rodzinnych pamiątek jako takich się nieko-

---

<sup>13</sup> Welować (maz.) – głosować.


<sup>14</sup> W czasie kampanii prezydenckiej w 2005 r. pojawił się temat służby w niemieckim Wehrmachcie dziadka kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Donalda Tuska. Chodziło o Józefa Tuska (1907–1987), Kaszuba i obywatela Wolnego Miasta Gdańska, które to miasto w 1939 r. wcielono do III Rzeszy. W konsekwencji Kaszubów jako obywateli Niemiec powoływano do wojska. Józef Tusk służył w armii niemieckiej w latach 1944–1945.

<sup>15</sup> Otto von Bismarck (1815–1898) – konserwatywny polityk pruski/niemiecki. Sprawował urząd Premiera Prus i Kanclerza Niemiec (zwany „żelaznym kanclerzem”). Był jednym z głównych architektów zjednoczenia Niemiec (w 1871 r.) i utworzenia Cesarstwa Niemieckiego (II Rzesza). Znany był ze swej niechęci wobec Polaków i katolicyzmu. Zwolennik germanizacji i twórca polityki kulturkampf (1871–1878), czyli „wojny o kulturę” zmierzającej do ograniczenia wpływów Kościoła katolickiego.

**Auszug aus dem Trauregister**  
 der evangelischen Pfarrkirche Sohna, Pz. Neidenburg in       

Jahrgang 1859 Seite 169 Nr. 12

<b>Bräutigam:</b>	Zu- und Vornamen: <u>Rogalla, Gottfried</u> Beruf: <u>Wirt</u> Wohnort: <u>St. Katharinen</u> Familienstand: <u>ledig</u> Bekenntnis: <u>evang.</u> Geburtstag u. -Ort: <u>187. alt</u>	
<b>Braut:</b>	Trautag: <u>12. September 1859</u> Zu- und Vornamen: <u>Gotzab (Küpf. Golombierowski), Gottliebe</u> Beruf: <u>      </u> Wohnort: <u>Jablonek</u> Familienstand: <u>ledig</u> Bekenntnis: <u>evang.</u> Geburtstag u. -Ort: <u>19 j. alt</u>	
<b>Eltern des Bräutigams:</b>	<b>Vater</b> Zu- u. Vornamen: <u>Rogalla, Leopold</u> Beruf: <u>Wirt</u> Wohnort: <u>St. Katharinen</u>	<b>Mutter</b> Geburts- u. Vornamen: <u>      </u>
<b>Eltern der Braut:</b>	<b>Vater</b> Vor- u. Zunamen: <u>Gottfried Gotzab</u> Beruf: <u>Wirt</u> Wohnort: <u>Jablonek</u>	<b>Mutter</b> Geburts- u. Vornamen: <u>      </u>
<b>Sonstige für die Abstammung wichtige Angaben:</b>	z. B. Angaben über Trauzeugen, die als Verwandte der Brautleute erkennbar sind usw. <u>      </u>	



Druck: Albert Meiser, Neidenburg

Sohnäcker Kirche, den 31. Mai 1938

Unterschrift:

Gebühr 0,60 RM.  
 Gebührenfrei  
 (Nichtzutreffendes ist zu durchstreichen.)

Wypis z aktu ślubu praprababki Dietmara Serafina

niecznie ratowało, raczej tyłek się ratowało własny, a o pamiątki mniej dbano. Chociaż trzeba powiedzieć, że kiedy była ta wielka ucieczka, to ludzie brali ze sobą najważniejsze dokumenty, brali ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy.

Mój ojciec miał na imię Walter, a matka – Augusta. Dostała je po swoim dziadku, który miał na imię właśnie August. Poznali się na wiejskiej potańcówce. Takie wiejskie zabawy odbywały się co tydzień, jak nie w tej wsi, to

w innej... I młodzież się spotykała. Czasem dochodziło do takich lekkich konfrontacji, bo to „obcy” przyjechali do „naszych” dziewczyn, albo „my” tam w tamtej wsi do „ich” dziewczyn. Jak zaczęli tańczyć zbyt często z „nie swoimi” pannami, to mogli dostać lanie, to później na kolejnej potańcówce przychodził odwet. Ale to była normalna sprawa, tak i jak i dzisiaj zresztą. Można przed bójką było uciec, na przykład na rowerze, ale na przykład przebili dętki w rowerze, jak pojedziesz? Taki kawaler musiał osiem, dziesięć kilometrów czy dwanaście kilometrów wędrować piechotą, a jeszcze czasem w zagrożeniu zwiewać, żeby nie dostać w skórę. Na jednej z takich właśnie potańcówek zapoznali się Augusta i Walter. A potem pewnego pięknego poranka, chyba to musiało być w niedzielę, bo w sobotę pracowało się przecież normalnie, przejechał kawaler do Augusty rowerem z Czarnego Pieca. Spodnie na kant, przedstawił się i tak się zaczęła ta cała ich historia, a po troszę także i moja...

Kiedy się urodziłem, nadano mnie takie dziwne imię Dietmar, nie znałem jego rodowodu, bo w Niemczech chyba wbrew pozorom nie występuje zbyt często. Tam teraz Borysy, Tamary i takie różne, Tanie. To są takie rosyjsko brzmiące imiona, był taki okres i to w zachodnich Niemczech, jeszcze w czasie, kiedy nie było tego połączenia<sup>16</sup>, że bardzo polubili rosyjski folklor i wielu młodych ludzi zostało nazwanych właśnie w tym stylu, nie mówiąc już o tym, że robiono tak również w Enderowie<sup>17</sup>. Ale jeżeli chodzi właśnie o moje imię, to gdzieś tam później wyczytałem przypadkowo, że jest pochodzenia skandynawskiego, ale też niezbyt popularne dzisiaj. Niegdyś było ponoć popularniejsze, a w czasach współczesnych i w XX wieku mało popularne. Aha, i wiem też, że 2 stycznia można do mnie z prezentami imieninowymi przychodzić, z życzeniami, tyle się dowiedziałem przypadkowo.

Gdy przyszedłem na świat, to akurat trwała na świecie wojna. Moja matka w czasie wojny zajmowała się głównie klepaniem biedy, czekaniem na koniec i powrót niedawno poślubionego małżonka. A mój ojciec, urodzony w 1919 roku, zanim się poznał z Augustą, wychowywał się najpierw na takim małym gospodarstwie rolnym. Rodzina jego zajmowała się pracą w lesie i rolnictwem.

---

<sup>16</sup> Zjednoczenie Niemiec nastąpiło w 1992 r.

<sup>17</sup> Enderowo – popularna nazwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej (NRD), państwa istniejącego w latach 1949–1990, rządzonego przez komunistów i stanowiącej część bloku sowieckiego.



Chłop, robotnik leśny, a później, w 1938 roku, został sanitariuszem, i to stało się jego zawodem. Zatrudniono go w takim małym szpitaliku we wsi Jedwabno, położonej między Nidzicą a Szczytnem. I nomen omen, syn mój starszy z pierwszego mojego małżeństwa został technikiem dentystycznym w Niemczech, a drugi syn z drugiego małżeństwa poszedł na studia medyczne i został lekarzem. I zdumiewa mnie coś takiego, że ojciec mój był łapiduchem, a moi synowie, nie znając dziadka, też mieli w tym kierunku jakieś inklinacje...

Z tej pracy w szpitaliku został Walter powołany do wojska niemieckiego, do Krigsmarine, czyli do marynarki wojennej, gdzie w tej marynarce wojennej tak mu się szczęśliwie udało zostać łapiduchem, czyli sanitariuszem do końca wojny. Służył na kilku okrętach, nawet nie wiem dokładnie, na których. Na pewno miał taki moment, że pływał na wielkim pancerniku Admiral Graf Spee<sup>18</sup> i chyba na Scharnhorscie<sup>19</sup>. Ten pierwszy to był taki wielki krążownik, nazywano go kieszonkowym pancernikiem. Zatonął już w 1939 roku, gdy dowódca nie chciał go oddać w ręce wroga. Ten drugi był jeszcze większym pancernikiem. To były naprawdę ogromne, ogromne jednostki. Armaty mieli tam po dwieście osiemdziesiąt milimetrów, takie to ogromne wszystko było. I w grudniu 1943 roku ojciec mój dostał przepustkę z Norwegii, żeby przyjechać tutaj rodzinę odwiedzić. I w tym czasie, kiedy on siedział w pociągu wiozącym go do domu, Anglicy wywabili pancernik Scharnhorst z norweskiego fiordu, otoczyli go, bitwa trwała półtorej doby, ale ten okręt Anglicy zatopili i tysiąc dziewięćset ludzi poszło na dno, trzydziestu sześciu ludzi się uratowało<sup>20</sup>! No, a mój ojciec się uratował tylko dlatego, że siedział w tym czasie w pociągu. To było w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

---

<sup>18</sup> Admiral Graf Spee – niemiecki „pancernik kieszonkowy” wodowany w 1934 r. W 1937 r. skierowany do blokowania wybrzeży hiszpańskich w czasie tamtejszej wojny domowej. W sierpniu 1939 r., tuż przed wybuchem II wojny światowej skierowany na Atlantyk, gdzie miał atakować statki aliantów. W grudniu 1939 r. został uszkodzony w czasie bitwy morskiej. W wyniku zablokowania okrętu przez jednostki floty brytyjskiej u ujścia rzeki La Plata (Urugwaj) dowódca ewakuował załogę i zatopił okręt.

<sup>19</sup> Scharnhorst – niemiecki pancernik wodowany w 1936 r. W 1939 r. wszedł do służby w Krigsmarine. Uczestniczył w akcjach przeciwko konwojom alianckim. Jedną z takich operacji rozpoczęła się w grudniu 1943 r. u wybrzeży Norwegii.

<sup>20</sup> Z 1968 członków załogi zginęło 1932, w tym kontradmirał Erich Bey i dowódca okrętu komandor Fritz Hintze. Zaledwie 30 ludzi zostało uratowanych przez brytyjskie okręty HMS Scorpion i 6 przez Virago.



Na jesieni 1944 roku moja matka w obawie przed zbliżającymi się oddziałami rosyjskimi wzięła swoje dwie siostry, jedną w wieku trzynastu lat, drugą jedenastu lat, mnie owinęła w pieluchy, wsiadła do pociągu i wyjechała do Berlina. Wydawało się, że tam będzie bezpieczniej, tam Rosjanie nie dojdą. W Berlinie dostała jakieś mieszkanie i tam mieszkaliśmy w chwili, gdy w maju 1945 roku wszystko się skończyło, i ogłoszono koniec wojny.

No, to wtedy się tak naprawdę zaczęło! Zaczęła się bieda po prostu, zaczęła się straszna bieda. Trzeba było kombinować na wszelkie sposoby, żeby przeżyć. Ja tego pierwszego okresu nie pamiętam, znam tylko z opowiadań matki. O tym, że przez jakiś czas mieszkał u nas sowiecki oficer z żoną, i o tym, że trzeba było wyprzedawać wszystko, żeby jeść, i o tym, że kiedyś zostały nam tylko trzy ziemniaki do zjedzenia i żadnych perspektyw na zdobycie czegokolwiek... Ale już jak miałem trzy i pół roku prawie, to już pamiętam niektóre epizody, których byłem świadkiem, chociaż rozpoznawać i rozumieć pewnych zdarzeń nie byłem w stanie. To dopiero później jakieś refleksje, bądź objaśnienia ze strony matki pozwoliły, żebym miał jakiś osąd tego, czego byłem świadkiem.

No i to tak trwało do jesieni 1947 roku. Gdzieś tak na przełomie września i października matka dowiedziała się, że jej rodzice, którzy zostali na Mazurach, przeżyli tą całą gehennę, tą całą cholerną wojnę. W związku z tym postanowiła wrócić. I tak transportem Czerwonego Krzyża najpierw wysłała siostry. Dziewczyny nie mogły się doczekać rodziców, to wysłała je szybciej właśnie transportem Czerwonego Krzyża do Olsztyna i stamtąd je dziadek mój odebrał. Dosyć sprawnie to poszło i dosyć sprawnie poszła również podróż z Berlina później matki ze mną. Pamiętam tylko takie zdarzenie... Przekraczaliśmy granicę i na tej granicy był jakiś lokal, pewnie zwyczajna taka restauracja dworcowa. Matka tym razem miała trochę pieniędzy, w związku z tym miała za co kupić jedzenie, więc postanowiła zrobić mi jakąś specjalną niespodziankę. No i kupiła coś, co – jak mnie tam poczęstowano – to od razu, jak wziąłem do ust, przeżułem trochę i wypłułem! Coś ohydneho, taka ciemnobrazowa rzecz! Nie znałem po prostu czekolady, nie znałem jej smaku. Wypłułem to i pamiętam, że przez jakiś czas czekolada, chociaż tak za często nie było w tamtych czasach, ale bywała, w związku z tym nie bardzo ona mi podchodziła... Dopiero później rozsmakowałem się w tym specjale.

Tymczasem ojciec pod koniec wojny dostał się do niewoli angielskiej, pracował u jakiegoś farmera w Anglii, od tej strony atlantyckiej, z zachodniej strony Anglii. Opowiadał, że wielu rzeczy nauczyli tego Anglika, szczególnie z zakresu uprawy roli, bo facet może był zbytnim tradycjonalistą, jak to Anglicy, i nie bardzo do nowości się garnał w związku z tym. A w Niemczech w tamtym czasie rolnictwo stało na niezłym poziomie i ta młodzież rolniczo było kształcona. Jak nie w szkołach rolniczych, to były takie kursy dokształcające i oni mieli je pokończone. A poza tym, codziennie na tej roli pracując, zyskiwali ogromne doświadczenie. No i temu Anglikowi nawet nieźle się tam żyło z nimi, więc się zżył z tymi swoimi niemieckimi jeńcami. Trzy lata później przyszedł czas powrotu jeńców do Europy, to znaczy na ląd z wyspy. Niemieccy żołnierze wracali do swych rodzin...

Ale myśmy w międzyczasie wrócili już na Mazury z tego Berlina, między Wschodem a Zachodem opadła żelazna kurtyna<sup>21</sup> i zaczęły się hece między byłymi aliantami, to znaczy między Amerykanami i Anglikami a komunistyczną Rosją. No, w każdym razie te państwa właściwie zdecydowały, że trzeba Rosji trochę nosa utrzyć, bo opanowała pół Europy. Z kolei Stalin miał ten amok walki z kapitalizmem. Co prawda ja też byłem wychowywany w duchu walki z kapitalizmem. Jak byłem w szkole podstawowej, to mi też wpajano różne idee tej sprawiedliwości społecznej i tej demokracji powszechnej w wydaniu radzieckim. No, tylko że tej demokracji myśmy widzieli tylko na zdjęciach z gazet, natomiast w rzeczywistości u nas tej demokracji nie było.

I ten ojciec mój wrócił do Niemiec w 1948 roku. W międzyczasie myśmy byli tu, w Polsce. Jak się w końcu rodzice odnaleźli gdzieś na początku lat pięćdziesiątych, to uznali, że im już razem będzie nie po drodze... W związku z tym ojciec został w zachodnich Niemczech, w okolicach Herfenbilferd, a moja matka tutaj się związała z leśnikiem. Moim ojczymem. Mieliśmy z nim świetne relacje wzajemne. Z tego tytułu też poszedłem do szkoły leśnej, potem wykonywałem fach leśnika. Ale jak widać, czasami nie jesteśmy do końca kowalami własnego losu.

---

<sup>21</sup> Żelazna kurtyna – określenie porządku pojałtańskiego, które nagłośnił Winston Churchill 5 marca 1946 r., podczas przemówienia w Fulton w stanie Missouri. Wygłosił on tam trafną diagnozę o istnieniu żelaznej kurtyny przebiegającej od Szczecina po Triest i oddzielającej Europę demokratyczną od zdominowanej przez ZSRR i rządzonej za pomocą metod policyjnych i terroru. W propagandzie komunistycznej to stwierdzenie Churchilla dostarczyło pretekstu, że to dawni alianti dążą do podziału Europy. W rzeczywistości wcześniej użył tego określenia minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels (luty 1945 r.), przewidując podział świata na część zachodnią i tą, którą mieli rządzić komuniści. Przed Churchillem o żelaznej kurtynie mówił też sowiecki przywódca Józef Stalin.

Z ojcem przez kilkadziesiąt lat nie utrzymywałem kontaktu, nie znałem nawet jego adresu. W 1978 roku mój kolega z Wejsun, który wyjechał z rodziną do Niemiec i mieszkał w Hamburgu, zaprosił mnie do siebie. Byłem u niego przez miesiąc, a oni mówią któregoś dnia:

– A ojca swojego to ty adres znasz? – No bo wiedzieli, że mój ojciec żyje. Ja wiedziałem tylko, że gdzieś w tej okolicy musi mieszkać. No i żona tego mojego kolegi, bardzo sprytna dziewczyna, dwa dni później mi opowiada, jak zdobyła adres, numer telefonu i już pytała mojego ojca, czy chce, abym go odwiedził... Pojechałem. Hasłem rozpoznawczym, jak z pociągu wysiadałem, to był „Stern”, czasopismo takie w rękę trzymałem i w pewnym momencie wchodzę na peron, jakiś chłopak do mnie podbiega, ja tak tę gazetę trzymam, podbiega jakiś chłopak taki... no, dziewiętnastolatek wtedy i mówi:

– Das bist du? To jesteś ty?

– Tak.

A Vater krzyczy:

– *Er ist hire!* – To znaczy „ja jestem tutaj”.

Nocne rozmowy później były, nie powiem, że nie były zakrapiane, były zakrapiane. No i tak z tym moim ojcem te kontakty nawiązałem, ale to były na zasadzie... takie... no, powiedzmy sobie – koleżeńskie. To nie były takie stricte rodzicielsko-synowskie kontakty, no bo co... ja byłem stary chłop, jak go poznałem, miałem trzydzieści cztery lata. Długo to wszystko nie trwało, ta znajomość z ojcem. Zapadł na chorobę nowotworową i zmarł.

Kiedy w 1947 roku wróciłem z matką na Mazury, to po kilku latach trzeba było pójść do szkoły. W międzyczasie mój ojczym, który był leśnikiem, dostał dyscyplinarne zwolnienie z pracy. A dyscyplinarne zwolnienie z pracy to było za czasów Stalina coś takiego, że nie dawało się żadnych objaśnień, dlaczego zwalniana. Po prostu nie pracujesz. Rzeczywistej przyczyny możemy się tylko domyślać, bo jakiś czas wcześniej, nieco rozochocony takim płynem rozweselającym, z kolegami podszedł do ściennej mapy Europy, rzucił takim epitetem i mówi:

– Zobaczcie, przecież Polska mogłaby być o tu, od morza do morza. – No i zatoczył taki krąg od Bałtyku po Morze Czarne, jak to niegdyś było w XV wieku. Wkrótce potem wzięli go do piwnic Urzędu Bezpieczeństwa. Aresztowali go 29 października 1950 roku, w przeddzień wymiany pieniędzy<sup>22</sup>, a wypuścili

---

<sup>22</sup> Plany wymiany pieniędzy w Polsce przygotowywano w wielkiej tajemnicy. Ogłoszono je dopiero 28 października 1950 r., a nowy złoty wchodził do obiegu już 30 października 1950 r. Ósmego listopada 1950 r. traciły ważność wszystkie pieniądze będące w poprzednim obiegu.

w Wigilię. Co dzień dostawał lanie. No a jak wrócił do domu, pracował krótko. Dostał dyscyplinarne przeniesienie najpierw do Szerokiego Boru koło Pizsa i nie za długo dyscyplinarne go zwolnili. Chodziło o upokorzenie, o pokazanie, kto tu jest mocny, kto rządzi. No i został zwolniony z pracy. W związku z tym nie przysługiwało mu już mieszkanie służbowe, a że wokół sporo domów stało jeszcze pustych po wojnie, więc mój ojczym z matką pożyczyli rowery, przejechali się po okolicy, zajechali do takiej egzotycznej wsi Wejsuny, tam zobaczyli dwa domy obok siebie opuszczone, jeden w centrum, drugi tak na uboczu, no i matka moja mówi:

– Tutaj.

– Ale tamten dom jest nowszy – na to ojczym. – Nowy dom pobudowany kilka lat temu, bez właściciela i w dobrym stanie, w idealnym stanie. Tutaj!

– Nie – matka mówi – nie ten nowszy, tylko ten drugi. Tu las widzisz naprzeciwko, z drugiej strony widzisz las, jezioro jest przy samej chałupie. Zostaniemy tutaj.

No i tak się stało, że tam zamieszkaliśmy. Wcześniej, już w Szerokim Borze mieszkając, chodziłem do szkoły podstawowej do Wiartla. Pamiętam kiedyś, jak śniegu napadało, to chyba w styczniu tak jakoś do połowy lutego przez miesiąc nie chodziliśmy do szkoły w ogóle. Drogi nie były odśnieżone. Wtedy nie było tak, że jakieś tam pługi jeździły, po prostu tego nie było – kraj był całkowicie ubogi, zniszczony.

Do dziś pozostało już niewiele prawdziwych domów mazurskich. Może raczej chałup niż domów? Ich rozmiar zależał od zamożności, od ambicji tego, kto sobie dom budował. Bardzo często wcześniejsze konstrukcje były kryte słomą lub trzciną, jeśli wieś była zlokalizowana w pobliżu jezior. A później już zaczęła dachówka, już przed pierwszą wojną światową i w latach dwudziestych zaczęto dachówką kryć domy. Ta dachówka też bywała robiona chałupniczym sposobem. Glinę się wyrabiało, formowało się dachówki i suszyło, później się wypalało w specjalnych takich piecach mielerzowych. To znaczy specjalny mielerz to był chrust lub drewno niskiej jakości obsypane ziemią, tyle żeby ciąg był do utrzymania ognia. Tam się wytwarzała wysoka temperatura, wypalało się dachówkę lub nawet cegłę w ten sposób. Ale przy wyjmowaniu gotowego produktu z pieca trzeba było uważać, żeby nie było dużej różnicy temperatur albo żeby nie padał deszcz, bo produkt mógł popękać. Dziś często na starych domach widzimy taką nieregularną cegłę, często z odcisniętymi palcami, pochodzącą właśnie z takich prymitywnych wytwórni.

Jak przyjechałem z Berlina, nie znałem języka polskiego ani gwary mazurskiej. Mówiłem po niemiecku z akcentem berlińskim! A tu konsternacja... nie dość, że dziadków widzę po raz pierwszy w życiu, bo przecież wyjeżdżałem jeszcze w pieluchach, to na dodatek w ogóle ich nie rozumiem! W związku z tym dziadkowie, którzy po niemiecku tak sobie czytać i pisać umieli, natomiast mówili niechętnie – po prostu łatwiej było po mazursku mówić niż po niemiecku, bo mowa mazurska była ich językiem domowym, którym się ciągle posługiwano, musieli mnie przekonać do siebie i swego języka. Ta gwara mazurska to był język jakby staropolski, który ewoluował przez wieki w otoczeniu niemieckiej kultury państwowej. Dlatego mowa Mazurów trąciła i staropolszczyzną, i jednocześnie było w niej dużo germanizmów. Żeby było śmieszniej, to niektóre wyrazy wyglądały tak, że pół wyrazu brzmiało po niemiecku, a pół po polsku, czy odwrotnie, czy w zdaniu było też kilka wyrazów niemieckich, a kilka polskich. Z tym, że jakby Niemcy posłuchali tej gwary, to trudno byłoby się im połapać. A Polacy rozumieli, o co chodzi, rozumieli, bo więcej było polskiego, polszczyzny w tym języku, którym na co dzień posługiwali się Mazurzy.

Z Piszem zetknąłem się w czasach, kiedy mieszkaliśmy w Szerokim Borze. Ja do pierwszej klasy do podstawówki chodziłem... Jak się do Pisza przyjeżdżało – a byłem tu kilka razy, najczęściej z ojczymem, bo tam musiałem jakieś zastrzyki dostawać raz na parę dni – to pamiętam Pisz był jednym gruzowiskiem. Wszystko było wypalone, nieciekawie to wszystko wyglądało. No, poza tym ja, chłopak z takiej wiochy jak Szeroki Bór, bo tam te berlińskie doświadczenia człowiek szybko zapominał, ale jak tu do Pisza się przyjechało, to jednak uważałem, że to duże miasto! Mały człowiek bał się w takim dużym mieście zagubić! Mimo że wiele było ruin. Oczywiście one nie powstały na skutek bezpośrednich działań wojennych, ale o tym dowiedziałem się później.

W ogóle nasze polskie patrzyenie na wojnę nie do końca pasuje do tego, jak wojna przebiegała w Prusach Wschodnich. Można powiedzieć, że do stycznia 1945 roku tu wojny nie było. Była bieda związana z trwaniem wojny. Każdy gospodarz miał restrykcje, nie mógł świnia zabić na własny użytek, cały inwentarz był kolczykowany, zaopatrzenie trzeba było odstawiać dla państwa, dla wojska na front, natomiast działań zbrojnych przez znaczną część wojny tu nie było. W 1939 roku tu i ówdzie były jakieś wypadki wojsk polskich, między innymi tu w powiecie piskim<sup>23</sup>, ale poza smutnymi informacjami, że

---

<sup>23</sup> W pierwszych dniach września 1939 r. oddziały Wojska Polskiego wchodzące w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej Narew dokonały wypadu do Prus Wschodnich, m.in. w rejonie Jeży, Białej, w celu sprawdzenia sił niemieckich stacjonujących po drugiej stronie ówczesnej granicy.

ktoś z bliskich zginął na froncie, ludzie na Mazurach żyli w poczuciu, iż straszna wojna toczy się gdzieś bardzo daleko. Dlatego dla wielu mieszkańców Prus Wschodnich wojna zaczęła się na przełomie 1944 i 1945 roku i od razu była to wojna bestialska. Zwłaszcza gdy rozpoczęła się ofensywa styczniowa, a nie wszyscy zdążyli uciec przed nadciągającym frontem, to właściwie zaczęła się eksterminacja ludności cywilnej. Raz, że władze niemieckie zachowały się tak, jak się zachowały, nakazując przymusowe opuszczenie rodzinnych stron, ale zbyt późno, a potem Rosjanie te kolumny ostrzeliwali z samolotów, rozjeżdżali uciekinierów czołgami. Ludzie uciekali w kierunku Zalewu Wiślanego. A tam działy się straszne rzeczy. Pełno ludzi ciągnących przez zamrznięty zalew. Rosjanie bombardowali łód i wozy z uciekinierami szły na dno. Atakowano także statki z ewakuowanymi. Na przykład zatopiono Wilhelma Gustloff<sup>24</sup>, na którym zatonęło kilka tysięcy ludzi. Na marginesie warto pamiętać, że ten Gustloff w ogóle to był jakiś taki narodowy socjalista, który zasłużył się mocno w tamtym czasie Führerowi i narodowi w jakiś okolicznościach. To był jakiś taki bandziorek w nazistowskiej organizacji SA czy w innej podobnej<sup>25</sup>. Jego zabito i na cześć tego rzekomego bohatera nazwano Gustloffem statek wycieczkowy, którym w nagrodę przewożono wycieczki szkolne, pracownicze wycieczki. Do tego służył Gustloff, wycieczkowiec, który później tak fatalnie skończył, zatopiony przez sowiecki okręt podwodny.

Najpierw chodziłem do szkoły w Wiartlu. Ten budynek szkoły stoi jeszcze, na Małym Wiartlu, nieopodal jeziora. To była jednoklasówka... Do godziny jedenastej uczyły się klasy czwarta i trzecia, o jedenastej przychodziła klasa pierwsza i druga. Tych uczniów tam było raptem z piętnastu może, ale w wielu wsiach były takie szkółki. Potem trochę się zmieniło. Jak pamiętam, to w kolejnym miejscu mojej edukacji, w Wejsunach, mieliśmy dwuklasową szkołę i tylko siódma klasa uczyła się w osobnym pomieszczeniu, a pozostałe, to jest pierwsza

---

<sup>24</sup> Wilhelm Gustloff – przed II wojną światową statek wycieczkowy organizacji nazistowskiej Kraft durch Freude (KdF). Nosił imię zamordowanego w 1936 r. członka NSDAP, Wilhelma Gustloff. Podczas wojny włączony w skład Kriegsmarine, następnie przekształcony w okręt szpitalny i pływające koszary. W styczniu 1945 r. przewoził uciekinierów z Prus Wschodnich. Został zatopiony przez sowiecki okręt podwodny, w wyniku czego zginęło ok. 9600 osób.

<sup>25</sup> Wilhelm Gustloff (1895–1936) – w 1929 r. wstąpił do NSDAP, gdzie od 1932 r. pełnił funkcję szefa zagranicznego oddziału organizacji NSDAP w Szwajcarii. Jego żona przez pewien czas była sekretarką Hitlera, a Gustloff zajmował się m.in. rozpowszechnianiem literatury antysemickiej i werbowaniem członków do NSDAP. W 1936 r. został zastrzelony we własnym domu z rewolweru przez żydowskiego studenta Davida Frankfurtera, syna rabina. Propaganda hitlerowska wykorzystała ten fakt, by uczynić z niego męczennika ruchu nazistowskiego.



z drugą, trzecia z czwartą i piąta z szóstą, miały zajęcia razem. Dlatego też, jak się już uczyłem w Wejsunach, gdy szliśmy do następnej klasy, to myśmy już mieli pewną wiedzę dotyczącą następnego roku. Było niewiele młodzieży do tej szkoły uczęszczającej, poza tym były trudności z personelem pedagogicznym. Bardzo często ludzie z przypadku trafiali do tych szkół jako nauczyciele, bo to było pokolenie jeszcze wojenne. Szkoły były bardzo biedne, niedoposażone. Pamiętam taki piec kaflowy, wielki był w każdej z klas. Woźny w nim palił, to znaczy rozpalał drewnem i palił węglem. Pilnować miała córka tego woźnego. Kiedyś wzięła i nie dopilnowała, żeby się wypaliło do końca w tym piecu, tylko jak tam fest ogień był, ona zakręciła piec. A myśmy usiedli sobie w klasie, koniec pierwszej lekcji i w pewnym momencie, taki pffuuuuu! – podmuch. Zakurzyło się, czarno zrobiło się, myśmy od razu wyskoczyli na dwór, krzycząc ze strachu! Co się okazało? Rozsadziło piec, czad rozwalił piec i na całe szczęście, bo gdyby nie rozwalił, to byśmy się leciutko przytruli tym czadem.

W każdym razie te warunki w szkołach były dosyć podłe, ale z ogromną przyjemnością wspominam to, bo mieliśmy takie podwórkowe przyjaźnie, swoje klasowe przyjaźnie. Potem dopiero rozdzielono nas po ukończeniu siódmej klasy, bo jeden szedł od razu do lasu, do pracy, a drugi szedł uczyć się dalej, czy do zawodówki, czy do jakiegoś ogólniaka.

To były czasy, gdy niemal każdy przejaw życia musiał ulegać wpływowi ideologii. Dla mnie, jako osoby wychowywanej przez szkołę epoki stalinowskiej, przekonującej ciągle, że Związek Radziecki to jest potęga, przez długi czas takie właśnie postrzeganie sąsiedniego mocarstwa było obowiązujące. Pamiętam takie czytanki o Pawliku Morozowie, sowieckim bohaterze, który doniósł na własnego ojca. Taki wzorzec wychowawczy nam wtłaczano do głów. Historia była naginana do granic. Wszystko co najlepsze pochodziło ze Związku Radzieckiego, tam byli największy wynalazcy na świecie. Nawet sobie żartowaliśmy, że rower to wynalazł radziecki konstruktor „Rowerow”. Było strasznie i śmiesznie. Śmiesznie to dziś z perspektywy lat, a strasznie w tamtych czasach, bo nawet dzieci wiedziały, do którego momentu można sobie pozwolić na jakieś dowcipkowanie, a w którym momencie dowcipy się kończą aresztowaniem. Widzieliśmy przecież po sąsiedzku, że ktoś zniknął i wrócił za dłuższy czas, za rok, za dwa, a bywali tacy, którzy nie wracali. Ja tego już nie doświadczyłem, ale przecież mój ojczym – tak. Pamiętam u nas w szkole w Białowieży trzy lata wcześniej, chyba w 1955 roku, jednego z chłopaków wzięli na przesłuchanie UB i nigdy już go nie znaleziono.

Rok później, jak już ja zacząłem tam naukę, znaleziono jakieś zwłoki koło Hajnówki w lesie. Podejrzewano, że to mógł być ten nasz starszy kolega, ale nikt nigdy tego nie potwierdził. Za takie rzeczy wsadzała wtedy władza, uważając, że to podważanie racji stanu Związku Radzieckiego.

Po podstawówce poszedłem do szkoły leśnej w Białowieży i tak się tam życie toczyło. Po skończeniu szkoły leśnej oparłem się w miejscu, jak się ze Snopek na Wejsuny skręca, to na samym skrzyżowaniu mieszkałem tam w leśniczówce. W tej leśniczówce na rogu byłem pierwszym lokatorem, ale pomieszkałem tam chyba około dziesięciu lat i w 1977 roku opuściłem lasy. Ale nie lasy, jakoby miał coś przeciwko naturze, co przeciwko ówczesnym Lasom Państwowym miałem, przeciwko biurokracji, przeciwko stosunkom panującym wówczas w tym resorcie. Choć od razu trzeba zaznaczyć, że bezpośrednich szefów miałem w porządku – Władysława Krakowińskiego i Ludwika Śliwkę. Natomiast było nieciekawie przede wszystkim z uwagi na to, że pieniądze, jakie zarabialiśmy, były groszowe i chcąc się utrzymać, trzeba było kraść. Normalnie mówię to całkiem otwartym tekstem, trzeba było kraść. Kto nie kradł, ten miał trudności z przeżyciem. Ja w tamtym okresie mogę zapewnić, że nie kradłem, w związku z tym było mi trudno.

Trzeba było szukać jakiejś innej alternatywy zarobkowej. W tym czasie w Pieszku firmę utworzono turystyczną i jeden z moich kolegów serdecznych mówi:

– Słuchaj, ty byś mi odpowiadał do tej pracy.

– A co ja bym robił człowieku, przecież ja się tylko na lesie znam.

– Ty – mówi – masz gadane, a to ważne, żeby umieć przekonać ludzi do pewnych rzeczy. Zajmowaliśmy się między innymi sprzedażą wczasów na naszym terenie.

No i poszedłem do tej turystyki, tam całkiem nowa załoga została skompletowana. Ja zostałem wiceszefem, a ten kolega był szefem już mianowanym wcześniej. Stworzyliśmy firmę, która obejmowała cały teren powiatu piskiego i myśmy tutaj nieźle zatrzęśli posadami. Byliśmy młodzi, energiczni i sporo żeśmy wtedy zrobili. Turystyka stacjonarna polegała wtedy na tym, że ludzie przyjeżdżali do takich ośrodków, hoteli – a mało ich było – więc trzeba było kierować gości także na kwatery prywatne. Bardzo dużo turystów korzystało z kwater prywatnych i na tych kwaterach prywatnych czasem mieli wyżywienie,

ale częściej w jakiś stołówkach zbiorowych albo w restauracjach, tak jak w Piszku. Ale we wsiach to się organizowało stołówkę i tam było smakowite jedzenie. Sam czasami przyjeżdżałem do tych stołówek, żeby sprawdzić, jak tam się ludziom podoba, to jadłem wtedy te stołówkowe specjały i to było naprawdę przyzwoite jedzenie, prawie jak domowe. Z reguły turyści, które tu przyjeżdżali na pobyt, wchodzili w skład grup zorganizowanych. Trudniej było z indywidualnymi wyjazdami, bo to i społeczeństwo trochę biedne, i możliwości organizacyjne mniejsze, przecież nawet na telefoniczne połączenia międzymiastowe trzeba było czekać kilka godzin. Więc ogromna rola w organizacji i finansowaniu wypoczynku przypadała funduszom socjalnym poszczególnych zakładów pracy. Kierownicy odpowiedzialni za sprawy socjalne kontaktowali się z nami, że ich pracownicy przyjadą na Mazury, a my już resztę organizowaliśmy.

No, ale przyszły czas, kiedy już się to wszystko zaczęło w Polsce walić. Zaczęły pieniądze socjalne znikać w zakładach, zakłady zaczęły padać i tak dalej, i tak dalej. Ludzie byli doświadczeni ciągłym kryzysem, nie było ich stać na uprawianie turystyki. To widać było gołym okiem, że firma padnie po prostu z biedy, która zaistniała w kraju. Przyszedł do mnie pewien człowiek z władz piskich i mówi:

– Słuchaj, w muzeum potrzebują kogoś, żeby się przyrodą zajął. Muzeum się rozwija, rozszerza swoje podwoje. Nie poszedłbyś?

– Słuchaj – mówię – a jakie pieniądze?

– Pieniądze dostaniesz takie, jakie masz tu, mniej więcej.

I rzeczywiście takie pieniądze dostałem. W związku z tym zamiast tam sobie głowę łamać i noce bezsenne spędzać, bo jak firma zaczyna padać, a jeszcze człowiek jest z nią związany, to nie jest to łatwe uczucie, jeżeli jest się w miarę uczciwym – to poszedłem z tej firmy turystycznej do muzeum. Tu było dużo do zrobienia, choć pieniędzy na działalność nie było za dużo. Ten mój szef, Mieczysław Kulęgowski, który tym muzeum kierował i był właściwie założycielem w 1969 roku, później przez kilka lat nie pracował, kto inny pracował i był szefem, po iluś tam latach wrócił na stanowisko. On miał ambicje takie bardziej w kierunku historii i etnografii, ale okolica przecież jest taka, że aż się prosi o to, żeby tutaj prezentować również jakieś zbiory przyrodnicze... Pojedyncze eksponaty myśliwi jacyś przynieśli czy jacyś znajomi, to jakiegoś nietoperza, to jakąś sowę, to padłego łabędzia z rzeki przynieśli. No i zaczęły się gromadzić zbiory przyrodnicze, z których stworzyliśmy wystawę. Ta zmiana pracy nastąpiła w latach osiemdziesiątych.

To był czas niepokoju społecznego, bo ludzie w Polsce mieli tamtego systemu serdecznie dosyć. Przyszedł 1980 rok, powstanie Solidarności rozbitej

Dietmar Derafin  
z prof. Stanisławem  
Achremczykiem  
podczas konferencji  
w Muzeum Ziemi  
Piskiej 2010 r.



13 grudnia 1981 roku, gdy ogłoszono stan wojenny. Stan wojenny trwał do 22 lipca 1983 roku. A ja dwa lata później zacząłem pracować w muzeum w Pisz. No i tak się przepracowało w muzeum dwadzieścia sześć lat, teraz dwudziesty siódmy rok prawie pracuję w tym muzeum jako „pan od przyrody”. A przy okazji sam się trochę zainteresowałem etnografią, przydała się tu zresztą moja wiedza wyniesiona z domu dziadków na temat tradycji mazurskich. Bo oni różnych sposobów się chwyтали, żeby świeżo pozyskanego „berlińczyka” przekonać do siebie. Dużo mi opowiadali... a potem to całe wakacje u nich spędzałem, każdą wolną chwilę.

Z dawnych czasów to niewiele się obyczajów codziennych czy świątecznych do dziś zachowało... Inne ewoluowały i trudno współcześnie rozpoznać, co jest dzisiejsze, a co stare... Obyczaje zmieniały się w zależności od pory roku. Ale na przykład w okresie zbliżających się Świąt Wielkiej Nocy, to już kilka tygodni wcześniej ostre przygotowania były. Na dwa tygodnie przed świętami to już musiał być prosiak zaslachtowany. Szlachtowaniem z języka niemieckiego nazywano tutaj ubój zwierzęcia. Trzeba było prosiaczka pozbawić życia, żeby było co jeść. Gęsi, kaczki, kury jakieś też się rżnęło, jajka się zbierało, bo raz, że potrzebne były do ciasta, dwa, że były do tych różnych malowanek.

A z tymi malowanekami to albo chodziło się do kogoś, albo obdarzało się kogoś, jak w gościnę przyszedł. Dostawał kawał ciasta, jajek, szynki kawał tam się odkrawało... I w obfitości wypieki kobiety wykonywały. Podwórko, wszystko obejście musiało być wysprzątane, zresztą u mojego dziadka przez cały rok musiało być czysto, nie daj Boże żebyś zgubił jedną słomkę, przenosząc jakiś snopek. Chodzi o to, że myśmy do tych świąt już tak się przygotowywali dwa tygodnie wcześniej. Do Bożego Narodzenia jeszcze wcześniej, gdzieś na miesiąc, czy ponad miesiąc wcześniej się przygotowywano, a do Wielkanocy troszkę krócej. Teraz trzeba było jajka pomalować. Potrzebna było do malowania jajek przede wszystkim skorupa z cebuli. Łuski z cebuli wrzucało się do gara i zagotowywało w wodzie. Kiedy tak gdzieś z pół godziny woda już się gotowała, to wtedy umyte jajeczka wkładało się do tej wody, żeby były całe zakryte i one tak w zależności od tego, jaką tonację koloru chcieliśmy uzyskać, tak długo się gotowały. U mnie do tej pory, co roku w tak zwanym cebulaku się jajka gotuje. To jest jeden z najwspanialszych kolorów, taki jasnobrązowy, ciemnobrązowy, w zależności od tego, ile są trzymane jajka w tym garnku z cebulakiem. Później, po wyjęciu, to trzeba było mieć skórę od słoniny z taką niewielką ilością tłuszczu i tą skórą się trochę wycierało te jajka, żeby farba nie farbowała. Następny sposób na jajka wielkanocne: oziminę się zbierało, czyli żyto młode, tak że dwie garście żyta w jednym miejscu się gęsto zgrażyło. Ono przezimowało i wiosną było takie gęste. Wrzucało się to garnka od czego jajka robiły się zielone i też o różnym stopniu nasycenia, w zależności od tego, jak długo trzymało się je w wodzie gotowanej z oziminą. Tak z piętnaście minut się gotowało. Pamiętam, że były także farbki w tabletkach czy w torebkach, tak jak i dzisiaj, ale był taki okres, kiedy nie było można tego dostać w sklepie. Od czego więc zmyślność narodu? Wykorzystywano farby do farbowania tkanin – wtedy się dużo tkanin malowało, bo robiło się różne rzeczy na drutach, na szydełkach, w związku z tym włóczękę czy wełnę się farbowało. Też taką farbę do garnka z gorącą wodą się dawało, potrzeba było też octu, żeby ta farba nie puszczała później. No i te jajeczka się farbowało. Ale ta farba do tkanin dawała taki fatalny posmak i zapach tym jajkom. Jak w skorupce była jakaś mikroszczelinka i ta farba się tam gdzieś do środka dostała, takie żyłki tej farby czasami było widać, to jajko można było wyrzucić.

Rano o świcie w pierwszy dzień świąt należało iść do źródła i przynieść wody źródlanej. Jak się kiedyś wybrałem z moim wujkiem po wodę źródlaną, to o mało się nie skąpałem w tym rowie! W każdym razie woda ze źródła potrzebna była. Dziadek mi zawsze tłumaczył, że kiedy w pierwszy dzień świąt

słońce wschodziło, to znaczyło, że „baranek skoczył” i to był początek świąt. Ja wiele razy jako dziecko próbowałem to zobaczyć, ale przeważnie miałem pecha, bo albo była mgła, albo niebo pochmurne, albo zwyczajnie przeoczyłem ten moment, kiedy „baranek skoczył”. Ale dziadek mi za rok znowu tłumaczył:

– Musisz uważać, jak baranek skoczy, to już święta się zaczęły!

Przychodził lany poniedziałek. To była tradycja, którą wprowadzili osadnicy z pobliskiego Mazowsza północnego, więc po wojnie dopiero został wprowadzony ten obyczaj, ten śmigus-dyngus. Ale bardzo się wszystkim podobał ten obyczaj, tylko to się nie odbywało tak jak dzisiaj. Ludzie polewali się i życzyli sobie wesołych świąt. W chałupach to wiadrami się polewali domownicy, albo nawet jak ktoś przyszedł w odwiedziny. Dzisiaj to by się skończyło prokuratorem, sądem i wysokimi bardzo odszkodowaniami! Wtedy wszyscy byli zadowoleni, że śmiechem później wspominali jak to było.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia czy Wielkiej Nocy nie chodziło się w odwiedziny takie spontaniczne do kogoś. Tylko jeżeli ktoś był zaproszony albo jeżeli my byliśmy zaproszeni, to się tam szło czy jechało furą, czy rowerami, oczywiście jeśli rodzina miała tych rowerów w wystarczającej ilości dla wszystkich. Natomiast drugi dzień świąt był przeznaczony do spontanicznych spotkań.

Ja miałem alternatywę, że mogłem pojechać do Niemiec w końcu lat pięćdziesiątych, po tak zwanym przełomie październikowym, gdy komunizm i ograniczenia praw człowieka nieco zelżały. Potem, na początku lat sześćdziesiątych, jeszcze była taka możliwość wyjazdu, nie pojechałem i dopiero w wieku trzydziestu czterech lat po raz pierwszy pojechałem do Niemiec, ale nie na stałe. Lata siedemdziesiąte! To były takie wyprawy po złote runo, czyli żeby trochę zarobić. Człowiek tam jakieś zajęcie znajdował, nielegalne oczywiście, i jeżeli tam za godzinę pracy dostawałem więcej niż moja dniówka w Polsce, to za dwa miesiące miałem uposażenie, jak w Polsce po rocznej pracy. Ale nie myślałem, żeby wyjechać na stałe. Może dlatego, iż miałem świadomość większych zarobków, ale i większych kosztów życia? Poza tym tamta mentalność... U nas w Polsce mentalność też po dwudziestu latach się przekształciła w podobnym kierunku, ale... pamiętam, jak męczyły mnie te rozprawy dotyczące tego, „skąd ci sąsiedzi mają na przykład nowy samochód?”, „stać ich było na kupienie domu? Ho ho!”. Więc to mi nie do końca odpowiadało. Powiedziałem sobie kiedyś, że tutaj złożę swoje kości i nie dałem się nikomu namówić.



Pracowali nad tym i członkowie mojej rodziny, a niektórzy tam w Niemczech niezłe pozycje sobie w życiu wypracowali... Nie wiem, tu mi dobrze. Jestem u siebie. Tu, w tych mazurskich lasach, miałem kontakt z cudowną przyrodą i mogłem uprawiać swoje największe hobby...

Od dziecka małego miałem do czynienia z bronią palną i pneumatyczną, ponieważ obracałem się w środowisku myśliwych i leśników. Doszedłem w pewnym momencie do ogromnej sprawności, że mogłem w cyrku występować, gdyby taka możliwość zaistniała! Na przykład było gaszenie papierosa z wiatrówki! To żaden problem był strzelić z boku i odbić ten ogienek, to żaden problem jabłko zestrzelić z drzewa, za każdym razem z wolnej ręki. Dlatego łowiectwo stało się moją życiową pasją. Polowałem głównie w Puszczy Piskiej, ale nie tylko, bo w wielu kompleksach leśnych udało mi się przemierzać zwierzęce ścieżki.

Nie dopuszczano mnie tylko do „łńskiego imperium”. W Łąsku był taki ośrodek myśliwski pod Olsztynem, służący tylko i wyłącznie dla celów dygnitarzy politycznych. Dużej rangi politycy przyjeżdżali tam na polowania i tam się rozprawiało, decydowało się o różnych sprawach w czasie tych polowań. Podobnie w Białowieży na Krenie się polowało i w Arłamowie w Bieszczadach.

Bywał tam i komunistyczny premier Józef Cyrankiewicz, sekretarz PZPR Władysław Gomułka i nawet sowiecki przywódca Leonid Breżniew. Natomiast w takim mniejszym zakresie spotykałem wybitnych polityków tamtej epoki, gdy chcieli polować w Puszczy Piskiej. Niektórych nawet na polowanie prowadziłem! Potem siedziałem przy stole z nimi i słuchałem różnych kawałów, a najlepsze kawały to oni opowiadali właśnie takie szydzące z tej komuny, z tego wszystkiego, z czego oni żyli i do czego zmuszali zwykłych ludzi.

Zresztą nie tylko podczas polowań mogłem spotkać znanych ludzi. Miałem na przykład taką okoliczność w Wejsunach, że jak jeszcze byłem uczniem, pewnego dnia spotkałem na ulicy kierownika mojej szkoły, Bielawskiego<sup>26</sup>.

– Ta, cho no tu! – zawołał swoim zwyczajem z charakterystycznym lwowskim zaśpiewem, bo on pochodził z okolic Lwowa. Spojrzałem, a tu idzie z nim staruszek. – Cho no tu! To widzisz, Pan Wańkiewicz przyjechał! – Jeszcze nie

---

<sup>26</sup> Eugeniusz Bielawski (1906–1986) – do 1939 r. nauczyciel w powiecie sokalskim, uczestnik kampanii wrześniowej. W latach II wojny światowej oficer AK, od 1945r. w WiN. Kilkakrotnie aresztowany przez UB, w 1949 r. przeniósł się do powiatu piskiego, gdzie pod przybranym nazwiskiem, Jan Siennicki, uczył w wiejskich szkołach. Powrócił do prawdziwych personaliów po przełomie październikowym w 1956 r. W 1971 r. w własnym domu w Wejsunach założył Mazurską Izbę Regionalną.

wiedziałem wtedy, kto to jest Melchior Wańkowicz<sup>27</sup>, bo on dopiero co wrócił wtedy z emigracji w Ameryce. Później się dowiedziałem, że to wielki dokumentalista, dziennikarz i znakomity pisarz. Znałem natomiast bardzo dobrze pisarza Bohdana Czeszko<sup>28</sup>. Czasem nawet codziennie bywał u mnie w domu albo ja u niego. W tamtym czasie nasze wspólne upodobanie, to znaczy łowiectwo, nas mocno łączyło. Spotykaliśmy się niekiedy z innym zapalonym myśliwym Romanem Bratnym<sup>29</sup>, który był autorem *Kolumbów*, między innymi takiej znanej książki, film zresztą dobry został nakręcony *Kolumbowie*. *Rocznik 20*. Poznałem też znakomitych dwóch tłumaczy. Jednym był słynny tłumacz literatury angielskiej, przede wszystkim poezji, Jerzy Sito<sup>30</sup>, który zmarł niedawno. Drugi to Bronek Zieliński<sup>31</sup>, tłumacz Hemingwaya. On starszy ode mnie człowiek był, ale kolegom w Kole Łowieckim „Zielony Krag” kazał sobie mówić per ty. Podprowadziłem mu kiedyś pięknego jelenia do odstrzału i on mi potem przesłał list z podziękowaniami. Nikt nie wiedział, że to będzie ostatni jeleń w jego życiu, bo wkrótce potem zmarł. Innym znanym autorem był Ryszard Frelek<sup>32</sup>.



Dietmar Serafin w Drygalech podczas Turnieju Rycerskiego w 2012 r.

<sup>27</sup> Melchior Wańkowicz (1892–1974) – pisarz i reportażysta. W latach trzydziestych odbył podróż po Prusach Wschodnich, co pozwoliło mu napisać znakomity reportaż pt. *Na tropach Smętki*, w którym zawarł m.in. ciekawe informacje na temat Pisma i okolic. W czasie wojny przebywał na emigracji, z której powrócił w 1958 r. Autor wielu książkowych bestsellerów, kilkakrotnie odwiedzał ziemię piską i Mazury w latach 1958–1974. W 2011 r. nad Pisą postawiono jedyny w Polsce pomnik pisarza.

<sup>28</sup> Bohdan Czeszko (1923–1988) – pisarz i publicysta. W czasie wojny związany z konspiracją komunistyczną, po wojnie aktywny członek PZPR i poseł na Sejm PRL. Lubił polowania w Puszczy Piskiej, publikował w piskich wydawnictwach lokalnych.

<sup>29</sup> Roman Bratny (ur. w 1921 r.) – właśc. Roman Mularczyk. Pisarz i publicysta, członek PZPR. Przez pasję myśliwską i miejsce wypoczynku związany z Ziemią Piską.

<sup>30</sup> Jerzy Sito (1934–2011) – poeta, znany tłumacz sztuk Williama Szekspira.

<sup>31</sup> Bronisław Zieliński (1914–1985) – tłumacz literatury amerykańskiej.

<sup>32</sup> Ryszard Frelek (1929 – 2007) – pisarz, nauczyciel akademicki, członek PZPR, działacz polityczny wysokiego szczebla w okresie PRL.

O, to była wielka szycha w latach PRL, poseł na Sejm z ramienia PZPR, kierownik Wydziału Zagranicznego KC PZPR, wykładowca i pisarz. Z polityków tamtej epoki to trafił mi się również były premier Mieczysław Rakowski, który podobnie jak wielu innych miał letni domek w okolicy. Z pisarzy bliskich ówczesnej władzy – Jerzy Putrament<sup>33</sup>. Krążyły o nim wtedy takie fraszki: „Dla Putramenta szkoda atramenta”, albo „Tu leży Putrament – ament”.

Dzięki łowiectwu poznałem naprawdę wielu aktorów, dziennikarzy, z których większość już się przeniosła na łono Abrahama, ale niektórzy jeszcze tam żyją. Jednym z nich był Ryszard Bańkowicz, taki słynny podróżnik i przede wszystkim dziennikarz publikujący w fachowych pismach podróżniczo-geograficznych.

Wtedy to było moje życie, a dziś... dziś to już tylko wspominki.

---

<sup>33</sup> Jerzy Putrament (1910–1986) – pisarz i publicysta. Przed wojną związany z Młodzieżą Wszechpolską, po II wojnie światowej członek PZPR, poseł na Sejm PRL, dyplomata. Utrzymywał związki z komunistycznymi tajnymi służbami. Chętnie przebywał w Puszczy Piskiej, której poświęcił kilka swoich utworów.

## *T*ERESA *S*KRODZKA

Mój ojciec to Stefan Michał Lenkiewicz. Urodził się w 1891 roku w Teresowie, powiat Rawa. W dniu 28 stycznia 1918 roku w białej Cerkwi na Ukrainie zawarł związek małżeński z Eleonorą Wilimczyk. Od 1 czerwca 1919 roku objął funkcję przodownika policji w Kolnie. Następnie podobną funkcję pełnił w Turośli, Łysych i Zbójnie, skąd został przeniesiony w 1932 roku do Więcborka. Tam pracował w policji do 2 września 1939 roku, to jest do chwili mobilizacji. Zmobilizowany dostał się z armią polską na Wschód. Po wkroczeniu do Polski Rosjan (17 września 1939 roku) przybył do teściów zamieszkających we wsi Wykowo powiat Łomża. Tu w listopadzie został aresztowany przez NKWD [...]. Po wojnie poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż, ponownie jeszcze w 1958 roku, nie dały żadnego rezultatu. Żadna korespondencja nie nadeszła, być może była przejmowana przez NKWD, gdyż żona z dziećmi została z Wykowa wysiedlona i ukrywała się [...].

Oprócz ojca straciłam także dwóch braci. Najstarszym z synów był Jan, urodzony w 1921 roku. Do 1939 roku mieszkał w Więcborku. W czerwcu 1939 roku skończył gimnazjum i zdał małą maturę w Sępólnie. W latach 1940–1941 przebywał we wsi Szablaki gmina Turośl, na terenach zajętych przez Niemców. W 1942 roku przybył do Wykowa i wstąpił do Armii Krajowej. Pseudonimu nie znam [...]. W początkowym okresie niektóre zebrania odbywały się późnym wieczorem w domu dziadka Lucjana Wilimczyka, u którego mieszkali w tym czasie zięć Apolinary Skrodzki, przedwojenny nauczyciel i oficer rezerwy, oraz bracia, Jan i Kazimierz Lenkiewicz [...]. Wiosną 1943 roku Jan został w czasie obławy aresztowany. Przebywał w więzieniu w Łomży, następnie w obozie koncentracyjnym w Stutthof (Sztutowie), gdzie został zamordowany (oficjalnie podano, że zmarł na zapalenie płuc) w czerwcu 1943 roku.

Młodszy brat, Kazimierz Lenkiewicz, urodził się 10 lutego 1924 roku w Zbójnie, powiat Kolno. Do Armii Krajowej wstąpił w 1942 roku, mając



Partyzancki patrol  
NZW. Pierwszy  
z prawej Kazimierz  
Lenkiewicz  
„Warmiak”

osiemnaście lat. Jego protegowanymi byli wuj Apolinary Skrodzki<sup>1</sup> i brat Jan Lenkiewicz. Z czasów okupacji przypominam sobie o ujęciu przez AK w okolicach Lachowa-Rydzewa dwóch Niemców, w tym jednego wyższej rangi. Przetrzymani byli w lesie koło Rydzewa i zażądano od nich wymiany aresztowanych akowców [...]. Zdaje się, że wymiana nastąpiła [...]<sup>2</sup>. Po pojmaniu

<sup>1</sup> Apolinary Skrodzki „Sław” (ur. 1913 r.) – podporucznik rezerwy, zaprzysiężony do ZWZ-AK w październiku 1941 r., w czasie okupacji pełnił funkcję komendanta placówki AK Łomża, według stanu na grudzień 1943 r. dowodził 4. Kompanią AK.

<sup>2</sup> W rzeczywistości akcję tylko przypisywano Armii Krajowej. Przeprowadził ją oddział NSZ dowodzony przez Bolesława Kozłowskiego „Grot”. Bolesław Kozłowski tak to zapamiętał: „Wywiad doniósł, że do zarządcy majątku w Lachowie, niejakiego Roberta Piwko, jadą w gości dwaj niemieccy oficerowie – major Wehrmachtu Gutzeit i porucznik Kretschmann. Plan mój był taki: zagarnąć zakładników i wytargować u Niemców, ile się da, naszych więźniów z Łomży... z tym zarządcą Piwko mieliśmy od dawna na pieńku. Mazur z pochodzenia, mówił dobrze po polsku, ale drań był dla Polaków wyjątkowy. Bił po głowie, gdy się kto nie uklonił, dziewczuchy tarmosił, byle się jaka podwinęła... mój brat Antoni, kapitan »Biały«, byłby go już stuknął, gdyby nie obawa odwetu wobec bezbronnej ludności okolicznej...” (cyt. za: W. Brenda, *Bolesław Kozłowski „Grot” i inni... Splecione losy Żołnierzy Wyklętych*, „Zeszyty Kolneńskie” 2012, nr 7, s. 8). Gdy zakładnicy zostali schwytani, podobno okazało się, że jeden cieszy się zaufaniem samego Hitlera. Nakłoniono więc Gutzeit do napisania listu, przekazanego następnie Niemcom. W liście znalazło się żądanie zwolnienia 300 Polaków przetrzymywanych w więzieniu. Udało się i wielu ludzi wyszło na wolność. Zwolniono również niemieckich zakładników schwytanych przez partyzantów.

Niemców była wielka oblawa na partyzantów właśnie w tych okolicach [...]. W sierpniu 1944 roku w okresie trwania powstania warszawskiego akowcy z powiatu kolneńskiego, w tym również brat Kazimierz Lenkiewicz „Brzoza” przygotowali się do wymarszu na pomoc walczącej stolicy. Matka zaopatrzyła go w prowiant, niezbędne rzeczy, pożegnał się z nami i wyruszył na zbiórkę gdzieś w lasach koło Małego Płocka za Kolnem. Wtedy już często powtarzało się nazwisko Hieronima Rogińskiego<sup>3</sup>. Po tygodniu wrócił, rozkaz cofnięto. Z tego okresu pozostała po nim menażka i manierka.

Styczeń 1945 roku. Wyzwolenie Wykowa. Kazimierz zgłosił się do gimnazjum w Kolnie, by kontynuować naukę (miał ukończone przed wojną dwie klasy gimnazjum). Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, dlaczego go nie przyjęto. Mama powtarzała, że nie miała masła, mięsa, aby opłacić szkołę i nauczycieli, gdyż nie otrzymywali pensji. Myśmy byli biedni. Do Wykowa przyjechaliśmy w 1939 roku z ręcznym bagażem. Cały dorobek rodziców pozostał na Pomorzu, gdy Polskę zajęli Niemcy. Teraz już wiadomo, dlaczego nie został przyjęty. Ojca, przedwojennego policjanta, aresztowało przecież NKWD.

Latem 1945 roku Kazimierz wyjeżdża do Pisz, wówczas Jańsborka. Przy ulicy Rybackiej 7 wraz ze współnikiem z Wykowa zakłada sklep kolonialny, sam również tam zamieszkuje (dom ten już nie istnieje). Od 15 września 1945 roku Józef Tysza<sup>4</sup> otwiera w Pisz polską szkołę podstawową. Brat Kazimierz ściąga mnie do Pisz i zapisuje do klasy piątej. Jestem drugą polską uczennicą: Janusz Szablewski, Teresa Lenkiewicz, Urszula Jeżewska oraz siedmioro Mazurów (Niemców). W Pisz nie było prądu, wody i zalegało pełno gruzu. W jesienne wieczory na ulicach pustki, tylko słychać było pojedyncze strzały. Jednak życie toczyło się do przodu, przybywało nowych mieszkańców.

Nadszedł rok 1946. Kazimierz powołany został do wojska. Dostał przydział do jednostki KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego)<sup>5</sup> w Bieszczady. Postanowił nie iść, gdyż nie chciał służyć ani w takiej jednostce, ani na

---

<sup>3</sup> Hieronim Rogiński „Róg”, „Cień” (1911–1952) – podoficer zawodowy Wojska Polskiego, uczestniczył w kampanii wrześniowej. W czasie okupacji wstąpił do ZWZ-AK, skąd przeszedł do NSZ. Uczestniczył w tworzeniu organizacji PO WE kierowanej przez inż. Romualda Kozła „Masława”, „Łużyce”, „Pojawę”. Po wojnie kontynuował działalność konspiracyjną w szeregach NZW na pograniczu powiatów Łomża, Kolno, Ostrołęka i Pisz. W 1947 r. próbował się wycofać, ale aresztowany przez UB, powrócił do czynnej walki. Zginął śmiercią samobójczą w Czerwonym podczas próby aresztowania przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa.

<sup>4</sup> Józef Tysza (ur. 1907 r.) – w okresie międzywojennym ukończył Seminarium Nauczycielskie w Łomży. Doksztalał się na wyższych kursach nauczycielskich w Warszawie. W latach 1945–1946 organizował Szkołę Podstawową nr 1 w Pisz. Członek ZNP.

<sup>5</sup> Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) – formacja zbrojna utworzona przez władze komunistyczne w celu zwalczania podziemia antykomunistycznego w Polsce, w tym także organizacji niepodległościowych. KBW był uznawany za część aparatu bezpieczeństwa.



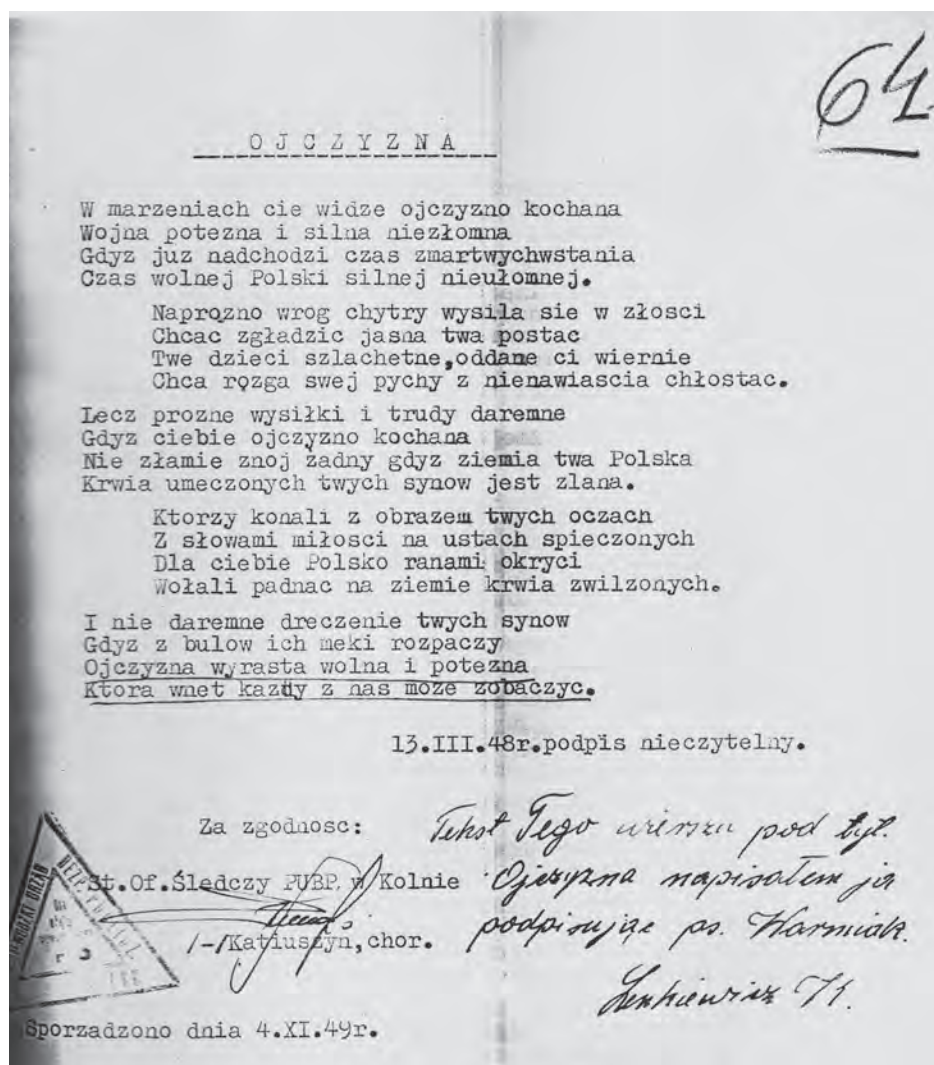
tamtym terenie. Wyjechał z Pisz do Szablaków. Nawiązał kontakt z Hieronimem Rogińskim „Rogiem” i Bronisławem Chrzanowskim<sup>6</sup>, pospolicie zwanym Chrzanem, który używał pseudonimów Ostry i Orzeł. Był dowódcą powiatowym Narodowego Zjednoczenia Wojskowego i dowódcą oddziału. Zastępcą dowódcy został Kazimierz Lenkiewicz „Warmiak”. Dla większego bezpieczeństwa i łatwiejszego ukrycia się stworzono mniejsze samodzielne oddziały. W czerwcu 1948 roku oddział ten liczył siedem osób. Przebywali na terenie powiatu kolneńskiego we wsiach Szablaki, Łacha, Popiołki, Ptaki, Wykowo. Co jakiś czas odbywały się na nich obławy. W czasie jednej z nich, podczas śnieżnej zimy 1948/1949 roku ledwie uszli z życiem. UB zastało ich w lesie, w bunkrze podczas przygotowywania śniadania. Udało im się uciec, bo rozbiegli się w różnych kierunkach, ale UB zabrało ich dokumenty, zapiski, notatki, maszynę do pisania i zbiór wierszy w maszynopisie autorstwa Kazimierza Lenkiewicza. Na późniejszej rozprawie był to jeden z głównych dowodów winy, gdyż treść ich godziła w państwo Polskie i ZSRR.

Kontakt z nim utrzymywała matka Eleonora Lenkiewicz. Spotkania odbywały się przeważnie w Szablakach u matki siostry Heleny Pieloch, także u Bazydłów mieszkających na kolonii.

W tym czasie uczęszczałam do Liceum Ogólnokształcącego w Pisz. Moja najbliższa przyjaciółka z klasy, która mieszkała u siostry, sekretarki Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej, i szwagra, pracownika Urzędu Bezpieczeństwa, była naszym codziennym gościem, obserwowała nas i donosiła. Myśmy o tym wiedzieli, ale było to nam na rękę, gdyż wtedy UB rzadziej wzywał brata Mieczysława i matkę na przesłuchania. Jak mama miała wyjechać na spotkanie z synem Kazimierzem, zawsze tak postępowaliśmy, żeby „koleżanka” była u nas do ostatniej chwili, żeby nic nie wskazywało na to, że kto szykuje się do wyjazdu. Kiedy wyszła, mama szybko przebierała się i szła do autobusu. Jechała na spotkanie z synem. Kilka słów o „koleżance”. Po maturze w liceum i szkole pedagogicznej z nakazu pracy podjęła pracę w dwuklasowej szkole podstawowej w gminie Wielbark na skraju puszczy [...]. W kilka miesięcy potem zginęła tragicznie w Pisz w mieszkaniu siostry od kuli z broni narzeczonego – pracownika UB w Pisz. Komisja orzekła, że był to nieszczęśliwy wypadek. Tak też to wtedy przyjął. W 1991 roku, będąc w Pisz na zjeździe absolwentów

---

<sup>6</sup> Bronisław Chrzanowski „Chrzan”, „Ostry”, „Orzeł” (1922–1949) – od 1941 r. żołnierz konspiracji. W 1945 r. walczył w szeregach oddziału partyzanckiego Zbigniewa Nowaka „Haliacza” (NSZ), następnie w oddziale Hieronima Rogińskiego „Roga” (NZW). W okresie nieobecności Roga kierował utworzoną przez niego Komendą Powiatu „Łużyca”, „Łuków”. Zginął podczas operacji KBW.



Niedokładny odpis wiersza Kazimierza Lenkiewicza znaleziony w aktach sądowych. Dokument został sporządzony na poniemieckiej maszynie do pisania, na co wskazuje brak polskich czcionek

Liceum Ogólnokształcącego rocznika 1951, dowiedziałam się od kolegów, że to ten ubowiec ją zastrzelił. Przyczyn tylko się domyślali... W sumie nie była zła, była szczerą, podzieliła się jednym cukierkiem, jeśli go miała. Jeszcze przed śmiercią przysłała mi swoje zdjęcie w mundurze i czapce swego przyszłego zabójcy... Mam je do dziś. Odeszła jako pierwsza z naszego rocznika.

Nadszedł rok 1949. Zbiór siana. Piękna słoneczna pogoda. Z relacji Tadeusza Kalinowskiego (ówczesnego szefa PUBP w Kolnie) w książce Aleksandra

Omiljanowicza pod tytułem *Zanikające echa*<sup>7</sup> wynika, że na łąkach koło wsi Łacha miała się odbyć koncentracja oddziałów Bronisława Chrzanowskiego „Ostrego”, Józefa Kozłowskiego „Łasa”<sup>8</sup>, Edwarda Lipińskiego „Mrówki” i innych. Już 19 czerwca do okolicznych lasów napływało wojsko i UB. Dziewiętnastego czerwca pod wieczór jechał rowerem z Kozła do Łachy członek oddziału Chrzana, Marian Pieloch. Na leśnej drodze padł rozkaz zatrzymania się. Nie usłuchał, zaczął uciekać. Dosięgły go kule. W tym czasie czterech członków z oddziału Chrzana – Bronisław Chrzanowski, Kazimierz Lenkiewicz „Warmiak”, Dominik Milewski „Sokół” i Józef Pieloch – przebywali ukryci w stogu siana na łąkach (bagnach) koło Łachy. Następnego dnia, to jest 20 czerwca 1949 roku pracowało przy sianie dużo ludzi z Łachy, Kozła, Szab拉克ów. Dokładniej opowiedział mi o tym naoczny świadek wydarzeń, wówczas kilkunastoletni chłopiec Mieczysław Bazydło z Szab拉克ów. Wtedy pracował tam przy sianie. W pewnym momencie zobaczyli mężczyźni wychodzących z lasów otaczających łąki. Partyzanci wyskoczyli ze stogu i rozbiegli się w różnych kierunkach. Kazimierz i Dominik ukryli się w trzcinach na bagnie. Chrzanowski pobiegł w kierunku pola i lasu. Pieloch szybko rozebrał się, po czym w spodniach i z grabiami na ramieniu wyszedł z pola obławy. Chrzan, który uciekał w kierunku pola i lasu, osaczony nie miał szans ucieczki. Zginął, rozrywając się granatem. Ubowcy zbliżali się do trzcin. Dominik prawdopodobnie psychicznie nie wytrzymał i wystrzelił do nich. W ten sposób się odkrył. W jego kierunku posypały się serie z automatów. Zginął. Kazimierz Lenkiewicz „Warmiak” był bardziej odporny psychicznie. Cały dzień, aż do zmierzchu stał po szyję w wodzie, w trzcinach. Dopiero wieczorem zziębnięty, wyczerpany wyszedł bezpiecznie. Obławy już nie było. Taką wersję podał również Kazimierz Lenkiewicz swojej matce. Zabitych zawieziono do Kolna. Tam doprowadzono rodziny w celu ich rozpoznania.

Dalej ukrywali się Kazimierz Lenkiewicz i Józef Pieloch. Przypominam sobie, że był jeszcze ktoś trzeci, kto oddzielił się od nich. Funkcjonariusze UB i milicjanci nawoływali ich do ujawnienia się, obiecując zmniejszenie kary. Szef UB w Kolnie w cytowanej książce mówi, że po trzech dniach, a według mnie później, to jest około 20 sierpnia, Lenkiewicz i Pieloch przebywali w zabudowaniach Władka i Bronka Stachelków w Rudzie za Popiołkami koło Turośli, gdzie zostali nad ranem otoczeni przez UB. Przybył nawet sam szef Kalinowski.

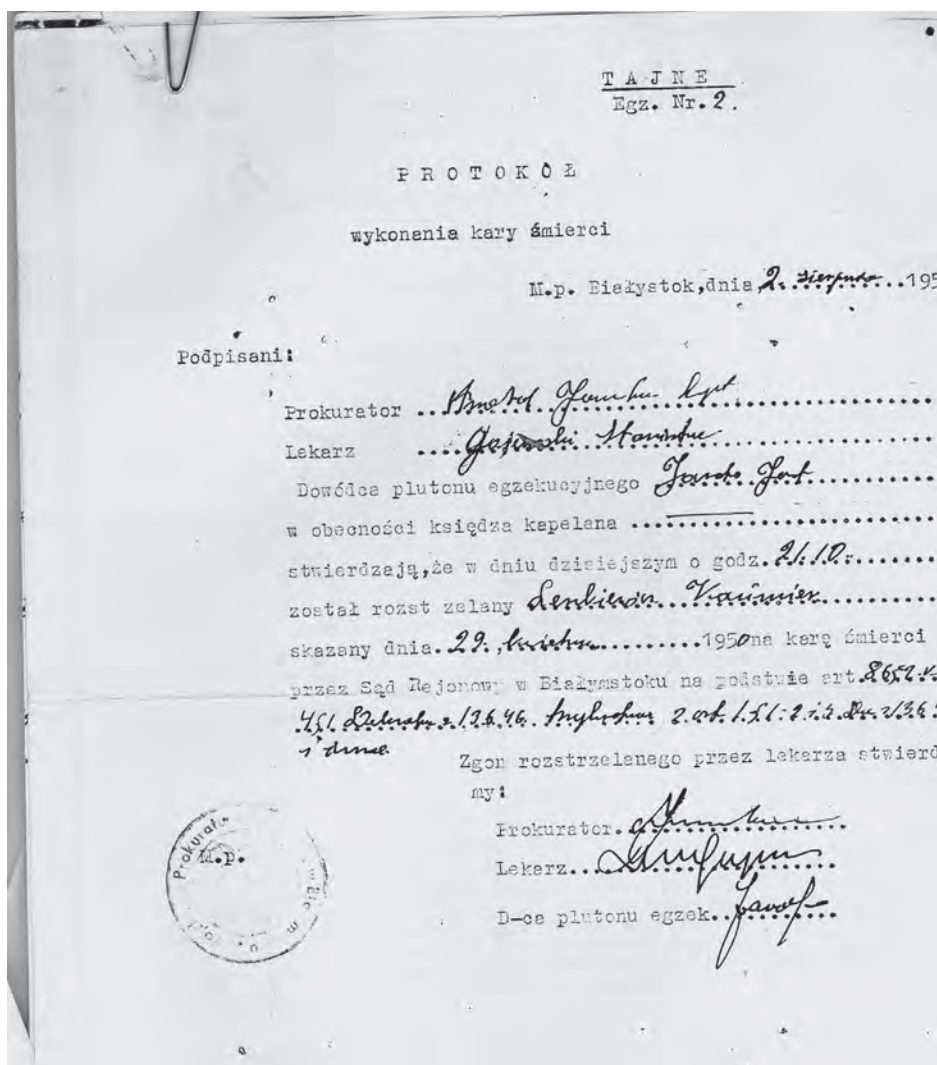
---

<sup>7</sup> A. Omiljanowicz, *Zanikające echa*, Warszawa 1977.

<sup>8</sup> Józef Kozłowski „Łas” był w tym czasie komendantem Okręgu Orzeł NZW, obejmującego powiaty północnego Mazowsza oraz południowe gminy powiatów Szczytno i Pisz.







Protokół wykonania kary śmierci na Kazimierzu Lenkiewiczu

Kazimierz opowiadał potem matce, że spali w sianie na chlewie. Wyrwani ze snu, zobaczyli przez otwór, że są otoczeni i nie mają drogi ani szans ucieczki. Józef Pieloch był już żonaty, miał dziecko, postanowili więc, że się podda. Lenkiewicz postanowił rozerwać się granatem. Szef UB Kalinowski zaczął negocjować, tłumaczył, że jest młody, żeby się poddał. Musiał być dobrym psychologiem [...] bo wtedy Lenkiewicz zmienił zdanie i zszedł. Obaj zostali zatrzymani i przewiezieni do Kolna. Według Lenkiewicza nie byli torturowani, w Kolnie bowiem obchodzili się z nimi nienajgorzej [...]. Z Kolna przewieziono ich do

Białegostoku i tam zaczęło się piekło – przesłuchania i tortury. Kilka razy, kiedy matka pojechała do Białegostoku na widzenie z synem Kazimierzem, raz ze mną w lutym 1950 roku, widzenia nie odbyły się. Prawdopodobnie dlatego, że był torturowany i nie chcieli tego ujawnić.

Dwudziestego siódmego kwietnia 1950 roku o godzinie dziewiątej w Wojсковym Sądzie Rejonowym w Białymstoku odbyła się rozprawa. Stawiło się trzech „ich” świadków. Z urzędu bronił go adwokat, major rezerwy Roman Gabrusiewicz. Nazwisk sędziego i prokuratora nie pamiętam. Sędzia to był podobno rosyjski Żyd – tak o nim wówczas mówili. Z rozprawy posiadamy tylko jedno zawiadomienie o rozprawie, wysłane przez adwokata Gabrusewicza. Sąd żadnych zawiadomień i pism rodzinie nie przysyłał. Na rozprawie skazano go na karę śmierci. Tak zanotowałam po powrocie z rozprawy: stał przed stołem, miał smutnie uśmiechniętą twarz, milczące, szlachetne oczy i usta. Stał jak małe stworzonko, drżący, bezsilny, zarazem dumny jak największy bohater. Prezydent Bierut go nie ułaskawił. Piątego czerwca 1950 roku dostaliśmy od niego pożegnalny list. Nadany listem poleconym bez wskazanego nadawcy, z Przerośli. Kartka tego listu była przybrudzona, wymięta, jedna czwarta oddarta – to ślady, że długo go nosił przy sobie, zanim udało mu się ten list komuś przekazać. Nie miał daty. W lipcu nadszedł list, ostatni wysłany przez pocztę więzienną. I cisza. O wykonaniu wyroku dowiedzieliśmy się nieoficjalnie od adwokata Gabrusiewicza 12 sierpnia 1950 roku. Potwierdził to mojej matce prokurator w dniu 11 października 1950 roku. Oficjalnego zawiadomienia nie było.

Po „odwilży” w 1958 roku byłam w białostockim sądzie. Z dwójgiem młodych pracowników sądu zeszliśmy do archiwum mieszczącego się w piwnicach. Przyniesiono jego akta, wśród których była szara koperta, opieczetowana lakowa kopertą. Na niej napisana data 5/6 sierpnia 1950 roku (to była sobota/niedziela). Pracownicy powiedzieli, że zawiera protokół z wykonania wyroku. Zginął jak żołnierz przez rozstrzelanie. Był też skoroszyt z wierszami zabranymi z bunkra, wiele wersów podkreślonych czerwonym atramentem. Kiedy pracownicy zobaczyli, kto sądził, powiedzieli, że on wszystkich mądrzejszych skazywał na karę śmierci. Gdzie ich chowano, wówczas nie wiedzieli. Nie wiemy tego do dziś. W chwili śmierci miał dwadzieścia sześć lat.

Trzeci z moich braci miał na imię Mieczysław. Zimą 1946 roku przeniósł się do zrujnowanego Pisha, aby czymś się zająć i zacząć zarabiać na życie. Wcześniej osiedlił się tu jego młodszy brat Kazimierz, który wspólnie ze znajomym z Wykova, Edmundem Obiedzińskim, otworzyli sklep [...]. Mieczysław upatrzył sobie piekarnię przy ulicy Lipowej. Piec był w dobrym stanie,



wystarczyło tylko uprzątnąć pomieszczenie. Przyjął pracownika i produkcja ruszyła. Początkowo przedsięwzięcie było dochodowe, ale kiedy zaczęła rozwijać się konkurencja, interes słabł. Pod koniec 1946 roku zrezygnował z piekarni i założył sklep [...] przy ulicy Rybackiej 7, w swoim mieszkaniu, z którego wydzielił pokój od ulicy. Wchodziło się do niego z korytarza. Pod tym samym numerem funkcjonował już sklep tej samej branży, który od maja 1946 roku należał już tylko do jednego właściciela Edmunda Obiedzińskiego [...].

W 1947 roku komisja rekwirowała wartościowe niemieckie meble, obrazy, pianina itp. W sklepie Mieczysława zarekwirowano półki sklepowe i ladę. Sklep przestał istnieć. Potem te sprzęty sklepowe widziałam w kantynie dla milicji, którą otwarto w budynku przy Komendzie Powiatowej MO, a do której wchodziło się od ulicy 1 Maja w Pisz. Mieczysław zaczął szukać pracy. Mimo że przed wojną ukończył dwie klasy gimnazjum, nigdzie nie chciano go przyjąć. Dla niego nie było pracy [...]. Urzędy miały zakaz przyjmowania go do pracy umysłowej, a nawet fizycznej. Zostaliśmy bez środków do życia – schorowana matka, dwie młodociane siostry i Mieczysław. Było nam bardzo ciężko. W tym czasie przychodziły do Polski dary z UNRR-y. Myśmy nigdy nic nie otrzymali. W szkole chodziły po klasach różne komisje i spisywały potrzeby uczniów. Zawsze mnie i siostrę pomijano. Kiedyś wspomniałam komisji, że rozlatują mi się buty, a jest zima – nie dostałam. Przeważnie dostawały te same osoby – dzieci małych chłopów i robotników. Dzieci bogatszych gospodarzy i inteligencji były pomijane. Ja miałam pochodzenie inteligenckie i takie podawałam.

Mieczysław ciągle nie miał pracy. Mama ze swoim bratem Zygmuntem Wilimczykiem<sup>9</sup>, żołnierzem AK i uczestnikiem powstania warszawskiego, też prześladowanym po wojnie w Pisz, uradzili, że on od swego ojca, Lucjana Wilimczyka, z Wykowa weźmie konia, którego ojciec przeznaczył dla niego na „czarną godzinę”. Mieczysław będzie zwozić z lasu drewno, które spławiano dalej Pisą. Pracował sam, wuja Zygmunta w tym czasie aresztowało UB. Była to bardzo ciężka praca, sam jeden, jedynie z pomocą prymitywnego podnośnika. Całe szczęście, że brat był dobrze zbudowanym, silnym mężczyzną. Zarobki dzielone na połowę, ledwie wystarczały na podstawowe wyżywienie. Warzywa i ziemniaki mama uprawiała w odległym o dwadzieścia kilometrów

---

<sup>9</sup> Zygmunt Wilimczyk „Borsuk II” (ur. w 1915 r.) – wachmistrz żandarmerii, żołnierz AK w Warszawie. Uczestniczył wraz z bratem Henrykiem „Marywilem” w akcji, przeprowadzonej wczesnym rankiem 1 lipca 1943 r., wyniesienia z mieszkania Grota archiwum AK. Po wojnie zamieszkał w Pisz. Aresztowany i skazany na więzienie przez Wojskowy Sąd Rejonowy za kontakty z podziemiem.

Wykowie. W lesie brat Mieczysław spotykał „różnych” ludzi. Byli to, jak się domyślał, śledzący go ubowcy.

W czasie tej pracy miał wypadek. Kłoda drewniana osunęła się z wozu i uderzyła go w podudzie. Rana była głęboka, nie goiła się. Mama rozpacziała, martwiła się. Postanowiła, że Mieczysław skończy z tą ciężką pracą. Poszuka sobie innej, przecież ma dwie klasy przedwojennego gimnazjum, a w tamtym okresie ludzie po pięciu klasach szkoły podstawowej pracowali w biurach, a po siedmiu zajmowali kierownicze stanowiska. W Pieszku odbudowano już i zaczęła działać fabryka sklejek. Przyjmowano ludzi do pracy. Poszedł tam i został przyjęty. Pracował w biurze i dobrze się w tej pracy czuł. Minęło sześć miesięcy. Urząd Bezpieczeństwa zorientował się, że tam pracuje, nakazali go zwolnić. Znów wędrówki, szukanie, a my o suchym chlebie posypanym cukrem.

Pewnego dnia mamie przyszło na myśl, aby poszedł jeszcze do doktora Chwała, który w tym czasie był lekarzem powiatowym i kierował szpitalem [...]. Doktor Chwał miał opinię dobrego lekarza i człowieka. Zjawił się u niego i przedstawił mu swoją sytuację. Chwał już następnego dnia kazał mu się zgłosić na stanowisko magazyniera w szpitalu. Nie była to praca, jakiej by chciał, ale w ogóle była, do tego spokojna. Był bardzo wdzięczny doktorowi Chwałowi. Minęły trzy miesiące, doktor Chwał z wielkim żalem, współczuciem oznajmił mu, że UB nakazał, iż ma go zwolnić z pracy i on musi się podporządkować.

Mamy znajomej zięć, Piotrowski, pracował na kolei i doradził Mieczysławowi, aby tam się zgłosił. Po tygodniu, prawdopodobnie po konsultacji z UB, przyjęto go na stanowisko, na które nie było chętnych [...]. Codziennie pokonywał około pięćdziesiąt kilometrów marszu w deszcz, śnieg, mróz, wiatr, upał. Sprawdzał tory kolejowe, a zimą odśnieżał. Latem był tak opalony, że wyglądał jak mulat. Wracał zmęczony, zziębnięty, wyczerpany. Zarabiał marnie. Serce matki przeszywał żal nad dolą syna.

W czasie tych wędrówek, nie wiadomo skąd nagle pojawiali się jacyś mężczyźni. Był sprawdzany, czy nie ma kontaktów z podziemiem, gdyż wzdłuż trasy ciągnęły się lasy. On od razu się domyślał, kto to jest i nie dał się sprowokować, bo takie próby też były.

W tym czasie zapisał się do szkoły wieczorowej – liceum ogólnokształcącego, by zrobić maturę. Ponieważ był już dojrzałym mężczyzną, odczytanym, miał solidne podstawy przedwojennego gimnazjum, to matura dla niego była w zasadzie formalnością, ale musiał klasę trzecią i czwartą przerobić. W szkole był prymusem. Kiedyś w święto 1 Maja z innymi przodownikami pracy z różnych zakładów stał na trybunie honorowej i jako prymus szkoły miał szarfę z napisem

„Przodownik Nauki” [...]. W liceum ze wszystkich odpowiedzi i klasówek otrzymywał stopnie bardzo dobre za jednym wyjątkiem. U profesor Heleny Laskowskiej<sup>10</sup>, która uczyła języka rosyjskiego, od początku do końca miał trójkę. Na lekcjach rosyjskiego podpowiadał innym, odpisywali od niego, pisał bezbłędnie, ale nie dostał nigdy powyżej „trzy”. Mówił, że na stopniu mu nie zależy, tylko na wiedzy, chociaż wielu wprost mówiło profesor Laskowskiej, że to niesprawiedliwe. Ale uczyli się również tacy, którzy nad tym czuwali<sup>11</sup>. Tak było z resztą naszej rodziny. U profesor Heleny Laskowskiej w liceum dziennym jego siostry mogły dostać tylko trójkę, nigdy więcej, chociaż praca klasowa była napisana bez błędów. Dziś już nie dowiemy się, czy było to osobiste nastawienie do naszej rodziny, czy nakazane. A może my się mylimy?<sup>12</sup>

Profesorem, który według mnie nie stosował nakazów, był Roman Kozyra. Uczył matematyki. Wykładał wspaniale. Na jego wykładzie każdy wszystko rozumiał, a najważniejsze, że oceniał sprawiedliwie – wiedzę, nie pochodzenie, stanowisko czy majątek rodziców. Od tamtych czasów minęło tyle lat, a mimo to wspominam go z szacunkiem [...].

Po śmierci brata Kazimierza [...], a szczególnie po śmierci Stalina, wokół naszej rodziny znacznie się uspokoiło. Mieczysław otrzymał pracę w PSS w Pieszku. Wkrótce powierzono mu stanowisko kierownika zakładów mięsnych. Podjął studia na Uniwersytecie Łódzkim. Jednocześnie kończył różne kursy z dziedziny, w której pracował. Do pracy przyjmował ludzi, którzy po śmierci Stalina, jako więźniowie polityczni opuszczali więzienia i szukali zajęcia. Sprowadzali do Pieszki żony, rodziny. Byli to przeważnie ludzie młodzi. Praca nie była lekka, ciążyła na nim wielka odpowiedzialność, gdyż niektórzy pracownicy wynosili z zakładu mięso i wędliny. Pewnego dnia złapano takiego pracownika. Po zatrzymaniu oświadczył, że wynosił to nie dla siebie, a dla prokuratora. Tę funkcję pełnił wtedy w Pieszku prokurator S., którego żona była sędzią i kierownikiem

---

<sup>10</sup> Helena Laskowska (ur. 1885 r.) – do wybuchu wojny była nauczycielką Szkoły Powszechnej w Stawiskach, gdzie uczyła po zajęciu regionu przez Armię Czerwoną do 1941 r. Po wkroczeniu Niemców prowadziła tajne nauczanie i współpracowała z AK. Kolportowała prasę podziemną, pełniła funkcje łączniczki między Stawiskami a Łomżą. Dotkliwie pobita przez Niemców, którzy pozbawili ją mienia. Po zakończeniu wojny powróciła do pracy w Stawiskach. W 1946 r. uczyła w Technikum Przemysłu Leśnego w Łomży. W tym samym roku rozpoczęła pracę w Liceum Ogólnokształcącym w Pieszku, gdzie w latach 1950–1951 pełniła funkcje dyrektora. Przez kilka lat prowadziła Szkolne Koło Przyjaciół Związku Radzieckiego.

<sup>11</sup> Do szkoły wieczorowej uczęszczali również funkcjonariusze PUBP.

<sup>12</sup> Inaczej lekcje języka rosyjskiego w tamtym okresie zapamiętał Tadeusz Pardej: „W szkole średniej języka rosyjskiego uczyła pani Helena Laskowska, długoletnia nauczycielka. Chcąc przekonać się, z kim ma do czynienia, na pierwszej lekcji poleciła każdemu uczniowi przeczytać kilka zdań z podręcznika. Byli i tacy uczniowie, którzy nie znali wszystkich liter. Ta sytuacja sprawiała, że poziom nauki z konieczności musiał być zanizony”. Zob. T. Pardej, *W powojennej szkole*, „Znad Pisy” nr 3, 1996, s. 30.

Sądu Powiatowego w Pisz. W latach pięćdziesiątych, tak jak w całym okresie trwania PRL, był kryzys w zaopatrzeniu. Brakowało wszystkiego. W sklepach mięsnych były ciągle długie kolejki. Towarzysz prokurator nie chciał stać, ale chciał dobrze zjeść. W tym czasie Urząd Bezpieczeństwa został już rozwiązany, toteż najważniejszą osobą w Pisz. był prokurator i sekretarz PZPR [...]. Po kilku dniach Mieczysław – kierownik Zakładów Mięsnych został wezwany do prokuratora S. Rozmawiali bez świadków. Brat powiedział mu, aby tak nie postępował, na tym stanowisku powinien zwalczać złodziejstwo, a nie zmuszać ludzi do przestępstwa. Brat był człowiekiem uczciwym i w głowie mu się nie mieściło, że urzędnik stojący na straży praworządności łamie ją. Po tym wyszedł. Za kilka dni brata Mieczysława aresztowano i osadzono w areszcie w Szczytnie. Matka pojechała do Szczytna, nie uzyskała z nim widzenia, rozmawiała przez okno. Powiedział, że żadnych zarzutów mu nie przedstawiono. Siostra Jadwiga pojechała do prokuratury w Olsztynie i sprawę przedstawiła. Został zwolniony. Wrócił do domu i do pracy, ale atmosfera była już nie ta sama. Wszyscy jakoś go unikali, stali się obcy, bali się, żeby się nie narażać panu prokuratorowi, który twierdził, że wszystko może. Brat nie mógł pracować w takiej atmosferze.

Pojechał do Zarządu Wojewódzkiego PSS w Olsztynie. Przedstawił swoją sytuację. Zatrudniono go w Olsztynie. Wkrótce powierzono mu kierownictwo masarni w Ostródzie, gdzie sytuacja przedstawiała się fatalnie. Potrzebny był ktoś, kto to zmieni, wydzwignie zakład ze strat. Brat Mieczysław podjął się tego trudnego zadania. Wyprowadził zakład ze strat i zaczęli osiągać zyski, które pokrywały straty innych zakładów [...]. Ostróda była jednym z większych miast województwa olsztyńskiego. Poza tym masarnia zaopatrywała również stacjonujące tam wojsko, liczne domy wczasowe, turystów itp.

W tym okresie masarnia w Ostródzie przystąpiła do ogólnopolskiego konkursu. Opracowali nowe receptury wędlin, które wprowadzono do produkcji. Ostróda słynęła na całą okolicę ze smacznych wędlin. Zajęli pierwsze miejsce w Polsce. Nagroda wynosiła dwadzieścia tysięcy złotych, ale całej nagrody bezpośrednio nie otrzymali. Odebrał ją Olsztyn, do Ostródy dotarła tylko część.

W Ostródzie pracował do 1964 roku. W tym roku otrzymał mieszkanie spółdzielcze w Poznaniu i tam się przeniósł i pracował dalej w tej branży. Po jego wyjeździe wybudowano nowe zakłady w Morlinach pod Ostródą. Jego wyroby w całej Polsce słyną z dobrej jakości.

Zmarł w 1969 roku w wieku czterdziestu siedmiu lat. Osierocił dwuipółletniego syna, którego uwielbiał. Te wszystkie przeżycia wojenne i powojenne, trudności, umęczenia, wpłynęły na późne założenie rodziny i przedwczesną śmierć.

## JADWIGA SULEWSKA

Urodziłam się 25 lutego 1934 roku koło Łomży. Ojciec mój, Józef Zygmunt, pracował na własnym gospodarstwie rolno-ogrodniczym. Matka, Aleksandra, z domu Mankiewicz, była gospodynią domową. Było nas sześcioro rodzeństwa, dwaj bracia i cztery siostry. Wybuch drugiej wojny światowej zastał rodzinę w Gielczynie, skąd 10 lutego 1940 roku cała ośmioosobowa rodzina została przez NKWD [...] deportowana do obwodu archangielskiego rejon Nadmorski i osadzona w posiołku<sup>1</sup> Piatka-Soluga. W ciągu jednej zimowej nocy zostaliśmy wyjęci spod prawa.

Godzina czwarta rano. Gwałtowne kołatanie do drzwi i okien obudziło całą rodzinę. Dowodzący trójką enkawudzystów wydał krótki rozkaz, aby ładować niezbędne rzeczy na podstawione sanie, którymi pod eskortą NKWD dojechaliśmy do stacji kolejowej w Łomży, zostawiając dorobek całego życia na pastwę losu, inwentarz nienakarmiony i bez opieki. Na stacji kolejowej w Łomży były już inne rodziny, tak z Gielczyna, jak i z okolicznych wsi.

Wszystkich załadowano do bydłych wagonów, w których znajdowały się drewniane prycze, z maleńkim piecykiem na środku wagonu, małe zakratowane okienka. Płacz maleńkich dzieci, ogromne zdenerwowanie dorosłych – gdzie nas wiozą, i że to zsyłka na Sybir. Tak zaczęła się dwutygodniowa gehenna, chłód, głód i brak wody. I ta ciągła niewiadoma. W czasie tej podróży mama moja zachorowała na zapalenie płuc, tylko dzięki opatrności bożej wyzdrowiała i w komplecie dojechaliśmy do celu – do Archangielska – i zostaliśmy umieszczeni w posiołku Piatka. Zamieszkaliśmy w barakach z pryzami pełnymi robactwa (wszy i pluskwy) i dokuczliwym zimnem. Aby przeżyć, należało pracować w trudnych warunkach syberyjskich. Ojciec pracował przy załadunku drzewa na wagony, natomiast mama i najstarsza siostra, Zosia, pracowały przy rąbaniu drewna do łaźni. Ja i najmłodsza siostra, Halinka, byłyśmy oddane do przedszkola w polskim znaczeniu<sup>2</sup>, gdzie racja

---

<sup>1</sup> Posiołok (ros.) – osiedle.

<sup>2</sup> Czyli „coś” w rodzaju polskiego przedszkola.



żywnościowa na cały dzień to była kromka czarnego chleba i kasza ugotowana na wodzie.

Szczególnie utkwił mi w pamięci przypadek, gdy funkcjonariusze NKWD, kontrolując baraki, czy wszyscy wyszli do pracy, zastali moją jedenastoletnią siostrę Irenę podczas modlitwy przed krzyżem, który mama zabrała po kryjomu na Syberię. Enkawudzista kazał siostrze zdjąć ten krzyż ze ściany, a w to miejsce zawiesić portret Stalina i do niego się modlić. Siostra odmówiła wykonania tego czynu, co wprawiło enkawudziście we wściekłość. Po tym incydencie ojciec przez trzy dni był wzywany na przesłuchania, a pozostała rodzina, w ciemności i po cichu modliła się, aby Bóg zachował nam ojca. Widocznie żarliwe modły sprawiły, że tato nie poniósł żadnych konsekwencji za ten chrześcijański postępек siostry.

Po amnestii dla Polaków, 12 sierpnia 1942 roku, opuściliśmy z całą rodziną miejsce karnego zesłania, udając się na południe ZSRR w poszukiwaniu delegatur tworzącej się armii generała Władysława Andersa oraz znośnych warunków do przeżycia. Dwaj bracia, Józek i Franek, wstąpili do Wojska Polskiego, ewakuując się z armią do Iranu. Pozostała rodzina starała się przetrwać, pracując w kolchozach, w których za miesięczną pracę otrzymywało się niejednokrotnie tylko główkę kapusty.

Po pokonaniu trudności podróżowania kolejną po bezkresnych obszarach ZSRR dotarliśmy w końcu do Krasnowodzka – portu nad Morzem Kaspijskim. W Krasnowodzkę zaokrętowaliśmy się na statek towarowy i po kilku dniach podróży dotarliśmy do Pahlawi (Iran). Z Pahlawi umieszczeni zostaliśmy w obozie przejściowym w Teheranie. Tutaj ojciec nasz został wcielony do armii generała Andersa. Pozostała rodzina, to jest mama i cztery siostry, została ewakuowana do polskiego osiedla Kaja<sup>3</sup> – Mukono w Ugandzie (Afryka Wschodnia) nad jeziorem Wiktoria.

W drugiej połowie 1942 roku dojechaliśmy do portu w Mombasie, dalej kolejną przez Kenię i Ugandę do Kampali (stolica Ugandy). Następnie transportem samochodowym dowieziono nas do miejsca przeznaczenia i osadzono w osiedlu zbudowanym nad brzegiem jeziora Wiktoria.

Byłam wówczas ośmioletnią dziewczynką i pamiętam pierwsze zetknięcie z egzotycznym krajobrazem tropikalnej Afryki. Osiedle składało się z domków zbudowanych z trzciny i gliny, z otworami okiennymi bez szyb. Wokoło porastała wysoka trawa, a w niej pełno było małp, węży, żmij i innego tropikalnego robactwa.

W każdym domu były trzy pomieszczenia, dwie sypialnie z jadalnią pośrodku. Jeden dom był na dwie rodziny. Najgorsze były komary roznoszące malarię,

---

<sup>3</sup> W czasie wojny trafiło tam około 3 000 polskich uchodźców ewakuowanych z ZSRR.

którą ciężko przechodziliśmy ze względu na wyczerpanie trudami życia na Syberii. Skład osobowy osiedla to przeważnie kobiety z małymi dziećmi, po części wdowy, oraz młodzież w wieku przedjunackim i starsi mężczyźni niezdolni już na front. Dodać należy, że osiedle było strzeżone przez policję, która podlegała władzom angielskim, a było to konieczne, ponieważ ludność tubylcza początkowo była wrogo nastawiona do Polaków przebywających w osiedlu. Z czasem przekonali się o naszym przyjaznym usposobieniu i odnosili się względnie, często pracując zarobkowo w osiedlu. Z chwilą przedłużenia się pobytu w Afryce, osiedle ciągle się rozbudowywało. Powstała szkoła powszechna, gimnazjum, kino, poczta, szpital i mały kościółek, w którym msze święte odprawiali polscy księża – kapelani wojskowi oddelegowani do pracy duszpasterskiej wśród ludności cywilnej w dwudziestu dwóch osiedlach rozmieszczonych w Afryce. W szkołach były zawieszone krzyże, dzień szkolny rozpoczynał się wspólną modlitwą. Młodzież była skupiona w organizacjach harcerskich, młodsi w zuchach i różnych ogniskach zainteresowań. W niedzielę cała szkoła wraz z nauczycielami, dziewczęta w białych mundurkach, chłopcy w zielonych drelichach, z korkowymi hełmami na głowach osłaniającymi przed palącym słońcem, szli do kościoła na wspólną mszę świętą. Jedna niedziela w miesiącu była wolna od zbiórki szkolnej, wówczas mama i cztery siostry szłyśmy do kościoła, by prosić Boga o zdrowie i opiekę dla braci i ojca, którzy walczyli na froncie zachodnim pod Monte Cassino. W mojej rodzinie, jak zapamiętałam, przez osiem lat pobytu na obczyźnie nie było wieczoru bez wspólnej modlitwy. Mocno utkwilo mi w pamięci zachorowanie najstarszej siostry, Zosi, na czarną malarię, z której wyjątkowo wychodziło się zdrowym.

Chodziłyśmy do szkoły, ucząc się również języka angielskiego. Osiedle z czasem wypiękniało. Proste i zadbane ulice, ukwiecone ogródki, trawa nisko koszona. Tubylcy, już oswojeni z Polakami, pomagali za odpłatnością przy ciężkich pracach porządkowych na osiedlu.

Ostrzegano przed kąpielą w czystych wodach jeziora Wiktorii, w którym roilo się od krokodyli, węży wodnych i hipopotamów. Pamiętnym wydarzeniem było trzęsienie ziemi, które nawiedziło osiedle, a było to zjawisko całkowicie nieznane Polakom.

Od ojca i braci przychodziły z frontu wiadomości o ciężkich walkach o Monte Cassino. Starszy brat, Józek, wówczas dwudziestoletni żołnierz, był dowódcą czołgu i brał udział w pierwszym natarciu na pozycje niemieckie. Został odznaczony Krzyżem Walecznych za odbicie angielskiego czołgu wraz z dowódcą z rąk niemieckich. Został ranny, na szczęście niegroźnie. Młodszy brat, Franek,

jako siedemnastoletni chłopiec przebywał wówczas w szkole na tyłach frontu. Najsmutniejszym wydarzeniem podczas pobytu w Afryce była śmierć generała Władysława Sikorskiego. Całe osiedle okryło się żałobą, ponieważ wszyscy wiedzieli, komu zawdzięczamy, że wyzwoliliśmy się z karnych posiołków i nienawistnych leśnych uczastków<sup>4</sup> rozsianych po ogromnych obszarach ZSRR.

Rok 1945. Koniec wojny. Ojciec i dwaj bracia emigrują do Anglii. W 1947 roku ojciec i brat Józek wracają do Polski, drugi brat, Franek, będący w szkole, wyjechał do USA. Podczas łączenia rodzin mama i dwie siostry najmłodsze wróciły do Polski w lipcu 1948 roku, natomiast dwie starsze siostry, Zosia i Irena, pozostały w Afryce, wychodząc za mąż za Anglików. Po kilku latach wyemigrowały do Anglii.

W maju 1948 roku opuszczamy osiedle Kaja, które ma być zlikwidowane. Samochodami jedziemy do Kampali, następnie pociągiem przez Ugandę, Kenię do Mombasy. W Mombasie po odbyciu kwarantanny wsiadliśmy na duży egipski statek i przez Ocean Indyjski, Morze Czerwone, Kanał Sueski i Morze Śródziemne przyплыliśmy do włoskiego portu Genua. Płynąc przez Kanał Sueski, musiałyśmy w Kairze czekać na zorganizowanie konwoju szesnastu okrętów i wtedy przepuszczono nas przez tenże kanał.

W Genui załadowano nas do pociągu sanitarnego i przez Włochy, Austrię, Czechosłowację dotarliśmy do przejścia granicznego w Dziedzicach. Przywitał nas hymn *Jeszcze polska nie zginęła*. Łzy radości. Po latach poniewierki wreszcie na polskiej ziemi. Z Krakowa dotarliśmy do rodzinnej miejscowości Gielczyn w powiecie łomżyńskim.

Po powrocie do kraju, mając czternaście lat, ukończyłam szkołę podstawową i na tym był koniec mojej edukacji, ponieważ z woli rodziców musiałam pomagać w gospodarstwie rolnym. Po dojściu do pełnoletności podjęłam samodzielną pracę [...]. W 1952 roku przyjechałam do Drygał do siostry ojca w odwiedziny i los tak chciał, że pozostałam. Zaczęłam pracę jako osiemnastoletnia dziewczyna w tartaku w Pogorzeli<sup>5</sup> – jako pomiarowa na składzie tarcicy. Po pół roku dźwigania i opisywania desek przenoszam mnie do pracy umysłowej w biurze. Swoim uporem i pracowitością i z pomocą dobrych ludzi poznałam pracę umysłową i tak w jednym zawodzie przepracowałam trzydzieści lat.

[...] Tutaj wyszłam za mąż, mając dwadzieścia jeden lat, i wspólnie z mężem wychowaliśmy troje dzieci, które są już samodzielne i założyły swoje rodziny. Wspaniałe moje kochane dzieci – Krzyś, Danusia i Adam.

---

<sup>4</sup> Uczastok (ros.) – odcinek.

<sup>5</sup> Potem autorka pracowała w tartaku w Drygałach.

Ojciec, Józef, przeżył piękny wiek. Zmarł, mając sto trzy lata, w 1997 roku i spoczywa na cmentarzu obok żony, Aleksandry, która zmarła w 1980 roku. Dwaj moi bracia byli żołnierzami armii generała Władysława Andersa i dobrze spełnili swój patriotyczny egzamin wobec ojczyzny. Wcześniej, bo w 1918 roku, ojciec nasz też walczył o niepodległość Polski.

Prawdziwą bohaterką wydarzeń z lat 1939–1948 pozostanie moja mama, Aleksandra Zygmunt, z domu Mankiewicz. To ona poniosła największy wysiłek i trud w ratowaniu rodziny, tak brutalnie zesłanej na nieludzką ziemię na Syberii i dalej w tropikalnej Afryce. Ona tułała się z nami po świecie i nie pozwoliła zginąć swoim dzieciom. W końcu dwójkę najmłodszych dzieci całych i zdrowych przywiozła do kraju i w pełni zasługuje na miano matki – Sybiraczki. Pamiętnik ten napisałam dla dorastających wnuków i w cichości serca proszę Boga, by wyrosli na pociechę rodziców i byli dumni z babci.

## LUDWIK ŚLIWKA

W tym roku mija osiemnaście lat, odkąd przeszedłem na emeryturę. Kilka dni temu wychodziłem z domu, zamykałem furtkę, a tu podchodzi do mnie jakiś starszy pan i się wita:

– Dzień dobry, panie Ludwiku, jak zdrowie?

Coś tam odpowiedziałem zmieszany, a on kontynuuje:

– Pan mnie pewnie nie poznaje, ale ja pana poznaję i pamiętam dobrze. Pan był nadleśniczym, kiedy przyszedłem po przydział drewna. A pan powiedział, że już limity się skończyły, ale za chwilę zapytał pan, na co to drewno? Odpowiedziałem, że dom chcę budować. „A, jak na dom, to dam przydział.” Ja dzięki temu dom mogłem pobudować i będę o panu zawsze pamiętał – tak mnie powitał nieznany mi człowiek w osiemnastą rocznicę przejścia na emeryturę. To było



Ludwik Śliwka w mundurze leśnika



Ognisko myśliwych w Puszczy Piskiej

wzruszające spotkanie. Ale ja zawsze starałem się dostrzec drugiego człowieka, nie tylko papierki. Dla mnie najważniejszy był zawsze człowiek. I las.

Po maturze studiowałem na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie. W czasie studiów kolegom, z którymi mieszkalem w akademiku, mówiłem, że moim stanowiskiem w przyszłości na pewno będzie stanowisko nadleśniczego, a w związku z tym wiele będę miał do czynienia z łowiectwem. Miałem wiedzę, jak pracowali leśnicy przed wojną i jak ważna była dla nich znajomość łowiectwa. Wiedziałem, że będę pracował w lasach zgodnie z tradycją naszej rodziny. Gdy odchodziłem z uczelni, kończąc wydział leśny, profesor Marian Nunberg<sup>1</sup>, który był moim dziekanem, wręczając mi nakaz pracy, zapytał:

– Panie Ludwiku, zdradził pan Bieszczady i wyjeżdża na Mazury?

A ja odpowiedziałem wówczas:

– Młodość spędziłem w Bieszczadach i znam je bardzo dobrze, a Mazur nie znam i chciałbym je lepiej poznać.

---

<sup>1</sup> Marian Nunberg (1896–1986) – leśnik, entomolog. Od 1946 r. profesor SGGW, w latach 1931–1949 kierownik Zakładu Ochrony Lasu w Instytucie Badawczym Leśnictwa, od 1958 r. członek Polskiej Akademii Nauk. Współorganizator służby ochrony lasu w Polsce.



Na uczelni miałem do wyboru, albo zostać adiunktem<sup>2</sup>, sięść za biurkiem i odwalać papierkową robotę za nadleśniczego, albo pójść w teren i zostać leśniczym. Najpierw skierowano mnie do Olsztyna, a tam zapytał mnie dyrektor, czy znam profesora Mariana Nunberga i profesora Aleksandra Habera<sup>3</sup>. Odpowiedziałem, że znam, bo to moi wykładowcy ze studiów.

– To oni przyjeżdżają na polowania do nadleśnictwa Szeroki Bór i tam pójdziesz.

To nadleśnictwo nazywało się wtedy Wilcze Bagno, ale kiedy przyjechałem do rejonu Lasów Państwowych w Pisz, to szef kadr – on tak charakterystycznie zaciągał kresowo – chciał mnie skierować do leśnictwa Borowe, gdzie ciągle zdarzały się pożary lasów, które wznicały iskry z przejeżdżających pociągów. Wtedy to były parowozy, a lasy leśnictwa Borowe ciągnęły się wzdłuż linii kolejowej. I ja się wtedy postawiłem i trafiłem do leśnictwa Pieciszko, do którego namawiała mnie pracująca wtedy w Szerokim Borze Zdzisława Żurowska, bardzo barwna postać w historii tutejszego leśnictwa. No i dokładnie 1 kwietnia 1956 roku zameldowałem się w Wilczym Bagnie. A już pod koniec 1956 roku wezwał mnie dyrektor Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych do Olsztyna i mianował mnie nadleśniczym. Obawiałem się, że jestem zbyt młody, brakowało mi doświadczenia, nie przepracowałem w terenie nawet jednego, pełnego, rocznego cyklu. A zresztą, żeby być w tamtych czasach nadleśniczym, trzeba było poza wyższym wykształceniem mieć minimum trzy lata pracy. Przedstawiłem mu swoje wątpliwości, a on na to:

– Dacie sobie radę, kolego! Dacie sobie radę! Ja wywiad o was przeprowadziłem! A póki co, będziesz na razie adiunktem pełniącym obowiązki nadleśniczego!

I tak zostałem najmłodszym nadleśniczym w Polsce. W tym czasie rejon Lasów w Pisz składał się z nadleśnictw w Szerokim Borze, Wilczym Bagnie, Kuliku, Pisz, Drygałach, Grądówku i Turośli. Te nadleśnictwa mniej więcej odpowiadały starym nadleśnictwom, jeszcze w czasach niemieckich, przed 1945 roku. Wszyscy z terenu przyjeżdżali na narady, na odprawy do Piza. Pamiętam takiego nadleśniczego z Kulika, który mnie zawsze przestrzegał, jako swego młodszego kolegę:

– Jak się władza zapyta, czy wykonasz plan, to trzeba powiedzieć – wykonam! A nuż się zrobi? A władzy nie wolno niepotrzebnie denerwować!

W tym czasie najważniejszym zadaniem Lasów Państwowych było pozyskanie tak zwanego kopalniaka. Chodzi o drewno, które trafia do kopalni na stemple.

---

<sup>2</sup> Adiunkt – zastępca nadleśniczego.

<sup>3</sup> Aleksander Haber (1907–1968), zoolog, profesor SGGW.

Węgiel to było polskie złoto, główny towar eksportowy, źródło dewiz. A dewizy w socjalizmie to było magiczne słowo! Więc ten kopalniak był najważniejszy. Ja wtedy krótko pracowałem jako młody nadleśniczy, a tu z Warszawy przyjeżdża inspektor i rozmawia o tym kopalniaku, sprawdza dokumentację, plany pozyskiwania tego kopalniaka w pierwszym kwartale roku itp. Trwało to kilka godzin. Na koniec przychodzi do mnie i każe mi zrobić trzysta metrów kopalniaka w drugim kwartale i żebym podpisał ankietę, w której zobowiązuję się te trzysta metrów wykonać. A ja mu na to:

– To pan, panie inspektorze, przyjechał specjalnie z Warszawy, żebym ja to panu podpisał? Ja mogę podpisać, ale co będzie, jak pozyskam tylko dwieście osiemdziesiąt metrów? Ale ja daję panu słowo honoru, że jeśli nie podpiszę, to wykonam pięćset metrów tego kopalniaka!

– Młody człowieku, wiesz co mówisz?

– Tak, wiem. – On wyjął notes i coś tam zanotował. A ankietę schował. A po jakimś czasie dochodzą mnie słuchy, że zostałem wymieniony na najwyższym ministerialnym szczeblu, w czasie narady, jako wzór. Że „nie podpisał, a zrobił to, co do niego należało”. A ja nigdy nie miałem problemu z wykonaniem planu. Nawet czasami przekraczałem pulę na prywatną sprzedaż, bo trzeba było ludziom sprzedawać drewno na budowę domu. Bo jak ludzie byli zadowoleni, to i robota w lesie dobrze szła, i kopalniak był, i drewno trafiało na przerób do dwóch tartaków w Rucianem i w Okartowie. Niemcy tartaki budowali nad wodą, bo to był najtańszy transport, odbywał się szlakiem wodnym. A dzisiaj? Ani jeden patyk nie jest przewożony transportem wodnym, wszystko na kołach...

Powoli przebudowywano strukturę rejonu Lasów Pisz, komasując dawne mniejsze nadleśnictwa. Ostatecznie w latach siedemdziesiątych została przeprowadzona reorganizacja nadleśnictw. Na przykład było Nadleśnictwo Ruciane i Nadleśnictwo Guzianka. One zostały połączone i kto dziś pamięta, że było odrębne Nadleśnictwo Guzianka? Było to na wzór Związku Radzieckiego – miały być duże nadleśnictwa. Taki sam proces odbywał się w lasach otaczających Pisz. Zostały połączone trzy nadleśnictwa: Wilcze Bagno, Szeroki Bór i Pisz. Powstało wówczas największe nadleśnictwo w Polsce – Nadleśnictwo Pisz, które miało trzydzieści sześć tysięcy czterysta hektarów terenu. Osiemdziesiąt pojazdów – ciągników i samochodów – samego transportu! Zostałem nadleśniczym Nadleśnictwa Pisz i piastowałem to stanowisko do emerytury.

W 1978 roku nadleśnictwo wraz z czterema innymi zostało przekazane przez Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Olsztynie do OZLP w Bia-



Ludwik Śliwka podczas polowania w Puszczy Piskiej



Ludwik Śliwka na polowaniu

łymstoku. Przez wiele lat siedziba Nadleśnictwa Pisz mieściła się w budynku przy ulicy Dworcowej, gdzie dziś jest siedziba parafii Świętego Józefa. Trzeba przyznać, że mieliśmy tam fatalne warunki. Dogadałem się z Szablowskim, dyrektorem Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolnego w Pisz, i rozpoczęliśmy budowę nowego obiektu przy ulicy Gdańskiej. Przenieśliśmy się do nowej siedziby w kwietniu 1989 roku. A wokół powstało potężne osiedle pracowników.

W latach osiemdziesiątych była w Polsce inflacja, pieniądź tracił na wartości i zaczęli wszyscy zarabiać w milionach. Gdzieś na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – a zarabiałem wtedy osiemnaście milionów złotych – zorganizowano taki wyjazd do Niemiec z udziałem ośmiu nadleśniczych i dyrektora regionalnego. Wtedy już nasze firmy podpisywały kontrakty z tamtejszymi nadleśnictwami i pracownicy leśni z Pisza mogli legalnie pracować w Niemczech. Jeden z niemieckich kolegów nadleśniczych zaprosił mnie na polowanie, mieliśmy okazję porozmawiać. Jakież było moje zdumienie, gdy dowiedziałem się, że zarządza nadleśnictwem pięć razy mniejszym od mojego, a zarabia... No, ja na tamte pieniądze to musiałbym zarabiać sto sześćdziesiąt milionów złotych miesięcznie, żeby mu dorównać! A w dodatku u nich ta praca wyglądała zupełnie inaczej. Na przykład prowadzili szkołę leśną, to dostawali

to, co zamówili. Nie opłacało im się wtedy pozyskiwać kopalniaka, oni to wszystko odkładali i gniło, a u nas nawet drobnicę się wykorzystywało, bo szła do fabryki płyt pilśniowych w Nidzie<sup>4</sup> i ją przerabiali.

Zresztą praca w Lasach Państwowych to nie tylko pozyskiwanie drewna. Przecież my zalesialiśmy ogromne obszary. Ile to już lat minęło, jak zalesialiśmy trzy tysiące hektarów w okolicach Kumielska, albo niemal cały ten obszar od Pisza w kierunku Jeży. Ten las się niestety nie zachował, bo częściowo został zniszczony przez huragan w 2002 roku<sup>5</sup>. Ludzi z Kurpi przywoziliśmy, żeby wykonać plany zalesiania.

Jak jeszcze byłem gimnazjum w Sanoku, to mama wciąż powtarzała, żeby się nie zapisywać do Związku Młodzieży Polskiej, bo to komunistyczna organizacja. I jak podjąłem pracę nadleśniczego, to przez pięć lat udawało mi się zachowywać bezpartyjność. To było w czasach, kiedy przynależność do PZPR decydowała o objęciu wielu stanowisk. Każdy leśniczy musiał być zatwierdzony przez partyjną egzekutywę. Ja podawałem kandydata na stanowisko leśniczego i nawet, kiedy nie należał do partii, to musiał być zaakceptowany przez sekretarza POP, a potem szło do Komitetu. I później w Komitecie siedzi egzekutywa i ja, jako nadleśniczy, choć wtedy jeszcze nie byłem w partii, i oceniali poszczególne propozycje. Pamiętam, że był problem z Czesławem Topką. POP w nadleśnictwie zatwierdziła, ale ktoś doniósł do Komitetu PZPR, że Topka był w AK i po wojnie siedział na Rakowieckiej<sup>6</sup>. Jaki to miało związek? Ale utrudniali, mimo że to był bardzo dobry fachowiec. Choć czasem odpowiednio rozmawiając, można było i dużo załatwić.

Mój dziadek był leśnikiem, ojciec był leśnikiem. Nie miałem wyboru. Musiałem zostać leśnikiem. Tak samo z myślistwem. Dziadek pracował u hrabiego Potockiego, od którego otrzymał muszlę do wabienia jeleni. Tęgo instrumentu używał mój ojciec a teraz ja... Tradycja rodziny i talent łowiecki, jaki przejawiałem od najmłodszych lat, wiązały mnie z przyrodą również w aspekcie myśliwego. Puszcza Piska była zawsze wspaniałym miejscem do polowań. Przyjeżdżali tu do nas ludzie na wysokich nieraz stanowiskach, więc poznało się ich trochę. Ważnym fragmentem tej działalności były polowania dewizowe, z udziałem myśliwych z zagranicy. A dewizy w socjalizmie były zawsze walutą pożądaną.

<sup>4</sup> W 1995 r. fabryka płyt wiórowych została zamknięta.

<sup>5</sup> Czwartego lipca 2002 r. przez Puszcę Piską przeszła wichura, która spowodowała zniszczenia 45 400 ha lasów w 16 nadleśnictwach. Zob. M. Taradejna, *Huragan 4 lipca 2002*, „Znad Pisy” nr 11, 2002. s. 280–288.

<sup>6</sup> Czesław Topka – w czasie wojny żołnierz ZWZ-AK na Kurpiach, a po wojnie przez pewien czas współpracował z konspiracją poakowską. Aresztowany i przetrzymywany w więzieniu na ul. Rakowieckiej, sądzony przez WSR w Warszawie.



Legendarny salonik myśliwski

Marzyłem od dziecka o gabinecie myśliwskim<sup>7</sup>. Mój dom został niejako dobudowany do mojego pokoju – salonu myśliwskiego w stylu muzealnym, prezentującego skarby mojej wieloletniej pasji myśliwskiej. Około pięćdziesięciu poroży jeleni wiszących na jednej ze ścian prezentuje się jak las konarów. Po lewej stronie od wejścia kiedyś było okno, dziś wisi tam pięćdziesiąt oprawionych dziczych orzęzy, ponad sto parostków, jak również spreparowane okazy ptactwa i zwierzyny drobnej, wyprawione skóry rysy i wilków. Miałem ich drugie tyle, ale kiedyś jakieś wyrostki włamały się do domu i mnie okradły. Zginęły nie tylko orzęza, ale sporo parostków i kilka ładnych wieńców. Moją chlubą, i to na europejską skalę, jest wieniec byka wiszący nad kominkiem, perła w kolekcji, prawdziwy rarytas.

Ich widokiem sycili swój wzrok ambasadorzy, ministrowie i naukowcy. Trudno pisać samemu o sobie, więc na tę okoliczność przytoczę parę cytatów z *Kroniki domowej Ludwika Śliwki*, którą założyłem w 1982 roku. Wpisywali się do niej goście mojej myśliwskiej izby: „Ludwikowi – największemu myśliwemu jakiego przyszło mi znać. Wielkiemu znawcy zwyczajów zwierząt

<sup>7</sup> Szerzej o myśliwskiej pasji Ludwika Śliwki w: *Matura 1952. pamiętnik abiturientów Gimnazjum Męskiego im. Królowej Zofii w Sanoku*, 2009, r. 8, t. XX, s.14–24.



i Puszczy Piskiej, z wyrazami szacunku Andrzej Arcimowicz”<sup>8</sup>; „Słyszałem o Tobie, Ludwiku, w Niemczech i nie wierzyłem, że można w Polsce posiadać tak wspaniałą prywatną kolekcję trofeów. Widząc Twój gabinet, zrozumiałem, z jak wielkim myśliwym dane mi było się spotkać. Serdeczne gratulacje, Darz Bór – premier rządu Bawarii Franz Josef Straus”<sup>9</sup>; „Drogi Panie Ludwiku! Z ogromną otwartością i zupełnie bez kompleksów, z mocą pełną Urzędu, który (jeszcze) reprezentuję, stwierdzam: Jestem dupa nie myśliwy, po tym, co u Pana zobaczyłem. O Boże!!! Minister Zbigniew Eysmont”<sup>10</sup>.

Z łowiectwem wiązała się jeszcze taka nietypowa przygoda. Pewnego razu, właśnie miałem jechać w teren, gdy sekretarka mówi, że jacyś państwo do mnie. Wchodzi małżeństwo:

– Panie nadleśniczy, jesteśmy lekarzami. Chcemy w Puszczy Piskiej trochę odpocząć i szukamy ustronnego miejsca. Przyjechaliśmy z Rzeszowa.

Już nie jadę w teren, bo to w końcu ludzie z Rzeszowa, czyli niemal krajanie. Pijemy kawę, herbatę. Rozmowa zeszła na polowania. Mężczyzna opowiada, że jego ojciec to był zapalony myśliwy, nawet książki o łowiectwie pisał.

– Wie pan, a jak miałem dziesięć lat, to mnie ojciec zabrał do Komańczy, żebym posłuchał, jak jeleni ryczy. Miał tam znajomego leśniczego, który miał taką muszlę i na niej zawabił byka, to przyszedł taki piękny okaz... ale ja się poruszyłem i byk uciekł. Ale jak ten leśniczy fantastycznie wabił na tej muszli...

Nic na to nie odpowiedziałem, tylko poprosiłem, żeby pojechali za mną. Podjechaliśmy pod mój dom. Weszliśmy do środka, zaprowadziłem ich do gabinetu myśliwskiego, sięgam po muszlę i wtedy dopiero przedstawiam się mojemu gościowi.

– Junior Ludwik Śliwka, syn Andrzeja Śliwki z Komańczy! – bo on, nie wiedząc o tym, cały czas opowiadał o moim ojcu! Kilka lat później na tej właśnie muszli miałem wygrać sobie zwycięstwo.

W 1999 roku odbyły się w Dortmundzie pierwsze mistrzostwa Europy w wabieniu jeleni. Nas, wabiarzy, wprowadzono do dużej hali targowej, gdzie mieliśmy możliwość potrenowania przed konkursem. Atmosfera była pozornie

---

<sup>8</sup> Andrzej Arcimowicz – artysta grafik, dziennikarz i wydawca. Zapalony myśliwy, często polujący w Puszczy Piskiej.

<sup>9</sup> Franz Josef Strauss (1915–1988) – polityk niemiecki, współzałożyciel (w 1945 r.) i od 1961 r. wieloletni przewodniczący bawarskiej CSU (Unia Chrześcijańsko-Społeczna). W latach 1978–1988 premier Bawarii.

<sup>10</sup> Zbigniew Eysmont – polski polityk i artysta. W 1991 r. został posłem na Sejm, przejściowo zasiadał w rządzie Hanny Suchockiej.



В жизни настоящего охотника  
бывают переживания, которые  
остаются в его памяти на всю  
жизнь. Именно к таким пережи-  
ваниям относится совершенно  
неповторимая и удивительная  
охотничья комната - настоя-  
щее произведение искусства,  
вкуса и огромного охотничьего  
опыта, созданная Ингой и  
Людвигом Слипка. Уверен,  
что каждый, кто будет истре-  
бовать побывать в ней, низ-  
ко поклонится этим гуде-  
ным людям!

Anatol Szarkow

один из его друзей полковник J. Szarkow

1986.07.20

Księga pamiątkowa Ludwika Śliwki. Wpis płk. Anatolija Szarkowa, zastępcy Attache Wojskowe-  
go, Morskiego i Lotniczego przy Ambasadzie ZSRR w PRL



Wabienie jeleni podczas polowania



Ludwik Śliwka po sukcesie w Dortmundzie

luźna, ale napięcie między zawodnikami rosło, każdy chciał być pierwszy. To zrozumiałe. Byłem w tym towarzystwie najstarszy. Gdy zbliżał się moment rozpoczęcia konkursu, organizatorzy poprosili sędziów za drewniany parawan, a nas zabrali na scenę i poprosili, byśmy losowali numerki. Posadzono nas zgodnie z kolejnością wylosowanych miejsc, a następnie każdy z nas podchodził do mikrofonu i prezentował swoje umiejętności. Mnie komisja sędziowska przyznała siedemdziesiąt dwa na siedemdziesiąt pięć możliwych do zdobycia punktów. Z radością odebrałem werdykt komisji sędziowskiej głoszący, iż mistrzem Europy w pierwszym Konkursie Wabiarzy Jeleni zostałem ja. Ucieszyłem się bardzo, że nie zawiodłem swojej żony, rodziny i kolegów, którzy jeszcze przed wyjazdem do Dortmundu gorąco wierzyli w moje zwycięstwo. Wszyscy zaczęli mi gratulować, najpierw współpracownicy, Czesi, Słowacy, Niemcy, sędziowie, publiczność, w tym obecni tam Polacy. Bardzo żywa i spontaniczna była reakcja wielu nieznajomych, obcych ludzi. Niektórzy rozpoznawali mnie albo podchodzili z gratulacjami, gdy pojawiłem się w hali targowej następnego dnia. Najżywsza była reakcja obecnych na targach dziennikarzy. Zadawali mi



Po polowaniu w Szerokim Borze

wiele pytań, fotografowali, filmowali. Na pewno ten konkurs miał wielki rozgłos, ponieważ, gdy znajomy zadzwonił z Dortmundu do mojej żony w Pisz, aby ją powiadomić o zwycięstwie, ona odpowiedziała:

– Tak. Wszystko wiem. Oglądałam relację w telewizji RTL.

Zakończeniem oraz podsumowaniem wielkiej imprezy w Dortmundzie był bal zorganizowany na tysiąc pięćset osób w Hanowerze. Zaproszono tam nie tylko myśliwych, ale również bardzo wiele ważnych osób ze świata polityki, kultury, gospodarki, a także wielu dziennikarzy. Zaproszono mnie tam z rodziną.

Naczelny redaktor czasopisma „Wild und Hund” zatytułował swe sprawozdanie z targów następująco: *Melodie dla milionów. Ludwik Śliwka ryczał najbardziej kusząco*. W dalszych słowach napisał: „Efekty międzynarodowego konkursu wabiarzy jeleni, zorganizowanego przez redakcję »Wild und Hund« oraz krajowy Związek Łowiecki Północnej Nadrenii Westfalii na targach »Łowiectwo i Pies« w Dortmundzie, zaskoczyły samych organizatorów. Konkurs stał się medialnym wydarzeniem. Ponad piętnaście ekip telewizyjnych, tuziny fotoreporterów, sprawozdawców i dziennikarzy obsługiwał rzecznik prasowy związku. Niemal we wszystkich niemieckojęzycznych telewizjach oraz rozgłośniach radiowych grano i ryczano prawie przez cały tydzień”.

## JÓZEFA ZAKRZEWSKA

Nazywam się Józefa Zakrzewska. Urodziłam się w 1930 roku w niewielkiej wsi Uśnik<sup>1</sup> w Łomżyńskim. Jeszcze byłam małą dziewczynką, gdy zaczęła się wojna, ale wszystko pamiętam doskonale. Ja szkoły podstawowej nie kończyłam, bo jak się zaczęła wojna, to miałam za sobą dwie klasy, ale potem szkoły nie było. Później było wszystko spalone na gospodarstwie, dom spalony, zniszczone wszystko było tak, że trudno było dalej się uczyć i dlatego zostałam u rodziców.

Później, już po wojnie, będąc młodą jeszcze dziewczyną, przyjechałam na krótko do siostry do Pisz. Zaczęłam ją częściej odwiedzać i podczas takiego pobytu zapoznałam swojego męża. Pobraliśmy się w 1949 roku w Pisz. No i mieszkaliśmy tu pięć lat, a później przenieśli męża służbowo na placówkę do Orzysza, bo pracował w zakładzie energetycznym, i tam mieszkaliśmy ponad dwadzieścia lat...

Ponownie przeprowadziliśmy się do Pisz, jak jeszcze mąż pracował w Zakładzie Energetycznym. Dostaliśmy mieszkanie i to z Zakładu Energetycznego. Dużo nam pomogli, żeby to mieszkanie dostać. No i mieszkam aż do tej pory w tym mieszkaniu, gdzie dostałam jeszcze z mężem. No, ale mąż później już przeszedł na emeryturę. Zmarł w 2001 roku. Ja byłam cały czas w domu. Troszkę pracowałam u syna w kwiaciarni. Kwiaciarnię mieliśmy, to pomagałam mu przez osiemnaście lat, w tej kwiaciarni na ulicy 1 Maja.

W czasie okupacji cały czas w naszej wiosce wojsko stało. Koło Czerwonego Boru<sup>2</sup>, koło Śniadowa ruskie mieli ćwiczenia, zbudowali baraki. Właściwie nic nie można było dostać. Była kara, na przykład jak Niemcy, esesmani<sup>3</sup>, złapali gospodarza, który zabił świniaka, to były wypadki, że rozstrzelali tego czło-

---

<sup>1</sup> Obecnie wieś Uśnik liczy ok. 180 mieszkańców.

<sup>2</sup> Czerwony Bór – kompleks leśny w rejonie Łomży, gdzie w latach II wojny światowej istniał potężny poligon wojskowy, użytkowany przez Armię Czerwoną w latach 1919–1941, a później przez niemiecki Wehrmacht.

<sup>3</sup> Raczej żandarmeria.

wieka. A za ruskich wszystko było na kartki. Sklep w wiosce był, nazywany kooperatywą<sup>4</sup>, ale towaru na te kartki brakowało i nieraz kolejka zbierała się w środku nocy. Ludzie stali, żeby dostać kilogram cukru czy jakiś kawałek materiału. Ja do dziś to pamiętam, że jak się towar w kooperatywie pokazał, to ludzie drzwi łamali, chcąc wejść do sklepu, żeby coś kupić. Ja, będąc jeszcze młodą dziewczyną, to pamiętam, że tak bardzo spodobał mi się taki materiał, który przyniosła pewna znajoma do mamusi, bo moja mamusia była krawcową. Chciałam, żeby mamusia odkupiła mi go na sukienkę, ale ona sprzedać go nie chciała. Powiedziała tylko, żeby pójść do niej odrobić, ziemniaki kopać za ten materiał. Kiedyś jak tymi motykami się kopało, to nawet i osiem dni. To ja osiem dni pracowałam przy tych ziemniakach. Później mi się tej sukienki odechciało!

Ciężko było przeżyć sześć lat pod zaborem. Jak nie Niemcy, to Sowietci. Młodszych Niemcy zabierali rowy kopać<sup>5</sup> albo wywozili do Prus na roboty. U nas w wiosce stróż taki był, co przyjechał z Wołomina i tu mieszkał. Dużo miał znajomych, nawet z Warszawy przyjeżdżali do niego nieraz przenocować i zawsze coś tam przywieźli, żeby zahandlować. Jak to było kiedyś w tej piosence?<sup>6</sup> Handlowali kaszanką, rąbanką i przynosili różne takie drobne rzeczy – jakieś tam igły, nici, materiału kawałek. A mój stryj był sołtysem, to do niego właśnie Niemcy wpadli i przyprowadzili tych z Warszawy, co ich połapali na handlu. Było ich sześć osób, sami znajomi, bo oni nieraz przynosili towar i handlowali, żeby później sobie coś kupić do żywności, żeby tam przewieźć za granicę<sup>7</sup> do Warszawy. No i ich złapali. Esesmani wpadli rano i wszystkich rozstrzelali zaraz za stodołami. Postawili ich na przeciwko nas, bo tak okno z naszego domu prosto w drzwi tego stryja naszego były. Wszystkich ich pod domem ustawili, kazali wziąć szpadle... Jeszcze przyszli do tatusia mojego po szpadle, żeby dla każdego z nich starczyło. Oni musieli wykopać sobie dół i wszystkich ich rozstrzelali. Po dwóch tygodniach rodziny się dowiedziały i przyjechały po ciała. No to tam zebrali desek na wsi, pozbijali takie trumny dla każdego i wykopywali szczątki. Ile miałam wtedy lat? Trzynaście albo czternaście? I jako młoda dziewczyna... z jednej strony się bałam, a z drugiej strony byłam ciekawa. Poleciałam zobaczyć, jak ich odkopali już. Ten dół cały

---

<sup>4</sup> Czyli sklep spółdzielczy, w rzeczywistości sowieckiej prowadzony przez państwo.

<sup>5</sup> Okopy lub rowy przeciwpancerne, czyli umocnienia w obliczu zbliżającego się frontu wschodniego.

<sup>6</sup> Mowa o piosence z polskiego filmu fabularnego pt. *Zakazane piosenki* w reżyserii Leonarda Buczkowskiego, którego premiera odbyła się w styczniu 1947 r.

<sup>7</sup> Mowa o granicy między terenami wcielonymi do Rzeszy a Generalnym Gubernatorstwem.



odkopali i widziałam, jak to pozabijani leżeli twarzą do dołu. To były straszne widoki. Do dziś jest tam u nas w wiosce postawiony pomnik przy drodze w kierunku wioski parafialnej Szczepankowa. I ja takich obrazów widziałam dużo.

Później, jak Niemcy już w 1944 roku uciekali, a ruskie szły, to zatrzymali się na Narwi, na przykład w Śniadowie byli ruskie, a u nas we wsi jeszcze byli Niemcy. Jak ten front się zatrzymał, całą zimę oni przestali. Ale jak w Warszawie powstanie było, to dlatego się zatrzymali, nie przyszli z pomocą ruskie<sup>8</sup>. A dopiero w styczniu 1945 roku ruszyli. I jak ten front stał, to nasza była ostatnia wieś, która była wysiedlona. Pozostałe to między innymi Szczepankowo, Chojny, Żebry, Janowo. Od Łomży jadąc w stronę Ostrołęki, to wszystkie wioski były wysiedlone. I ludzie musieli mieszkać po prostu w stodołach, w ziemiankach. Tam, gdzie domy nie zostały spalone, to zabrane były dla oficerów niemieckich, a potem ruskich, jak już oni przyszli. I myśmy właśnie jakoś tę zimę tak przetrwali. Mąż mojej siostry zmarł zaraz po przejściu frontu, bo tak mocno się przeziębził. A lekarzy przecież nie było. I później w styczniu, wiosną, jak Armia Czerwona ruszyła, poszła do Prus, a potem aż pod Berlin. I wtedy weszli ruskie. Zrobił się taki krzyk, taki straszny był szum, bo ich chmara leciała, oni tak krzyczeli! Ja nie zapomnę, jak myśmy jeszcze tam w tych ziemiankach mieszkali, spichrz taki tatuś jeszcze, bo to się nie spaliło, wyszykował. Kuchnia tam była i później tam żeśmy mieszkali, zanim dom postawiliśmy nowy, który jeszcze długo później nie mógł zostać wykończony. Już nie było komu, bo tatuś już nie mógł pracować...

No i po wojnie siostra moja, która już była mężatką, przyjechała z mężem na te Ziemie Odzyskane<sup>9</sup>. Jej mąż pracował w fabryce. I ja wtedy od czasu do czasu do siostry przyjeżdżałam. Tak poznałam mego męża, bo to był kolega mojej siostry, Antoni Zakrzewski.

Pobraliśmy się w kościele Świętego Jana Chrzciciela w Piszcu, 18 kwietnia. Wtedy to wypadła Wielkanoc. Ale mój ślub to nie było tak, jak teraz się robi. To było skromne wesele. Najbliższa rodzina się spotkała, może dziesięć, może piętnaście osób, to góra. Zdjęcia ślubne robił fotograf Żuber. A po latach, dzięki Bogu, żeśmy doczekali w tym samym kościele jubileuszu „złotych godów”. Było to bardzo uroczyście, wtedy to była Wielkanoc i teraz nasze pięćdziesiąt-

---

<sup>8</sup> Oczywiście na kierunku wschodniopruskim zahamowanie sowieckiej ofensywy niekoniecznie było związane z rozkazem Stalina, aby Armia Czerwona wstrzymała operację na kierunku warszawskim. Stwierdzenie autorki to echo tej wiedzy, że zatrzymanie działań ofensywnych na froncie wschodnim w 1944 r. było uwarunkowane polityczne.

<sup>9</sup> Tak nazywano tereny należące przed 1945 r. do państwa niemieckiego, które w wyniku II wojny światowej zostały przyłączone do Polski. W późniejszym okresie określenie „Ziemie Odzyskane” zostało w oficjalnej propagandzie zastąpione przez „Ziemie Zachodnie i Północne”.



ciolecie tak samo wypadło – drugi dzień Świąt Wielkanocnych. Moi synowie zgłosili do Urzędu Stanu Cywilnego, więc dostaliśmy z mężem odznaczenia, medale i legitymacje. Wszystko w eleganckich pudełeczkach i list taki od ówczesnego Prezydenta Kwaśniewskiego. I list ładny od Burmistrza, ładny. Były kwiaty i szampan... po pięćdziesięciu latach tak było przyjemnie.

Mój mąż, jak pracował w Zakładzie Energetycznym, to prawie co roku jeździł na różne kursy. Uczestniczył w patrolach, podczas których sprawdzał linie wysokiego napięcia, więc wcześniej przeszedł na emeryturę, bo oni idą tak jak górnicy i on pięć lat wcześniej poszedł. A był lubiany, bo nikomu nie odmawiał pomocy. O północy trzeba było jechać, bo ktoś światła nie ma, to on nie patrzył. Święto nie święto, zawsze był uczynny i jechał, żeby pomóc ludziom w potrzebie. Dlatego i w Pisz, i w Orzyszu to w okolicy ludzie go znali.

Po wojnie w Pisz to każdy się cieszył, że jakkolwiek pracę dostał, że zawsze te parę groszy zarobił, bo w tamtych stronach, na przykład Kolno i tam dalej aż do Łomży, nie było łatwo. Tam nikt nie miał pracy. Po wojnie było wszystko spalone, zniszczone. Tu w Pisz wprowadzie też zniszczenia były straszne, ale jednak... Tyle, co mąż zarabiał, to jakoś na życie nam starczało. Choć przecież też zaczynaliśmy z walizką w ręku. Mieszkaliśmy tu, jak kino było<sup>10</sup>. To z tej strony znajdowała się taka oficyna i tam męża ciotka mieszkała. Ona w samych początkach miała tu restaurację i myśmy tam w podwórku właśnie też u nich tam mieszkali.

Ta ciotka później, nie wiem z jakiego powodu, musiała tą restaurację zamknąć. Wiem, że różne naciski na nią były<sup>11</sup>. Podatki wysokie na nią nakładali, miała problem z pracownikami, chociaż bardzo dużo członków rodziny w tej restauracji pomagało. Jej restauracja nie była jedyna w Pisz. Tam, gdzie dziś apteka na ulicy 1 Maja, była inna restauracja. Nazywała się Jubilatka. Tak że podczas obchodów, na przykład święta 1 Maja, to tłumy ludzi siedziały zawsze w tych restauracjach.

W ogóle w te święta 1 Maja to już był zlot prawdziwy z całego miasta. Wszędzie po miastach tak było. Władze organizowały marsze, w których ludzie musieli uczestniczyć, czy ktoś chciał, czy nie chciał. Jak pracował w fabryce czy w urzędach, to i tak obowiązkowo miał iść na taki pochód pierwszomajowy.

---

<sup>10</sup> Kino było przy pl. Daszyńskiego.

<sup>11</sup> Prawdopodobnie autorce relacji chodzi o przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy komuniści dążyli do likwidacji prywatnej działalności gospodarczej i zastąpienia jej rzekomą spółdzielczością.

A potem od ciotki przeprowadziliśmy się na ulicę Olsztyńską do takich Chełchowskich. Dalej dostaliśmy takie mieszkanie z urzędu naprzeciw przychodni przy ulicy Sienkiewicza. I później stamtąd właśnie, z ulicy Sienkiewicza przenieśli męża po pięciu latach do Orzysza. Tam w Orzyszu już z Zakładu Energetycznego dali nam ładne mieszkanie – trzy pokoje z kuchnią. Już wtedy tam mąż więcej zarabiał i tak prywatnie nieraz komuś coś zrobił, i te siły zakładali, to też tam właśnie nieraz pomagał, robił. Już później było coraz lżej, ale w początkach to tylko tyle, że było łóżko i jakikolwiek stół i szafa, taka nawet bez drzwi, bo to nie było nawet mebli. Dopiero gdzieś po pięciu latach, że się pokazały jakiegokolwiek meble w sklepach, żeby można było kupić – przede wszystkim stół, krzesła. Najstarszy syn urodził się w Pisz, drugi, Leszek, urodził się w Orzyszu, a trzeci, najmłodszy, Mariusz, też w Pisz.

Po dwudziestu latach pobytu w Orzyszu dostaliśmy z zakładu męża pożyczkę. Ale i tak czekaliśmy na mieszkanie, bo najpierw trzeba było wpłacić jakąś ratę. Wpłaciliśmy i czekaliśmy na mieszkanie chyba z pięć czy więcej lat. W Orzyszu spółdzielni nie było, a tu jeszcze z tą pożyczką były tam troszkę trudności, a w dodatku w Orzyszu nie było wtedy spółdzielni i nic się nie budowało. Ja uznałam, że niekoniecznie musimy mieszkać w Orzyszu całe życie i dlatego wpłaciliśmy w Pisz. Bo trzeba stwierdzić, że Pisz mi się podobał. Ale jak wróciliśmy do Pisz, wzdłuż całej ulicy Lipowej stały jeszcze takie niskie domki. Gdy się szło wąskim chodnikiem, to okna wyglądały tak, jak w suterenie. Były tuż nad chodnikiem. Jak już w tym nowym domu mieszkaliśmy, to te niskie domki dopiero były rozbierane przy nas, zaraz za naszymi oknami.

Taki sam dom był przy ulicy Okopowej, to też został rozebrany, żeby było miejsce na nowe bloki<sup>12</sup>. No, ale długo Pisz nie był tak pięknie utrzymany jak teraz. W Pisz jest teraz czysto i ładnie. Nie ma śmieci. Nie widać teraz tego chuligaństwa, żeby kosze ze śmieciami były poprzewracane, tak jak to kiedyś było. W sobotę czy niedzielę się szło, to było porozbijane, powyrzucane, także już teraz jest tak, jak jest.

Najwięcej sklepów było w rynku. Tam, gdzie są delikatesy, to kiedyś był taki sklep dla rolników<sup>13</sup>. Był spożywczy i jeszcze inne różne takie rzeczy gospodar-

<sup>12</sup> Budynek przy ul. Okopowej 11a pochodził z końca XVIII w. i miał charakter zabytku. Jego zrąb spoczywał na podmurówce z kamienia polnego złączonego gliną. Ściany zostały wykonane z ciosanych pni o dużej grubości. Na jedną ścianę wystarczało siedem bali. Z zewnątrz chałupa była otynkowana. Wewnątrz, w sieni, znajdowała się tzw. czarna kuchnia – komin dużych rozmiarów. (*Pisz. Z dziejów miasta i powiatu...*, op. cit., s. 147). Niestety, chałupa została rozebrana w latach siedemdziesiątych.

<sup>13</sup> Wiejski Dom Towarowy.



Zabytkowa chałupa z XVIII w. przy ul. Okopowej w Pisz. Budynek zniknął z przestrzeni miasta wkrótce po wykonaniu tego zdjęcia

stwa domowego. Na rogu placu Daszyńskiego był drugi sklep masarski. I nie było tyle sklepów masarskich, co teraz jest. Dwa, może najwyżej trzy i koniec. Na Gdańskiej był długi czas taki sklep masarski<sup>14</sup>. Była jedna apteka tylko, ale i to starczało dla wszystkich ludzi. I tak z jednej strony był kryzys, ale ludzie wtedy mieli łatwiej. Na przykład, jak ktoś chorował, to leki były prawie za darmo. Grosze tam się tylko płaciło, a jak ktoś był ubezpieczony, to nawet wcale nie płacił.

<sup>14</sup> W latach siedemdziesiątych władze Pisz traktowały sklep przy ul. Gdańskiej priorytetowo, gdyż znajdował się w bezpośredniej bliskości fabryki Sklejka. Ponieważ korzystali z niego najliczniej przedstawiciele lokalnej „klasy robotniczej”, więc w dobie kryzysu dbano o lepsze zaopatrzenie w tym miejscu, ale także w innych punktach handlowych związanych z większymi zakładami. „Decyzją władz powiatowych zwiększono przydziały artykułów mięsnych kosztem miasta do punktów usytuowanych przy większych zakładach pracy tj. Zakłady Płyt Pilśniowych i Wiórowych w Rucianem-Nidzie, Piskich Zakładach Przemysłu Sklejek i Piskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Powyższe spowodowało zmniejszenie zaopatrzenia w sklepach zaopatrujących ludność miejską”. Zob. IPN Białystok, sygn. 064/52, Informacja Referatu Służby Bezpieczeństwa w Pisz z 29 marca 1974 r. za okres od 1 do 18 marca 1974 r., k. 124. Cyt. za: W. Brenda, „...Społeczeństwu powinno się powiedzieć prawdę...”, czyli pierwsze symptomy kryzysu gospodarczego w PRL. Dokumenty z 1974 r. <http://www.piszkulturalnie.pl/z-historii-regionu/pisz/ziema-piska-w-archiwach-prl-odc-2> [dostęp: 11.11.2013].

Pamiętam też, że zaraz po wojnie szpital poniemiecki należał do wojska. A szpital cywilny to były trzy budynki na ulicy Słowackiego. Tam mieszkał doktor Chwał i mój syn właśnie tam się urodził.

Codziennosc w tamtych czasach wygladala tak, ze ludzie byli dla siebie zyczliwi. Choć bylo skromniej, ludzie nie mieli az takich luksusow i wygod jak teraz, ale nie byli tak pozamykani na innych jak teraz. Zamkna sie w swoich tam komnatach i patza tylko w telewizor. Kiedyś ludzie naprawde inaczej zyli. Jak mlodzi jeszcze byli, to na sylwestra sie spotykali... Zabawy byly urzadzane w roznych miejscach. W takim Piszur urzadzano bale na przyklad w szkolach. Czasem do Klubu Wojskowego w Szerokim Borze jeździliśmy. Ludzie częściej sie spotykali.

# Spis treści

Wstęp .....	5
Waldemar Brenda, <i>Historia zapamiętana. Wspomnienia i relacje mieszkańców ziemi piskiej</i> .....	7
<i>Ziemia piska na dawnych fotografiach</i> .....	37

## Wspomnienia i relacje

Bożena Alicka .....	83
Regina Alicka .....	87
Irma Bartlick .....	89
Stefan Bikowski .....	94
Janusz Chmielewski .....	103
K.G. ....	110
Romualda Jańczyk .....	116
Władysława Kaczyńska .....	124
Celina Kołakowska .....	128
Antoni Korzinski.....	151
Erich Kowalczyk .....	161
Marianna Kowalewska.....	168
Kazimiera Lipińska .....	175
Stanisław Młynarczyk .....	180
Wiesław Pietraszewski.....	187
Janina Podeszwik .....	197
Dietmar Serafin .....	205
Teresa Skrodzka .....	227
Jadwiga Sulewska .....	240
Ludwik Śliwaka.....	245
Józefa Zakrzewska .....	256

Zdjęcia wykorzystane z niniejszej publikacji pochodzą ze zbiorów Muzeum Ziemi Pińskiej w Pisz, Instytutu Pamięci Narodowej; a także z prywatnych zbiorów Mieczysława Raczyńskiego, Waldemara Brendy, Stefana Bikowskiego, Janiny Podeszwik, Antoniego Korzińskiego, Ericha Kowalczyka, Bożeny Alickiej, Ludwika Śliwki, Wiesława Pietraszewskiego; ze strony [www.piszkulturalnie.pl](http://www.piszkulturalnie.pl) oraz z opracowań U.H.W. Wöbcke, *Johannisburg in Ostpreussen*, 2008; G. Boska, G. Wippicha, U. Haffke, *Im Lichte der Erinnerung*, 2001; G. Bosk, *Kreis Johannisburg. Heimat umgeben von Wäldern und Seen*, 1980.

Redakcja wydawnicza  
Anna Westfeld

Opracowanie graficzne  
Jakub Koziół

Projekt okładki  
Andrzej Mierzyński

ISBN 978-83-62863-82-2



Pracownia Wydawnicza ElSet, 2014  
[www.elset.pl](http://www.elset.pl)